



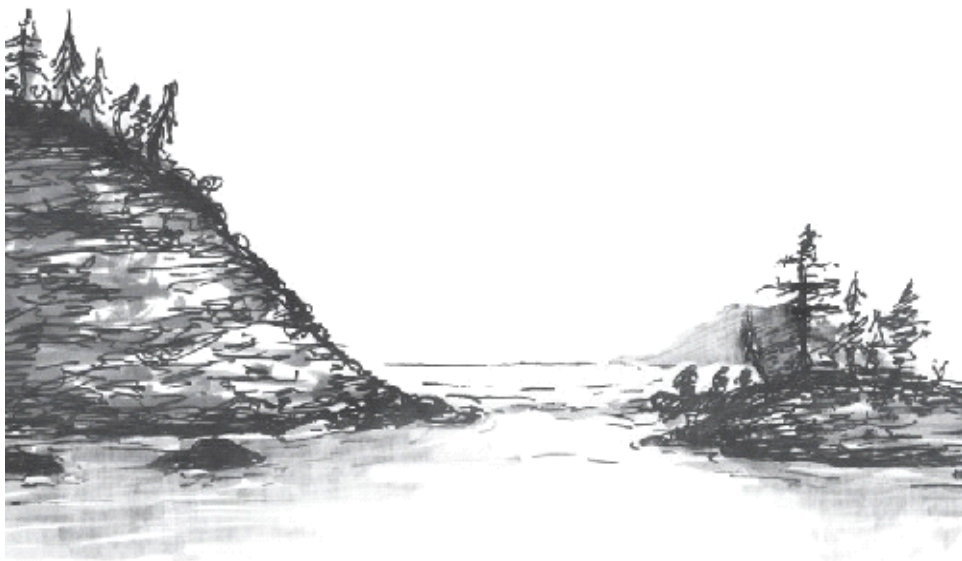
RZEKA ZŁODZIEI
MICHAEL CRUMMEY

WM
wiatr
od morza

Michael Crummey

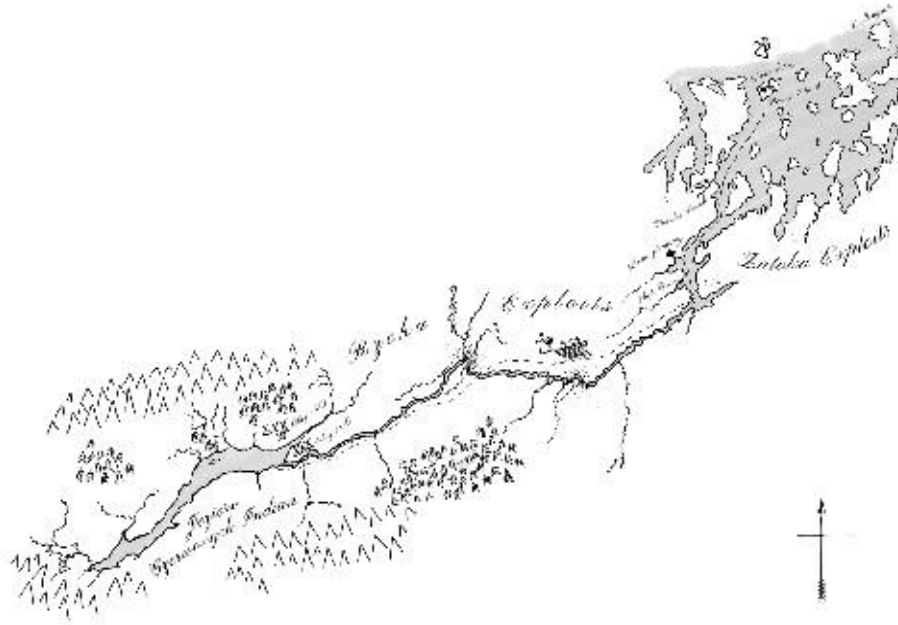
Rzeka złodziei

Przełożył Michał Alenowicz



W naszych opracowaniach historycznych i innych publikacjach pojawiają się od czasu do czasu różnorakie opisy niniejszego wydarzenia. Relacje te charakteryzują jednak liczne rozbieżności, wolę więc przedstawić tę opowieść tak, jak zastałem ją z ust samego świętej pamięci Johna Peytona, sędziego pokoju z Twillingate, który to właśnie dokonał pojmania kobiety z plemienia Beothuków.

– *James P. Howley, The Beothuks or Red Indians, 1915*



Zanim się to wszystko wydarzyło, krainę tę opisywano różnymi nazwami.

Zatoki i nagie klify; ciągnące się w dal kępy świerczyny tak zielonej, że niemal czarnej. Górskie olchy, karłowate zarośla, brodaczki. Jeziora i sadzawki w głębi lądu połączone w misterną sieć niczym narządy w ciele zwierzęcia, krwawiące ze starych ran rzekami sączącymi się do morza wzdłuż całego wybrzeża.

Niektóre spośród ich nazw przetrwały w notesach i dziennikach ludzi dociekliwych i systematycznych, zestawiających mizerne słowniki w czasach, gdy język nie był jeszcze całkiem martwy. Annoo-ee mówiło się na drzewo, drzewa lub las. Gidyeathuc na wiatr, Adenishit na gwiazdy. Mammashiek na każdą spośród dziesięciu tysięcy drobnych wysepek otaczających wybrzeże niczym aureola, a Kadimishuite na niezliczone zdradliwe cieśniny między nimi. Każde z tych słów cechuje nieporęczny kształt rzeczy prastarej, dziwnie niepokojący ciężar muzealnego eksponatu. Przypominają narzędzia sprzed wielu stuleci, niegdyś przeznaczone do konkretnych czynności, których dziś można się jedynie domyślać. Słowo Kewis oznaczało zarówno słońce, jak i księżyc, a do tego okrągłe tarcze zegarków kradzionych europejskim osadnikom.

Whashwitt to niedźwiedź; Kosweet – karibu; Dogajavick – lis. Shabathoobet – pułapka. Słowniki przywodzą na myśl spreparowane zwierzęta; wyrazy, stanowiące niegdyś ich mięśnie i ścięgna, zamarły już w sztywnych pozach. Trzysta rzeczowników, garstka nieodmienionych czasowników. Pocałować, biec, upaść, zabić. Wskazują na coś niemo, stojąc na obrzeżach opowieści wciąż zataczającej kręgi wokół ich śmierci.

Pozostała tylko ich ziemia.

Jezioro

Marzec 1819

Obudził ją płacz dziecka domagającego się pokarmu, ułożyła więc nagie niemowlę przy piersi w świetle wczesnego poranka, tak pełnym cienia, jakby znajdowali się na dnie rzeki. Poza kobietą nikt w całym namiocie nie drgnął, sama więc o mało nie zasnęła znowu w ciszy. W powietrzu czuła czysty zimowy dzień, ostry zapach słońca i mrozu wcinający się w woń świerczyny i zwierzęcych skór.

W drzewach za namiotem rozległo się krakanie wrony. Kostropaty zew głodnej puszczy. Podczas gdy usta syna ciągnęły ją za sutek, ona nuciła pod nosem pieśń wron.

Kiedy skończyła karmić, ułożyła dziecko przy mężu i naciągnęła skórzany płaszcz, przewiązując się paskiem w talii. Podeszła do wyjścia i odgarnęła płachtę wykonaną ze skóry karibu. Na zewnątrz blask słońca odbity od lodu przyprawił ją o ból oczu. Przez chwilę stała w miejscu, przyzwyczajając się do jasności. Chłód kłuł w płucach jak cierń. Na przeciwległym brzegu gęsto zalesione wzgórza, ponad nimi księżyc ledwie widoczny na bladoniebieskim niebie. Wrona ponownie zakrakała, a pstry dźwięk położył się na czystym powietrzu niczym cień na śniegu.

Gdy obróciła się i ruszyła ku drzewom, po polanie poniósł się nagle głos nieznanego. Mężczyzna stał na cyplu za jej plecami – samotna sylwetka w długim, czarnym płaszczu, wznosząca ramię w górę. Fala krwi uderzyła jej do głowy, zaryczała jej w uszach; wtedy krzyknęła na ostrzeżenie, biegnąc z powrotem ku wejściu do *mamateeku*. W środku przyskoczyła do dziecka i wzięła je w ramiona, podczas gdy inni zrywali się z posłań ułożonych wokół paleniska. Splątany gąszcz krzyków, gorączkowe poszukiwania światła, dorośli wynoszący dzieci na zewnątrz i biegnący do lasu za namiotami.

Ruszyła za prowadzoną przez męża grupką, która zbiegła na lód i popędziła ku odległemu przylądkowi. Zerknąwszy przez ramię, dostrzegła tamtego mężczyznę, który przed chwilą coś do niej zawołał, oraz pozostałych, ośmiu czy dziesięciu, wcześniej czających się w ukryciu, a teraz zbliżających się do obozu ze swoimi długimi strzelbami.

Dziecko przyszło na świat przed zaledwie trzema tygodniami; rwący ból w podbrzuszu zaczął palić ją w nogi i rozlewać się po plecach. Syn ciążył jej w ramionach jak kamień znaleziony na plaży. Gdy zawołała męża, cofnął się i wziął od niej chłopca, lecz i tak zostawała coraz bardziej w tyle. Ponownie usłyszała głos białego, którego widziała na cyplu, a spojrzawszy przez ramię, stwierdziła, że już niebawem ją dopadnie. Ubiegła jeszcze jakieś sto kroków, po czym przewróciła się

na łód. Klęczała, płacząc i dławiąc się chłodnym powietrzem.

Nie podnosząc się na nogi, odwróciła się, rozwiązała pas i zadarła szatę ponad głowę, odsłaniając piersi. Mężczyzna, który ją gonił, w pościgu zdążył zrzucić swój długi płaszcz; jego włosy miały barwę uschłej trawy. Położywszy strzelbę na łodzie, odsunął broń kopniakiem. To samo uczynił z mniejszym pistoletem. Gdzieś za jego plecami dostrzegła pozostałych mężczyzn odzianych w czerń, nadbiegających ku nim pojedynczo. Zaczął coś mówić i ruszył w jej stronę, trzymając dłonie daleko od ciała. Widziała, że jest przerażony, nie potrafiła jednak dostrzec źródła jego strachu. Poklepał się ręką w pierś i powtórzył kilka swoich słów. Po raz ostatni obejrzała się przez ramię i popatrzyła w stronę przyładka, za którym zniknęli jej ludzie, a następnie obróciła się do nadchodzącego mężczyzny, okryła się i wstała, czekając na spotkanie.

Było to jeszcze przed tym, jak jej mąż wrócił z odległego brzegu, by z nimi porozmawiać, a jej twarz została przyciśnięta do włosia płaszcza tak giętkiego i szorstkiego jak brodaczki zwisające z drzew – zanim w jej uszach wybrzmiał pierwszy stłumiony strzał. A jednak już w tym momencie, wypowiadając swoje imię i wyciągając rękę, by ucisnąć dłoń tamtego, wiedziała, co straciła. Dziecko i męza. Jezioro. Ostatnie dobre miejsce.

Biały mężczyzna skinął głową, uśmiechnął się i odwrócił do towarzyszy nadchodzących ku niemu po łodzie.

Część 1

Hag *n Cp OED ~ 1 c obs (1632, 1696) for sense 1 [...]*

*1 The nightmare; freq in form **old hag** [...] 1896 J A Folklore ix, 222 A man [...] told me he had been ridden to death by an old hag [...] 1937 Bk of Nfld i, 230 Nightmare is called by fishermen the „Old Hag.”*

Hag *s, zob. OED zn. 1., przestarz., (1632, 1696) w zn. 1. [...]*

*1. Zmora; często **old** ~ dosł. stara wiedźma [...] 1896 J A Folklore ix, 222 Powiedział mi, że stara wiedźma zamęczyła go na śmierć [...] 1937 Bk of Nfld i, 230 Rybacy nazywają zmorę Starą Wiedźmą.*

– *Dictionary of Newfoundland English*

Pysk zbójeckiej szkapy

1810

have the face of a robber's horse: to be brazen, without shame or pity

have the face of a robber's horse: dosł. mieć pysk zbójeckiej szkapy; być bezczelnym, pozbawionym wstydu czy litości

– *Dictionary of Newfoundland English*

JEDEN

Johna Peytona obudził głos ojca, na wpół zduszony krzyk niosący się po wąskim korytarzu oddzielającym sypialnie na piętrze ich domu zimowego. Z domu letniego – stojącego na Burnt Island, w pobliżu łowisk, gdzie wypływali na dorsze – przenieśli się przed zaledwie dwoma tygodniami, potrwało to więc chwilę, nim pojął, gdzie się znajduje; ciemność oraz zamęt przerwane go snu sprawiły, że łóżko i pokój stały się obce. Leżał, wsłuchując się w ciszę, nastającą zawsze po koszmarach ojca. Żaden z nich nie obrócił się na łóżku ani nie wydał jakiegokolwiek dźwięku – obaj udawali, że się nie obudzili.

Peyton zwrócił głowę ku szybie, na której księżyc rozświetlał szron błądą, chłodną bielą. Rankiem miał wyruszyć w głąb lądu, by spędzić sezon na traperskim szlaku¹ wiodącym na zachód od rzeki Exploits, po raz pierwszy zastawiając potrzaski bez ojca. Pół nocy przeleżał, rozmyślając o samotnej wyprawie; nie miał co marzyć o śnie. Już planował rozkład pułapek, zliczał je w głowie, szacował ogół złowionej zwierzyny oraz jej wartość na rynku. A za wszystkimi tymi kalkulacjami kryła się myśl o tym, jak mógłby zbliżyć się do Cassie, gdy na wiosnę wróci do domu objuczony futrami niczym gałąź przygięta pod ciężarem owoców. Nareszcie – jako pełnoprawny mężczyzna.

1 Obszar zajęty przez trapera zastawiającego pułapki; trasa, po której traper porusza się w sezonie; również: rozmieszczony wzdłuż tego szlaku szereg chatek czy szałasów zapewniających schronienie, zazwyczaj oddalonych od siebie o dzień drogi (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Usłyszawszy, że Cassie krząta się w kuchni na dole, dzwignął się z łóżka, przełamał cienką warstwę lodu pokrywającą wodę do kąpeli i nalał sobie pełną miednicę. Czuł ból głowy wywołany przez brak snu oraz wielogodzinne krążenie wokół tych samych myśli. Kiedy ochlapał sobie twarz i kark, zimno uspokoiło mglisty puls bólu, zgiął się więc w pasie i zanurzył głowę w wodzie, trzymając ją pod powierzchnią tak długo, jak był w stanie wytrwać bez oddechu.

Zszedłszy do kuchni, stwierdził, że z czajnika bucha już para. Cassie szykowała na patelni ryby na śniadanie, powietrze było gęste od słodkiego, dymnego zapachu smażonych kapelanów. Usiadł przy stole, wpatrując się w kobietę nachylającą się nad ogniem; jej twarz przemykała między cieniem a światłem niczym liść obracający się na słońcu. Nie podniosła wzroku, gdy powiedział „dzień dobry”.

– Zjedz dzisiaj porządne śniadanie – poradziła. – Przyda ci się.

Skinął głową, ale nic nie odpowiedział.

– John Senior się nie pokazał? – spytała.

– Słyszałem, jak krząta się po pokoju – skłamał, nie chcąc, żeby go zawołała. To był jego ostatni poranek w jej towarzystwie przed miesiącami rozłąki, pragnął więc spędzić z nią sam na sam jeszcze choć parę chwil. – W nocy ojciec znowu się miotał. Jak myślisz, co go przyprawia o taki niespokojny sen?

– O wstydzie tajny! Niesławo ukryta! – wyrecytowała Cassie, wciąż wpatrując się w kapelany na patelni. – Ból to bez bólu i bez rany rana!²

² Wszystkie cytaty z poematów i tragedii Williama Szekspira w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

Jakieś brednie z jej książek. – Nie mów do mnie tak uczenie o tej porze dnia – odparł.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wiesz tyle samo co ja, prawda?

– Słuchaj, Johnie Peyton, to po prostu Stara Wiedźma. Do sedna niektórych rzeczy nie sposób dojść. – Odwróciła się od paleniska z patelnią i poniosła ją do stołu. Krzyknęła ku sufitowi, że John Senior ma schodzić na posiłek.

W dwie godziny od świtania Peyton zapakował ostatnie zapasy na sanie przed domem. John Senior zakładał psu uprząż. Ojciec miał pojechać z synem aż do Ship Cove, cały dzień drogi w górę rzeki od jej ujścia, ale obaj mężczyźni już czuli się nieswojo na myśl o rozstaniu. Każdy pilnował się, żeby nie dać się przyłapać na zerkaniu na drugiego; skupiali się na bieżących zadaniach. Peyton spoglądał ukradkowo na ojca pracującego przy psie. Był po sześćdziesiątce, miał siwe włosy, ale towarzyszyła mu aura ocieężalej żywotności; rozmyślny, niezłomny upór. Linie na czole jak potoki w suchym korycie rzeki. Gładko ogolona twarz zdawała się tak surowa, że mogłaby zatrzymać topór. Peyton słyszał od innych mieszkańców wybrzeża wystarczająco dużo, by zakładać, iż ojciec zapracował sobie na tę powierzchowność. Z obawy o siebie wolał więc zbytnio nie roztrząsać rzeczy sprawiają-

cych, że John Senior zrywa się w środku nocy i krzyczy w ciemności.

Ojciec przykazał: – Pilnuj, żeby proch nie zamókł.

– W porządku – odpowiedział Peyton.

– Joseph Reilly ma chatę jakieś trzy, cztery mile na południe od twojego szlaku.

– Wiem, jak trafić do Reilly’ego.

– Jakbyś miał kłopoty, odwiedź go.

– W porządku – powtórzył.

Nadal czuł ostry ból głowy, ale teraz cierpienie było oszczędne i skupione, jakby między jego skroniami biegł pojedynczy rozgrzany drut. Wzmagało to tylko jego pośpiech i determinację. Przyplłynął na Nową Fundlandię przed dziesięciu laty, by poznać fach i przejąć rodzinny interes, gdy John Senior będzie gotów się go zrzec. Decyzja ojca, by w tym roku nie zajmować się pułapkami, stanowiła pierwszą mglistą zapowiedź nadchodzącej emerytury.

Peyton oznajmił: – Na Boże Narodzenie tu nie wrócę.

John Senior ułożył sukę na boku i bacznie przyjrzał się jej łapom. – A więc w styczniu – stwierdził, nie podnosząc głowy.

Peyton przytaknął.

Z fałdów zimowego płaszcza ojciec wydobył srebrny zegarek kieszonkowy. Pracował na powietrzu z gołymi rękami; w porannym chłdzie jego palce nabiegły krwią. – Wpół do dziewiątej – powiedział. – Lepiej żegnaj się już z Cassie. I nie ociągaj się.

Podłoga w kuchni była obsypana mokrym piachem, a Cassie pracowała na kolanach, szorując deski długą, sztywną szczotką. Spódnice podwiązała w supeł na wysokości ud. Kiedy stanął w drzwiach, przysiadła na piętach i popatrzyła na niego.

Peytonowi zaschło w gardle, oddech zaciął się krótkimi westchnieniami. Był zaskoczony siłą własnych uczuć. Tak długo je skrywał, że sam przestał doceniać ich moc. Teraz wypłynęły na powierzchnię tak gwałtownie, że coś zakłuło go w piersi. Odkaszlnął w pięść, próbując pozbyć się niespodziewanego ucisku. – Będziemy się zbierać – poinformował. Miał wrażenie, że Cassie jest w stanie dosłyszeć dudnienie jego serca przez warstwy ubrań, założył więc ręce ciasno na piersi.

Wciąż trzymając szczotkę w dłoni, uniosła przedramię, by otrzeć czoło i policzki. Powiedziała: – Uważaj tam na siebie, Johnie Peyton.

– O mnie się nie martw – odrzekł i rozczarowany spuścił wzrok na buty. Nawet jej najbardziej kojące i czułe słowa były odrobinę cięte, jakby starała się zapobiec panice rozmówcy. Zachowywała się jak osoba prowadząca płochliwego konia, mogącego znarowić się pod wpływem najdrobniejszej prowokacji. Miała w sobie podobną zawziętość i nieustępliwość jak ręka ściskająca uzdę.

Przyszło mu do głowy, że Cassie może nawet nie wstać, żeby się z nim poze-

gnąć, a ta myśl sprawiła, że czekające go miesiące w lesie wydały mu się nagle wstrętne. Zawsze zachowywała się wobec niego dziwnie, okazując mu mieszaną wyniosłość i troski. Jakby czekała, aż on w jakiś sposób dowiedzie swojej wartości. Była od niego starsza o dobre sześć lat. Przez pierwsze dwa lata znajomości przewyższała go wzrostem, a choć wreszcie ją przerósł, przez kolejnych kilka lat wciąż pozostawała oficjalnie jego prywatną nauczycielką. Pokonywanie dystansu, który to między nimi wytworzyło, trwało dużo dłużej, niż Peyton się spodziewał. Jedyne pocieszenie znajdował w myśli, z jak wielką rezerwą traktowała wszystkich wokół. Na północno-wschodnim wybrzeżu niewiele było kobiet; co roku Cassie wysłuchiwała oświadczeń mężczyzn, którzy nie potrafili nawet zapisać własnego imienia, całe dorosłe życie przemieszkali samotnie, a od rozstania z matką nie spędzili nawet godziny w kobiecym towarzystwie. Peyton widział jak na dłoni, że Cassie czeka na coś bardziej obiecującego niż to, co tamci mężczyźni mieli jej do zaoferowania.

Pies zaszczekał przed domem; stojące w uprzęży zwierzę niecierpliwiło się, chcąc ruszać w drogę.

– Powiniennem jechać – powiedział Peyton, dając już krok przez próg.

W tym momencie Cassie rzuciła szczotkę, a on, odwróciwszy się do niej, zobaczył, że podnosi się z podłogi i rozwiązuje spódnicę, zakrywając pończochy opadającymi warstwami materiału. – Czekaj – nakazała. Poszła przez korytarz do swojego pokoju za kuchnią i wróciła z sześcioma świecami zawiniętymi w arkusz papieru.

Zbliżywszy podarek do twarzy, Peyton poczuł woń pszczelego wosku. Cassie wyrabiała świece własnoręcznie i używała ich wieczorami, gdy czytała książki. Twierdziła, że wosk daje jaśniejsze światło i starcza na dużo dłużej niż łoż. John Senior uważał, że to absurdalne przedsięwzięcie, a nawet Peyton miał wrażenie, iż domniemane korzyści nie mogą wynagrodzić wysiłku włożonego w zbieranie wosku i lanie świec. W dzieciństwie wpojono mu przekonanie, że lektura książek to tylko pewna forma rozrywki, jasne było jednak, że w mniemaniu Cassie jest to coś zupełnie innego. Czytała wielokrotnie Goldsmitha, Fieldinga i Miliona, jak również opasłe powieści Fanny Burney zatytułowane imionami głównych bohaterek: *Camilę*, *Cecilię* i *Ewelinę*. Wiele spośród sonetów Szekspira знаła na pamięć i czasami recytowała po kilka linijek, zmuszając Peytona, żeby słuchał. Chciał mieć jakiś udział w jej entuzjazmie, okazać, że go dostrzega, lecz nie potrafił zaoferować lepszej odpowiedzi niż: – Zdaje mi się, że to ładne.

Kręciła głową. – Beznadziejny z ciebie przypadek, Johnie Peyton – mówiła. Pobrzmiewająca w tych słowach deklaracja bezsilności napawała go żalem, że wciąż przyprawia ją o taką rezygnację.

Podsunał jej świece. To była z jej strony rozrzutność, a on i tak zmarnowałby podarek. – Nie spakowałem ani jednej książki – wyjaśnił.

Cassie uśmiechnęła się do niego i wzruszyła ramionami. – Ich światło przyda ci się przy drobnych pracach, gdybyś musiał naprawić rakiety śnieżne albo zszyć rozdarte ubrania.

Peyton skinął głową. Dreszcz o mało nie zwałił go z nóg. Stopy miał ciężkie, jakby właśnie wszedł po cholewy do wody. Wbił w nią wzrok i powiedział: – Troszcz się o Johna Seniora, kiedy mnie nie będzie.

Cassie odwróciła się od niego i znów związała spódnicę na udach. – Zawsze się troszczę. – Uklękła na podłodze i z całą mocą naparła na szczotkę. Szorowała deski, kiedy on zamykał za sobą drzwi.

Cassie stała w oknie patrząc, jak mężczyźni schodzą nad wodę i ruszają wzdłuż brzegu. Śledziła ich postępy, dopóki nie zniknęli za łukiem plaży, po czym wróciła do szorowania podłogi. Deski były już nieskazitelnie czyste, lecz ona wciąż mocowała się z grudą niepokoju, opierając ciężar tułowia na szczotce i powtarzając ruchy tak zapamiętałe, że paliły ją od tego ramiona. Piach skrobał o nagie słoje drewna.

Myślała o Johnie Peytonie przyglądającym jej się od progu. O wypisanym na jego twarzy uczuciu, które sprawiło, że poczuła dla niego litość i zapagnęła, by już odjechał. Należał do ludzi, którzy zawsze chcą dla wszystkich wokół tylko tego, co najlepsze, a to w mniemaniu Cassie oznaczało, że jest skazany na niejedno rozczarowanie. A do tego zapewne i na zranienie części osób, o które się troszczy. Wiedziała, że podarowanie mu świec było błędem. To jedno zmartwienie. A na dokładkę czeka ją jeszcze wiele tygodni sam na sam z Johnem Seniozem.

Cassie przywykła do spędzania w pojedynkę co najmniej dwóch miesięcy w domu zimowym podczas sezonu traperskiego, najciemniejszej pory roku. W grudniu było ledwie siedem godzin światła, podczas których musiała zająć się wszystkimi obowiązkami w obejściu, nakarmić zwierzęta nieubite na mięso jesienią, oczyścić ich przegrody, wnieść sobie do domu drewno na opał, pójść po wodę. W długie wieczory poza obejmującym jej książkę kręgiem światła panowała nieprzenikniona ciemność, a wiatr hulający w kominie zadręczał ogień w palenisku. Na wybrzeżu ani żywej duszy w promieniu dnia ciężkiej drogi. Odczuwała tyle samo radości, co lęku, wyczekując na tę samotność i konieczność polegania wyłącznie na sobie.

Kiedy dowiedziała się, że w tym roku John Senior nie zamierza zajmować się pułapkami, z początku poczuła ulgę na myśl, iż przez całą zimę będzie mogła liczyć na jego towarzystwo. Później jednak ta świadomość zaczęła ją trapić. Miała wrażenie, że została w jakiś sposób oszukana.

Oczyściwszy każdy cal podłogi, wymiotła piasek z kuchni. Spakowała do torby chleb i ser, po czym pozbiierała parę indiańskich rakiet śnieżnych³, strzelbę,

śrut i róg na proch. Naciągnęła gruby płaszcz i zeszła nad wodę po śladach sań. Na brzegu ruszyła w przeciwnym kierunku niż mężczyźni, przeszła półtorej mili po plaży, po czym skręciła w głąb lądu, idąc wzdłuż strumienia aż do miejsca, gdzie krajobraz otwierał się bagnistą polaną porośniętą kępami nagich olch. Śniegu spadło już na tyle dużo, że przykrył ziemię, nie było jednak jeszcze wystarczająco zimno, aby ukryte pod nim podmokłe jamy zamarły na kamień. Cassie obeszła polanę, trzymając się linii lasu, by nie wpaść w trzęsawisko.

3 *Indian rackets* (ang. nowofundlandzki) – rakiety śnieżne o kształcie zbliżonym do rombu, w odróżnieniu od okrągłych *pot-lid rackets*.

Po półgodzinie wędrówki przez zarośla zauważyła na śniegu ślady pardew. Wyraźne tropy przecinały się, biegnąc szerokimi łukami, jakby ptaki nie potrafiły iść prosto. Zdjąwszy ciężkie skórzane rękawice, powoli ruszyła przed siebie z bronią gotową do strzału. Ptaki z pewnością zmieniły już letni kamuflaż na jasne upierzenie, czyniące je niemal niewidocznymi na tle śniegu. Wypatrywała raczej ruchu – bieli na tle ciemnej świerczyny, bieli sunącej po jasnym polu.

Przed sobą spostrzegła gromadkę trzech, może czterech ptaków. Wycelowała nieco ponad nimi, a gdy broń wystrzeliła, zerwały się ze śniegu – głucha eksplozja puchu w sinym powietrzu. Jedna z pardew opadła na ziemię bez wdzięku, niczym wór piachu, po czym rzuciła się rozpaczliwie w krzaki, wlokąc za sobą bezużyteczne skrzydło i łańcuszek piór upstrzonych krwią. Cassie odwiązała rakiety i odłożyła na ziemię torbę z prowiantem oraz róg, by precyzyjnie się przez świerkowe zarośla. Drzewka były tak gęste, że brnęła przez nie z trudem. Na podłożu osłoniętym przez baldachim gałęzi prawie nie było śniegu. Znalazła ptaka leżącego pod drzewem, jakby wbiegł na oślep w pień i padł nieprzytomny.

Zawsze gdy widziała upolowane zwierzę z tak bliska, musiała zacisnąć zęby, zmagając się z ukłuciem litości. Odetchnąwszy przez nos, sięgnęła po pardwę, lecz ta znowu podskoczyła i zaczęła miotać się wściekle pod gałęziami. Cassie dała krok do tyłu; okładała ptaka kolbą strzelby, dopóki nie padł bez ruchu. Przydepnęła złamane skrzydło, unieruchamiając zwierzę przy ziemi, po czym skręciła mu kark.

Rozpaliła ognisko zaraz powyżej plaży, w wymytej przez fale niszy o ścianach z torfu i korzeni, zapewniających schronienie przed wiatrem. Słońce grzało na tyle mocno, że mogła zdjąć płaszcz. Dokładnie oskubała ptaka i opaliła pierze, a następnie wypatroszyła tuskę i nabiła ją na kij sterczący nad ogniskiem.

Zimą, kiedy zostawała sama, przychodziła tu raz czy dwa razy w miesiącu, by zapolować lub po prostu spędzić popołudnie przy ognisku. Było w tej krainie coś, co napawało ją zazdrością – jakieś ogołocenie i bezlitosność. Szum wiatru w koronach świerków czy szepty fal na plaży były hipnotyzujące; tak pozbawione znaczenia, że można je było wziąć za ciszę. Rozproszone wysepki kołyszące się na horyzoncie oceanu. Granat morza, ledwie odrębny od ciemności – barwa nieba, na którym pojawia się pierwsza gwiazda. Bez domu zimowego w zasięgu wzroku po-

trafiła sobie wyobrazić, że całe wybrzeże jest niezamieszkałe, nie licząc jej samej. Znajdowała w tej myśli odrobinę ukojenia.

Sięgnęła po to uczucie ponownie, nie potrafiła jednak wyminąć niepokoju, który starała się ignorować, odkąd wyruszyła. Odwracała się od niego uparcie, raz po raz, niczym pardwa wydeptująca szerokie, pokrywane się łuki, za każdym razem wracała jednak do tego samego ponurego ciężaru. Nachyliła się nad ciepłem i obróciła ptaka na kiju. Tłuszcz kapał do ogniska, a jego woń ciemniała w powietrzu niczym siniec.

Przez cały dzień dwaj mężczyźni podróżowali w górę rzeki Exploits, nie zamieniając ze sobą ani słowa, które nie dotyczyłoby śniegu czy temperatury powietrza. Peyton umiejscowił się na tyle sań, przepychając je przez łaty nagiej skały czy przytrzymując prosto, gdy przekraczali pochyłe warstwy lodu narastające na plaży. Cieszył go ten fizyczny wysiłek, to jednostajne pogrążanie się w zmęczeniu, zmniejszającym nieco napięcie w jego ciele, niewystarczającym jednak, by powstrzymać go przed ciągłym powtarzaniem w myślach rozmowy z Cassie. Czy gest ze świecami przyszedł jej do głowy dopiero w ostatniej chwili, czy też skrywała swoje uczucia równie głęboko, co on? Światło dobre do pracy z igłą, ale czy to oznaczało choć po części to, na co liczył? Jak szybko się od niego odwróciła; i jeszcze powiedziała „zawsze się troszcę”, gdy wspomniał o ojcu. Miał wrażenie, że w jej głosie pobrzmiewał wtedy niemal wyzywający ton.

John Senior przez większość dnia szedł przy suce i łapał ręką za uprząż, by szarpnąć lub pomóc zwierzęciu odzyskać równowagę, gdy było to konieczne. Na ścieżkach bądź odcinkach plaży zbyt wąskich, by zmieścili się obok siebie, szedł przodem, a pies dostosowywał krok tak, aby trzymać pysk zaraz za jego piętami. Gdy mieli już Ship Cove w zasięgu wzroku, John Senior przystanął nagle w szarości późnego popołudnia, a zwierzę o mało go nie przewróciło. Pies usiadł za nim i zaskowyczał.

– Co tam? – spytał Peyton.

John Senior wskazał zatokę dłonią odzianą w ciężką rękawicę. – Oto i statek – powiedział.

HMS Adonis stanowił bryłę cienia w oddali. Nie byli w stanie dostrzec łańcuchów, którymi jednostka była przycumowana do brzegu, ale nie ulegało wątpliwości, że żagle z całym takielunkiem zostały zdjęte na zimę. Nagie maszty wznosiły się nad kadłubem niczym rząd krzyży na wieżach kościoła.

– Nie widziałem jeszcze marynarki na wybrzeżu o tak późnej porze roku – stwierdził John Senior. – Jak żyję, nie widziałem.

Peyton nie pojmował wydźwięku tych słów, nie rozumiał, czy wyrażają tęsknotę, gniew czy strach. Przez całe lato docierały do nich pogłoski o dowódcy Ado-

nisa, niejakim poruczniku Buchanie, który pływał ponoć szalupą po północno-wschodnim wybrzeżu. Słyszeli, że podobno rysuje mapę linii brzegowej, ale takie rzeczy John Senior traktował podejrzliwie niemal z przyzwyczajenia. Gdy doszły ich słuchy, że statek przezimuje w zatoce, było to jak potwierdzenie najgorszych przewidywań, choć żaden z Peytonów nie powiedział nic, czym przyznałby się do szczególnych obaw.

– Czego tu szuka cały ten Buchan? – spytał Peyton.

John Senior pokręcił głową. Mrużył oczy, wpatrując się w słońce pograżające się w lesie. – Oficera marynarki zostaw mnie. Ty martw się tym, żeby ci nie zamókł proch. I pilnuj się na lodzie.

Peyton przytaknął. Ruszyli ku zatoce w ciemnościach zdających się wysączać z otaczającego ich terenu. Niebo nad ich głowami czerniało stopniowo, niedostrzegalnymi dla oka porcjami. Nie rozmawiali więcej o Adonisie ani o poruczniku Buchanie, ale w głowie Peytona już zaroily się przeróżne scenariusze. Rano miał wyruszyć w kolejną całodzienną wędrówkę. Był wprawdzie wyczerpany, ale domyślał się, że na przespanie najbliższej nocy również szanse ma znikome.

Przez większość lipca i sierpnia oraz cały wrzesień porucznik David Buchan wysyłał ku brzegom kuter z HMS Adonisa, przeczesując zatoczki i zakamarki Notre Dame Bay w poszukiwaniu małych grupek Czerwonych Indian, zapuszczających się ponoć w te strony latem. Wraz z załogą przeczesał niemal dwieście mil linii brzegowej, wpływając w dziesiątki rzek i wąskich potoków czy maszerując godzinami przez zarośla i moczary, jeśli przy ścieżce odkryto pozostawiony przez Indian palik cumowniczy. Meszki i komary unosiły się nad wodą tak gęstymi chmurami, że raz użyta chustka czerniała. Owady wlażyły żołnierzom do uszu i ust, zostawiały im pod brodą krwawe naszyjniki. Kiedy jego ludzie poskarżyli się na daremny wysiłek i dławiące ich muchy, Buchan nakazał im złożyć wiosła i trzymał szalupę w miejscu, dopóki żołnierze nie zaczęli go błagać, aby pozwolił im powiosłować dla samej ulgi, którą mógł przynieść tylko powiew ruchu.

Śladów obecności Beothuków nie brakowało – znajdowali opuszczone *mamateeki*, niedawno wygasłe ogniska, wydeptane ścieżki. Dwukrotnie natknęli się na obozowiska z płonącym jeszcze ogniem i ptakami nachylonymi nad żarem na drewnianych szpikulcach, ich właściciele zdążyli jednak dostrzec lub posłyszeć żołnierzy i rozplłynęli się wśród drzew. Anglicy rozprawiali o tym między sobą jak o rzeczach nie z tego świata, jakby to była robota wróżek albo samego rogatego, a ich zapał do poszukiwań malał wraz ze wzrostem strachu i nieufności. Buchanowi postępowanie Indian przywodziło na myśl niemal rozmyślnie zaloty, droczenie się umacniające tylko jego determinację.

Przedsięwzięcie to zaproponował oficerowi gubernator John Duckworth,

nowo mianowany na urząd na Nowej Fundlandii. Spotkali się pewnego kwietniowego wieczora w London Tavern w St. John's. Na zewnątrz było paskudnie i zimno, a ulewny deszcz ze śniegiem bębnił o szyby przy każdym podmuchu wiatru. Całe pomieszczenie oświetlała tylko lampa olejna z dwoma palnikami Arganda. Niemal zupełne ciemności oraz złowróżbna pogoda przydały ich dyskusji aury ukradkowej narady. Siedzieli nieopodal kamiennego kominka nad talerzami baraniny z groszkiem.

– Mam nadzieję, że Marie dobrze się miewa? – zagaił Duckworth.

– Tak, dobrze.

– A córeczka?

– Tak, dziękuję. Wedle ostatnich wiadomości, które do mnie dotarły.

– To dobrze – powiedział Duckworth bez entuzjazmu. – To dobrze. – Popatrzył w talerz i westchnął ciężko. – Z moich doświadczeń wynika – zwrócił się do oficera – że służba publiczna oznacza zgodę na niedogodności. – Wyliczył swoje utrapienia na palcach prawej ręki. Ćmiący kłęb bólu głowy, ataki nocnych potów, mdłości, zatwardzenia lub biegunki. Stanowiły one fizyczny wyraz poczucia niemocy płynącego z niezdolności do spełnienia oczekiwań wszystkich wokół. Spędził na urzędzie zaledwie dwa tygodnie, a już stowarzyszenie kupców w St. John's zaczęło agitować za odwołaniem przewodniczącego sądu, Thomasa Tremletta. Należało również uporać się z efektami nielegalnych prac budowlanych na nabrzeżu, które, zgodnie ze starym zwyczajem, pod nieobecność gubernatora trwały w najlepsze przez całą zimę. Najbardziej natomiast – niewspółmiernie do jej znaczenia dla urzędu czy Korony – leżała mu na sercu kwestia Czerwonych Indian.

Przygotowując się do objęcia stanowiska na Nowej Fundlandii, Duckworth dokonał drobiazgowego przeglądu dostępnej literatury. Przekopywał się przez listy, raporty i rejestry, korespondencję poprzednich gubernatorów z Tajną Radą i Zarządem Handlu, jak również przez krótkie i nieodmiennie tragiczne historie osad rybackich zakładanych w tej kolonii w siedemnastym wieku. Podczas lektury dokumentów zaczął zwracać uwagę na pojawiające się z rzadka wzmianki o rdzennych mieszkańcach wyspy, ochrzczonych *Czerwonymi Indianami* ze względu na zwyczaj pokrywania skóry, ubrań, namiotów, kanu i narzędzi barwnikiem uzyskanym z ochry. Obecność Indian w literaturze była równie mglista, co na samej wyspie. Pojawiali się jako pomniejsza kategoria pośród opisów krajobrazu, pogody, fauny i uwarunkowań rybołówstwa. Niegdyś zamieszkiwali oni całe wybrzeże Nowej Fundlandii, a w początkach siedemnastego wieku zdarzały się Europejczykom nieczęste, lecz obiecujące kontakty z nimi – symboliczne transakcje handlowe, rytualne wymiany podarków. A potem kilka kluczowych nieporozumień. Dochodziło do incydentów polegających na kradzieży dóbr z angielskich osad; odpowiedzią na nie były akty przemocy. Masakry. Beothukowie zaczęli wycofywać się z terenów najechnanych przez obcych; poddali najpierw półwysep Avalon, a potem brzegi Concep-

tion Bay i Trinity Bay, uciekając od gwałtownie rozprzestrzeniającej się strefy wpływów angielskiego rybołówstwa przybrzeżnego. Zachodnie wybrzeże, zwane francuskim, pozostawili pojawiającym się sezonowo Francuzom oraz sprzymierzonym z nimi Mikmakom, migrującym z wyspy Cape Breton. Mikmakowie zapuszczali się również w głąb lądu, by polować i zastawiać potrzaski nad Grand Lake oraz dalej, nawet w okolicach White Bay na północy.

Duckworth spojrział na Buchana. – Mam nadzieję, że pana nie zanudzam, poruczniku – powiedział.

Wedle świadectw zgromadzonych w przeanalizowanej przez gubernatora literaturze, przesiedlenia Beothuków odbyły się przy zdumiewającym braku zorganizowanego oporu z ich strony. Miało się niemal wrażenie, że Czerwoni Indianie płynęli się jak niemożliwy do opowiedzenia sen; że stawali się coraz bardziej nieuchwytni, w miarę jak Europejczycy zasiedlali i przemianowywali zatoki, przylądki i wyspy stanowiące niegdyś ich wyłączną własność.

Rozproszone wzmianki o Indianach stały się obiektem fascynacji – a później obsesji – Duckwortha, niczym znajome słowo, które, wciąż powracając, zaczyna sprawiać wrażenie obciążonego doniosłym znaczeniem. Przed objęciem stanowiska korespondował z członkami Tajnej Rady i udawał się na nieoficjalne spotkania z nimi w Londynie. Opowiadał się za podjęciem działań na rzecz ochrony Indian, za nawiązaniem formalnych kontaktów. Przytaczał argumenty, cytował statystyki (wprawdzie wyssane z palca, lecz nadające jego opiniom większą wagę), zastraszał i perorował, aż w końcu ludzie zaczęli go unikać – zapadali na nagłe choroby uniemożliwiające im spotkania w umówionych terminach. Przyjaciele mówili mu, że zyskuje reputację szarlatana. Z miesiąca na miesiąc coraz bardziej opuszczał go apetyt. Jego kark strzykał i tężał jak ciało skazańca na łożu tortur.

Duckworth odsunął się od stołu. Oświadczył Buchanowi, że w najnowszej historii Tajna Rada była powiadamiana o dramatycznej sytuacji rdzennych mieszkańców wyspy przez większość urzędujących gubernatorów. W odpowiedzi na raporty o nieludzkim barbarzyństwie, jakie osadnicy wykazywali w kontaktach z miejscowymi, wystosowano serię nieskutecznych proklamacji. Dekrety potwierdzały odpowiedzialność Korony za ochronę rdzennej ludności i nawoływały osadników do „życia w zgodzie i braterskiej przyjaźni” z Czerwonymi Indianami. W roku 1792 jakiś oficer marynarki sporządził raport na ten temat, kwestię stanu plemienia dyskutowano na zebraniu komisji, sporządzono oficjalne zalecenia w tej sprawie. Mówiło się o rezerwacie nad Notre Dame, o przykładowym ukaraniu największych zbrodniarzy znad zatoki Exploits. Tajna Rada oficjalnie przyjęła wytyczne pod rozwagę i dalej konsekwentnie je ignorowała, nie chcąc zrażać rosnącej populacji osadników braniem strony Indian. Duckworth przypomniał Buchanowi, że na ławicy Grand Banks Anglicy osiągnęli najobfitsze połowy dorsza na świecie, a i z rewolucji amerykańskiej wyciągnięto już pewne wnioski.

Zapili jedzenie ciemnym melasowym piwem warzonym w tawernie. Duckworth uniósł rękę, nakazując przyniesienie kolejnych kuflów. Choć w pomieszczeniu panował chłód, wysiłek związany z jedzeniem sprawił, że na czole gubernatora wystąpiły krople potu. Opowiadał dalej, twierdząc, iż w ramach własnych dociekań nie udało mu się dotrzeć do informacji o kimkolwiek, kto nawiązałby z Czerwonymi Indianami trwałe relacje oparte na obopólnym zaufaniu. Niedobitki plemienia wycofały się na północno-wschodnie wybrzeże i zimowały nad jeziorem położonym jakieś siedemdziesiąt mil w głąb lądu. Ciepłe miesiące Indianie spędzali, żyjąc z tego, co udało im się wyszarpać z rzadko zaludnionego labiryntu wysepek na zatoce Exploits. Od maja do września wykradali jaja z gniazd na wyspach, gdzie lęły się ptaki, polowali na fokę oraz łowili łososie w rzekach, których angielscy osadnicy jeszcze nie zawłaszczyli lub nie zablokowali tamami. Wygrzebywali na wybrzeżu małże i omułki, kradli sieci i metalowe przedmioty z chat osadników, a czasami pod osłoną nocy przecinali cumy angielskich łodzi w daremnym pokazie brawury lub oporu.

Europejczycy odpowiadali na nieustanne kradzieże i wandalizm, strzelając do nich bez ostrzeżenia oraz najeżdżając i grabiąc ich obozy w odwecie. Staruszek z Twillingate Great Island, nazwiskiem Rogers, chełpił się, że ubił ich z sześćdziesięciu. Kilka osób, które Duckworth znał osobiście – nachylił się niebezpiecznie nisko nad swoim talerzem – widziało dłonie Czerwonych Indian wywieszane jako trofea przez myśliwych z rejonu zatoki Exploits.

Buchan z grubsza kojarzył wiele spośród wiadomości, którymi dzielił się z nim rozmówca, słuchał jednak, dostrzegając w gubernatorze potrzebę uświadomienia naiwnego słuchacza, żądę pozyskania dla sprawy nowego wyznawcy. Kręcił głową z niedowierzaniem. Przytakiwał, dobywał z gardła ciche chrząknięcia odrazy, we właściwych momentach przybierał zboląły wyraz twarzy.

Przed posiłkiem Duckworth upchnął pod kamizelką lnianą serwetkę, by ochronić biały jedwab. Odchyliwszy się od stołu, metodycznie otarł dłonie chusteczką, po czym wyjął z wewnętrznej kieszeni surduta plik złożonych listów.

– Jeden z moich poprzedników – powiedział, ocierając kciukiem kąciki ust – zasięgnął w tej kwestii porady u sędziego pokoju, nazwiskiem Bland. – Przerzucił kartki, szukając jakiegoś ustępu, a natrafiwszy na właściwe miejsce, nadstawił list do nikłego światła lampy. – „Nim upłynie kolejne stulecie, naród angielski, podobnie jak hiszpański, może splamić swą reputację niezatartą hańbą płynącą z faktu wytopienia całej rasy ludzi” – odczytał. W jego bladych policzkach dało się dostrzec wyraźne napięcie. Na powrót zagiął papiery i położył je na stole przy łokciu oficera. – Drogi panie Buchan – zagaił.

Duckworth oparł brodę na wykrochmalonych fałdach muślinowego halsztuka i patrzył, jak porucznik powoli przerzuca listy. Buchan był Szkotem, do marynarki zaciągnął się w wieku dziesięciu lat jako chłopiec pokładowy. Podczas ostat-

niej wojny z Francuzami był już dowódcą HMS *Nettby* i walnie przyczynił się do zatopienia lub pojmania kilku wrogich okrętów. Od paru lat służył z przerwami na Nowej Fundlandii; sporządził mapy większości południowego wybrzeża. Zawodowe ścieżki obu mężczyzn przecinały się od niemal dekady, wyczuwali już w sobie instynktownie oddanie dla obowiązków i dobra Imperium. Obaj zostali utwierdzeni w swoich wrodzonych skłonnościach dzięki służbie obyczajom i prawom *Britannii*.

– Dzisiaj mówię z panem – rzucił Duckworth konspiracyjnie – jak z dżentelmenem i przyjacielem.

Aby uzasadnić wydatki związane z misją Adonisa, Duckworth wypisał Buchanowi rozkaz, zlecając mu spędzenie ostatnich miesięcy lata na sporządzaniu map północno-wschodniego wybrzeża. Posłał oficera na północ z datowanym na pierwszego sierpnia 1810 roku obwieszczeniem, w którym obiecał nagrodę w wysokości stu funtów każdemu, kto zdoła nawiązać przyjacielskie i oparte na solidnej podstawie stosunki z Indianami.

– Rzecz jasna, nie zostałem upoważniony do ogłoszenia takiej nagrody – przyznał Duckworth – ale te bydlęta zwyczajnie pana wyśmieją, jeśli nie obieca im pan pieniędzy.

Pod koniec września Buchan musiał przyznać, że letnia misja zakończyła się niepowodzeniem. Napisał do gubernatora, informując go, że Adonis przezimuje u brzegów Notre Dame Bay, a gdy rzeki zamarzną, on sam poprowadzi ekspedycję nad jezioro Czerwonych Indian. Mówiło się, że zimowe obozy Beothuków są dużo większe i trwalsze niż letnie, Buchan żywił więc przekonanie, że będzie w stanie wymusić dialog, jeśli uda mu się tam dotrzeć. Duckworth wyraził zgodę, dodając, że przez zimę Buchan ma pełnić funkcję objazdowego sędziego i rozstrzygać sprawy cywilne w całym okręgu. Adonis zawiązał do Ship Cove – w zatoczce szkuner został przycumowany do drzew za pomocą łańcuchów o ogniwach ponabijanych mosiężnymi gwoździami, żeby nie wrzynały się głębiej w pnie.

Po konsultacjach z miejscowymi rybakami Buchan sporządził listę najbardziej prominentnych osadników na wybrzeżu i zaczął składać wizyty tym, których nie miał jeszcze okazji poznać. Przedstawiał im obwieszczenie gubernatora, opisywał swoje plany na zimę oraz – tam, gdzie wydawało się to zasadne – prosił o radę i wsparcie. W połowie października, wkrótce po tym, jak John Peyton opuścił wybrzeże i udał się w głąb lądu, by zastawiać potrzaski, Buchan wraz z niedużym oddziałem żołnierzy z Adonisa złożył wizytę w domu zimowym Johna Seniora.

DWA

– Akurat wróciłem znad Ship Cove – oznajmił John Senior. – Będzie mniej niż tydzień. Pański człowiek, Bouthland, oprowadził mnie po Adonisie.

– Wspominał mi o tym. – Buchan odsunął pusty talerz od krawędzi stołu. –

Żałuję, że mnie pan nie zastał. Choć straciłbym wtedy pretekst do skorzystania z pańskiej gościnności. – Uśmiechnął się do gospodarza, tamten jednak nie podjął najmniejszego wysiłku, by odwzajemnić uśmiech. Buchan rozejrzał się szybko po kuchni. Dom był dobrze wyposażony jak na tę część świata. Był to pierwszy dwukondygnacyjny budynek, na który porucznik natknął się poza osadą Twillingate. – Okazała rezydencja, panie Peyton.

– Tutaj spędzamy zimy. Na wiosnę przenosimy się do domu na Burnt Island. W kwietniu czy maju zaczynamy łowić dorsze. Pracuje ze mną syn. Mieszka z nami Cassie. – Skinieniem głowy wskazał kobietę krzątającą się przy stole. – Kiedy do brzegów podpływają ławice kapelanów, przyłącza się do nas trzech czy czterech najemnych rybaków, żeby pomóc z tym wysypem ryb.

Dawno już skończyli jeść; Buchan skinieniem głowy nakazał kapralowi Bouthlandowi odprowadzić żołnierzy na noc do kwater dla pracowników. – Ma pan również rzeki, na których łowi pan łososie?

– Przed śmiercią ojciec spędził tu ze współnikiem jeden sezon, a potem ja przejąłem jego udziały. W tamtych czasach nad całą zatoką Exploits nie uświadczylby pan chrześcijańskiej duszy. Razem z Harrym Millerem co parę lat zakładaliśmy jazy na ryby na kolejnych rzekach, obsadzaliśmy je pracownikami. Mamy teraz ponad tuzin rzek pomiędzy Gander Bay i Badger Bay. Do tego dochodzą dorsze plus zwierzęta upolowane w głębi lądu, kiedy spadnie śnieg.

– Wspominał pan, że pomaga panu syn? – O żonie nie padła żadna wzmianka, Buchan unikał więc tematu.

John Senior przytaknął. – Teraz zastawia pułapki na szlaku. To już trzecie pokolenie na tym wybrzeżu.

– Dynastia Peytonów – rzucił Buchan serdecznie.

– Nie chciałbym przeceniać siły naszego rodu, sir. John Peyton musiałby się jeszcze ożenić, że już o splodzeniu potomka nie wspomnę. Lecz owszem, budzą się w człowieku nadzieje.

– Nie wraca pan na zimę do Anglii?

– Nie, odkąd syn przyплыł z Poole. Perspektywa powrotu do ojczyzny nie kusi już tak, jak dawniej. Szczęśliwszy jestem tutaj.

– A więc *liveryer*⁴ z pana. Należy pan już do rdzennych Nowofundlandczyków.

⁴ *Livyer, liver, liveryer, liveyere* (ang. nowofundlandzki) – „mieszkaniec”, termin używany niegdyś w odniesieniu do rybaków osiadłych na Nowej Fundlandii, w odróżnieniu od osób pracujących sezonowo.

– W pewnym sensie.

Buchan skinął głową. – Jak rozumiem, te okolice stanowią ostatni bastion Czerwonych Indian?

John Senior przyjrzał się oficerowi. W jego mniemaniu było w tym jegomo-

ściu coś z dandysa – te nieskazitelne cholewniki na wypucowanych niskich butach, te żółtobrazowe rękawiczki z koźlecej skóry zatknięte w kieszeni munduru. Przedwcześnie siwiejące włosy, natłuszczone i zaczesane do tyłu, odsłaniały wysokie czoło. Twarz miał wąską i proporcjonalną. John Senior pomyślał, że oficer jest ładniejszy, niż to mężczyźnie przystoi.

– Jest tu wystarczająco dużo Indian, by uzasadnić podejmowanie środków ostrożności – powiedział.

Buchan przytaknął. – Ma pan z nimi częste kontakty?

John Senior zaśmiał się, wydając z siebie pojedyncze, zdławione szczeknięcia. – Można powiedzieć, że miewam kontakty z Indiańcami, owszem. W tej ich bandzie każdy ma pysk jak zbójcka szkapa.

Porucznik zerknął na gospodarza. – Co proszę?

– Są bezczelni, sir. Poniosą wszystko, nad czym nie stoi się z muszkietem w garści. To pozbawiona wstydu zgraja złodziei.

– Tego lata napotkałem na wybrzeżu pewne ślady ich obecności, nie miałem jednak dość szczęścia, by zobaczyć się z choć jednym z nich.

John Senior skubał resztki jedzenia na talerzu. Facet nazwał takie spotkanie „szczęściem”. Nie był pierwszym oficerem marynarki wędzącym w tych stronach i wypyującym o czerwonych.

– Słyszałem, że ponoć rysuje pan mapę naszego wybrzeża, zgadza się?

Buchan uśmiechnął się do niego i pokiwał głową. Podróżując wzdłuż większości północno-wschodniego wybrzeża, podejmował starania, by sporządzić mapy. Ciasno zbite przybrzeżne wysepki stanowiły niemożliwą do rozwikłania zagadkę – kryły się za sobą, upodabniały jedna do drugiej i niemal nakładały na siebie. Granitowe wybrzeże było tak głęboko ponacinane zatokami i wgłębieniami, że rysunki Buchana przywodziły na myśl poszarpane ostrze piły. Z początku postrzegał tę krainę tylko jako nieuporządkowaną i dziką, potem uznał ją jednak za coś jeszcze gorszego – pustkowie pozbawione jakiegokolwiek zamysłu czy planu. Jedynie ślady angielskiego osadnictwa, na które natknęli się nad zatoką Exploits, stanowiły maleńkie, oczyszczone bez przekonania karczowiska na skraju lasu albo skupiska lichych bud stojące na nagich, skalistych cyplach. Rybacy mieszkali w jednoizbowych chatkach krytych korą, jakby te ziemie już zaczęły odzyskiwać władzę nad budynkami. Zdawało się, że ta kraina trwa poza zasięgiem ludzkiej przedsiębiorczości czy woli. Zdarzały mu się chwile, gdy myślał, że odwzorowanie jej na papierze jest zupełnie bezcelowe.

– Owszem, sporządzenie mapy należy do moich zadań – przyznał Buchan. – Widzę, że wieści szybko się rozchodzą.

– Jak sam się pan zapewne przekona, na wybrzeżu nie sposób utrzymać żadnej historii w tajemnicy.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem, a ich milczenie ze wszech miar

przypominało pojedynek.

– Podejrzewam zatem – zaczął Buchan – iż wie pan już co nieco o ekspedycji, którą zamierzam podjąć tej zimy. Nad jezioro Czerwonych Indian.

John Senior wzruszył ramionami. – Kapral Bouthland coś o tym wspominał. Indiancom nie można ufać. Niech pan potem nie mówi, że pana nie ostrzegałem.

Buchan odchylił się od talerza i otrzepał spodnie.

– Panie Peyton, moja propozycja to jedyny sposób na ukrócenie wandalizmu i kradzieży, na które się pan skarży.

– Z całym szacunkiem, sir, nie jest to jedyny sposób.

– A zatem, jeśli właściwie odczytuję pańską wzmiankę, pozwolę sobie zasugerować, iż moja propozycja stanowi jedyny humanitarny sposób. Otóż chrześcijańskie miłosierdzie, panie Peyton...

– Niech pan sobie odczytuje, jak się panu żywnie podoba – wciął się John Senior. – Czerwoni Indianie to nie Kanadyjczycy. Mikmakowie to może jeszcze coś jakby chrześcijanie, owszem, bo można im przemówić do rozsądku, jeśli się człowiek pofatyguje, żeby z nimi pogadać. A ci tutaj są zezwierzęceni do szpiku kości i żadna ilość miłosierdzia nie sprawi, że zaczną się przyzwoicie zachowywać.

John Senior uniósł pustą szklankę, a Cassie napełniła ją z butelki sprezentowanej przez gościa, po czym przez stół zaferowała rum porucznikowi. Przenikający całą kuchnię zapach peklowanej wołowiny i gotowanych warzyw sprawiał, że ciepło ognia zdawało się gęste i duszące. Buchan czuł się już dość nieprzyjemnie podpity. Gdy ledwie dostrzegalnie pokręcił głową, Cassie odstawiła butelkę.

Buchan nachylił się i przemówił do swoich złożonych dłoni. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że osadnicy żyjący pośród Czerwonych Indian musieli podejmować nadzwyczajne środki, by ochronić siebie oraz swoje mienie.

Z gardła Johna Seniora dobiegł cichy pomruk obrzydzenia. – To, z czego pan sobie zdajesz sprawę, niewarte jest funta zgniłej ryby. Nie pan musiałeś pogrzebać to, co zostało z Harry’ego Millera. Znaleźliśmy ciało w lesie, leżało na brzuchu. Zaczaili się na niego w zaroślach za jego chatą i podziurawili mu plecy jak banda tchórzy. A potem uciekli z jego głową.

Buchan przypatrzył się mężczyźnie siedzącemu naprzeciw. Przypomniał mu się ustęp z jednego z listów przekazanych mu przez gubernatora w London Tavern. *Możliwe, że wydalenie Peytona z nad brzegów zatoki Exploits – pisał Bland – okaże się kluczowym krokiem na drodze do zamierzonego celu.*

– Domyślałam się, że sprowokowało to odwet.

John Senior podał pusty talerz Cassie, która zabrała również nakrycie Buchana i odniosła naczynia do spiżarni.

– Ja zapatrywałem się na to tak, że mamy prawo przelać nieco krwi – powiedział cicho, jakby się bał, że zostanie podsłuchany. – Następnej zimy zebrałem grupę mężczyzn i ruszyłem z nią w górę rzeki. Poprzysięgliśmy, że za to, co zrobili

Harry'emu Millerowi, będziemy mordować dużych i małych.

Maszerowali, wykorzystując wszystkie godziny światła, a do tego – jeśli pozwalała na to księżyc – również i pierwszych kilka godzin ciemności. Łód był czysty i płaski, pokonywali więc nawet po dwadzieścia mil dziennie. Jedli tylko suchary i kawałki gotowanej, solonej wieprzowiny. Zdawali się karmić wyłącznie wściekłością i rozmowami o zemście. Dzień drogi za drugim wodospadem natrafili na obóz Beothuków wtulony w zagajnik, zatrzymali się więc, by naładować broń i zrzucić z ramion plecaki.

– Niektórych wzięły wyrzuty sumienia i oznajmili, że kobiet i dzieci nie będą zabijać – wyjaśnił John Senior. – Nie miałem prawa się z nimi wyklócać, powiedziałem więc do grupy: „Dobra, pokażmy im, jak się walczy fair” – mówił wprost do świec stojących na stole, jakby oficera nie było w pomieszczeniu. – Wtedy ruszyliśmy naprzód, gotowi zabrać sobie część ich dobytku, jeśli uciekną. A gdyby stanęli do walki, zamierzaliśmy wybić ich do nogi, bez litości.

Opowiedział porucznikowi, jak na pierwszy znak ich obecności mieszkańcy obozu rozpierzchli się po lesie. Oddali kilka strzałów, żeby ich przepłoszyć; dźwięk niósł się echem po brzegach rzeki, podczas gdy między drzewami cichły pokrzykiwania Beothuków. Stanęli na opustoszałej polanie i popatrzyli po sobie. Pojedyncza wrona besztła ich z czubka drzewa. John Senior wznosił broń i strzelił do ptaka, a ten poszybował nad rzekę, zatoczył krąg nad obozem i zniknął w lesie. Noc spędzili w jednym z *mamateeków*, wystawiając warty po dwóch mężczyzn. Rano podpalili namioty i ruszyli w drogę powrotną na wybrzeże, zabierając ze sobą tyle futer, ile tylko zmieściło się na saniach, oraz tyle świeżego mięsa karibu, ile zdołali upchnąć w plecakach.

Kiedy John Senior skończył opowieść, w izbie zapadło milczenie. Buchan oparł się i westchnął cicho. Zdawał sobie sprawę, że bez jakiegoś ustępstwa ze strony tego człowieka przedsięwzięcie gubernatora spali na panewce, a w tym momencie rokowania są beznadziejne.

Do kuchni wróciła Cassie, więc odwrócił się, by na nią popatrzeć. Dziwna sprawa, żeby kobieta w jej wieku pozostawała tak długo na służbie i wciąż była niezamężna. Jej oblicze zaczynało już ciemnieć i pokrywać się zmarszczkami pod wpływem pogody i upływu lat, miało jednak w sobie coś osobliwego, co przykuwało jego uwagę. Jakiś element całości był lekko przesunięty względem środka – może nos albo zdawkowo uśmiechnięte usta. Niedowidziała na jedno oko, które przymykała niemal całkowicie, krzątając się przy swoich obowiązkach. Przez cały wieczór nie odezwała się prawie słowem; nagle przeszło mu przez myśl, że może jest niedorozwinięta.

– Panno Jure – zagał – jestem ciekaw, jakie jest pani zdanie na ten temat.

– Mam stanowisko, poruczniku, a nie zdanie – odparła.

Buchan uśmiechnął się do niej. – Rozumiem. – Ledwie dostrzegalny brak

proporcji w jej twarzy wciąż nie dawał mu spokoju, odwrócił się więc i szybko powiódł wzrokiem po izbie, szukając czegoś, co mogłoby przyjść mu z pomocą. – Czy zechciałaby panna nas na chwilę przeprosić? – spytał wreszcie.

Cassie spojrzała na Johna Seniora, który skinął głową, nie odrywając oczu od porucznika. – Za panów pozwoleniem – powiedziała.

– Jestem panu winien przeprosiny – zaczął Buchan. – Być może wyraziłem się niejasno. Jeśli sądzi pan, że dziś wieczór przyszedłem do pana z groźbą, to doszło do nieporozumienia. Istota rzeczy jest taka, że spraw nie można już załatwiać dawnymi sposobami. W St. John's urzęduje teraz sąd. Czerwoni Indianie znajdują się pod ochroną Korony.

John Senior przez jakiś czas obracał szklankę w dłoniach, wreszcie wziął obfity haust rumu. Zanim przełknął alkohol, potrzymał go chwilę w ustach, pozwalając, by palił go powoli. Sięgnąwszy po butelkę, napełnił swoją szklankę i bez pytania nalał również Buchanowi.

– Przez wiele lat, zapewne z konieczności, wraz ze swoimi ludźmi stanowił pan tutaj prawo – kontynuował Buchan. – Nie moja to rzecz, by teraz to osądzać. Dowiedziawszy się jednak o wielu grabieżach dokonanych przez obie strony konfliktu, jako sędzia pokoju jestem zobowiązany do poinformowania o nich gubernatora Duckwortha.

John Senior powoli odsunął krzesło od stołu, przeszedł przez izbę i stanął tyłem do paleniska, jakby nagle poczuł przeciąg.

– Panie Peyton, gubernator będzie z pewnością patrzył bardzo przychylnie na tych, którzy wesprą nas w naszych staraniach. – Wyjął z kieszeni obwieszanie Duckwortha i rozprostował je na stole. – Zdaję sobie sprawę, że nie interesuje pana nagroda finansowa. Może jednak zaciekawia pana fakt, iż poza pieniędzmi gubernator obiecuje, że każdy, kto przyczyni się do pomyślnego zakończenia naszego przedsięwzięcia, „będzie pochlebnie wzmiankowany Jego Królewskiej Mości, a także otrzyma od gubernatora wszelkie poparcie i dalsze wyrazy aprobaty, jakich ten władny jest udzielić”. – Podniósł oczy znad pergaminu, po czym starannie złożył arkusz i schował go do kieszeni. – Czy możemy liczyć na pańskie wsparcie, panie Peyton?

John Senior wyjął z kieszeni kamizelki srebrny zegarek i otworzył kopertę. Przez chwilę wpatrywał się w tarczę, nie zwracając najmniejszej uwagi na czas. – Mam pewne wątpliwości, czy coś dobrego nam przyjdzie z wyprawy nad to jezioro w środku srogiej zimy.

– Dobro i zło niech pan zostawi mnie, panie Peyton. Proszę tylko o pomoc w moich staraniach.

John Senior popatrzył na swoje stopy i z roztargnieniem pokiwał głową. – Oczekuję, że gubernator usłyszy pochlebne słowo na mój temat.

Buchan o mało się nie uśmiechnął, zdołał się jednak opanować. – Jeśli dobre

słowo będzie panu potrzebne, może pan na mnie liczyć.

Pili obaj przez resztę wieczora. John Senior zamasywił w siebie kolejne porcje rumu, wykazując żalobliwą determinację człowieka próbującego utopić zwierzę, którego nie jest już w stanie wykarmić. Buchan zmuszał się, by dotrzymać mu kroku, jakby wszystkie osiągnięcia tego wieczora wciąż były kruche i zależne od tego, czy dorówna starszemu mężczyźnie, zdolnemu do spożycia potężnych ilości alkoholu.

Udało mu się dotrzeć do łóżka bez niczyjej pomocy i zdjąć z siebie wystarczająco dużo ubrań, by móc pocieszać się, że nie jest jeszcze zalany w sztok, lecz gdy tylko padł na zimną pościel, ogarnęło go zamroczenie, z którego wytrącił go dopiero wzbierający szkwał mdłości. Najciszej jak potrafił poczłapał po schodach na dół i pchnął drzwi, zmagając się z porywistym wiatrem. Pobiegnął za róg domu i zwymiotował na śnieg, trzymając się za brzuch i tupiąc w miejscu, podczas gdy wstrząsały nim konwulsje.

Wróciwszy do domu, w kuchni zastał Cassie klęczącą przy kominku. Roztrącała stosik węgla obsypany uprzednio popiołem i osłonięty odwróconym garnkiem. Nieśmiała jasność świeżego ognia wędrowała po jej twarzy, gdy wpatrywała się w palenisko. Na ramionach miała wełniany szal.

– Miałem nadzieję, że nikogo nie obudzę – powiedział.

– I tak leżałam bezsennie – skłamała. – Niech pan siada. – Skinęła brodą na kuchenną leżankę. – Zaparzę panu coś na uspokojenie kiszek.

Buchan pokręcił głową gwałtownie i z przesadą. – Nie chciałbym obudzić również pana Peytona.

– Ze stanu, w jakim znajduje się John Senior, gdy zaśnie, wyrwać go może wyłącznie Stara Wiedźma. A zapewniam pana, że w takim wypadku to my najpierw usłyszymy jego, bez względu na to, jak byśmy tu nie hałasowali. Niech pan siada – nakazała. – Woda zagotuje się w ciągu kilku minut.

Usiadł na wąskim łóżku, obejmując brzuch ramieniem, jakby ktoś go dźgnął nożem. – Ostatnimi czasy nie najlepiej się czuję.

– Niewielu jest takich, co dotrzymają Johnowi Seniorowi kroku przy flaszcze. Nie ma się czego wstydzić.

Szybko na nią zerknął, a ona uśmiechnęła się do niego, mocno zaciskając usta. Krzywy uśmiech – pomyślał. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. Miał na sobie tylko podkoszulek i parę długich kalesonów. Buty z niską cholewą naciągnął na gołe stopy. Cassie zdjęła szal i zarzuciła mu go na ramiona.

– Błagam – zachnął się Buchan, wyciągając rękę, by się od niej opędzić.

– No, no – skarciła go Cassie. – Słyszałam, jak w samej bieliźnie krztusi się pan wymiocinami pośrodku śnieżnej zawiei. Przy mnie nie musi pan już bronić

swojej dumy.

Niepewnie skinął głową. Odnosiła się do niego ze swobodą nieprzystającą do jej roli w gospodarstwie. Mrugnęła do niego niedowidzącym okiem. – Mam lekką słabość do kalek, poruczniku – przyznała. – Powinnam była się zająć pielęgniowaniem chorych.

Kiedy woda się zagotowała, Cassie zaparzyła mu herbatę i posłodziła ją ciemną melasą. Buchan siedział, ściskając kubek na kolanach, przysunęła więc sobie krzesło do ognia, by usiąść naprzeciw niego. Twarz miał białą jak ściana, oczy tak zapuchnięte, że zmieniły się w dwie szparki. W geście podziękowania pozdrowił ją wzniesionym kubkiem i zaczął sączyć gorący płyn.

– Klucz do picia z Johnem Seniosem leży w tym – tłumaczyła – że należy polewać samemu. Mniej się wtedy rzuca w oczy to, jak bardzo człowiek zostaje w tyle.

– Panno Jure, chciałbym panią o coś spytać – zwrócił się do niej nagle Buchan.

Cassie czekała na pytanie. Wyglądało na to, że oficer albo szuka odpowiednich słów, albo zapomniał już, o czym myślał.

– Poruczniku?

Uśmiechnął się, ale nie spojrzał na nią. – Obawiam się, że pytanie może być odrobinę niedelikatne – ostrzegł.

Wzruszyła ramionami. – Nie wydaje mi się, żeby warto było się jeszcze krygować.

– A zatem, jeśli tak się sprawy mają – zaczął. Popatrzył na nią błędnym wzrokiem. – Jestem ciekaw, dlaczego jeszcze nie wyszła pani za mąż.

– Poruczniku, mówi pan o małżeństwie tak, jakby było nieuniknione. Niczym śmierć.

– Niektórzy patrzą na to w ten sposób. – Przymknął oczy. – Ale to żadna odpowiedź na moje pytanie.

Nie odezwała się ani słowem.

– Proszę wybaczyć moją bezpośredniość – przeprosił. Po kolejnej chwili milczenia domyślił się: – Zdarzało się pani odrzucać oświadczenia.

– Zdarzało się, owszem.

– I żaden pani nie odpowiadał?

– Każdy chciał mnie stąd zabrać – wyjaśniła. Rozejrzała się po kuchni.

Buchan wodził wzrokiem za jej oczami. – To znaczy od pana Peytona.

Znowu wzruszyła ramionami, ale nie zaprzeczyła.

– Kocha go pani?

– U Johna Seniora najbardziej cenię sobie to – oznajmiła – że nigdy nie próbował rozmawiać ze mną o miłości.

– Słowo daję, nie pojmuję, jak czymś takim miałby zaskarbić sobie pani

uczucia.

– Owszem – skwitowała. – Słowo daję, że pan nie pojmuje.

Buchan przez chwilę siedział bez słowa, oddając się pijackim rozważaniom o siedzącej przed nim kobiecie i jej położeniu. Zdawało mu się, że wiedzie nazbyt samotnicze życie jak na pannę nie dość starą, by skreślić nadzieje na zamążpójście. Nie omieszkał jej o tym napomknąć.

Przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciała zaprzeczyć, ale, uczciwie rzecz biorąc, nie mogła. – Zdarzają się w życiu gorsze rzeczy – stwierdziła – niż samotność.

Zanim Buchan zdążył cokolwiek na to odpowiedzieć, wstała i odsunęła krzesło na jego miejsce przy stole. – Da pan radę sam wejść po schodach?

Ponownie wzniosł kubek, jakby chciał w ten sposób zademonstrować ogrom swojej trzeźwości.

– Szal proszę zostawić na leżance.

Odwróciła się, żeby wyjść, ale ją zatrzymał. – Panno Jure – powiedział. – Będę ogromnie zobowiązany, jeśli zgodzi się pani nie robić z tego wielkiej historii. – Bezsilnie wskazał ręką siebie i otoczenie.

Cassie założyła ręce pod piersiami i uśmiechnęła się. – Jak to jest, że mężczyźni czują większą obawę przed wyjściem na głupca niż przed samym robieniem rzeczy głupich?

Buchan pokiwał głową. – Zaczynam rozumieć, dlaczego tak wielu chciało panią stąd zabrać.

Zawieja szalała przez cały kolejny dzień, nie pozwalając Buchanowi i jego ludziom wyruszyć do Ship Cove zgodnie z planem. Porucznik był jeszcze zmarnowany po wieczornych ekscesach, bez żalu pozostał więc na miejscu. John Senior spędził z nim tyle czasu, ile był w stanie usiedzieć beczynnym, po czym ubrał się, by zajrzeć do zwierząt. Buchan zaproponował, że z nim pójdzie, ale Peyton ruchem ręki dał mu znak, by został na swoim krześle. – Niech się pan mną nie przejmuje – powiedział. – Cassie! – rzucił w stronę spiżarni. – Zaparz porucznikowi herbaty.

Buchan przyglądał się nieśmiałym, przepraszającym wzrokiem, jak kobieta wystawia kubki na kuchenny stół.

– Doszedł pan do siebie? – spytała. Nie było w jej głosie współczucia, lecz drwiny również nie dosłyszał.

– Już mi lepiej, dziękuję.

Przez chwilę rozmawiali o wścieklej pogodzie i wynikających z niej rokowańach na zimę. Kiedy wyczerpali temat, zapadło między nimi niezręczne milczenie. Wreszcie Cassie przerwała ciszę: – Jak długo pan u nas zabawi, poruczniku?

– Sądzę, że wyruszymy do Ship Cove, gdy tylko pogoda się poprawi.

Pokręciła głową, ale nie popatrzyła na niego. – Chodziło mi o to, jak długo zostanie pan na północno-wschodnim wybrzeżu.

– Och, ma się rozumieć. Zaledwie do wiosennych roztopów. Wypłyniemy do St. John's, gdy tylko popęka lód skuwający morze.

Cassie przytaknęła. – Wróci pan jeszcze w nasze strony? Ma pan tutaj stacjonować?

– Nie – odparł. – Ta wyprawa jest związana z pewnym szczególnym zadaniem. Wyłączając wszelkie nieprzewidziane wydarzenia, raczej tu nie wrócę.

Cassie wciąż kiwała głową, lecz nic już nie powiedziała. Znowu zapadło milczenie. Buchan klepnął się dłońmi w kolana.

– Panno Jure, wczoraj wspominała pani, że Johna Seniora dręczą jakieś zmo-ry?

– Czyż nie przytrafia się to czasami każdemu, poruczniku?

– Mówiła pani, że usłyszymy, jeśli to się zdarzy.

– Czasem słyszę przez sufit, jak zrywa się z łóżka w środku nocy i na coś krzyczy. Mój ojciec też raz czy dwa razy miał do czynienia ze Starą Wiedźmą.

W jej głosie dosłyszał defensywny ton, który odwiódł go od drażenia tematu, zmienił więc wątek: – Nie sposób nie zwrócić uwagi na pani bibliotekę. – Podniósł wolumin leżący na blacie. Książki były porozkładane po całym domu. – Niewiele widziałem prywatnych księgozbiorów tej wielkości.

– Większość z nich nabyła mama – wyjaśniła. Jej matka była córką pastora, kobietą wyedukowaną. Wobec braku szkół na wyspie kupcy z St. John's najmowali ją, by uczyła ich dzieci pisać i czytać. Płacili książkami sprowadzonymi z Anglii na statkach handlowych.

– Z tego, co mówił John Senior, wnoszę, iż pani sama również odebrała nadzwyczaj staranną edukację?

– To pana dziwi, poruczniku?

– Owszem, pani obecność w tym miejscu wydaje mi się, powiedzmy... – poprawił się na krześle – dość niecodzienna. Jak to się stało, że zamieszkała pani tutaj? – Szeroko rozłożył ręce, jakby dawał do zrozumienia, że może zinterpretować słowo „tutaj” tak ogólnie, jak sobie tego życzy.

– Krótka odpowiedź na pańskie pytanie jest taka, że gdy John Peyton przy-
płynął z Anglii, John Senior zatrudnił mnie jako nauczycielkę i gospodynię.

– A jaka jest długa odpowiedź? – Pozwolił, by milczenie chwilę potrwało, po czym dodał: – Nie wydaje mi się, żeby warto było się jeszcze krygować, panno Jure.

Uśmiechnęła się i odchrząknęła. Powiedziała mu, że wychowała się w St. John's. Matka urodziła się i dorastała w Nowej Szkocji, ale wyszła za mąż wbrew woli rodziców i przeprowadziła się na Nową Fundlandię, by żyć poza kręgiem stałego światła ich dezaprobaty. Cassie rozejrzała się po izbie i popatrzyła na

swoje dłonie. – Nie mam skłonności do opowiadania takich historii – powiedziała.

Pokiwał głową. – Potrafię zachować dyskrecję – zapewnił. Zachęcił ją gestem ręki.

Ojciec był właścicielem szynku na nabrzeżu w St. John's, do spółki z niejakim Harrowem, wielkim, korpulentnym jegomościem z Devon. Harrow był kawalerem po czterdziestce, który wiele lat przesłużył w marynarce, a zanim osiadł w St. John's, mieszkał w kilku różnych krajach na całym świecie. Nie było takiej pory dnia czy nocy, żeby nie tkwił w knajpie, nalewając trunki, znosząc z niezłomnym humorem pijackie napaści klientów i zwlekając z krzeseł tych, którzy padli bez czucia przy stołach, aby zrobić miejsce dla nowych. W marynarce stracił oko; czarną dziurę ziejącą w jego twarzy okrywała przepaska. Spał po trzy, cztery godziny na dobę w maleńkiej izbie na zapleczu tawerny i zdawał się nie mieć żadnych zainteresowań czy ambicji sięgających poza cztery ściany jego małego, ponurego królestwa. Jego zapamiętałość sprawiła, że ojciec Cassie miał więcej swobody niż można by się spodziewać, mógł więc wypuszczać się na letnie wędrówki, czytać ile dusza zapragnie oraz pić do woli i często.

– Szczerze mówiąc, zazwyczaj to ostatnie – wyznała.

Przez nawyki ojca jej rodzina stała się w mieście przedmiotem różnych spekulacji i swego rodzaju uprzedzającej pogardy. Matka niegdyś cieszyła się niejakim szacunkiem jako kobieta wykształcona, lecz z wolna zaczęła tracić zlecenia na prywatne lekcje, a wraz z nimi i uznanie. Ludzie zaczęli unikać ich rodziny tak, jak w biblijnych historiach stroniło się od trędowatych – jakby przez fizyczny kontakt mogli zarazić się chorobą. Jedynymi gośćmi w ich domu byli mężczyźni, których ojciec sprowadzał z tawerny.

– I właśnie tutaj pojawia się John Senior? – spytał Buchan.

Przytaknęła. Powiedziała, że zdarzyło się to jesienią, gdy na koniec sezonu rybacy przyplýwali na targ ze swoimi połowami. Ojciec przyszedł do domu z Johnem Seniosem i Harrym Millerem, spędziwszy uprzednio cały wieczór na picu po różnych knajpach nad wodą. Po chwili koturnowych powitań i prezentacji kobiety usunęły się do pokoju na piętrze, słyszały jednak, jak Miller wyśpiewuje sprośne przyśpiewki, wstawiając imiona Cassie i jej matki wszędzie, gdzie tylko udało mu się je wpasować. Pokrzykiwał do nich przez sufit, składając im lubieżne propozycje.

Dostrzegła wyraz niedowierzania na twarzy Buchana. Wyjaśniła, że w tamtych czasach nie było to w ich życiu szczególnie niecodzienne wydarzenie.

Nazajutrz, pod nieobecność ojca, złożył im wizytę John Senior. Cassie czytała właśnie matce *Gwałt na Lukrecji*. Zamknęła książkę i podniosła się z krzesła, by stanąć twarzą w twarz z mężczyzną. Uśmiechał się z zakłopotaniem, jak ktoś skonfrontowany ze wstydliwą pamiątką po człowieku, którym był niegdyś. Zapytał ją o jej lekturę, o to, gdzie nauczyła się czytać i czy przekazała już komuś tę umiejętność.

ność. Gdy odpowiadała, przytakiwał, nie będąc w stanie ukryć złośliwego uśmiechu.

– Męża nie ma w domu – odezwała się w końcu matka.

John Senior pokręcił głową. – Przyszedłem, aby złożyć wyrazy uszanowania obu paniom oraz przeprosić za pana Millera.

– Bardziej na miejscu byłyby przeprosiny od samego pana Millera – powiedziała matka.

– Pani Jure, jeśli chodzi o przeprosiny, to warto czasem przyjąć je tam, gdzie można je otrzymać.

Cassie przerwała opowieść i naląła herbaty najpierw do kubka Buchana, a potem do swojego. Liście moczyły się w wodzie tak długo, że płyn był czarny i miał posmak kory. Poszła do spiżarni po cukier i śmietankę. Poruszała się powoli i w lekkim roztargnieniu, jakby była w tym domu obca i nie wiedziała, gdzie co leży. Buchan dopiero teraz stwierdził z zaskoczeniem, że kobieta lekko utyka, jakby ślaniała się na nogach.

– Co się pani stało w nogę? – zapytał, gdy wróciła na miejsce. Nie miał wątpliwości, że ma to jakiś związek z jej opowieścią.

Przez chwilę mu się przypatrywała, po czym pochyliła się i podciągnęła ciężkie fałdy spódnicy ponad kolano. Zsunąwszy pończochę na kostkę, powiodła palcem po szkarłatnej bliźnie biegnącej wzdłuż goleni. Wyjaśniła, że w wieku dwunastu lat spróbowała odebrać ojcu flaszkę, nad którą samotnie pracował w domu. Zrzucił ją ze schodów.

Żołądek podszedł Buchanowi do gardła. Upadek. Uderzenie. W jej wyznaniu dostrzegł tę samą niespodziewaną bezpośredniość, którą okazała poprzedniego wieczora, otulając go szalem. Było coś dziecięcego w tej zakładanej przez nią poufałości, w braku względu na klasę i stan. Poczul nagły przypływ zażenowania, jakby wtargnął do pokoju, w którym się przebierała.

Podciągnęła pończochę i zsunęła zmarszczoną spódnicę na miejsce. Jej brązowe oczy były tak ciemne, że zdawały się składać tylko ze źrenic.

Piszczel pękła i przebiła skórę. Kość wystająca z nogi była bladozielona i uwalana krwią. Matka siadła przy głowie Cassie, trzymając jej zaciśnięte dłonie i zawodząc, a ojciec przyklęknął nad nią, aby przyjrzeć się ranie.

– Coś ty zrobił? – syknęła matka. – Coś ty zrobił naszemu dziecku?

Powtarzała wciąż to pytanie, a za każdym razem jej głos przybierał na sile, tak że w końcu wpadła niemal w gniewną histerię, ojciec odpowiedział więc krzykiem.

– Zamknij się, Myra! Zamknij się. – Kiedy wreszcie zamilkła, pogroził jej palcem i jeszcze raz powtórzył nakaz. Oboje byli rozedrgani. – Zamknij się – huknął. Nalał rumu do szklanki i wręczył ją Cassie. – Wypij tyle, ile dasz radę. – Potem napełnił szklankę i sam wypił wszystko duszkiem. – Trzymaj ją mocno – pole-

cił żonie.

Gdy nastawił kość, matka przygotowała pastę z jaja i mąki, by okryć ranę. Po obu stronach nogi rodzice uwiązali ciasno dwa sztywne kije. Cassie wyjaśniła, że szrama i zmiana w jej chodzie okazały się mniej poważne, niż można by się spodziewać w tych okolicznościach.

– Na podstawie samego pani świadectwa – zauważył cicho Buchan – można odnieść wrażenie, że ojciec pani jest potworem.

Cassie posłała mu odważne, niemal oskarżycielskie spojrzenie. – Ludzie być powinni tym, czym z pozoru są – stwierdziła, bezradnie wzruszając ramionami. – Znałam go też jako innego człowieka, kiedy byłam mała. Zanim alkohol go odmienił.

Musiał się od niej na chwilę odwrócić. Spuścił wzrok i zajął do swojego kubka.

– Wie pan, matka poświęciła dla niego wszystko – dodała.

– Nadal mieszkają w St. John's?

– Ojciec tak. Mama zmarła zanim wyjechałam, po chorobie, która przykuła ją do łóżka na prawie rok. Kiedy się kładła, miała na głowie burzę czarnych włosów, a po kilku miesiącach była już zupełnie siwa.

Opowiedziała mu, że mięśnie rąk i nóg matki zanikały, tak że pod skórą wyczuwało się coś wiotkiego i pozbawionego życia niczym język dorsza. Oparte na materacu pięty poczerniały od pęcherzy wypełnionych krwią.

– Nigdy bym nie podejrzewała, że łóżko może wyrzucić człowiekowi taką krzywdę – stwierdziła.

Buchan odstawił kubek na blat i złożył dłonie na kolanach.

– Pod koniec chciała, żebym czuwała przy niej nocami. Podejrzewam, że bała się umrzeć samotnie w ciemności. Kiedy zasypiałam w fotelu, budziła mnie i prosiła, żebym zapaliła świecę i coś jej poczytała.

Zmienił pozycję splecionych nóg. – Wiem, co to znaczy stracić matkę – oznajmił.

Cassie przekrzywiała głowę to w jedną, to w drugą stronę. – Szczerze mówiąc, to było wręcz nierealne. Historie, które jej czytałam, wydawały się bardziej rzeczywiste niż jej konanie. – Sprawiała wrażenie zawstydzonej tą wzmianką, dodała więc szybko: – Potem sama nie miałam pojęcia, co z sobą począć. Rozważałam przeprowadzkę do Nowej Szkocji, myślałam o Ameryce. Nie miałam jednak środków.

– I wtedy znowu pojawił się John Senior? Rycerz na białym koniu?

– Marny z pana szyderca – powiedziała, ale zdobyła się na uśmiech. – W październiku przyplłynął do St. John's i wtedy doszły go słuchy o śmierci mojej matki. Zaproponował, że gdy wróci na wiosnę, może zabrać mnie na północno-wschodnie wybrzeże, bym uczyła jego syna i opiekowała się domem. Dodał, że

Harry Miller nie żyje od pięciu lat. Powiedział, że mogę poświęcić zimę na rozważenie jego propozycji. Ja podjęłam już jednak decyzję. Spakowałam książki matki do kufra i kazałam go zanieść na pocztę nad przystanią. A potem napisałam do Johna Seniora, który spędzał zimę w Poole.

– I odtąd nie odwiedzała pani St. John's?

Cassie wzruszyła ramionami. – Pamięć o matce zabrałam ze sobą. Do reszty mojego życia w tamtym mieście nie warto wracać.

– A zatem – spytał cicho Buchan – czyżby to była swego rodzaju pokuta? – Zakreślił ręką łuk, wskazując kuchnię.

– Bardzo katolicka interpretacja, poruczniku. – Ponownie się do niego uśmiechnęła.

– Być może – przyznał, kiwając głową. – Możliwe, że zbyt wiele czasu spędziłem wśród Irlandczyków.

Doszedł do wniosku, że to kwestia całej twarzy. Konturów biegnących od skroni po czubek brody. Linie te wykazywały ledwie dostrzegalny brak symetrii. Jakby jej oblicze zostało zniekształcone podczas ciężkiego porodu i później niezupełnie wróciło do normy.

– Mam tu wszystko, czego chcę – powiedziała powoli, przez co Buchan odniósł wrażenie, iż ostrzega go, aby nie próbował się jej sprzeciwić czy podważać jej słów.

– Pani książki – odezwał się, podnosząc z blatu jedną z nich. – Pani poematy.

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. – Dobra książka nigdy człowieka nie zawiedzie.

W tym momencie John Senior otworzył drzwi, tupiąc za progiem i strzepując śnieg z rękawów. Cassie odwróciła głowę i westchnęła cicho, czując ulgę, że rozmowa została przerwana. Wstała od stołu i poszła do spiżarni po trzeci kubek.

Przez kolejnych sześć tygodni Buchan odwiedzał Johna Seniora trzykrotnie, nakreślając plany ekspedycji i prosząc go o rady we wszystkich związanych z nią kwestiach, jakby stary osadnik był oficerem wyższym rangą od niego. Przystał na zaangażowanie większej liczby mężczyzn niż pierwotnie zakładał. Zmieniał termin wymarszu, najpierw aby mieć pewność, że rzeka zamarźnie i pozwoli na bezpieczną podróż z saniami, a następnie, aby odczekać, aż najbardziej doświadczeni myśliwi Peytona wrócą z lasów i zasilą szeregi ich grupy.

Choć jazy na łososie i traperskie szlaki co roku sięgały coraz dalej w górę rzeki Exploits, jedynym Anglikiem, który w ciągu ostatnich czterdziestu lat zapuścił się aż nad jezioro Czerwonych Indian, był William Cull.

– Tylko on może równać się ze mną pod względem czasu spędzonego na tym wybrzeżu – wyjaśnił John Senior. – Jak z pewnością się pan domyśla, to już nie

młodzik, ale jegomość nie da za wygraną, dopóki nie wykona powierzonej roboty.

Pod koniec listopada, po pierwszym wściekłym zimowym sztormie, który uwięził ich w domu na kilka dni, pojechali zaprzęgniętymi w psy saniami do White Bay, gdzie John Senior pomógł oficerowi zwerbować Culla.

TRZY

W głębi łądu jesień była rześka od wczesnego śniegu, a chłód sprawił, że zwierzęta stały się nieco bardziej nieostrożne niż zwykle o tej porze. Peytonowi poszczęściło się z kunami, łasicami i wydrami, natomiast przy bobrach spotkało go rozczarowanie. Na początku listopada przeniósł pułapki nad szereg potoków i sadzawek biegnący dwie mile od chaty Reilly'ego nad rzeką Exploits. Trzy tygodnie później, zakończywszy obchód po tym odcinku, nadłożył drogi, by zajrzeć do Reilly'ego i jego żony, Annie Boss.

Nie bacząc na ziąb, gospodarz szeroko otworzył drzwi i przyjrzał się Peytonowi. Był wysokim, chudym jak szczapa Irlandczykiem z pociągłą twarzą, zwężającą się niczym ostrze siekiery. – O, to ty? – spytał. – Annie! – zawołał przez ramię. – Ten gołowąs zabłądził! Nie ostrzegałem cię, że tak właśnie będzie?

– Przymknij się, Reilly – wycodził Peyton.

Gospodarz odstaąpił od drzwi, pozwalając młodszemu mężczyźnie schronić się przed mrozem. Na powitanie poklepał go po plecach.

Nie widzieli się od sierpniowych sianokosów nad Charles Brook. Od lat Peyton i Cassie wybierali się pod koniec lata do gospodarstwa Reilly'ego, aby przepracować parę dni na porośniętych dziką trawą wzgórzach za jego chatą. To właśnie tam Peyton dowiedział się, że w tym sezonie ma samodzielnie zająć się pułapkami. Siedział z Reillym na świeżo skoszonym sianie, jedząc z nim na pół piętke chleba. Reilly wskazał go palcem. Na wierzchu jego dłoni widniała chaotyczna gmatwani-na blizn, przypominająca bazgroły rozjuszonego dziecka.

– John Senior rozmawiał z tobą o tegorocznym zastawianiu potrzasków?

Peyton popatrzył na Irlandczyka. – Nie mówił nic innego niż w zeszłych latach.

Reilly zrobił dziwną minę. – No, to może i ja nie powinienem nic ci na ten temat gadać, ale twój ojciec wspominał, że on w tym roku się nie wybiera. Masz spróbować sam.

– A kiedyż to o tym wspominał? – Próbował się nie uśmiechać na wypadek, gdyby Reilly tylko sobie z niego żartował.

– W czerwcu, kiedy sprawdzał, jak nam się konserwują ryby. Szczerze mówiąc, próbowałem go od tego odwieść. Przecież przez te wszystkie lata byłeś tylko jego chłopcem na posyłki, więc sam w lesie zaraz się zgubisz.

– Przymknij się, Reilly.

– Ile to już masz lat? Dwadzieścia sześć? A bez tatusia trzymającego cię za rączkę nie zdarzyło ci się dotąd oskórować żadnego zwierzęcia, chyba że jakiegoś szczerbatego szczura. – Uśmiechnął się do niego szeroko, wsuwając między wargi czubek języka.

– Zamknij się – powtórzył Peyton, był jednak zbyt rozradowany myślą o samodzielnej wyprawie na szlak, aby czuć prawdziwy gniew. – Jeszcze zobaczymy, kto tej zimy przykryje czapkami więcej londyńskich głów.

– Mały usmarkaniec z własnymi potrzaskami – dziwił się Reilly, kręcąc głową. – Jak tak dalej pójdzie, zamarzy ci się jeszcze ożenek.

Wchodząc do chaty Irlandczyka, Peyton wniósł ze sobą aureolę mrozu, jakby po wielu godzinach na dworze jego zamarznięte ubrania świeciły własnym, zimnym światłem. – Ściągnij ten płaszcz – nakazał Reilly. – Zamknij za sobą drzwi.

Peyton oparł się ze szklanką rumu nieopodal kominka, dzieląc się frustracją wywołaną marnymi wynikami w polowaniach na bobry i wyjaśniając swoją decyzję, aby zbliżyć pułapki do terenów Reilly’ego. Podczas rozmowy gospodarz pomagał Annie szykować jedzenie, kiwając głową, zadając pytania i rzucając dobrotliwe zniewagi przy każdej okazji. Ciągłe kpiny Reilly’ego stanowiły formę pochlebstwa, były równie zrytualizowane i poufałe jak taniec. Stanowiły przeciwieństwo szorstkiej małomówności Johna Seniora, której Peyton nie potrafił postrzegać inaczej niż jako cichy wyraz dezaprobaty dla swoich możliwości, talentów i osądów. Sympatia, którą darzył Reilly’ego, napełniała go mglistym poczuciem winy, jakby był niewierny wobec własnego ojca.

Zasiedli do obfitego posiłku złożonego z peklowanej wieprzowiny i ziemniaków. Po jedzeniu mężczyźni napełnili szklanki i fajki, a Annie Boss pozbierała naczynia ze stołu. Annie i Joseph byli małżeństwem już od ośmiu lat, lecz i tak całe wybrzeże nazywało ją wciąż Annie Boss. Pracując, rozmawiała przez ramię z Peytonem i przekomarzała się z mężem, używając mieszanki angielskiego, gaelickiego i *Mi’kmaq*.

Po brzuchu Annie, ledwie widocznym podczas sianokosów, było już wyraźnie widać, że kobieta jest w ciąży. – Coraz lepiej wygląda – powiedział Peyton do gospodarza.

Annie odwróciła się, kładąc dłonie na brzuchu. Powiedziała, że dziecko nie pojawiło się bynajmniej za szybko, a matka zaczynała już podawać w wątpliwość jej wybór męża.

Reilly uśmiechnął się do niej; jego uszy podniosły się o pół cala.

Później, gdy Annie Boss położyła się na pryczy na tyłach chaty, a mężczyźni wysączyli jeszcze kilka szklanek rumu, Peyton odezwał się: – Joseph, czy mogę cię o coś spytać?

– A proszę cię bardzo.

Peyton odczekał chwilę, obracając szklankę w dłoniach. – Co zrobiłeś... –

zaczął i zamilkł. Wziął łyk rumu. – Jak zapytałeś Annie Boss, czy za ciebie wyjdzie?

Irlandczyk roześmiał się. – No, wszyscy się już zastanawialiśmy, co cię jeszcze powstrzymuje. A więc w końcu upatrzyłeś sobie jakąś pannę?

Peyton utkwiał wzrok w szklance. – Mniejsza z tym.

– Nie ma na wybrzeżu zbyt dużego wyboru. Założę się, że odgadnę jej imię najdalej za trzecim podejściem.

– Mniejsza z tym – powtórzył, tym razem gniewnie.

– Moim bzdurzeniem się nie przejmuj – uspokoił go Reilly, zaskoczony powagą Peytona. Nachylił się do przodu i oparł łokcie na udach. – Prawda jest taka, że Annie zrobiła więcej niż ja. Gdyby zostawiła to mnie, może nigdy by do tego nie doszło. Wysłała mnie, żebym zamienił słówko z jej ojcem.

– Podejrzewam, że z nią sprawy miały się nieco inaczej. – Zerknął na Reilly'ego, ale wyraz twarzy gospodarza sprawił, że szybko spuścił wzrok.

– Znaczący, przez to, że jest z Mikmaków? – Młodszy mężczyzna nic nie odpowiedział, Reilly dodał więc: – Słuchaj no, ona jest dobrą chrześcijanką.

Peyton przytaknął. Podniósł szklankę do ust i wychylił jej zawartość. – Myślisz, że mógłbym dostać jeszcze kropelkę rumu?

Irlandczyk uspokoił głos. – No to powiedz, co to za panienka?

Peyton wstał z krzesła, by sięgnąć po rum. – Mniejsza z tym – rzucił przez ramię.

Reilly nie zadawał mu więcej pytań, a na dodatek – za co Peyton był mu bardzo wdzięczny – okazał się na tyle dyskretny, że nawet zbyt często na niego nie zerkał. Pili jeszcze przez chwilę, a w końcu Reilly przeprosił gościa i w ślad za żoną poszedł spać. Peyton samotnie siedział po ciemku, ściskając szklankę z resztką rumu i wyrzucając sobie, że zachował się jak ostatni kiep. Na temat Annie zamierzał powiedzieć zupełnie co innego niż to, co w końcu niezręcznie zasugerował. A na dodatek dotąd nie rozmawiał jeszcze z nikim na temat małżeństwa. Żałował, że nie miał dość rozsądku, aby pozwolić, żeby tak pozostało.

Peyton ujrzał Cassie po raz pierwszy mając szesnaście lat, krótko po tym, jak – spędziwszy dwadzieścia dziewięć dni na pokładzie idącego z Poole statku John & Thomas – przepłynął przez cieśninę Narrows, prowadzącą do portu w St. John's. Po niezwykle deszczowej nocy nastał piękny, chłodny dzień, a kilka statków zakotwiczonych na spokojnych wodach zatoki postawiło żagle, aby je wysuszyć. Po wschodniej stronie cieśniny w ład wcinała się zatoczka Maggoty Cove; skalisty skrawek brzegu zabudowany był pomostami i składnikami z widocznymi na tyłach stojakami do suszenia dorszy. Co roku wilgotne ryby spadały między drzewce stojaków i gniły na ziemi, rojąc się od larw. Ciemny, bezdeny smród

zgnilizny wrastał w czyste morskie powietrze.

Wraz z ojcem skierowali kroki do dwukondygnacyjnego budynku na wschodnim krańcu Upper Path, mieszczącego pocztę oraz redakcję pierwszej na wyspie gazety – czterostronicowego periodyku, drukowanego na pojedynczym, złożonym na pół arkusza, zawierającego rządowe obwieszczenia, reklamy kupców, sprawozdania z obrad parlamentu, lokalne wiadomości i kącik poetycki na ostatniej stronie. Zza zawalonego rupieciami biurka stojącego na końcu pomieszczenia wynurzył się mały, zgnębiony człowieczek z nowoangielskim akcentem. Zamieniwszy z nim kilka słów, John Senior wręczył mu dużą skózaną torbę z korespondencją, którą przyniósł ze statku, po czym wyjął z kieszeni własny list.

Naczelnik urzędu pocztowego pokiwał głową, przeglądając jego treść. – Mam kufer tutaj, proszę bardzo – potwierdził, wielokrotnie przekrzywiając głowę, by wskazać kierunek, w którym powinni pójść.

Skrzynia była tak duża, że mogłaby w niej stosunkowo wygodnie przenoćwać dorosła osoba. Peyton chwycił za jeden koniec, ojciec za drugi. Nawet John Senior wyraźnie się wyteżył. Wywlekli kufer za drzwi, pod którymi już zbierał się tłum czekający na listy. Z nabrzeża bagaż odstawiono łodzią wiosłową na Jennifer, kabotażowiec mający za dwa dni popłynąć na Fogo.

– Co tam jest? – spytał Peyton, patrząc na kufer wciągany niezgrabnie ponad relingiem. Od szarpania się z tym ciężarem był zlany potem. Zdjął czapkę z głowy i otarł twarz przedramieniem.

John Senior wzruszył ramionami. – Podejrzewam, że głównie książki.

Dwa dni później, wszedłszy na pokład Jennifer, Peyton dostrzegł skrzynię stojącą pod tylną ścianą nadbudówki. Na wieku kufra, moknąc w mżawce, siedziała kobieta. Miała na sobie ciemny kapelusz i długą pelerynę z bedfordzkiego sztruksu, poniżej kolan odsłaniającą jedynie czarne czesankowe pończochy.

Kiedy do niej podeszli, wstała i wyciągnęła odzianą w rękawiczkę dłoń do Johna Seniora. – Panie Peyton – przywitała się. Twarz miała zroszoną mgiełką deszczu, na jej długich rzęsach wisiały drobne kropelki wody. Małe, pełne usta; jasnobrązowe włosy spięte w kucyk. W rysach jej twarzy kryła się jakaś dysproporcja, której Peyton nie potrafił powiązać z żadną konkretną przyczyną. Nie miał pojęcia, kim jest ta kobieta i dlaczego wykazuje tak zaborczą troskę o kufer, który wcześniej dostarczyli na statek. Ubrała się w sposób, który miał najwyraźniej uwierzytelnić jej wątpliwe pretensje do dorosłości.

– Oto młodzik, którym będzie się pani zajmować – przedstawił go ojciec. – John Peyton. Panna Cassandra Jure.

Wyciągnęła do niego rękę, nachylając się przy tym co prawda, lecz tak nieznacznie, że musiał wyprostować się do pełnego metra sześćdziesiąt centymetrów. – Johnie Peyton, czy ty czytasz? – spytała, wciąż trzymając jego gołą dłoń.

Już miał powiedzieć, że owszem, czyta, a jednak się zawahał. Zdał sobie

sprawę, że w pytaniu chodzi o coś więcej niż samą *umiejętność czytania*. – Nie wiem – odparł.

– No cóż. – Miał wrażenie, że do niego mrugnęła, co nadało jej słowom konspiracyjnego tonu. – Niebawem się przekonamy.

Tamtego pierwszego lata Peyton rano i po południu pracował z ojcem, łowiąc dorsze na linkę, a wczesnymi wieczorami – podczas gdy John Senior z dwoma pracownikami patroszył i solił ryby na nabrzeżu – liczył słupki przy kuchennym stole lub czytał Cassie na głos ustępy z *Opowieści kanterberyjskich* czy *Odysei* w przekładzie Pope’a. Dość wcześnie stwierdził, że tak naprawdę *nie czyta*. Mógłby bez żalu zarzucić tę czynność, gdyby nie obawa, że zasmuci tym Cassie, która najwyraźniej przywiązywała ogromną wagę do tego, by *zaczął czytać*. Brnęli przez *Pieśni niewinności* i *Pieśni doświadczenia* Blake’a oraz *Clarissę* Samuela Richardsona. Czytali *Raj utracony*.

Cassie dostrzegła w tych fabułach i wierszach dużo więcej niż on. Była nie-raz wzniosła i enigmatyczna w sposób, który wydawał mu się odpychający. Potrafiła oddawać się spekulacjom wykraczającym poza jego zainteresowania i zrozumienie, a robiła to zazwyczaj, gdy był nazbyt zmęczony, by pojąć, co właściwie odczytuje, a słowa na kartce sprawiały wrażenie koralików na sznurku, przesuwanych z jednej strony na drugą.

– Co to znaczy? – pytała. – „Człowiekowi stwierdzić drogi Boże”⁵? Co Milton ma na myśli?

5 John Milton, *Raj utracony*, tłum. Antoni Lange.

Peyton miał wzrok zmętniały z wyczerpania. Tego dnia zszedł na wodę o piątej rano. Nie miał pojęcia, co to znaczy. Wpatrywał się w nią w nadziei, że zlituje się nad nim i sama mu wyjaśni.

– Opowieści nigdy nie snuje się dla samego opowiadania – rzuciła. – Prawda czy fałsz?

– Prawda – powiedział. – Fałsz – poprawił się szybko.

Cassie westchnęła, bawiąc się palcami dłoni złożonych na kolanach.

Utkwił w niej wzrok. Był jedyną osobą na świecie, z którą mogła porozmawiać o wierszach, przedyskutować swoje osobliwe przemyślenia dotyczące tych historii. Oboje odczuwali zawód widząc, że jej książki są dla niego wyłącznie uciążliwością – jakby ktoś zmusił go do chodzenia w butach wypełnionych żwirem. Zdawała się w dziwny sposób nie pasować do ich domu, taka zagubiona. Peyton pragnął to zmienić, właściwie od momentu, kiedy ją poznał.

Przez lata zachowywał swoje matrymonialne aspiracje wyłącznie dla siebie, wmawiając sobie, że jako mąż miałby jej jeszcze zbyt mało do zaoferowania. Samodzielne zastawianie potrzasków stanowiło w jego mniemaniu pierwszy krok ku sytuacji, w której miałby prawo otwarcie zadeklarować swoje zamiary. Ta myśl w połączeniu z alkoholem sprawiła, że w towarzystwie Reilly’ego stał się lekko-

myślny.

Wyszedł przed chatę, by załatwić się po raz ostatni przed położeniem się na pryczę. Zaczął sikać w zaspę śnieżną na skraju lasu.

– „Słuchaj, słuchaj; o świecie, że być uczciwym i szczerym jest niebezpieczne” – powiedział.

Skąd to? Otrzeptyjąc ostatnie krople moczu, uniósł głowę, by spojrzeć w niebo. Gwiazdy mrugały między rozbujanymi gałęziami niczym iskry wzlatujące z odległego ogniska. Był bardziej pijany, niż sądził. Wzniósł głowę jeszcze odrobinę wyżej i padł do tyłu w śnieg, wciąż ściskając kutasa w dłoni.

Tamtego ranka, gdy John Senior z oficerem wyruszyli do White Bay, Cassie naciągnęła pod spódnicę jego skórzane spodnie i podwinęła nogawki ze względu na ich długość. Na stanie sukni zapięła kamizelkę z owczej skóry. Zamknęła zwierzęta w szopie z tygodniowym zapasem siana i spakowała do torby prowiant na dwa dni drogi. Był koniec listopada; mieli już za sobą tydzień nieprzerwanych opadów śniegu. Szła plażą w stronę ujścia rzeki, dopóki nie zobaczyła Peter's Arm. Z tego, co zdołała wywnioskować, przysłuchując się rozmowom mężczyzn, chata, w której Joseph Reilly spędzał sezon, znajdowała się co najmniej pięć mil w górę rzeki Exploits. Postanowiła dotrzeć nad rzekę przez las, aby ominąć Ship Cove.

Weszła między drzewa, kierując się na południowy wschód. Duże indiańskie rakiety pograżały się na stopę w sytkim puchu, a gdy podnosiła nogi, ciążyły jej jak szufle pełne śniegu. To była mozolna praca; kiedy szła osłonięta przed wiatrem, dzień okazał się zaskakująco ciepły. Cassie zdjęła rękawice i rozpięła najpierw ciężkie futro, a potem także kamizelkę.

Przed zmrokiem ubiła równo skrawek śniegu, zdjęła rakiety i usiadła na płaszczu, opierając się o drzewo. Miała bardzo mgliste pojęcie o tym, jak długa marszruta ją jeszcze czeka. Bolała ją prawa noga. Zjadła na zimno kaszankę z chlebem i przymknęła oczy na dość długo, by poczuć, jak chłód wkrada się w jej ciało.

Kiedy dźwignęła się z ziemi, aby wyruszyć w dalszą drogę, noga pulsowała bólem w rytm tętna. To, że serce potęguje jej cierpienie w taki sposób, wydało jej się przedziwnie stosowne do sytuacji.

Noc była przejrzysta, a gwiazdozbiory przyglądały się przez gałęzie kobiecie brnącej naprzód. Natrafiwszy na polanę, przystanąła, by popatrzeć w niebo i ustalić kierunki świata. Kiedy wyszła z lasu, niemal świtało. Rzeka jeszcze płynęła, ale przy krawędziach koryta zbierały się już gdzieś tam płatki lodu. Zdjąwszy rakiety, przytoczyła je do plecaka i ruszyła na południe, trzymając się jak najbliżej wody i cały czas wypatrując potrzasków Reilly'ego, chaty lub unoszącego się dymu.

Buda stała w zaroślach na północnym brzegu, nad wąskim odcinkiem rzeki.

Gdy Cassie się zbliżyła, pies Reilly'ego wychwycił zapach lub dźwięk, a Irlandczyk z żoną wyszli przed małą chatkę, by sprawdzić, co sprawiło, że zaczął ujadąć. Reilly wziął ze sobą strzelbę, sądząc zapewne, że to wilk lub niedźwiedź. Annie Boss wytarła ciemne ręce o fałdy zgrzebnej perkalowej sukienki. Zagwizdała na psa, a gdy ją zignorował, niezgrabnie szturchnęła go nogą w grzbiet.

Reilly wyszedł Cassie naprzeciw i uściśnął jej dłoń. Nie zastanawiała się dołączyć, co takiego powie tym ludziom, stała więc z uchylonymi ustami, wpatrując się w uśmiechniętą twarz gospodarza. Irlandczyk był pewien, że kobieta przynosi jakieś wiadomości, ale nie śpieszył się, by je poznać.

– Chodź – zachęcił – nastawiliśmy czajnik. Przez wszystkie dni, które spędziłem w tej chacie, nie zdarzyło mi się jeszcze podjąć tyłu gości.

– Gości?

– Nawet nad Tamizą nie uświadczysz takiego ruchu. – Skinął ręką w kierunku chaty stojącej na polanie.

Podniósłszy wzrok, Cassie popatrzyła w punkt, który jej wskazał. W wąskich drzwiach stał bez kurtki John Peyton. Przyglądał się jej, gdy szła znad rzeki.

Annie Boss urodziła się i została ochrzczona na Cape Breton, lecz przeprowadziła się z rodzicami na Nową Fundlandię w tak młodym wieku, że wyłącznie to miejsce traktowała jak dom. Kiedy była mała, jej rodzina spędzała zimy w głuszy nad White Bay, gdzie ojciec i brat zastawiali pułapki na kuny, bobry i lisy, natomiast każdej wiosny przenosili się na sezon nad St. George's Bay na zachodnim wybrzeżu. Matka przyszła na świat jako siódma spośród siedmiu córek – *puowin* – i miała rzadki talent do leczenia. Annie towarzyszyła jej, gdy wzywano ją, by odbierała porody, opatrywała rany czy pocieszała konających. Córka przejęła w dziedzinie matczyną wiedzę o korzeniach, ziołach oraz rodzajach ułożeń główki dziecka w łonie matki odróżniających chłopców od dziewczynek – w równie nieświadomy i naturalny sposób, jak odziedziczyła gesty, nawyk zasłaniania oczu dłonią, gdy się śmiała, czy pocieranie rękami o uda, kiedy rozważała szczególnie trudny problem medyczny.

Zanim wyszła za Reilly'ego, Annie zdążyła zobaczyć przeróżne porody z ich wszelkimi komplikacjami oraz nieomal wszystkie formy urazów mogących przytrafić się człowiekowi. Wiedziała co nieco o tym, jak nosi się osoba próbująca ukryć lub podgoić ranę. Patrząc, jak Cassie Jure wspina się znad rzeki ku ich chacie, dostrzegła w jej kroku coś wykraczającego poza normalne kuśtykanie – coś, co domagało się czujności i ostrożności. Stała przy palenisku, pilnując patelni kapelanów i resztek polewki z chleba, zerkając jednak wciąż na Cassie siedzącą z mężczyznami. Powodem jej wyprawy w górę rzeki mogła być tylko jakaś katastrofa, piła jednak herbatę spokojnie, dyskutując o liczbie zwierząt złapanych w tym sezonie

oraz porównując opady śniegu z zeszłym rokiem.

Peyton możliwie najswobodniejszym tonem zapytał o zdrowie ojca. Cassie opowiedziała im pokrótce o wizycie porucznika Buchana i zgodzie Johna Seniora na udział w planowanej ekspedycji. Powiedziała, że zabrał oficera do White Bay, by pomówić z Williamem Cullem.

– Dziwaczny obrót spraw – skwitował Reilly cicho.

Peyton, kiwając głową w stronę kubka i ocierając usta rękawem, ukrył ulgę, którą poczuł wobec faktu, że Cassie nie przynosi żadnych złych wieści o ojcu.

Reilly obrócił się do żony, dopytując się o jedzenie. Machnęła ręką, by go uciszyć. – Ogień nie pójdzie szybciej, jakieś głodny, Joe Jep – zapewniła. – Panienka Jure nie umrze nam głodem w tej chwili, co nie, panienka Jure?

Cassie popatrzyła na nią i pokręciła głową.

Po śniadaniu i chwili zmitręzonej przy kolejnej porcji herbaty i plotek Annie pogoniła mężczyzn do roboty, ubrali się więc i spakowali prowiant na cały dzień. Podczas gdy Reilly sprawdzał na kolanach mechanizm pułapki, Peyton zerkał na Cassie, ale ona nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Wreszcie mężczyźni wyszli z chaty, zapowiadając, że wrócą jakoś po zmroku, a Cassie przyskoczyła do stołu, by pozbierać naczynia.

– Szła całą noc – powiedziała Annie – teraz odpocznie.

Cassie jednak nie usiadła, pracowały więc w milczeniu. Kiedy skończyły, Annie nastawiła czajnik, by zaparzyć więcej herbaty, i usiadła naprzeciwko Cassie z rozłożonymi nogami, robiąc miejsce na swój okazały brzuch.

– Muszę ich tam mieć więcej – powiedziała, po czym roześmiała się i otarła oczy dłonią. – Annie Boss nie za dobra w czytaniu myśli panienki Jure – dodała.

Cassie popatrzyła w jedyne okienko w chacie.

Annie odstawiła kubek i zaczęła trzeć dłońmi uda.

– Tylko do ciebie mogę się z tym zwrócić – powiedziała Cassie.

Indianka unikała jej wzroku. – Czyje dziecko tam ma?

– Niczyje. Nie będzie niczym dzieckiem.

Annie pokiwała głową. – Zrobi się bardzo chora, panienka Jure, pewnikiem. Są kobiety, co tak pochorują, że umrą.

Cassie skrzyżowała ręce i oplotła się nimi. Jej szczęki zacisnęły się dziwnie krzywo, jakby gryzła się w policzki od środka.

– Panienka Jure.

– Wiem, czego chcę – rzuciła.

– Może też nic nie dać, a chora będzie. Chora i dalej ma problem.

– Zaryzykuję.

Annie przytaknęła swoim myślom i westchnęła przeciągle.

– Będzie, jak Bóg uzna, nie ty, nie ja. Dobra? – Przeżegnawszy się, wstała i zaczęła skubać gałązki golterii, kalmii i porzeczek z suszonych pęków wiszących

na krokwiach ponad paleniskiem, cały czas mówiąc coś w swoim języku, jakby rozmawiała z kimś trzecim.

– Dziękuję ci, Annie – odezwała się Cassie.

Indianka odwróciła się do niej i zamachała dłonią przed twarzą.

– Nie. Nie chcę tego słyszeć. – Wskazała ją palcem. – Co się nie zdarzy, ja też będę z tym żyła.

Cassie wzniosła rękę, gotowa dyskutować, szybko się jednak rozmyśliła. Splotła dłonie na kolanach i po prostu skinęła głową.

Wczesnym popołudniem Cassie zaczęła wymiotować, a między atakami torsji leżała na jedynym łóżku w izbie, trzymając się za brzuch i zawodząc. Skurcze dźgały jej wnętrzności i wpełzały po kręgosłupie na ramiona. Głowa pulsowała gorączką. Od wstrząsających nią gwałtownie suchych torsji pękła jej żyłka w prawym oku. Ponure spojrzenie, które posłała Annie, było tak żalosne i złowróżbne, że Indianka co chwilę wykonywała znak krzyża.

Na przełomie stuleci na północno-wschodnim wybrzeżu Nowej Fundlandii nie było żadnych osiadłych na stałe lekarzy ani duchownych, matkę Annie wzywano więc do domów francuskich i angielskich osadników równie często, co do jej rodaków. W wieku trzynastu lat Annie została wysłana, by samodzielnie odebrać poród, ponieważ matka w tym czasie opatrywała chłopca, który nabił się na osękę i otworzył sobie brzuch. Mąż ciężarnej wiosłował dwie godziny, żeby dotrzeć z White Bay do ich chaty, a potem jeszcze przez godzinę brat Annie prowadził go po ciemku przez las do domu rannego chłopca. Mężczyzna był wysokim, rachitycznym Anglikiem z twarzą skurczoną od zgryzoty, nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat. Błagał matkę Annie, żeby zajęła się jego żoną, która cierpiała straszliwie już przed trzema godzinami i według niego mogła skonać w każdej chwili. Chłopiec jednak wciąż krwawił i miał gorączkę tak wysoką, że matka obawiała się o jego życie. Cicho naradziła się z Annie i posłała ją z Anglikiem. Oniemiały mężczyzna odprowadził ją do łódki w gniewnym milczeniu. Gdy wiosłował, siedziała na rufie przodem do niego. Przyglądał jej się bacznie w nikłej poświacie księżyca. Spytał, ile ma lat, a poznawszy odpowiedź, szarpnął za wiosła tak wściekle, że Annie zobaczyła żyły i mięśnie napinające mu się na szyi jak kotwiczne łańcuchy podczas przyływu.

Kiedy weszli do jednoizbowej chatki, kobieta leżała na pryczy pod ścianą. Poleciwszy jej mężowi rozpalić ogień i zagotować tyle wody, ile zmieści w garnku, uklękła przy ciężarnej. – Oddychaj – zachęciła, przybierając wojowniczy ton, którego matka używała wobec białych kobiet wstydzających się, że leżą nagie przed Indiankami, a do tego jeszcze potrzebują ich pomocy. Włożyła rękę między jej nogi, próbując wyczuć główkę dziecka. Zapytała o ból; jak długo to już trwa. Mąż po-

brzękiwał kociołkiem wiszącym nad ogniem, kręcił się przy nich nerwowo i zadawał im bezsensowne pytania, aż w końcu Annie nakazała mu, żeby wyszedł na zewnątrz i pozwolił im zająć się swoimi sprawami.

Po godzinie dziecko było gotowe do porodu, a Annie poleciła kobiecie przysiąść w kącie, gdzie ściany zapewniały jej jako takie oparcie. Zawczasu podarła prześcieradło na ręczniki, wygotowała je i naszykowała sobie świeży zapas wrzątku. Był dopiero koniec kwietnia, ale przytrafił im się bity tydzień nadzwyczaj pięknej pogody, w maleńkiej chacie przy rozpalonym ogniu panował więc ciężki zaduch. – A teraz ma przeć, jak powiem – rozkazała, a Angielka przytaknęła i wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. – Nie ma co się bać, tylko ból – uspokoiła Annie, a kiedy skurcze zaczęły wstrząsać ciałem kobiety, Indianka wrzasnęła ponownie, że ma przeć. Mąż zaczął pokrzykiwać coś pod drzwiami, jakby bał się, że Annie celowo zadaje żonie ból. Gdy skurcz minął, ciężarna uniosła głowę, by nabrać powietrza w płuca i krzyknąć do męża, że wystarczająco źle jest i bez jego histerii. Odtąd nie usłyszały go już, dopóki nie było po wszystkim. Annie gorącą szmatką starła z jej twarzy błyszczące krople potu. Kobieta zdołała uśmiechnąć się do niej krzywo, lecz zaraz przeszył ją kolejny skurcz.

Trzy dni później Anglik przyszedł do ich chaty z beczką solonych śledzi i koźlęciem na postronku. Przygiąwszy się pod niską powalą pierwszej izby, wydukał niezręczne i oficjalne podziękowania pod adresem Annie, zbyt zażenowanej, by na niego spojrzeć. Ofiarował jej beczkę i wskazał drzwi, za którymi uwiązał kozę.

– Beczkę zostaw – powiedziała matka – zwierzę zabierz. Annie za młoda, żeby tego oczekiwać, sama jest jeszcze dziecko.

Chłopiec, przy którym czuwała wtedy matka, zdążył umrzeć, zanim Annie wróciła z pierwszego odebranego samodzielnie porodu. Narodziny i śmierć. Później nie potrafiła już patrzeć na nie jak na dwie odrębne rzeczy. W kobiecie, którą się teraz opiekowała, dostrzegała obie jednocześnie. Cassie jęczała żałośnie na przychy, ciasno oplatając rękami łono. Annie wiedziała, że potrwa to wiele godzin, a najgorsze jeszcze nadejdzie. Oczyszczyła wiadro, wytarła czoło Cassie i wmusiła w nią trochę letniej wody, żeby miała czym rzygać.

O zmroku, gdy wrócili Peyton i Reilly, Cassie obficie krwawiła, Annie nie pozwoliła im więc nawet wejść do chaty. Stanąwszy pod drzwiami oznajmiła, że tej nocy będą musieli spać przy ognisku. Nie odpowiedziała na żadne z pytań Peytona. Rzuciła do Reilly'ego kilka słów w swoim języku; Irlandczyk chwycił Peytona pod ramię i odwrócił się z nim od chaty. Przez chwilę patrzył w niebo, a w końcu powiedział: – Paskudna noc. – Nie uchodziło wątpliwości, że nie mówi o pogodzie. Wracając nad rzekę, w jednej z pułapek Reilly'ego znaleźli królika. Gospo-

darz oskórował i wypatroszył zwierzę, podczas gdy Peyton rozpalał ognisko. Upiekli tuskę na olchowym kiju; ciemne mięso czerniało nad ogniem.

– Joseph, co się tam dzieje? – spytał Peyton.

Reilly ściągnął królika, przełamał kciukami mostek i gołymi rękami rozdarł tuskę wzdłuż kręgosłupa. Część trzymaną w pokrytej bliznami dłoni podsunął młodszemu mężczyźnie.

– Johnie Peyton, jesteście z tą panną blisko?

– Dość blisko.

– Dość blisko, żeby...

– Nie – uciał Peyton stanowczo.

Reilly pokiwał głową. – A wiadomo ci o kimś innym?

– Jesteśmy tylko ja i ojciec. – Peyton zamilkł, nie dając sobie okazji do dalszego roztrząsania tej myśli.

Reilly odchylił się od ognia i podparł na łokciu tak, jakby chciał wycofać się z rozmowy, skierować ją na inne tory. – Podejrzewam, że rano poznasz odpowiedzi na nurtujące cię pytania. Nie warto dzisiaj się tym truć.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu; Reilly postawił w ognisku kociołek pełen śniegu, by zagotować wodę na herbatę. Peyton ponuro przeżuwał jedzenie. Suche mięso smakowało tak, jakby usta miał pełne piasku.

Kiedy Reilly nalał im po kubku herbaty, Peyton spytał: – Czy to, co słyszałem o Johnie Seniorze, to prawda?

Reilly się roześmiał. – Zielonego pojęcia nie mam, jakie historie mogłeś o nim usłyszeć.

– To prawda, że zatłukł starego Indianina za pomocą potrzasku?

– Założę się o dwa porządne wiosła, że usłyszałeś to od Dicka Richmonda.

– A co za różnica, od kogo to usłyszałem?

– Czasami wszystko właśnie od tego zależy.

– Joseph, czy on to zrobił?

Irlandczyk westchnął przeciągle i podrapał się nad uchem. – To było jeszcze, zanim ja przyplłynąłem na wybrzeże.

Peyton wpatrywał się w ogień, powoli kręcąc głową.

– John Senior nigdy ci nie opowiadał, jak mnie zatrudnił, co? – zapytał Reilly.

Zanim londyńskie miejsce kaźni przeniesiono do Newgate, trasa oficjalnych pochodów na szubienicę w Tyburn wiodła przez Smithfield oraz samo serce St. Giles, dzielnicy Reilly'ego, gęsto zaludnionej irlandzkimi imigrantami. Stamtąd skazańców prowadzono przez St. Andrews i Holborne na drogę wiodącą do Tyburn. Marszałek City jechał konno na czele przemarszu. Za nim szeryf prowadzący od-

dział konnych stróżów prawa oraz pieszych konstabli uzbrojonych w długie kije. Dalej wozy z przestępcami usadzonymi na własnych trumnach. Towarzyszył im więzienny kapelan. Po obu stronach wozów maszerowali pozostali konstable.

Na ulice wylegały tysiące ludzi, a pochód często przystawał, by skazańcy mogli pomówić z przyjaciółmi i rodziną, a czasem napić się piwa czy mocniejszych trunków wynoszonych dla nich z tawern znajdujących się na trasie. Kobiety rzucały na wozy kwiaty i owoce, wybiegały na ulicę, by dotknąć ręki człowieka wiezionego na śmierć. Tempo było dostojne, niemal odświętne. Zupełnie jakby korowód wędrował na królewski ślub w jakimś kościele. Skazańcom wręczano po parze nieskazitelnie białych rękawiczek. Niektórzy na swoje ubrania na egzekucję wydawali ostatniego szylinga, którego mieli przy duszy. Wieziono ich po ulicach w lnianych kamizelkach i spodniach obszytych czarną taśmą, w kurtkach z białego sukna i kapeluszach przeszywanych srebrną nicią, w śnieżnobiałych pończochach i jedwabnych pludrach.

Dziesiątki tysięcy gapiów gromadziły się w Tyburn, schodząc się na piechotę, przyjeżdżając konno lub zaprzęgami. Kłębili się na pastwiskach wokół szubienicy, wdrapywali się na drabiny, siadali na murze otaczającym Hyde Park. Ludzie bili się o miejsca na drugim szafocie stojącym pod Tower Hill. Co bardziej przedsiębiorczy docierali tam wozami i sprzedawali innym miejsca ponad głowami zbiorowiska.

Skazańców wprowadzano na podwyższenie, skąd mieli prawo przemówić do tłumu. Niektórzy zwracali się wprost do zebranych, inni przekazywali przygotowane uprzednio oświadczenia towarzyszącemu im kapelanowi. Jedni przeklinali prawo oraz kraj, który ich potępił, drudzy wyrażali skruchę i żal za swoje występki, powierzając dusze w ręce Jezusa Chrystusa.

– Był taki jeden – przypomniał sobie Reilly – wysoki, wymizerowany jego moc z ciemną szramą na gardle; wyglądał tak, jakby już kiedyś zawisł. Powiedział: „Mężczyźni, kobiety i dzieci, przychodzę tu zadyndać jak wahadło w zegarze za to, że usiłowałem wzbogacić się przedwcześnie”.

Wzniesiona chustka stanowiła sygnał do otwarcia zapadni, a wtedy nastąpił ten nagły upadek, rozlegał się dojmujący, przyprawiający o mdłości trzask napinanej liny. Ciało, odziane w wytworne ubrania uwalane już moczem i fekaliami, kręciło się powoli na sznurze. Zostawiano ich tak na pół godziny, aby upewnić się, że wyrok został należycie wykonany. Kiedy zwłoki były już odcięte, pozwalano podchodzić chorym, którzy dotykali ich na szczęście. Mówiło się, że uschła kończyzna wyzdrowieje, jeśli potrzyma się ją na szyi wisielca. Kobiety niemogące począć dziecka gładziły brzuchy dłońmi trupów, by uczynić swoje łona płodnymi.

– Widziałeś to na własne oczy? – spytał Peyton.

– Więcej razy, niż bym chciał. – Reilly dorzucił do ognia zielonego drewna.

– Po co ktoś miałby tak dotykać trupa?

Reilly wzruszył ramionami. – Martwe ciało to potworny widok. Pozostałość po czymś, co bezpowrotnie odeszło z tego świata. Dla większości z tych ludzi była to najświętsza rzecz, jakiej mieli kiedykolwiek dotknąć.

– Nie bardzo widzę, jaki to ma wszystko związek z twoją pracą dla mojego ojca.

Reilly w zaskoczeniu podniósł wzrok. – Niecierpliwy z ciebie szczeniak. – Uśmiechnął się do niego. – Wybierasz się gdzieś? Masz jakieś naglące sprawy do załatwienia?

Peyton pokręcił głową.

– W porządku – rzucił Reilly. – Przejdę wprost do twojego ojca.

Zawahał się jednak; Peyton widział, że Irlandczyk waży słowa, a najwyraźniej wiąże się z nimi jakieś ryzyko. Ogień syczał jednostajnie jak deszcz szemrzący na płaskiej tafli wody.

Reilly powiedział mu, że przyszedł na świat w St. Giles, ale oboje jego rodzice pochodzili z Irlandii i wychowali go na Irlandczyka, nigdy więc nie myślał o sobie inaczej. Dorastał otoczony przez rodaków, a większość ludzi, których znał, pracowała na nabrzeżu lub w tamtejszych sklepikach jako rzeźnicy, aptekarze, handlarze tkanin, sprzedawcy żywności. Ojciec pracował na Tamizie jako doker, jego prawdziwym powołaniem było jednak okradanie Anglików. Każdej nocy przy odpływie nadrzeczni złodzieje przedostawali się na stojące na kotwicy statki z Indii Wschodnich. Po otwarciu beczek z towarem ojciec zatrudniał swoich trzech synów przy wygarnianiu żywności do czarnych szmat – worków pomalowanych tak, żeby mniej rzucały się w oczy w ciemności. Wory przekazywano pomocnikom czekającym za burtą w płaskodennych lichtugach lub ulicznikom brodzącym w rzeczonym mule podczas odpływu, a ci odstawiali łup do paserów w Alsatii, stanowiącej niegdyś azyl przestępców. Zdobycze rozpoznawali po samym zapachu przenikającym przez płócienne worki – cukier czy indygo, kawa, imbir czy herbata.

Reilly z braćmi odebrali nauki również od matki, która była wziętą doliniarką. Chodziła do kościołów w misternie skonstruowanym stroju ze sztucznymi rękami przyszytymi do wyjątkowo dużego brzucha, zasłaniającego jej własne dłonie tak, że mogła kraść biżuterię, zegarki i pieniądze osobom siedzącym obok niej w ławce. Nikt nie podejrzewał ciężarnej kobiety, która przez całe nabożeństwo nie odrywała rąk od brzucha.

Nauczyła synów zdejmować ludziom obrączki przy uścisku dłoni, wyciągać banknoty i tabakiery z kieszeni mężczyzn stojących za nimi w tłumie. Wszyscy stali się w tych sztuczkach dość biegli, ale tylko Reilly wykazywał prawdziwy talent. Matka rozpływała się nad nim tak, jak inni rodzice pieją z zachwytem nad dziećmi szczególnie uzdolnionymi plastycznie czy matematycznie. Jak większość młodych talentów, Reilly czuł się zawstydzony własnym darem i czasami żałował, że go w ogóle posiada.

Trapiła go potajemna natura rodzinnych przedsięwzięć. Widział, że nawet Irlandczycy z St. Giles żywią do nich mieszane uczucia. Pragnął żyć *inaczej*, choć nigdy nie wyraził tego życzenia słowami. Kiedy nie kradł na Jarmarku św. Bartłomieja czy publicznych egzekucjach, pracował u rzeźnika w Smithfield. Do pracy tej najął się, nie konsultując tego z rodzicami. Wydawali się tym głęboko rozczarowani, jakby syn zdradził swój kraj.

Peyton usłyszał, że w głos Reilly'ego wkrada się dziwny ton, jakieś zmatowienie, jakby filtrował niektóre szczegóły. Zdawało się, że już sam zgubił wątek i po prostu oddaje się wspomnieniom.

Powiedział, że najlepszy czas dla kieszonkowców stanowiły dni egzekucji – wielki, rozrukany tłum przyzwyczajony do przepychanek i walki o miejsca był w pełni pochłonięty odległym widowiskiem. Rozmawiali o tym między sobą bez troski, wyczekując kolejnych okazji. O wisielcach mówili: odtańczył morrisa⁶, pojechał na zachód⁷, zapchał się, ser mu stanął w gardle, trafił przyciasny kołnierzyk, dostał pętelkę, zaprosili go na bal szeryfa, wyciął hołubca z Paddington, przetrącili mu karczek, wyciągnął się, ufajdał się, zagrali mu na bębenku. Ojciec mawiał, że wisielec szczy, bo gwizdać już nie może.

6 Morris – angielski taniec ludowy.

7 Szubienica w Tyburn znajdowała się na zachodnich obrzeżach Londynu, na obszarze administracyjnym Paddington.

Reilly pokręcił głową. Obecnie dostrzegał w tamtych egzekucjach przedziwną symetrię – z jednej strony ludzie mający zadyndać za złodziejstwo, z drugiej dziesiątki im podobnych, sunące ukradkowo poprzez tłum i pozbawiające gapiów ich kosztowności. Podatek od rozrywki. Zaliczka na poczet przyszłych atrakcji.

– Rozumiesz, dzisiaj nie jestem z tego dumny – zaczął się tłumaczyć Reilly.
– Byłem tylko dzieciakiem.

– Ojciec o tym wiedział, kiedy cię zatrudnił?

– Opowiedziałem mu to tak samo, jak opowiadam tobie.

– Co się stało, Joseph?

– Chyba po prostu miałem pecha – wyjaśnił Reilly. – Pecha na całej linii.

To była pierwsza egzekucja w nowym roku: dwóch mężczyzn skazanych za kradzież pieniędzy i alkoholu z tawerny, a do tego młody irlandzki służący, który zabił swojego pana w odwecie za maltretowanie. Pogoda była odpowiednio posępna – od rana mgła i lodowata mżawka. Nie spadła ani kropla prawdziwego deszczu, ale groźba ulewy wisiała w powietrzu przez cały dzień. Ten zimowy, chłodny zapach mokrego żelaza. Najgorsza możliwa pogoda dla kieszonkowców – ludzie opatulali się wieloma warstwami ubrań, zapinali kurtki po szyję i ściskali kołnierzyki rękami. Reilly'emu udało się ukraść srebrną tabakierę, garść szylingów i złoty repletier.

Odszukał braci w tłumie, gdy egzekucja dobiegła końca, a ludzie zaczęli po-

woli dochodzić do siebie, wciskać kapelusze na głowy i wkładać ręce do kieszeni. Gdy opuszczali łąki, ktoś złapał go od tyłu za kołnierz i włosy. Duży, wytwornie ubrany mężczyzna z okrągłą twarzą i zaskakująco drobnymi usteczkami zaczął ciągnąć Reilly'ego ku stojącym przy szubienicy konstablom, wrzeszcząc, że złapał złodzieja, który ukradł jego portfel. Młodszy bracia uwiesili mu się u ramion i płaszcz, a Reilly krzyczał, żeby uciekali.

– Nie ukradłeś przecież portfela.

– Ostatecznie to żadna różnica. Pewnie usłyszał, że używam języka gaelickiego, co dla niektórych stanowiło wystarczający dowód. Tabakierę i pieniądze zdołałem ukradkiem oddać braciom, którzy uciekli, zanim konstable zwrócili na nas uwagę. Miałem jednak przy sobie zegarek, a ujrawszy go jegomość oznajmił, że jest jego właścicielem. W podszewce kurtki miałem dziury, przez które mogłem przekładać ręce tak, aby wyglądało, że trzymam je cały czas w kieszeniach. Nie uchodziło wątpliwości, że złapali złodzieja. To, czy okradłem akurat tamtego konkretnego mężczyznę, nie miało większego znaczenia.

Peyton słuchał Reilly'ego z rosnącym skrępowaniem. Czuł, że tragiczna gawęda opada w otchłanie nieuchronnego kataklizmu, skręcając równocześnie ku punktowi, w którym John Senior naprostuje wszystko tak łatwo, jakby zgasił fajkę strumieniem moczu. Ta myśl była dla Peytona szczególnie przykra. Kiedy Annie Boss wyszła przed chatę Reilly'ego, żeby ich odpędzić, Peyton słyszał jęki Cassie dobiegające zza drzwi. Wspomnienie tych dźwięków powróciło do niego w ciemności.

Na wokandzie było ośmiu mężczyzn do osądzenia, wyrok powtórzono więc osiem razy. *Prawo stanowi, że powrócisz tam, skąd przybywasz, a następnie udasz się na miejsce kaźni, gdzie wisieć będziesz na stryczku, aż na ciało nie przyjdzie śmierć! Śmierć! Śmierć!* Kiedy nadeszła jego kolej, Reilly złapał się za drewnianą poręcz, żeby utrzymać się na nogach. Wybuchnął płaczem i szlochał niepomaganie w trakcie ogłaszania wyroku. Najprawdopodobniej to łzy uratowały mu życie.

– Kara złagodzona z uwagi na młody wiek i jawny wyraz skruchy. Napiętnowanie i deportacja do kolonii – wyjaśnił Reilly.

– Napiętnowanie?

Reilly uniósł w świetle ogniska dłoń poznaczoną bliznami. – Dochodzimy do Johna Seniora – powiedział. – Cierpliwość się opłaciła.

Zaciągnęli go na plac, gdzie zakuwano przestępców w dyby. Konstable położyli go na brzuchu i porządnie uwiązali mu ręce do drewnianego słupa. Nieduży tłumek gapiów zebrał się wokół niego w niemal modlitewnym skupieniu, jakby chłopak zaraz miał zostać ochrzczony. Po głośnym odczytaniu zarzutów i wyroku rozgrzanym do czerwoności żelazem wypalono mu literę T między kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni. Z początku był to niemal bezbolesny wstrząs –

jakby wskoczył do lodowatej wody. Potem jednak ból zaczął wkradać się stopniowo w kości dłoni, ramię i wreszcie cały prawy bok. Miał wrażenie, że pół jego ciała promieniuje światłem. Że się żarzy.

Siedem miesięcy trzymali go na statku więziennym na Tamizie. Po wybuchu rewolucji transport do amerykańskich kolonii został zawieszony i wciąż pracowano nad odpowiednimi środkami zastępczymi. Niektórzy mężczyźni ze statku Reilly'ego spędzili tam cztery lata z okładem. Na zapaskudzonej jednostce roiło się od robactwa i szczurów. Więźniów było tak dużo, że regularnie wypuszczano ich, pod warunkiem że dobrowolnie udadzą się na wygnanie.

W sześć tygodni od podpisania takiej ugody Reilly znalazł się w St. John's bez grosza przy duszy i zaczął błąkać się między pomostami i magazynami w poszukiwaniu pracy. Za każdym razem odsyłano go z kwitkiem, a jeśli ktoś zauważył piętno na jego dłoni, mężczyźni przeganiali go z kijami i osękami w rękach. Ostatecznie był zmuszony kręcić się od stolika do stolika w spelunach przy nabrzeżu, zebrząc o jedzenie z dłonią owiniętą w brudną szmatę. Było tam tylu mężczyzn spitych do nieprzytomności, że mógłby okraść ich wszystkich z zamkniętymi oczami. Ta towarzysząca mu nieustannie pokusa stawała się coraz silniejsza z każdą odwróconą twarzą, z każdym wybelkotanym od niechcienia złorzeczeniem i nakazem, żeby się odpiardolił, z każdą spośród szeptanych od czasu do czasu propozycji, aby obciągnął komuś za szylinga.

Wtedy właśnie natknął się na Johna Seniora, siedzącego samotnie z butelką rumu. Mężczyzna dopiero co przypłynął z Poole i czekał na statek idący na północno-wschodnie wybrzeże. Swobodnie skinął głową do zbliżającego się Reilly'ego, niemal jakby chłopak pasował do opisu kogoś, na kogo czekał. Nie odezwał się ani słowem, gdy chłopiec zaczął mu opowiadać, że od trzech dni błąka się po St. John's, żywiąc się tylko resztkami, które na ulicy zdoła wyszarpać psom. Reilly potraktował jego milczenie jako zaproszenie do podzielenia się swoją historią, zrobił to więc, pod wpływem impulsu odwijając szmatę i pokazując nieznanemu piętno na dłoni. Opowiadał o swoim życiu w Anglii, dopóki nie skończyły mu się rzeczy, o których warto byłoby wspomnieć, a John Senior nadal siedział niewzruszony, jakby zapłacił za tę gawędę i zamierzał wysłuchać jej do ostatniego słówka. Reilly uznał jego dziwaczny bezruch za wyraz współczucia, więc zamiast zebrać o jedzenie czy drobniaki, spytał o pracę – patroszenie ryb, rąbanie drewna, wyrzucanie krowiego łajna z obory, o jakąkolwiek robotę, nieważne jaką i gdzie. Stał tak przed nim, a John Senior mu się przyglądał.

- Ile masz lat, Josephie Reilly? – zapytał go w końcu.
- Czternaście, proszę pana.
- Swego czasu zdarzało ci się uczciwie pracować.
- Tak jak mówiłem, sir, u rzeźnika w Smithfield. Przepracowałem cztery lata, zanim mnie złapali.

– Idź, przynieś sobie szklanę.

Przez jakiś czas pili przy stoliku, a John Senior nie mówił nic, co mogłoby zdradzić jego zamiary. Reilly czuł przesądny lęk przed zadawaniem pytań, jakby w tej chwili pozostało mu już tylko odczekać, aż los lub święci skierują ich w tę czy w tamtą stronę.

John Senior sięgnął ponad stołem i ujął dłoń Reilly’ego. Sam na dwóch palcach nie miał paznokci, tylko szorstkie zlepkie kostniny i blizn pozostałe po jakimś pradawnym wypadku. Delikatnie musnął kciukiem wypukłe piętno złodzieja.

– Nikt ci nie pozwoli wieść uczciwego żywota, dopóki istnieje historia, która świadczy przeciw tobie.

Reilly przytaknął. Nie chciał, żeby ten człowiek puścił jego rękę.

– Josephie Reilly, czy jesteś gotów coś z tym zrobić?

Ponownie głupkowato pokiwał głową. Nie miał bladego pojęcia, co to oznacza, ani przez co przejdzie jeszcze tej nocy. Kiedy John Senior go puścił, Reilly zwinnie obrócił dłoń w powietrzu i wręczył mu jego obrączkę. Pokazał, co jest gotów porzucić.

Peyton ujął rękę Reilly’ego, podobnie jak przed laty uczynił to jego ojciec w knajpie na przystani w St. John’s. Powiódł palcem po zdziczałej płataninie szram. Dotąd nie patrzył na nie inaczej, niż jak na tępy uraz, na jakąś przypadkową ranę.

– Joseph, dlaczego mi to wszystko opowiadasz?

Reilly westchnął przeciągle. – To tylko opowieść, nic więcej. – Po chwili dodał: – Za Bożym przeproszeniem, co za lodowata noc.

Napełnił ich kubki, przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu. Na niebie wisiał gruby całun chmur, przez który nie przeświecały gwiazdy ani księżyc.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, pomodlę się na różańcu – odezwał się Reilly.

Peyton wzniosł swój kubek w geście przyzwolenia, po czym wylał zimną resztkę herbaty w śnieg. Jego towarzysz wyjął czarne paciorki i zaczął przesuwając je przez palce, mrużąc pod nosem prastarą modlitwę. Pies podniósł się ze swojego miejsca przy ogniu, wyszedł poza krąg światła i zaczął ujadać dziko na drzewa. Reilly przerwał pacierze, by uciszyć psa, ten nie chciał jednak wrócić do ogniska. Sierść wzdłuż kręgosłupa miał zjeżoną; stał w miejscu, warcząc w mrok. Peyton najchętniej podpełzłby do zwierzęcia i przyłączył się do niego.

CZTERY

Kiedy rano Peyton i Reilly weszli do chaty, Cassie siedziała przy stole. Skóra jej twarzy była blada i półprzezroczysta; przeświecały przez nią niebieskie żyły. Nabiegły krwią kącik oka był czerwony jak borówka.

Peyton usiadł naprzeciw niej i patrzył, jak bawi się palcami, szarpiąc za nie

tak, jakby miała spaść z krzesła, jeśli tylko odwróci od nich wzrok. Poprzez woń świerkowej kory, którą Annie zaczęła gotować w nocy, dało się wyczuć kwaśny smrodek wymiocin. Reilly podszedł do żony stojącej przy palenisku i rozmówił się z nią cicho, trochę w języku gaelickim, trochę w *Mi'kmaq* – zupełnie jak rodzice cedzący słowa tak, żeby dzieci nie usłyszały.

– Nie wspomnisz o tym ojcu ani słowem – zażądała Cassie.

Peyton wciąż jej się przyglądał. Płynny, palący strach, który odczuwał przez całą noc, zakrzepł w coś cięższego – zwartego i masywnego jak gład.

Popatrzyła na niego zranionym wzrokiem. – Obiecuj mi – poprosiła.

Annie pozwoliła Cassie wyruszyć do domu dopiero nazajutrz, a i to wyłącznie pod warunkiem, że zgodzi się, aby odprowadził ją Peyton. Reilly obiecał, że postara się doglądać tyłu spośród jego pułapek, ile tylko zdoła obejść. Późnym rankiem pomaszerowali w dół rzeki. Cassie była tak słaba, że musieli przystawać co jakieś pół godziny, a kiedy skręcili w las ponad Ship Cove, ciężki śnieg wyzuł ją z resztek sił. Opierała się o pień co trzeciego czy czwartego drzewa i chyliła głowę, zasysając powietrze. W końcu padła na plecy, nie była w stanie podnieść się ze śniegu. Peyton ściał i okrzesał dwa cienkie świerki, po czym skórzanymi rzemieńcami przymocował najgrubsze gałęzie do dwóch żerdzi. Uwiązał sobie koniec noszy do ramion i pociągnął Cassie dalej przez zarośla. Większość popołudnia prześpała, rozbudzając się tylko po to, by przed ponownym zaśnięciem powiedzieć mu, że może już przejść kawałek o własnych siłach.

O zmierzchu zniósł ją do wąskiego parowu, gdzie zbudował szałas. Zawiesił nad ogniem garnek śniegu, żeby nagotować jej na kolację cienkiego rosółu. Była w stanie usiąść i jeść samodzielnie, ale zdołała wcisnąć w siebie tylko pół miski. Oddawszy resztę Peytonowi, wyciągnęła się pod kocem i z miejsca zasnęła.

Peyton dorzucił do ognia kilka szczap zielonego drewna; gdy ogarniały je płomienie, soki trzaskały i syczały. Dym buchał leniwie to w tę, to w tamtą stronę, a jego woń w zimnym powietrzu była nieskazitelna jak wyprane ubrania dopiero co zdjęte ze sznura. Peyton popatrzył na nocne niebo; nawet bez pijackich zawrotów głowy czuł, jak konstelacje kręcą się wokół Gwiazdy Polarnej. Napelniwszy fajkę, ubił tytoń kciukiem i zapalił końcem kijka wyjętego z żaru.

Miał dwadzieścia sześć lat, a nigdy nie dotknął ani nie pocałował kobiety, nie licząc najbardziej niewinnych okoliczności. Traktował to jako swego rodzaju osobistą porażkę. Przyjrzał się postaci śpiącej po drugiej stronie ogniska. W oczach Kościoła ojciec wciąż miał żonę, choć nie widział się z nią od siedmiu lat. Cassie była tak młoda, że mogłaby być jego córką. A jednak, pomimo wszystkiego, co wskazywałoby, że to niemożliwe, Peyton nie potrafił poczuć zaskoczenia i musiał przyznać przed sobą, że w głębi serca przeczuwał to od lat.

Próbował umiejscowić ziarno, z którego wyrosły te podejrzenia; szedł wstecz przez lata spędzone na wybrzeżu, aż cofnął się do swojej pierwszej wiosny

na Nowej Fundlandii. Rozpoczęli przygotowania do powrotu do domu letniego na Burnt Island: zwodowali słup, który przestał zimę w suchym doku, wypełnili luki sieciami, olinowaniem, płachtami płótna, ubraniami i narzędziami. O tej porze roku góry lodowe tułały się bez celu po labiryncie cieśnin, zatoczek i przesmyków między wyspami jak oszołomieni wieśniacy błądzący po regularnej sieci ulic Londynu. Odplynęły już natomiast w większości potężne pola lodu z Zatoki Świętego Wawrzyńca, potrafiące nieraz zaczopować przystanie na całe dni i tygodnie.

John Senior cztery dni wcześniej wysłał dwóch pracowników do domu letniego, aby przygotowali gospodarstwo na ich przybycie, podczas gdy on z Peytonem i Cassie będzie zamykał dom zimowy. Wkrótce po tym, jak mężczyźni wypłynęli, do zatoki wcisnął się pak lodowy – jednorodna płachta kry trąca o granit wyspy, biały poblask ciągnący się aż po horyzont. Lód sunął jednostajnie, niesiony przez Prąd Labradorowski, ale był tak wyzuty z jakichkolwiek punktów odniesienia, że zdawał się stać w miejscu.

John Senior przesiadywał z fajką w zębach i albo splatał sznurki, żeby połączyć nimi sieci na łososie, albo ciosał na oślepek kawałki drewna, prawie nie odzywając się do syna czy Cassie. Wobec faktu, że pozostawało im tylko i wyłącznie czekać, wykazywał zaskakujący spokój i cierpliwość. Peyton nie był w stanie uwierzyć, że mężczyzna odznaczający się taką ponurą zawziętością może tak łatwo oddać się mitrężeniu czasu. Sam nie znosił tego równie dobrze; wciąż wychodził, aby zajrzeć do zwierząt i sprawdzić, czy lód się nie zmienia. To właśnie podczas jednego z takich bezcelowych rekonesansów zauważył ciemne ciała pstrzące odległe połacie lodu. Wpadł do kuchni i złapał ojca za ramię.

– Foki! – krzyknął. – Całe setki!

– Foki nie zapuszczają się tak daleko w głąb zatoki – oznajmił John Senior, ale mimo wszystko pozwolił chłopakowi wyprowadzić się na dwór. Szczekanie stada niosło się po lodzie aż do przylądka, na którym stanęli. Wróciwszy do kuchni, John Senior obrócił się kilka razy jak pies mający się zaraz położyć – jakby fizyczny ruch stanowił sposób na uspokojenie umysłu.

– Ale sobie znalazły moment. Akurat kiedy tamci dwaj utknęli na Burnt Island – powiedział wreszcie.

Peyton przez chwilę przyglądał się Cassie, potem spojrzał na ojca. – Cassie może pójść z nami.

John Senior zerknął na nią i wydał krótkie, ciężkie westchnienie. – Jak znajdujesz nogę? – spytał.

– Poradzę sobie.

– Na lodzie czeka nas piekielna robota. Nie spodoba ci się, daję ci słowo.

– Poradzę sobie – powtórzyła.

Wymaszerowali w morze po zwartym przybrzeżnym lodzie, szybko jednak napotkali luźne kry, na które musieli przeskakiwać długimi susami. Każde z nich

było przewiązane na piersi liną i niosło krótki drewniany harpun oraz nóż do oprawiania fok. Cassie jedną ręką podtrzymywała spódnicę, by swobodnie poruszać nogami. Zwierzęta znajdowały się niemal milę od brzegu. Nie były ich setki, jak twierdził Peyton, ale wystarczyło, by zapewnić robotę całej trójce. Foki przyglądały się nadchodzącym ludziom, wciągając powietrze ciemnymi, delikatnymi nozdrzami.

John Senior powiedział: – Młode mają dusze czarne jak protestanci, rzuca się na was, jak nie będziecie uważać. – Zabrał się za tłuczenie najbliższych zwierząt tępym końcem harpuna. Trzaskał każde mocno, raz po raz, dopóki nie padły bez życia. – Walcie w nasadę nosa – poinstruował ich, nie przerywając pracy. Wiele spośród starszych fok zerwało się już z lodu; falujące cielska sunęły ku otwartym łatom morskiej wody, dającym dostęp do oceanu. Cassie pokuśtykała w ślad za tymi, które znajdowały się najbliżej krawędzi, po drodze zsuwając linę przez głowę i zrzucając z siebie ciężki płaszcz. Patrząc, jak bierze zamach harpunem, Peyton pomyślał, że jest zaskakująco szeroka w ramionach.

– Johnie Peyton! – krzyknął ojciec między uderzeniami. – Bierz się do roboty, do kroćset!

Tłukli zwierzęta przez ponad pół godziny. Kiedy wyczerpani przyklękli i pochylili głowy, aby zaczerpnąć tchu, za nimi na długości pół mili leżało prawie pięćdziesiąt martwych fok. John Senior powoli podniósł się na nogi. – Trzeba je szybko oprawić. Nic nam po przeżartych skórach. – Uśmiechnął się do Cassie i skinął głową jak człowiek nie do końca zawiedziony, że był w błędzie. Peyton również przyglądał jej się z zaskoczeniem i pełną zmieszania dumą.

Przez kilka minut obserwował razem z Cassie, jak John Senior wykonuje okrągłe nacięcie wokół szyi zwierzęcia i przeciąga nożem po jego brzuchu, aż do samego ogona. Chwyciwszy za grubą warstwę futra i tłuszczu, zaczął oddzielać ją od ciała szybkimi pociągnięciami ostrza, wysuwając okrwawioną tuszę ze skóry tak, jakby wyrzucał śpiącego człowieka z pościeli. Potem podjęli nieudolne, przerywane próby naśladowania jego zabiegów. Rękawy koszul mieli nasiąknięte krwią, która w lodowatym powietrzu po chwili zamarzała na kamień. Posoka wsączczała się w dziewiczą biel lodu. Obdarte ze skór ciała, ciemnoczerwone jak granitowe klify wybrzeża, tworzyły zwartą konstelację okaleczonych gwiazd. Jedna skóra potrafiła ważyć koło pięćdziesięciu funtów, układali je więc na stosach po trzy, cztery – tyle, ile dało się zawlec na brzeg za jednym razem. Wiedzieli, że ściągnięcie ich z lodu zajmie im resztę popołudnia oraz cały kolejny dzień.

Od świtu nie mieli nic w ustach; na lód wzięli ze sobą tylko suchary. Kiedy John Senior przeciągnął nożem po brzuchu ostatniej foki, wszyscy byli już wyczerpani, zmarznięci i głodni jak wilki. Ojciec złamał piętą odsłonięty mostek zwierzęcia, otworzył jego klatkę piersiową i wyciął ogromne jak pięść serce. Potrzymał je chwilę w dłoni – narząd był wciąż ciepły w dotyku – po czym zbliżył do ust

i ugryzł jak jabłko. Wręczył je Cassie, a potem Peytonowi. Razem jedli surowe mięso, oblizując posokę z warg i ocierając brody okrwawionymi rękawami. Widział, jak ojciec i Cassie na siebie patrzą. Wydawali się bezgranicznie zadowoleni z siebie, z minionego dnia, z serca martwej fokii, którego ciepło w nich tętniło.

Peyton popatrzył na Cassie śpiącą po drugiej stronie ogniska. Kształt jej ukrytego pod kocami ciała skojarzył mu się z tamtymi obdartymi ze skór tuszami leżącymi na lodzie – bezwładnymi, wyzutymi już z energii właściwej rzeczom ożywionym. Siedział tak, paląc fajkę i doglądając ognia, podczas gdy gwiazdy kręciły się nad ich głowami. Gdzieś za nim weszła i zaszła *she-moon* – płytko wcięta kolebka księżycy leżąca na plecach. Cassie obudziła się i poprosiła o wodę. We dwoje wpatrywali się w ciemność, a wreszcie Cassie przerwała milczenie: – Opowiedz mi jakąś gawędę.

– Cassie, nie nastraja mnie to wszystko do zabaw.

– Po prostu czuję się samotna – westchnęła, opierając się na łokciach, by popatrzeć na rozedrgany, migoczący płomień. – Ja znam legendę o ogniu – zaproponowała. – O tym, jak nauczyliśmy się go używać.

Skinąwszy głową, rozprostował nogę i znowu zagiął ją pod siebie. – W porządku – przystał.

Wyjaśniła, że to grecka historia, którą ojciec opowiedział jej, kiedy była jeszcze za mała, aby zrozumieć niektóre aspekty. Dodała, że to prastare podanie o czasach poprzedzających ich epokę, jak i zresztą epokę samych Greków – czasach, gdy ogień należał wyłącznie do bogów. Powiedziała, że Prometeusz... – zawałała się i powtórzyła imię – Prometeusz był jednym z tytanów, należących do pokolenia olbrzymów. Ojciec bogów, Zeus, powierzył Prometeuszowi i jego bratu stworzenie istot żywych na ziemi. Lepili zwierzęta z gliny, obdzielając je piórami, pazurami, kłami, muszlami i szponami, a gdy przyszedł czas na człowieka, nic już dla niego nie zostało. Ludzie pozostali nadzy i bezbronni – szperali po ziemi w poszukiwaniu pożywienia, nie mogąc nawet nic sobie ugotować ani się ogrzać. Cassie stwierdziła, że były to smutne czasy dla tych, którzy wtedy żyli. Ulitowawszy się nad ludzkością, Prometeusz wykradł z góry Olimp tajemnicę ognia i przekazał ją nieszczęsnym istotom, którymi niegdyś byliśmy. Urwała i położyła się na chwilę.

– Słuchasz? – spytała.

Ostrzegła, że teraz zaczyna się smutna część historii. Kiedy była mała, nie mieściło jej się to w głowie. Zeus był wstrętnym, zazdrosnym bogiem, podobnie jak wszyscy bogowie w tamtych czasach. Odkrywszy kradzież, ukarał Prometeusza, przykuwając go do skały i nakazując padlinożernym ptakom, żeby wydziobały bezbronnemu tytanowi wątrobę. Codziennie wątroba odrastała, a ptaki wracały, by wydziobać ją i zjeść.

Głos Cassie był tak słaby, że Peyton z trudem wychwytywał jej słowa. Drewno trzasnęło w ogniu, a duża iskra wylądowała mu na rękawie. Strzepnął ją na

śnieg, gdzie rozżarzony węgielek spłonął na popiół.

– Coś potwornego – podsumowała Cassie.

Peyton nie miał pojęcia, czy Cassie wyobraża sobie siebie rozciągniętą bezradnie na skale, czy też podsuwa mu myśl, aby on sam się tam umiejscowił, a może była to tylko opowieść, która przysłała jej do głowy na widok ognia, nic więcej. Przełknął ślinę na przekór bólowi gardła; popatrzył na rozmyte gwiazdy, które gasił już powoli pierwszy brzask.

– Cassie – zaczął, ale ona zdążyła znowu pogrążyć się we śnie.

Postanowił, że pozwoli jej odpoczywać tak długo, jak to będzie potrzebne, a o wschodzie słońca sam nawet zdołał zdrzemnąć się na siedząco. Obudził go chłód; wstał, żeby rozprostować zziębnięte nogi, po czym przegrzebał żar i zaczął dmuchać na węgle, przytrzymując suchą sosnową gałąź nad ich skłębionym ciepłem. Kiedy Cassie się przebudziła, miał już dla niej gotową herbatę i resztkę rosółu, który z takim trudem wmusiła w siebie wieczorem.

– Dzisiaj mogę iść o własnych siłach – powiedziała, na co on wzruszył ramionami i odparł, że dla niego może być, choć wątpi, czy daleko zajdzie. Odwiązał rzemienie z noszy, po czym oboje spakowali swoje rzeczy i ruszyli w drogę przez zarośla. On wydeptywał ścieżkę, idąc tak powoli, jak tylko potrafił i często przystając, aby poprawić rakiety czy przyjrzeć się tropom pardew. Nie chciał zostawiać jej za bardzo w tyle. Wyszli nad zatokę pięć mil od domu; szli brzegiem w ciemniejszej szarości wczesnego wieczora. Jak okiem sięgnąć ani jednego światełka.

Powietrze w domu było nasiąknięte przenikliwym, trzydniowym mrozem. Peyton rozpalił ogień i pozapalał świece, potem napełnił skrzynię drewnem. Cassie tymczasem siedziała przy stole, opierając się ciężko o blat i wciągając każdy haust powietrza w płuca z takim trudem, jakby próbowała rękoma nosić wodę. Przykleknął, by ściągnąć jej buty, pomógł zdjąć futro i kamizelkę. Zaprowadził ją na leżankę i okrył flanelowymi kołdrami. Potem zaparzył sobie herbatę, dopełnił pół kubka rumem i usiadł, pilnując ognia i patrząc na śpiącą kobietę.

Ojciec miał wrócić z White Bay w ciągu paru dni. Peyton zdawał sobie sprawę, że Cassie poprosi go, żeby zawczasu wrócił w głąb lądu, a potem będzie żyła dalej, jakby nad rzeką nie zaszło nic wyjątkowego. Kiedy w styczniu Peyton wróci ze skórami, będzie zachowywała się tak, jak gdyby nie widzieli się od wczesnej jesieni – i od niego będzie oczekiwała tego samego. A on wykazywał dawno utrwalony nawyk spełniania cudzych życzeń, nawet jeśli sam nie potrafił stwierdzić, czy jest to właściwe postępowanie.

Ledwie Peyton skończył szesnaście lat, John Senior obwieścił, że w kwietniu jego syn opuści Poole i popłynie pracować z nim na Nowej Fundlandii. Rodzina siedziała akurat nad resztkami gotowanej nogi wieprzowej z sosem pieczeniowym

i zielonym groszkiem. Na chwilę zapadła kamienna cisza, jakby wszyscy czekali, aż zegar wybije godzinę. John Senior mieszał herbatę; jego łyżeczka dzwoniła o filiżankę.

Matka odsunęła krzesło, nachyliła się nad stołem i wyjęła sztuciec z dłoni męża.

– A to co ma znaczyć? – spytał John Senior.

Była tak wściekła, że z trudem artykułowała słowa. – Nie zrobisz – wycodziła.

– Siadaj, dobrze? Co ty mówisz?

– Nie zrobisz tego – oznajmiła. Z namaszczeniem ułożyła łyżeczkę na swoim talerzu i zabrała go ze stołu.

John Senior był oszołomiony sprzeciwem żony w sprawie, którą dawno uznał za rozstrzygniętą. Od wielu lat nie myślał już o tej kobiecie jak o osobie z własnymi opiniami, mogącej wywrzeć wpływ na rzeczywistość. Nie otrząsnął się z tego zaskoczenia dostatecznie, by odpowiedzieć na jej obiekcje w składny sposób. Siedział w niespokojnym milczeniu, wieczór w wieczór słuchając formułowanych przez żonę zapewnień, że jej syn nie opuści Anglii, dopóki nie ukończy edukacji, a i to wyłącznie pod warunkiem, że sam wyrazi wolę wyjazdu.

Peyton był równie zbity z tropu co ojciec. Zawsze zakładał, że pewnego dnia popłynie na Nową Fundlandię. Z drugiej strony, w życiu nie zdarzyło mu się zrobić czegokolwiek wbrew nakazowi czy radzie matki. Siła jej przekonań w tej kwestii przyprawiała go o dziwny lęk.

Pewnego wieczora na początku kwietnia, wygłosiwszy kolejny monolog stanowiący wariację na temat jej zwyczajowych już tyrad, wyczerpana, ogarnięta uczuciem niemocy matka zdecydowała się na odwrót do swojej sypialni. John Senior pozostał w salonie, pykając fajkę. Peyton z siostrą spędzali czas w kuchni, starając się unikać kłótni na tyle, na ile było to możliwe w ciasnym mieszkaniu. Trzy lata młodsza od brata Susan patrzyła już na świat bardziej praktycznie i przenikliwie niż on. Peyton natomiast odziedziczył po matce błękitne oczy i niemal wiecznie wypisany na twarzy wyraz zdumienia, który sprawiał, że chłopak wydawał się bezbronny. Oczy Susan były szare – jak u ojca. Miała spokojne, obojętne spojrzenie, które przydawało wagi i doniosłości nawet jej najbardziej niewinnym wypowiedziom.

– Będziesz musiał wybrać – oznajmiła.

– Ale co? – Czuł słodki zapaszek fajkowego dymu sączącego się z salonu.

– Wybrać między nimi.

– Susan – zaprotestował. Dotąd wierzył, że jakimś cudem uda mu się uszczęśliwić oboje rodziców.

Po jakimś czasie chmurnego milczenia John Senior wezwał syna do pokoju. Wytrzepał fajkę do paleniska i ponownie napełnił główkę, ubijając tytoń kciukiem.

W kominku płonąła z sykiem nieduża kupka węgla.

– Spytam cię ten jeden raz – obiecał ojciec. – Czy chcesz ze mną popłynąć w tym roku?

– Tak – szepnął Peyton.

Kiedy wyszli z Poole, na otwartym morzu dął stały wiatr, a rozkołysane fale z upiorną miarowością tykającego metronomu ciężko przechylały statek to na sterburtę, to na bakburtę. O dziewiątej rano Peyton wisiał już na relingu, wymiotując na sucho i rycząc bezradnie. John Senior stał przy synu, przytrzymując go prosto na przekór ruchom statku.

– Mówiłeś, że właśnie tego chcesz! – krzyknął.

Peyton zdołał skinąć głową. Wiedział jednak, że wyraziłby dokładnie przeciwne życzenie, gdyby to matka spytała go pierwsza. Nie miał pojęcia, jak nazwać tę swoją skłonność – chyba tylko „tchórzostwem”.

Świeżo rozpalony ogień szumiał, podsycany ciągiem komina. Nieprzerwany dźwięk zdawał się dobywać spod ziemi, niczym pomruk odległego wodospadu. Tym razem Peyton nalał sobie pełen kubek rumu i zaczął pić na czysto. Cassie obróciła się na leżance, wypowiedziała przez sen kilka pozbawionych znaczenia sylab i znowu się uspokoiła. Nie mógł jej winić za jej wybór, jakkolwiek przewrotny i nedorzeczny. Czuł wobec niej litość, choć wolałby, żeby było inaczej. Nawet jego gotowość do przebaczenia nosiła pozory tchórzostwa, przełknął więc kolejny haust rumu, aby ją zdławić.

Rzeka Exploits

1811

PIĘĆ

John Senior zaangażował do udziału w ekspedycji także Reilly'ego, Toma Taylora i Dicka Richmonda. Peyton miał zostać na wybrzeżu i doglądać domu z Cassie. Krótco przed Starym Bożym Narodzeniem⁸ przeziębienie męczące starca przez większą część grudnia przeistoczyło się jednak w coś poważniejszego. Spał niespokojnie, trawiony gorączką, a gdy się przebudził, miał halucynacje. Cassie wymieniała przepoconą pościel i kładła przy ogniu kamienie z plaży, by zagrzać łóżko, gdy chorym zaczęły wstrząsać drgawki. Mężczyzna bełkotał coś pod nosem, jęczał i prowadził długie rozmowy ze zmarłą matką oraz Harrym Millerem, który zginął przed piętnastu laty. U szczytu maligny rzucał się wściekle na łóżku, klął i łkając w niekontrolowany sposób, tak że Cassie musiała sięść mu okrakiem na brzuchu i przygnieść ręce, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Miotał się bezradnie pod jej ciężarem i przeklinał kobietę, biorąc ją za swojego ojca.

8 *Old Christmas Day* – 6 stycznia, dzień, na który przypadało Boże Narodzenie przed zmianą kalendarza juliańskiego na gregoriański. Pokrywa się z uroczystością Objawienia Pańskiego.

Krótko przed śmiercią ojciec Johna Seniora zainwestował cały skromny majątek rodziny w rozwijające się dopiero połowy dorsza i łososa na północno-wschodnim wybrzeżu Nowej Fundlandii. Ze swoim nowym współnikiem, Harrym Millerem, znał się z widzenia z Poole, z jednego z miejscowych burdeli. Czasami pili razem, kiedy już zażyli swojej *rozrywki*. Miller mimowolnie namówił ojca do przyłączenia się do interesu.

– Te ziemie tylko czekają, aż ktoś je zajmie – opowiadał. – Łososi tam w bród, a wszystkie tłuste jak noga dziwki. – Zaczął gmerać przy kroczu, dokonując niezgrabnych poprawek, jakby myśl o pieniądzach, które można zarobić za Atlantykiem, przyprawiła go o natychmiastowy wzwód. – Widzę, że będę musiał tu zostać na drugą turę. – Miller wcale nie szukał współnika, chciał tylko być towarzyski.

Ojciec miał konia i wóz, a na życie zarabiał, sprzedając węgiel po domach. Nigdy nie rozważał podjęcia jakiegokolwiek innej pracy, kiedy jednak żona – która prawie się już do niego nie odzywała – zaczęła sypiać w pokoju córek, myśl o spędzaniu sześciu miesięcy rocznie gdzieś za Atlantykiem nabrała zaskakująco kuszą-

cego powabu. Sprzedał zwierzę, nieruchomości i interes, po czym przekazał pieniądze Millerowi, prawie co do grosza.

Na Nową Fundlandię zdołał popłynąć tylko raz. Kiedy John Senior miał piętnaście lat, ojciec umarł w wyniku powikłań po zarażeniu się kiłą. Przez wiele miesięcy gnębiły go przedłużające się okresy demencji, zaostrzane przez nieustanne picie. Zadręczała go też niepewność; w dzień i w nocy wypytywał, która godzina, ale odpowiedzi go nie satysfakcjonowały. Zdawał się nie rozpoznawać rodziny i traktował ją jak obcych ludzi, przebywających w jego domu tylko po to, żeby go okraść we śnie. Chował kosztowności w szafkach i pod materacem. Po jego śmierci ukryte skarby pojawiały się w najbardziej absurdalnych miejscach: mosiężna tabakiera upchnięta pod luźną deską w podłodze, srebrny zegarek kieszonkowy zagrzebany w worze z mąką. W chwilach najgorszego otępienia stawał się niedorzecznie napastliwy zarówno wobec żony, jak i w stosunku do dzieci. Ta agresja była zupełnie sprzeczna z jego charakterem. Dotąd nie wypowiedział ani jednego ostrego słowa do Johna Seniora i jego sióstr, nie tknął ich palcem, nie licząc tamtego jednego razu, gdy przyłapał syna na podkradaniu cukru z pojemnika stojącego w spiżarni. John Senior pozwalał sobie na to od czasu do czasu przez wiele lat, to była tajemna rozkosz, do której nikomu się nie przyznawał: leżąc w łóżku, trzymać szorstkie kostki w zębach i pozwalać im rozpuszczać się powoli, samemu stopniowo pograżając się we śnie. Ojciec kazał mu wtedy odłożyć cukier, ale nie wspomniał o sprawie ani słowem, dopóki kilka tygodni później nie wybrali się na publiczną egzekucję.

Mężczyzna skazany za kradzież sreber i cynowych kandelabrow z domu kupca handlującego rybami stał na wozie z pętlą na szyi. Drugi koniec liny był przywiązany do górującej nad nim szubienicy. John Senior siadł ojcu na ramiona, żeby śledzić przebieg wydarzeń. Powietrze pachniało węglowym dymem i wyprawionymi skórami. Przy skazańcu stała ponura garstka krewnych, łkających i podsuwających mu słowa pocieszenia; za nimi duchowny szepczący modlitwy. Po ustalonym czasie z wozu sprowadzono wszystkich poza złodziejem, któremu zawiązano oczy przepaską. Na znak dany przez szeryfa kat smagnął konie, które szarpnęły wóz. Po tłumie poniósł się pomruk, prawie niezauważalny prąd przechylił wszystkich nieco naprzód. Złodziej kołysał się i kręcił w powietrzu. Dwóch mężczyzn stojących wcześniej przy nim na wozie podeszło do niego i, chwyciwszy go za nogi, uwiesiło się na nich całym ciężarem ciała, aby przynieść mu szybciej ulgę śmierci. Potem dyndał tam jeszcze dobre pół godziny, z głową kołyszącą się ciężko ponad szorstkim kołnierzem sznura, aż wreszcie odciął go kat.

Wracając do domu, szli przez ulice Poole w milczeniu. John Senior wybrał się na egzekucję za zachętą ojca – czuł, że chodziło mu o coś więcej niż samo widowisko. Tamten dzień cechował się chłodnym nastrojem grozy, zdającym się działać na niekorzyść słów, sugerującym bezużyteczność języka wobec rzeczy, któ-

re właśnie zobaczyli.

Zaprowadziwszy go do spiżarni, ojciec otworzył puszkę z cukrem i postawił ją przed nim na blacie.

– Kładź tu ręce – nakazał. – Po obu stronach.

Syn usłuchał. Ojciec wyjął długi skórzany pas i zaczął chłostać go wściekle po barkach i pośladkach, po tylnej części nóg. Nie skończył, dopóki nie poczuł wyczerpania, a chłopak nie zaczął chwiać się na nogach.

John Senior stał z rękami na blacie, trzęsąc się i łkając cicho. Słyszał, jak ojciec krząta się za jego plecami, ciężko wciągając powietrze przez nos. Rozległ się dźwięk szkła stawianego na stole, odgłos korka wyciąganego z butelki.

– Wypij trochę.

Chłopak odwrócił się i przyjął szklankę rumu.

Na grubej górnej wardze ojca błyszczały krople potu, włosy sterczały mu z głowy na wszystkie strony, jakby podłoga była naładowana elektrycznie. – Widzisz, gdzie zaprowadzi cię złodziejstwo – powiedział.

Później ani razu nie rozmawiali o tamtym zajściu. Przez kolejne lata nic w sposobie bycia czy postępowaniu ojca nie zapowiadało wybuchów ślepej furii, w które się osunął, gdy zmogła go choroba. Kiedy nie byli w stanie go uspokoić czy przerwać jego napadów w żaden inny sposób, John Senior musiał go bić do nieprzytomności. Płakał z frustracji, okładając chorego ojca po głowie i ramionach.

Pięćdziesiąt lat później, podczas najgorszych ataków maligny, przeżywał te chwile na nowo, krzycząc i miotając się na łożu boleści. Cassie nachylała się nad nim i przyciskała mu ramiona do materaca. – Nie jestem twoim ojcem! – krzyczała, był jednak w tak głębokim delirium, że jej nie rozumiał.

Wróciwszy do domu z traperskiego szlaku, Peyton zastał starca wciąż trawionego chorobą, Cassie posłała go więc do Ship Cove, by sprowadził medyka z okrętu Buchana. Zanim wrócił – w towarzystwie doktora i samego porucznika – gorączka zdążyła spaść sama. Lekarz zalecił Johnowi Seniorowi przyjmowanie soli i tranu na wzmocnienie, ostrzegając jednocześnie, aby nawet nie myślał o udziale w ekspedycji mającej wyruszyć za trzy dni. Cassie jak echo powtórzyła mu nakazy lekarza, a następnego ranka wyprawiła gości w drogę powrotną z chlebem i solonymi rybami zawiniętymi w szmatkę.

Peyton miał wrażenie, że poczuła ogromną ulgę, rozstrzygnąwszy ostatecznie kwestię udziału staruszka w wyprawie i pozbywszy się żołnierzy. Przez chwilę przyglądał się jej spokojnej już twarzy, po czym ruszył do drzwi. Zawołał odchodzących gości i pomachał, by zawrócili. Na ochotnika zgłosił się do udziału w ekspedycji w zastępstwie ojca. Powiedział porucznikowi, że stawi się na Adonisie dwunastego. Buchan podziękował, uściśnął mu dłoń i skinieniem głowy pożegnał ponownie Cassie, stojącą w kuchni za plecami Peytona.

– Panno Jure – powiedział.

John Senior był na tyle rozwścieczony, na ile tylko pozwalało mu osłabienie.
– Do ciężkiej cholery, toż to robota głupiego!

– Sam byłeś dość głupi, żeby zgłosić nie tylko siebie, ale jeszcze Taylora, Richmonda i Reilly’ego.

Ojciec zaczął coś mówić, ale dostał ataku kaszlu tak silnego, że posiniał na twarzy. Peyton zawołał Cassie, która przybiegła z kuchni, nachyliła chorego do przodu i zaczęła łomotać mu otwartą dłonią po plecach. Przerwała dopiero, gdy udało mu się wykrztusić na chusteczkę gruzel zielonoczarnej flegmy.

– Miałem swoje powody – zdołał wycedzić, kiedy Cassie kładła go z powrotem na poduszki. Jego płuca rozpaczliwie chwytały powietrze.

– Wynocha – powiedziała Cassie do Peytona. Pukiel włosów wysunął jej się z koka na tyle głowy; w roztargnieniu odgarnęła go za ucho ruchem, który przyprawił Peytona o skurcz żołądka. – No, wyjdź – rzuciła, widząc, że nie rusza się z miejsca. – Nie żartuję, Johnie Peyton.

Zanim zszedł rano do kuchni, Cassie zdążyła wstać, rozpalic ogień i zagotować wodę na herbatę. Ciemna poświata sącząca się z kominka sprawiała, że jej cień wpełzał na przeciwległą ścianę jak pnące. Na stole płonęła pojedyncza świeca, przy której kobieta postawiła mu śniadanie: miskę chlebowej polewki ze słoniną.

– Jak się miewa dzisiaj? – spytał, usiadłszy przy stole.

Postawiła przed nim gliniany kubek. – Wystarczająco dobrze, żeby się zawiązać. Byłby już na dole, gdybym nie zagroziła, że wezmę jego buty na podpałkę. – Pchnęła ku niemu cukiernicę, a on wsypał sobie do kubka pełną łyżeczkę. – Zajrzysz do niego przed wyjściem?

Peyton pokręcił głową. – Podejrzewam, że tylko próbowałby mnie od tego odwieść.

– On się po prostu o ciebie troszczy. – Cassie odwróciła się od niego, żeby dorzucić do ognia.

– A ty uważasz, że ta wyprawa ma sens?

Pokręciła głową. – Nie jestem chyba najlepszą osobą, żeby oceniać, co rozsądne, a co nie, nieprawdaz? – Usiadła naprzeciw niego; ich twarze zdawały się unosić w lichej poświacie świecy. Tłusty snop dymu wił się w drodze do sufitu. Pod jej oczami czerniały grafitowe półksiężyce – Peyton wiedział, że to coś więcej niż gra cieni. Tamtego dnia, gdy wrócił z głębi ładu, zastał ją zgiętą w pałąk z bólu. Stała przy stole, ściskając krawędź blatu tak mocno, że musiał siłą odgiąć jej palce, by zaprowadzić ją na leżankę.

– To tylko w te dni – wyjaśniła. – Reszta miesiąca nie jest taka zła.

Doglądając jego ojca, nie okazywała najmniejszych oznak cierpienia. Widział, jak wyczerpujące musiały być dla niej starania, by je ukryć. Tak jak się spo-

dziewał, o całej sprawie nie zamienili ani słowa, od kiedy w listopadzie sprowadził ją znad rzeki.

Cassie podniosła dzbanek, żeby dolać mu herbaty. – John Senior mówi, że Buchan może namawiać was, żebyście odłożyli strzelby, zanim podejście do Indian nad jeziorem. Chciał, żebym cię przed tym przestrzegła.

Peyton siorbnął łyk gorącej herbaty. – Coś jeszcze miałaś przekazać?

– Że śrut na nic się nie zda, kiedy będą w tych swoich skórzanych płaszczach. Mówił, że od przodu dają podwójną warstwę, więc strzał ze śrutu zrobi na nich takie wrażenie, jak użądlenie pszczoły.

Odwrócił twarz do okna. Każdą z szyb obrzeżały dwa cale szronu. Nad zamrzniętą zatoką ledwie przyjęła się pierwsza szarość dnia. – Biorąc pod uwagę, że wybieramy się tam w pokojowych zamiarach – zamyślił się – może to nawet nie tak źle, że staruszka zmoęła gorączka.

– On po prostu chce, żebyś wrócił stamtąd żywy.

Peyton popatrzył w swoją miskę. Zjadł do końca polewkę, palcem wskazującym zebrał z naczynia resztki tłuszczu i wypił ostatni łyk herbaty. Czuł się tak, jakby ktoś przeciągnął jego wnętrzości przez pole pokrzyw. Zastanawiał się nawet, czy nie powiedzieć tego głośno. Ostatecznie rzucił tylko: – Lepiej będę się już zbierał, jeśli mam dzisiaj dotrzeć do Ship Cove.

Ekspedycja wyruszyła z Ship Cove o siódmej rano w niedzielę trzynastego stycznia 1811 roku. Pogoda była nieobliczalna – chmury wisiały nisko, wicher niósł śnieg. Kiedy ruszali, dzień ledwie wyodrębnił się z ciemności. W sumie grupa składała się z dwudziestu trzech osób, licząc Peytona, Richmonda, Taylora i Reilly'ego. Poza nimi szło czterech żołnierzy, sześciu marynarzy i chłopiec pokładowy z okrętu HMS Adonis, do tego William Cull z Matthew Hughsterem, James Carey i kilku innych zatrudnionych przez nich mężczyzn. Ochotnicy zostali przebadani przez okrętowego lekarza i wszyscy z wyjątkiem jednego – żołnierza marynarki wykazującego pierwsze objawy gruźlicy – uznani za zdolnych do udziału w wyprawie.

Oprócz plecaków i broni grupa ciągnęła sanie zawierające łącznie 3600 funtów prowiantu i różnych sprzętów: chleb, cukier, herbatę i kakao, peklowaną wieprzowinę, solone ryby, 60 galonów alkoholu, 270 funtów nabożów i skrzyń amunicyjnych, 10 siekier, 6 szabel marynarskich, 40 funtów przyborów kuchennych. Pakunki na saniach mieściły również starannie zinwentaryzowany zasób podarków dla Czerwonych Indian: koce, 30 szt.; wełniane ocieplacze na ramiona, 9 szt.; flanelowe koszule, 18 szt.; topory, 26 szt.; cynowe garnki, 10 szt.; do tego rozmaite drobiazgi, takie jak korale, nici, noże, haczyki.

Od szkunera do przylądka Little Peter's Point szli smagani wichrem od mo-

rza i śniegiem kłującym w oczy. Sunęli gęsiego, chyląc się pod wiatr i opuszczając głowy nisko, by osłonić odkrytą skórę twarzy. Na buty pozakładali raki, żeby się nie ślizgać, ale lód na zatoce był zbity tak ciasno, że popękał i powybrzuszał się do góry. Długie lodowe grzbiety i iglice wyniesione przez ciśnienie zmieniły taszczenie sań w trudną, wyczerpującą robotę. Mężczyźni obciążeni jedynie plecakami szli za tymi wlokącymi sanie, by chronić ciężkie pojazdy przed wywróceniem. Otrzymali rozkaz, by trzymać się blisko siebie, ale w nędznym świetle i śnieżnej zawiei trudno było dojrzeć człowieka idącego o dziesięć kroków dalej. Buchan truchtał w tę i we w tę wzdłuż szeregu, upewniając się, że nikt się nie zgubił.

Peyton szedł w parze z Richmondem. Przepychał sanie ramieniem przez nierówny lód i głębokie zasy; napierał na nie całym ciężarem ciała, żeby nie obróciły się, przejeżdżając przez lodowe załomy. Kiedy dotarli wreszcie na zawietrzną przyładka, jego bielizna i koszula były już przesiąknięte potem. Porzuciwszy na chwilę sanie, mężczyźni zaczęli przeżuwać suchary i ssać garście śniegu. Buchan przechodził poprzez kotłującą się grupę jak człowiek zajęty, który zamierza odstawić jakiś przedmiot, aby skupić się na bardziej naglących sprawach. Wykazywał niespożytą, żyłastą energię, która myśliwym oraz rybakom zdawała się niedorzeczna i niemal śmieszna u tak niskiej, drobnej postaci. Szarpał nerwowo za rzemienie, którymi były przewiązane sanie, aby upewnić się, że się nie poluzowały.

– Na Exploits lód jest równy – powiedział do załogantów. – Przed najgorszym wichrem już się ukryliśmy, teraz będziemy mieli dobre tempo.

– Jak jest taki pełen wigoru – mruknął Richmond do Peytona – to może niech sam pociągnie te cholerne sanie, a dla odmiany my pobawimy się w psy pasterskie.

Peyton podniósł uprząż rzuconą na ziemię przez Richmonda. Pot na jego skórze już ostygł; śpieszno mu było ruszyć w drogę, zanim ziąb wniknie jeszcze głębiej. Patrzył, jak Richmond podchodzi do Toma Taylora i powtarza ten sam żart. Taylor wznosił twarz do nieba i wybuchnął śmiechem. Dwaj mężczyźni rozmawiali dalej – obserwując ich coraz chmurniejsze twarze, Peyton widział, że charakter ich dyskusji ulega zmianie. Zaczęli się o coś kłócić i po chwili wydzierali się już na siebie, obrzucając się wyzwiskami z wprawą, która zwróciła uwagę całej grupy. Buchan podszedł do Peytona.

– Powiniennem interweniować? – spytał.

Peyton pokręcił głową. – Tak już mają. – Napał na uprząż i stanął lekko pochylony, równoważąc ciężar sań i wpatrując się w swoje stopy. Przez dziesięć lat – jak długo znał Richmonda i Taylora – nie słyszał ani jednej rozmowy między nimi, która nie zakończyłaby się gniewną wymianą zdań i obelg. Uraza, jaką do siebie żywili, spowszedniała już do tego stopnia, że łatwo można było zbyć ją jako nieszkodliwą, wręcz czułą. Peyton czuł zażenowanie, przyglądając się czemuś tak intymnemu. – Lepiej ruszajmy – powiedział. – Jeśli zechcemy czekać, aż ci dwaj

ochłoną, będziemy tu tkwić do zmroku.

Buchan zaczął komenderować ludźmi, a gdy korowód powlókł się naprzód, Richmond odwrócił się od Taylora, żeby dogonić Peytona. Jego masywne barki były obłe jak klepka od beczki, twarz porastała czarna, kędzierzawa broda. Kręcił głową, uśmiechając się do siebie. Popatrzył na Peytona oczami człowieka, który właśnie ugasił pragnienie.

Przez dwie mile maszerowali sprawnie, osłonięci od wiatru gęstym, brzo-wo-topolowym lasem, porastającym brzegi rzeki aż do samej wody. Za cyplem Wiggam Point rzeka Exploits skręcała na północny zachód, prosto pod wiatr, tak że każdy z mężczyzn naparł na ciężki wicher, jakby sanie zrobiły się nagle dwa razy cięższe. Milę dalej obeszli górny jaz Hughstera, a stamtąd zawędrowali aż pod szczątki chaty, której William Cull używał, zastawiając pułapki poprzedniej zimy. Była już prawie trzecia, dnia zostało im niewiele ponad godzinę, Buchan zarządził więc postój. Podczas gdy inni rozbijali obóz, porucznik wybrał się z Cullem i Hughsterem na rekonesans w górę rzeki.

Dach chaty zdążył już runąć do środka, jedna ze ścian leżała na ziemi, a pod pozostałe nawiało zasy wysokie na sześć stóp. Większość mężczyzn zajęła się kopaniem zagłębienia w śniegu, a Richmond i Taylor wzięli ze sobą chłopca pokładowego i poszli naciąć świeżej świerczyny na posłanie. Kilka razy przynieśli również po naręczu młodej brzozy i cienkich połamanych pni na ognisko. Z sań wypakowano lizel, który został rozwieszony na wyrwie pozostałej po zawalonej ścianie i zagięty tak, by po jednej stronie chaty utworzył coś w rodzaju sufitu. W oddali rozległy się dwa wystrzały.

– Czerwoni Indianie? – spytał kapral Bouthland.

– Tak daleko w dole rzeki raczej nie – odparł Peyton. – Jeśli nam się poszczęści, może dostaniemy na kolację świeżą zwierzynę.

Porozwieszali mokre skarpety na kijach zatkniętych nieopodal ogniska. Pół godziny później zwiadowcy powrócili, taszcząc udziec karibu. Buchan oznajmił, że rano przez co najmniej dwie mile czeka ich łatwa podróż po równym lodzie. Cull, który wypatroszył karibu i odrąbał nogę zwierzęcia, miał rękawy kurtki uwalane krwią. Od udźca odkrojono duże płyty mięsa i upieczono je na ogniu. Mężczyźni od świtu nie zjedli porządnego posiłku; pochłonęli mięso prawie na surowo.

Buchan chciał koniecznie przysiąść się do Peytona. Kiedy zjedli, obaj wyjęli fajki i tytoń, by nasycić ciała ciepłem dymu.

– Co do Richmonda i Taylora – zaczął cicho Buchan. – Powinienem ich rozdzielać?

– Łatwiej byłoby rozdzielić wody Morza Czerwonego.

– Czyli dobrze jest tak, jak teraz?

– Są jak stare małżeństwo – przytaknął Peyton. – Zanim przypłynęli w nasze strony, ich rodziny łowiły razem ryby na Francuskim Wybrzeżu, a potem w Trinity

Bay.

– Od jak dawna pracują dla pańskiego ojca?

– Najął ich jeszcze Harry Miller. Długo przed tym, jak nastąpiły tu moje czasy – stwierdził Peyton, po czym opowiedział Buchanowi tę historię tak, jak sam zasłyszał ją od innych mieszkańców wybrzeża.

Richmond poznał Millera na szkunerze płynącym z towarami i pasażerami na północ, do zatok Conception i Trinity oraz na Fogo. Miał wtedy najwyżej dwanaście lat. Ich rodziny dopiero co wróciły po zimie spędzonej w Anglii i płynęły do Trinity, żeby zająć nowe nabrzeża. Kiedy tylko statek wyszedł na otwarte morze, wściekła pogoda zmusiła wszystkich do schronienia się w ogólnodostępnej kabinie dla pasażerów. Ojciec Richmonda wdał się w rozmowę z krępym mężczyzną rozwalonym na ławie naprzeciw niego. Jegomość miał potargane siwe włosy i krzaczaste, nakrapiane bielą i czernią brwi.

– Na północno-wschodnim wybrzeżu ziemie tylko czekają, aż ktoś je zajmie – powiedział tamten. – Łososi tam w bród, a wszystkie tłuste jak noga dziwki. W głębi łądu traperskich szlaków od groma, aż nie starcza ludzi, żeby je wszystkie obrobić. – Opadł z powrotem na koję i zaczął polować na wszy, wydłubując je ze słomy i ściskając między paznokciami. – Gdyby Trinity nie przypadło wam do gustu, popłynicie do zatoki Exploits i wypytajcie o Harry’ego Millera. Już ja was ustawię.

Podczas tej wymiany zdań Richmond siedział u boku ojca. Millerowi towarzyszył John Senior, który nie odezwał się ani słowem.

Kiedy Richmond z Taylorem mieli po dziewiętnaście lat, ich rodzinom przydarzył się słaby sezon zakończony czterema tygodniami niemal nieprzerwanego deszczu na przełomie sierpnia i września, przez co nie byli w stanie należycie wysuszyć ryb. W większości nie zakonserwowały się jak należy i porosły pleśnią od wilgoci, tak że nadawały się co najwyżej dla psów. Nawet ogródek diabli wzięli – ziemniaki i rzepa pogniły w glebie. Ojciec Richmonda miał wtedy ledwie czterdzieści lat, ale wyglądał tak staro, że można go było wziąć za ojca mężczyzny w jego wieku. Chodził wечно zgarbiony, kulejąc, jakby z najwyższym trudem powstrzymywał ciało przed runięciem na bok. Matka była przekonana, że jeszcze jeden taki sezon uśmierci jej męża. Nie mieli innego wyjścia, niż błagać o zasiłek dla ubogich w St. John’s albo wrócić na zimę do Anglii, zwerbowała więc panią Taylor do pomocy, chcąc nakłonić mężczyzn do porzucenia wyspy na dobre. Podczas gdy rok ciemniał, dwa małżeństwa spędzały coraz dłuższe wieczory na dyskusjach zakrapianych szklankami mocnego samogonu z ziemniaków, pędzonego przez ojca Richmonda w destylatorze na tyłach chaty. Nie uchodziło wątpliwości, że kobiety są bardziej wytrwałe i ostatecznie zwyciężą. Richmond z Taylorem powzięli natomiast postanowienie, że bez względu na wszystko zostaną na Nowej Fundlandii.

Tom Taylor ożenił się w St. John's z siostrą Richmonda, Siobhan, kiedy pozostali ich krewni czekali na statek mający zabrać ich do Anglii. Matka Richmonda oddała w zastaw sztukę pierwszorzędneho atlasu, żeby opłacić kapelana, który udzielił im ślubu. Po uroczystości wszyscy weselnicy spili się w jednym z parszywych szynków na przystani. Kiedy orszak dotarł do knajpy, kilku facetów spało już na słomie rozłożonej pod ścianą. Światło strzelało nierówno z półtuzina łożowych świec. Siobhan miała na sobie muślinową suknię zarzuconą na szare pantaloney ściągnięte w kostkach czarnym sznurkiem. Richmond wznosił toasty za nowożeńców oraz ich rodziców, a obecni w tawernie nieznajomi wstawali ze swoich miejsc wraz z obiema rodzinami, życząc im wszelkiej pomyślności.

Ani Richmond, ani Taylor nie widzieli jeszcze północno--wschodniego wybrzeża na oczy. Niecały tydzień później wypłynęli z St. John's, aby odszukać Harry'ego Millera. Wsiadłszy na Fogo, Richmond spostrzegł na nabrzeżu Johna Seniora. Ten go nie pamiętał; nie wiedział, gdzie się spotkali. Miał właśnie popłynąć do St. John's, aby stamtąd wrócić na zimę do Poole, opóźnił jednak podróż i odstawił ich do domu zimowego Millera.

Miller był już porządnie wstawiony, kiedy zszedł do nich na przystań. Podejrzliwie przechylił głowę, przyglądając się trójce młodych nieznajomych schodzących na brzeg w towarzystwie Johna Seniora. On również nie pamiętał spotkania z Richmondem. Nie przypominał sobie ani paskudnej pogody podczas rejsu z St. John's, ani faktu, że przez całą podróż jego współnik siedział obok niego, nie odzywając się choćby słowem.

– Chociaż przyznaję, że to całkiem podobne do tego zawziętego skurczybyka! Co nie? – skinął do siedzącego obok Johna Seniora i wybuchnął śmiechem. Drapał się zapamiętałe po głowie, jakby włosy nie były dość rozczochrane jak na jego gust. – Nie wymyśliliście sobie tego, co? Naprawdę obiecałem wam pracę?

Peyton nigdy sam nie słyszał, w jaki sposób wysławiał się Miller, lecz cytując jego słowa, zmienił barwę głosu, przybierając ton jowialnej opryskliwości, używany w tym momencie opowieści przez tych, którzy go znali.

Buchan pokręcił głową. – Żałuję, że nie miałem okazji poznać pana Millera. Zdaje się, że była z niego barwna persona.

– To właśnie Richmond z Taylorem go znaleźli. Jego ciało. Po tym, jak dopadły go Indiańce.

Buchan przytaknął. – I zostali tu, pracując dla pańskiego ojca.

– Tak jest. I bezustannie skacząc sobie do gardeł. – Peyton wpatrywał się w płomienie. Nogi trzymał tak blisko ogniska, że z jego butów unosiła się para, a mimo to dygotał z zimna. – Moje zdanie jest takie, że mogą sobie drzeć koty do woli, dopóki nie zwrócą się przeciw któremuś z pozostałych.

Buchan oczyścił główkę fajki, stukając nią o but. – W porządku.

Wiatr osłabł wraz ze światłem, a temperatura spadała, w miarę jak niebo nad

ich głowami się oczyszczało. Podpaliwszy drugi stosik gałęzi, mężczyźni skulili się między ogniskami, leżąc pod okryciem z futer, ale chłód był tak dojmujący, że nikt nie był w stanie sklecić z urywanych drzemek nawet odrobiny porządnego snu. Peytonowi udawało się przysnąć tylko na kilka minut, a potem budził się wskutek bólu i tupał nogami lub zabijał ramiona, by wywołać choćby mrowienie w pozbawionych czucia kończynach. Inni wstawali, by dorzucić drewno do ognia lub po prostu chodzili po obozie, próbując odpędzić ziąb.

Nieco po północy Peytona obudziły ostre skurcze kiszek, wywołane przez niedopieczone mięso, które zjadł, poszedł więc w las, żeby się załatwić. Kucnął pod drzewem, zwrócony twarzą do żagla, wydymającego się i strzelającego na wietrze. Ogień rzucał na płótno zniekształcone cienie mężczyzn, które unosiły się i opadały jak dusze pogrążone w falach przyływu. Poczuł smutek, który omyłkowo uznał za strach. Widoczny za chatą odcinek zamrożonej rzeki Exploits stanowił szeroką granatową szramę obrzeżoną ciemnością. Siła wody płynącej pod lodem przesunęła skorupę, jej głuchy trzask poniósł się po lesie echem, odbijanym z jednej strony rzeki na drugą. Peyton skulił się i zadrżał; pomyślał o Cassie, brnącej samotnie przez te lasy jesienią. Głosy mężczyzn rozmawiających jeszcze w obozie trzepotały się w koronach drzew niczym ptaki nawołujące wbrew zimnu i ciemności.

O świcie zwinęli obozowisko. Poranek był pogodny, dął przeszywający północno-zachodni wiatr. Mężczyźni byli tak wyczerpani i zlodowaciaли, że, pozbawieni czucia w stopach oraz dłoniach, potykali się i zataczali jak pijacy, dopóki wysiłek dnia nie tchnął w ich ciała odrobiny ciepła. Przebyli dwie mile, mijając po drodze Nutt Islands oraz wtuloną w drzewa chatę Reilly'ego. Pół godziny drogi dalej natrafili na nieduży wodospad, przy którym przystanęli, by odpocząć i zamienić się przy saniach. Ponad wodospadem długi ciąg bystrzy pokarbował lód tak mocno, że niemal nie sposób było przeciągnąć sani przez grzbiety. Nieduża grupka poszła przodem, by wybadać najmniej zdradliwą ścieżkę. Przewiązy z rzemieni, utrzymujące sanie w całości, luzowały się od nieustannych uderzeń, musieli więc często przystawać, by zaciągać je na nowo.

Późnym popołudniem ekspedycja miała za sobą niecałe siedem mil drogi. Wciągnąwszy sanie między drzewa na północnym brzegu rzeki, narąbali świerczyny, by ogrozić ognisko, i ugotowali kolację złożoną z peklowanej wieprzowiny oraz mięsa z drugiej nogi karibu, którą zabrali rano, mijając ustrzelone zwierzę. Noc nie była wcale cieplejsza od poprzedniej, ale mężczyźni byli tak wycieńczeni, że wszyscy poza wartownikami spali twardo do rana. Zanim wyruszyli dalej, z myślą o drodze powrotnej Buchan kazał im zakopać w obozowisku skrzynię z dwudniowym zapasem chleba, wieprzowiny, kakao i cukru.

Lodowa skorupa stawała się coraz bardziej nierówna, w miarę jak szli w górę rzeki. Ci, którzy nie wlekli sań, pracowali na przedzie z siekierami lub szablami, wyrównując najbardziej szpiczaste grzbiety oraz wypełniając doły lodem i śniegiem, by sanie nie roztrzaskały się przy upadku. Po południu trzy pojazdy były już tak mocno uszkodzone, że musieli się zatrzymać, by je naprawić i przepakować bagaż. Dwóch spośród ludzi Culla wysłano przodem razem z chłopcem pokładowym, by milę dalej założyli obozowisko i rozpalili ogień. Pozostali dotarli do nich chwilę po zmroku.

Wczesnym popołudniem 16 stycznia stanęli u stóp pierwszego z wielkich wodospadów. Buchan poszedł przodem z Cullem i Hughsterem, by odszukać indiańską ścieżkę, używaną przez Beothuków do przenoszenia łodzi. Pozostali rozpalili i ogrodzili ognisko na północnym brzegu rzeki z myślą o noclegu. Peyton z Reillym uwiązali do butów okrągłe rakiety i poszli z bronią w górę strumienia uchodzącego do rzeki nieopodal obozu. Pół mili dalej natrafili na wzniesioną przez bobry tamę, która utworzyła sporych rozmiarów staw. Nurt spływający pośrodku progu sprawiał, że na części zbiornika nie powstał lód, przykucnęli więc nieopodal między drzewami. Po wizycie Cassie w chacie Reilly'ego między mężczyznami wkradło się pewne skrępowanie. Ich zwyczajowe przekomarzanki wydawały się teraz wymuszone i infantylne, a nie zdołali jeszcze wypracować języka odpowiedniego do sposobnych okoliczności ich przyjaźni. Czekali w milczeniu przez ponad godzinę, aż w dniu nie pozostało dość światła, by dało się dostrzec cokolwiek na pięćdziesiąt jardów. Porzucili już niemal myśl o upolowaniu jakiejś zdobyczy na kolację. To, do czego oddali ostatecznie strzał, było tylko cieniem, który przemknął nagle ponad zaporą.

Futro bobra było gładkie i tłuste; brudziło rękawice, gdy obracali przysadziste zwierzę na grzbiet, by je wypatroszyć. Stworzenie mierzyło ponad trzy stopy długości od czubka nosa po koniuszek ogona przywodzącego na myśl szerokie, płaskie wiosło, a ważyło dobre sześćdziesiąt funtów.

– Przypomina mi szczury ze statków z Indii Wschodnich cumujących na Tamizie – stwierdził Reilly. Postukał okrwawionym nożem w potężne siekacze zwierzęcia. – Też mają takie zębiska.

W obozie zawiesili nad ogniskiem spory kociołek wody, oprawili zwierzę i wrzucili do wrzątku chude przednie łapy, by ugotować rosół. Tylną część tuszki nadziali na szpikulec i przyrządzili na ogniu, nie dzieląc jej, dopóki gruba warstwa tłuszczu nie upiekła się na chrupko. Tej nocy mróz był zaskakująco lekki; mężczyźni zjedli swoje porcje i zaczęli rozmawiać z największym entuzjazmem, jaki zdołali wykrzesać z siebie od początku wyprawy. Marynarze i żołnierze nie jedli jeszcze nigdy bobra – większość orzekła, że to przyzwoita potrawa. Kiedy skończyli mięso, Reilly usmażył ogon na słoninie i każdemu z ludzi Buchana dał posmakować pożywnego szpiku. Chłopiec pokładowy przez chwilę przeżuwał swój

kęs w zadumie, po czym spytał, czy to prawda, że otoczony przez drapieżniki bóbr odgryza sobie jądra.

– Ma się rozumieć. To prawo natury, jak przyływy i odpływy – obwieścił poważnie Richmond. – Zajada, żeby zyskać na sile. Zapamiętaj sobie, że spicie wyciągu z bobrzego przyrodzenia czyni cuda z usposobieniem mężczyzny.

Chłopak parsknął drwiąco. – Idź mi pan z takimi.

– To prawda, jak Boga kocham. Tomie Taylor! – zaapelował o pomoc Richmond. – Czyż nie mam racji?

– To najświętsza prawda – przyznał Taylor. – Znałem jednego takiego, co wypił bobrze soki przed wizytą w lupanarze i nie skończył, dopóki nie zmarł z wycieńczenia. Zaciupciał się na śmierć. A jak go wykładali na mary, to jeszcze mu stał, twardy jak skała.

– Co za głodne kawałki – powiedział młody.

– Głodne czy nie, mam to gdzieś – wtrącił się kapral Bouthland. – Powiedźcie lepiej, kto tu widział któregoś z tych Czerwonych Indian, których szukamy?

Po raz pierwszy, odkąd opuścili Peter's Arm, ktoś z rozmysłem wskazał cel ich podróży. Buchan siedział nieopodal z fajką i, podobnie jak każdego wieczora, robił zapiski w swoim dzienniku przy świetle ogniska. Dotąd zdawał się nie śledzić rozmowy, nagle usiadł jednak prosto. Wepchnął dziennik do torby.

– Właśnie. Co na to powiecie?

Peyton zerknął na Reilly'ego. Irlandczyk wpatrywał się co prawda w ogień, ale wyczuwając najwyraźniej spojrzenie towarzysza, pokręcił nieznacznie głową, nie odrywając wzroku od płomieni. Pozostali zaczęli wiercić się nerwowo.

– Panie Peyton? – zagaił Buchan.

Peyton odchrząknął. Oznajmił, że zanim przyplłynął na Nową Fundlandię, widział w Poole wystawioną na pokaz dziewczynkę, która ponoć była Czerwoną Indianką. Miała na sobie sukienkę i buty, niewiele różniła się od angielskich dziewcząt, poza tym, że ktoś pomalował jej twarz i zaplótł pióro we włosach.

W tym momencie Tom Taylor, dotąd gładzący oburącz w milczeniu swoją płową brodę, wtrącił się i powiedział, że z tego, co mu wiadomo, ogólnie rzecz biorąc, Czerwoni są rasą olbrzymów. Wielu spośród Indian, o których dotąd opowiadali mu inni, miało rzekomo ponad siedem stóp wzrostu.

Reilly oznajmił, że tylko idiota wierzy we wszystko, co mu się opowiada. Urażony jego słowami Richmond rzucił: – Zabawna sprawa, bez dwóch zdań, że akurat papista wyśmiewa wiarę we wszystko, co się człowiekowi powie. – Richmond i Taylor przepracowali z Reillym na rzekach Johna Seniora już dwadzieścia lat z okładem, ale cała trójka nie darzyła się zbyt ciepłymi uczuciami. Sam fakt, że Reilly był irlandzkim katolikiem wystarczył, by Richmond traktował go z wrogością. Małżeństwo z Annie Boss dolewało tylko oliwy do płonącego stale ognia niechęci. Mówiąc, Richmond wpatrywał się wyzywająco w Irlandczyka i tylko czekał,

aż ten zaprzeczy albo mu przerwie. – Zdarzało mi się napatoczyć na stare indiańskie groby. Raz czy dwa razy, chcąc zaspokoić ciekawość, przyłożyłem znaną goleń do własnej nogi. Nie zaliczam się raczej do niskich mężczyzn, ale przy szczątkach tamtych Indian poczułem się jak mały chłopiec.

Wokół ogniska poniosło się szemranie, tu i ówdzie dały się słyszeć lekceważące śmiechy. Reilly pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

– Panie Cull – odezwał się Buchan. – Z tego, co wiem, odstawił pan kiedyś kogoś z nich do St. John's, zgadza się?

– Owszem, sir. Będzie już dziesięć lat, o ile mnie pamięć nie myli. To była młoda kobieta, płynęła samotnie kanu w kierunku jednej z ptasich wysp na Gander Bay. – Cull poprawił sobie płaszcz na barkach, jakby miał mu zaraz zjechać z pleców. Zostało mu już w ustach tak niewiele zębów, że twarz miał wklęsłą niczym człowiek przymierający głodem. – W tamtych czasach gubernator dawał pięćdziesiąt funtów każdemu, kto po dobroci sprowadzi Indianina, a widząc, że jest sama, pomyślałem, że nie będzie to specjalny wysiłek. Zabrałem ją do miasta jesienią. Cholernie dużo hałasu wokół niej robili, a kupcy z żonami latali przy niej jak w ukropie, zabiegając o jej względy. Mimo że od lat pływałem już do St. John's, nikt z towarzystwa nie zaproponował mi choćby kubka herbaty, o przekąsce nie wspominając, a tę moją dzikuskę prowadzali po sklepach na nabrzeżu i pozwalali jej brać wszystko, co wpadło jej w oko. Interesowały ją głównie rzeczy ze stali, kociołki, czajniki i takie tam. Jeszcze ją widzę, jak człapie, niosąc w ramionach całe to dobro, a na dokładkę jeszcze cholernie wielki gar na głowie. Chciałem pomóc jej nieść część zdobyczy, ale chyba myślała, że jej coś ukradnę, bo nie pozwoliła mi niczego tknąć. Jednego wieczora urządzili dla niej tańce i sprosili całą śmietankę, żeby wszyscy sobie na nią popatrzyli. Pamiętam, że muzyka jej się podobała, ale nie dało się jej nakłonić do tańca. Wstydlive z niej było stworzenie i, o ile pamiętam, wielką miała słabość do dzieci, a dopóki była w towarzystwie kobiet, nic sobie nie robiła z tego, gdzie się znajduje. Ja byłem jedynym mężczyzną, któremu pozwalała się do siebie zbliżać. Pewnie zakładała, że skoro ją pojmałem, to będę ją chronił. Gubernator wypłacił mi nagrodę, po czym nakazał odstawić ją z jej garnkami na północ i tam wypuścić.

Znowu odezwał się kapral Bouthland. Należał do najstarszych żołnierzy, którzy zgłosili się na ochotnika do udziału w wyprawie; miał trzydzieści kilka lat. Był niemal zupełnie łysy, ale z tyłu głowy nosił warkoczyk usztywniony tłuszczem i mąką. Na prawym policzku miał pieprzyk, z którego wyrastała kępka sztywnych włosów, sterczących niczym czułki jakiegoś ślepego insekta. – A ta, jak wyglądała? – spytał.

– Jak na Indiankę, całkiem nie najgorzej – stwierdził Cull, po czym spojrzął na Reilly'ego i dodał: – bez urazy, Joseph. Była natomiast ledwie średniego wzrostu. Ubierała się w jelenie skóry, a wymalowała się tą ich czerwoną farbą od stóp

do głów. Nie sposób ją było nakłonić, żeby się umyła. Oczy miała ciemne jak dno piekła.

– A jak jej było na imię? – spytał Buchan.

– Nigdy nie nadaliśmy jej imienia jako takiego, poruczniku.

– Czy komukolwiek udało się z nią porozumieć, kiedy znajdowała się pod pańską opieką?

– Słów nie padło zbyt wiele, sir. Wszystko to była pantomima; mruknięcia i tym podobne. Tak sobie radziliśmy. Nikt nie zdołał wydobyć z jej ust ani jednego składnego zdania.

Buchan ponownie nabił i zapalił fajkę. Przez kilka minut ćmił ją w milczeniu. – Niektórzy wysuwają teorie, że Czerwoni Indianie wywodzą się od Norwegów, a ich języki są spokrewnione.

Cull pokiwał głową z kpiącym wyrazem twarzy. – Doprawdy?

– Szeregowy Butler – kontynuował Buchan, wskazując końcem fajki jednego z żołnierzy – biegle włada językiem norweskim i potrafi porozumieć się w większości dialektów używanych na północy Europy.

Tom Taylor był sceptyczny. – A w jakiż to sposób ten gołowąs posiadał tak nadzwyczajne umiejętności?

Butler usiadł prosto i objął kolana ramionami. – Moja matka jest Norweżką.

– No to dalej – zachęcił go Taylor. – Dajże nam tego posłuchać.

Bouthland szturchnął młodzika w plecy. – Wstawaj, koleżko – nakazał.

– Sir? – spytał Butler, zerkając na Buchana.

– Ależ proszę bardzo. Może panowie, którzy słyszeli język Czerwonych Indian, dostrzegą podobieństwo.

Żołnierz podniósł się ze swojego miejsca i stanął tak, jakby miał wygłosić przemówienie albo odśpiewać recital. Wyprostował się jak struna, opuszczając ramiona wzdłuż boków. Mówiąc, wpatrywał się w las. Miał proste blond włosy, zaplecione w warkocz opadający na plecy. Wykazywał się powagą, przez którą przywodził na myśl małe dziecko. Kiedy zakończył mowę – czy może recytację – pozostali załoganci nagrodzili go owacjami i zaczęli klepać po plecach.

– I jak? – spytał Buchan.

Cull otarł zasmarkany nos o rękaw kurtki. – Jak mówiłem, sir, będzie już z dziesięć lat, jak ją pojmałem, ale jeśli mnie uszy nie mylą, zdaje się, że to ten sam bełkot, który słyszałem wtedy.

Peyton długo nie mógł zasnąć. Po raz pierwszy od wielu lat rozmyślał o dziewczynce stojącej na blacie stołu w Poole. Zniecierpliwiony tłum Anglików pchał się do drzwi wysoko sklepionego pomieszczenia. Wszyscy zapłacili po dwa pensy, spodziewając się ujrzeć zdziczałe dziecko, jakiegoś potworka z dalekiej wy-

spy, coś wstrząsającego i obcego. Na pewno nie tę bladą, milczącą istotkę w angielskiej sukni, z wymalowanymi białą farbą czy wapnem kreskami na policzkach. Dało się słyszeć krzyki, tu i ówdzie rozległo się buczenie. Rozgoryczenie zbiorowiska ją przeraziło – jakby zdawała sobie sprawę, że rozczarowała ich czymś, czego nie była w stanie zmienić. Angielscy widzowie tłoczący się wokół niej musieli sami przypominać dzikie, wściekłe stworzenia, które tak bardzo chcieli zobaczyć.

To Richmond schwytał tamto dziecko, nikt z ich grupy nie wspomniał jednak o tym przy Buchanie z obawy przed pytaniami, które mogłyby mu się nasunąć. Peyton wyobraził sobie Richmonda grzebiącego w indiańskim grobie, przykładającego piszczele do nóg tak, jakby przymierzał ubranie. W mniemaniu Peytona to była prawdziwa bezduszość, trzeba być bez serca, żeby naruszać miejsce pochówku w taki sposób. Żałował, że sam nie może powiedzieć, iż nie miał w czymś podobnym udziału.

Groby Czerwonych Indian były rozsiane nad całą zatoką Exploits, choć żadne z tych, na które natknął się Peyton, nie wyglądały na świeże. Pierwszego wspólnego lata na wybrzeżu John Senior zabrał go na obchód po rzekach w okolicach zatoki, żeby poznał mężczyzn łowiących łososie dla ojca i obejrzał krainę, której lwią część pewnego dnia sam miał objąć w posiadanie. Przekraczali akurat szeroki przesmyk łodzią o długości może szesnastu stóp. Miała pojedynczy, nieco wyższy od stojącego mężczyzny maszt, a na nim prostokątny żagiel wzdęty pełnym wiatrem. John Senior siedział na rufie i opierał się o rumpel. Peyton przysypiał na dziobie, kołysany do snu toczącymi się ciężko falami, które łódka pokonywała bez trudu. Prawie już zasnął, gdy zobaczył, że ojciec unosi głowę. John Senior wstał, jedną rękę trzymając wciąż na sterze, i popatrzył ponad wodami zatoki w kierunku, z którego wiał wiatr.

– Wiosła do wody – nakazał. Odwrócił się, by uwiązać rumpel. – Johnie Peyton! – krzyknął.

Usiadłszy, Peyton popatrzył na horyzont, ponad którym sunął szybko przysadzisty wał chmur, wygaszając rozbłyśki słońca na falach. Ledwie podniósł się na nogi, wiatr zadał im pierwszy cios, a łódź przechyliła się na burtę i gwałtownie wyprostowała, tak że Peyton wylądował na tyłku. Podczas gdy morze burzyło się coraz mocniej wokół nich, John Senior podczołgał się do masztu i zrzucił napięty żagiel. – Wiosła, do cholery! – zawołał. Peyton nie był jednak w stanie dźwignąć się na nogi, tak że John Senior zostawił łopoczący żagiel na pokładzie, podpełzł do ławeczki i sam założył wiosła.

Otoczyły ich nagle fale sięgające powyżej masztu; dziób łodzi szedł niemal pionowo do góry, a potem opadał ciężko jak młot wbijający pale pod ogrodzenie. Grzebień każdej z fal załamywał się ponad relingiem, w zenicie zachlupotały nagle całe galony morskiej wody. Peyton przedostał się z trudem na rufę, złapał drewniany czerpak i zaczął wybierać wodę za burtę. Przeszli przez grzbiet następnej fali;

zapał się w łodzi, gdy znowu runęli w przepaść.

– Wybieraj, Johnny! – wrzasnął ojciec. Szarpnął wściekle za wiosła, ustawiając ich dziobem do kolejnego wysokiego na dziesięć stóp bałwana. – Wybieraj, na miłość boską!

Dotąd nie zdarzyło się jeszcze, żeby ojciec nazwał go „Johnny”. Zanim Peyton rzucił się do wybierania, podniósł wzrok i spojrzał w jego stronę. Zamarł w pół drogi, przytrzymując się ręką za krawędź burty. Zobaczywszy jego twarz, John Senior zerknął przez ramię w stronę dziobu. Woda ciekła wszystkimi szparami.

Najbliższy skrawek lądu stanowiła Swan Island, John Senior odpał więc od linii wiatru i popłynął w jej kierunku. Morze uspokoiło się nieznacznie, gdy znaleźli się na zawietrznej wyspy. Garb granitowych wzgórz i rzadkich skupisk czarnej świerczyny pojawiał się w polu widzenia, gdy byli na szczycie każdej z fal, potem jednak znikał im z oczu, kiedy nurkowali ciężko w kolejną dolinę. To sprawiało wrażenie jakiejś kapryśnej, prowokacyjnej igraszki – obietnica schronienia udzielona i cofnięta, udzielona i cofnięta. W końcu Peyton przestał w ogóle podnosić wzrok i oddał się szaleńczej pracy z czerpakiem, tak otępiały ze strachu i zmęczenia, że niemal stracił czucie w ramionach – pozostał tylko monotony ruch, dźwiganie wody za burtę, raz po raz. Machał pojemnikiem w takim zapamiętaniu, że zaskoczył go nagły zgrzyt kila na płyciźnie przy plaży. Za linę wywlekli łódź tak daleko od wody, jak tylko byli w stanie, po czym zaciągnęli kotwicę między skały, żeby ją umocować. John Senior wdrapał się na wzgórze i chodził tam, dopóki pod nawisem skalnym nie natknął się na grotę zapewniającą jako takie schronienie przed wichrem i deszczem. Przemoczeni i wyczerpani siedzieli tam długo w milczeniu, dysząc ciężko.

– Wiesz, gdzie się znalazłeś? – spytał wreszcie John Senior.

– Nie mam pojęcia.

– Na ziemiach Indian, ot co. – Strzelbę ojciec trzymał na kolanach.

Peyton popatrzył na niego. Nadał się trząś.

– Mają groby na całym tym wybrzeżu, pod klifami. Zapewne i teraz siedzimy na jednym czy dwóch Indianach.

Peyton sądził, że ojciec sobie żartuje, ale było to do niego tak niepodobne, a na dodatek wypowiadał się tak rzeczowo, że ostatecznie musiał dopuścić myśl, iż może schronili się w indiańskim miejscu pochówku. Zakaszła w pięść, by ukryć gwałtowny dreszcz, który nim wstrząsała.

– Nic się nie przejmuj – dodał John Senior. – Martwi Indianie to twoje najmniejsze zmartwienie. To żywych powinieneś się obawiać.

Wiatr ustał równie nagle, jak się zerwał, wciąż jednak padał ulewny deszcz, równo pstrzający kroplami zmacony ocean. Woda kapała im na szyje z mokrego, górującego nad nimi skalistego klifu. Na horyzoncie, w miejscu, gdzie brudna narzuta chmur stykała się z morzem, nie sposób było odróżnić jednego od drugiego. Szum

ulewy był miarowy i kojący; w końcu Peyton zapadł w sen.

Kiedy się ocknął, nie zastał w grocie ojca. Deszcz wytracił impet i zmienił się w mglistą mżawkę. Peyton wygramolił się na otwartą przestrzeń i powiódł wzrokiem po wybrzeżu.

– Tutaj! – zawołał ojciec.

John Senior kucnął przy głębokiej jamie w skale, jakieś sto jardów na zachód. Podszedłszy do ojca, Peyton dostrzegł w głębi jaskini przykryty luźną stertą kamieni wymięty zwitek zabarwionego na czerwono materiału. Wpełzli do środka i przyklękli przy nim.

– Zazwyczaj dostają całun z brzozy kory – powiedział ojciec. Odrzuciwszy na bok kilka kamieni, pomacał zbutwiałe płótno. Na rękach zostały mu smugi czerwonej ochry. – Temu tutaj trafił się kawał chrześcijańskiego zagła. – Odłożył strzelbę i zaczął odtrącać kamienie na bok. – Pomóż no.

Kiedy oczyścili grób, John Senior zdjął płachtę z kości zmarłego. Szkielet został objedzony do czysta przez czas i słońce morskie powietrze. Zwłoki były ułożone na boku, w pozycji embrionalnej, z kolanami podciągniętymi do piersi. Żebra pozapadały się już i leżały na płytkim sierpie kręgosłupa. Przy lewej dłoni brakowało kości trzech palców. Pozostały tylko kciuk i palec wskazujący, wyprostowane niczym unieruchomione wskazówki zegara. Wszystko pokrywał drobny czerwony pył. Przy ciele leżała nieduża skórzana sakiewka, przewiązana rzemieniem splecionym z pasów skóry karibu. Gdy John Senior rozciął węzeł nożem, ich oczom ukazało się kilka wyrzeźbionych z rogu amuletów, kawałek pirytu oraz dwie ptasie czaszki. Jedną z nich ojciec podał synowi; chłopak obracał ją na dłoni, przyglądając się delikatnie wyżłobionym zagłębieniom.

John Senior zebrał z powrotem zawartość mieszka, ostrożnie zawiązał krunochy rzemień, po czym podsunął znalezisko synowi. – Masz – powiedział. – Na pamiątkę.

Peytonowi to słowo wydało się niezręczne, a gest osobliwy, biorąc pod uwagę, że sami przed chwilą ledwo uszli z życiem. Sprawilo to, że poczuł wobec ojca nieufność, której natury nigdy nie potrafił jasno określić. Nie lubił myśleć o tym wydarzeniu; leżąc bezsennie zmarznięty i wyczerpany u brzegów rzeki Exploits żałował, że to wspomnienie kołacze mu się po głowie. Wiercił się niespokojnie pod kocami; otarł się czołem o szorstki materac ze świerkowych gałęzi. W końcu przekręcił się na bok, podciągnął nogi – aby leżeć dokładnie tak samo jak zmarły, którego wygrzebał przed laty – i w tej pozycji czekał na sen.

SZEŚĆ

Siedemnastego rano Buchan kazał zakopać w obozowisku skrzynię z prowiantem i cztery galony rumu. Grupa rozpoczęła wspinaczkę na szczyt wodospadu.

Wciągali sanie krętą ścieżynką pośród wysokich skał, dopóki nie zrobiła się zbyt stroma, by można było iść dalej w ten sposób. Ładunek został wypakowany z pojazdów, a mężczyźni zaczęli wnosić skrzynie na plecach. Każdy zrobił dwie czy trzy rundy, zanim udało im się przenieść cały prowiant oraz same sanie na koniec ścieżki i pokonać na wpół zamarznięte mokradła dzielące ich od brzegu rzeki. Koło południa wiatr powiał z południowego wschodu, a padający od rana wilgotny śnieg zmienił się w ulewny deszcz. Grupa pokonała łącznie nie więcej niż półtorej mili, ale ogólne zmęczenie oraz stan ich przemoczonych ubrań i bagaży skłoniły Buchana do zarządzenia przyspieszonego postoju na nocleg. Obozowisko osłonili lizalem rozwieszonym między pniami drzew. O dziewiątej wieczorem deszcz ustał, a mężczyźni, wysuszywszy ubrania przy ogniu, ułożyli się do snu.

Gdy nazajutrz rano poszli dalej w górę rzeki, las porastający brzegi przeobraził się z gęstwiny brzoź i topoli w ciemny korytarz czarnych świerków, sosen i modrzewi. Przed niemal siedemdziesięciu laty pożar strawił puszcę pomiędzy zatoką Exploits a wodospadem; stara świerczyna została zastąpiona przez topole i brzozy, które rozsiały się po pogorzeliisku. Zmiana w otaczającym ich lesie była nagła i całkowita, jakby ktoś wytyczył wyraźną linię oddzielającą dwa światy.

Rzeka ponad wodospadem była tak wzburzona i rwąca, że pośrodku koryto było otwarte, a wcześniej rano jedne z sań zapadły się w cienkim przybrzeżnym lodzie. Sanie opadły wprawdzie na płyciznę, ale siła nurtu sprawiła, że wlokący je James Carey runął do tyłu i został wciągnięty pod lód. Przez chwilę wszyscy krzyczeli szaleńczo, a Buchan nakazał pozostałym wycofać się na brzeg. Richmond położył się płasko na lodzie i zanurzył całe ramię w lodowatym nurcie, szukając Careya na oślep z twarzą zwróconą w stronę brzegu, jakby próbował wymacać skarpety, które zginęły pod łóżkiem. Carey wciąż tkwił w skórzanej uprzęży od sań i nie był w stanie się wyswobodzić, nawet gdy Richmond w końcu chwycił go za rękę i pociągnął do góry. Jego twarz migiała im na powierzchni, co chwilę znikając w spienionej wodzie. Gdy Richmond zawołał o pomoc, Peyton podczołgał się na tyle blisko, na ile starczyło mu odwagi.

– Siekierę! – wrzasnął Richmond przez ramię. – Szablę!

Buchan pchnął swoją broń po lodzie w ich kierunku, a Peyton podpełzł z nią do samej krawędzi wylotu.

– Odetnij go! – zawołał Richmond.

W rwącym nurcie rzeki Peyton dostrzegł tylko cień poruszający się pod powierzchnią, zaczął więc na oślep rąbać klingą poniżej ramienia, za które trzymał Richmond. Pomiędzy rękaw kurtki a flanelowy mankiet wsączyła mu się woda tak lodowata, że miał wrażenie, iż sieka ostrzem własną skórę. Gdy wreszcie udało im się wyswobodzić Careya, we dwóch odciągnęli go na brzeg. Topielec leżał na ziemi, drżąc, krztusząc się i krwawiąc jak zdzielona pałką foka.

Rozpaliwszy ogień, rozebrali go z przemoczonych ubrań. W międzyczasie

nieduża grupka żołnierzy za pomocą lin i bosaków wydobyła z rzeki sanie i uwiązany do nich sprzęt. Kilka ran widniejących pod ramieniem Careya zatamowali surową terpentyną z jodły. Jedno z cięć było tak głębokie, że musieli przyżegać je stałą rozgrzaną w ogniu. Potem okryli nieszczęśnika kocami. Peyton usiadł koło niego i przeprosił za zadane obrażenia.

Careyem wstrząsały niepohamowane drgawki; głośno szczekał zębami z wziębienia i na skutek doznanego szoku. – Cholera, dużo lepsze to, niż się utopić.

Richmond zdjął płaszcz i rozwiesił mokry rękaw nad ogniem. – Trzeba czasem puścić nieco krwi, żeby nie dać duszy wylecieć z ciała – powiedział.

Dwóch marynarzy dzień wcześniej zniszczyło sobie buty w ulewie i poobcierało stopy niemal do kości, tak że z najwyższym trudem dotrzymywali kroku pozostałym. Buchan postanowił zostawić tych dwóch z Careyem. Mieli poczekać przy nim, aż wysuszy sobie ubrania, a następnie wrócić na Adonisa. Reszta wyruszyła w górę rzeki, trzymając się blisko brzegu i niosąc w pogotowiu liny z bosakami.

Cztery mile ponad wodospadem, gdy nurt wreszcie się uspokoił a lód wyrównał, natknęli się na pierwszy z indiańskich płotów na karibu. Czuli się tak, jakby weszli w ciemny, pozbawiony drzwi korytarz. Po obu stronach rzeki drzewa zostały obalone jedno na drugie tak, że tworzyły ściany wyższe od stojącego mężczyzny. Najmłodszy marynarz stanął jak wryci i wzbraniał się przed ruszeniem z miejsca niczym konie stojące przed przeszkodą. Buchan nakazał wszystkim zejść na brzeg, gdzie zagotowano wodę na kakao, a William Cull opowiedział im o stadach karibu – niezliczonych setkach i tysiącach – przekraczających rzekę każdej jesieni i o tym, jak wzniesione przez Indian płoty doprowadzają zwierzęta do zagród, w których Beothukowie ukryci za drewnianymi parawanami ubijają je przy pomocy dzid i łuków.

Po posiłku opłukali i spakowali swoje metalowe kubki, a Buchan poprowadził wyprawę z powrotem na lód, wykrzykując rozkazy dużo głośniejsze, niż było to konieczne, jakby chciał wzbudzić w mężczyznach przekonanie, że jego władza rozciąga się daleko w otaczającą ich dzicz, zdającą się należeć już do kogoś innego. Grupa szła w milczeniu, rozglądając się uważnie. W miejscach, gdzie las był zbyt rzadki, by umożliwić budowę ogrodzenia, Indianie powbijali giętkie żerdzie obwieszane kołatkami z płatów brzozonej kory, powiązanych sznurkiem używanym w pułapkach na łososie. Kora kiwała się z każdym podmuchem wiatru i wydawała odgłos mający przestraszyć karibu i odwieść je od ucieczki znad rzeki w las. Stukanie narastało i cichło, lecz dało się je słyszeć nieprzerwanie jak fale rozproszonego aplauzu. Przyprawiło to o przerażenie również większość mężczyzn, którzy szli w górę rzeki po raz pierwszy w życiu. Na południowym brzegu co jakąś milę ich oczom ukazywały się wąskie korytarze prowadzące na ogrodzone polany, gdzie Indianie ubijali zwierzęta.

Nieustanna czujność wzmogła ich pośpiech, tak że utrzymywali dobre tempo, krocząc energicznie po gładkim lodzie. Spomiędzy płotów wyszli około trzeciej, a zatrzymali się już dobrze po zmroku, od rana uszedłszy w sumie dwanaście mil. Następnego dnia przebyli kolejnych dziewięć i dotarli za mokradła Rushy Pond. Dwudziestego stycznia pokonali osiem mil, w tym dwie już ponad drugim wodospadem. Droga po szorstkim lodzie za kaskadami odbiła się na stanie sań – dwa pojazdy były tak mocno uszkodzone, że musieli je porzucić i przepakować prowiant oraz sprzęt. Wieczorem za Badger Bay Brook przekroczyli rzekę, by rozbić obóz w młodym lesie na południowym brzegu.

Ślady ludzkiej obecności były już widoczne wszędzie wokół – pościnane pnie lub drzewa oznaczone ostrzami, niszczące *mamateeki* ustawione na co większych wyspach, pale cumownicze sterczące z lodu nieopodal indiańskich ścieżek – William Cull twierdził jednak, że z końcem wędrówek karibu Indianie przenieśli się zapewne w górę rzeki i osiedli nad jeziorem. Zgadywał, że ekspedycja nie spotka ani jednego, dopóki tam nie dotrze.

Po całym tygodniu mozolnej wędrówki większość mężczyzn robiła się słaba i ospała już o zachodzie słońca, a w obozie pozostawała na nogach zaledwie tyle, by przed zaśnięciem zdążyć zjeść. Richmond dla kontrastu zdawał się z dnia na dzień rosnąć w siłę, tak że ostatecznie sam ciągnął nieprzerwanie jedno z sań, podczas gdy inni zmieniali się przy pozostałych. Jediną dostrzegalną zmianą, jaka w nim zachodziła, było wyraźne pogorszenie humoru. Do Butlera w ogóle się nie odzywał, chyba że po to, by drwiąco wyrzucić z siebie strumień niezrozumiałych słów lub poprosić o kolejną próbkę indiańskiego narzecza jego matki. W towarzystwie innych myśliwych mówił o Buchanie „pies pasterski” albo „owczarek”. Przy każdej nadarzającej się okazji prowokował Reilly’ego, improwizując wydumane katolickie eksklamacje. „Na Niepokalanie Poczetą Przenajświętszą Maryję Pannę, Matkę Boską, poranek to isticie lodowaty”.

Tamtego popołudnia Cull zwolnił kroku, by znaleźć się koło Peytona i nakazał mu, by trzymał swojego człowieka krótko. – Dusza mu czernieje – ostrzegł. – Jeśli nie będziemy go pilnować, może mu strzelić do głowy jakaś głupota.

Peyton przytaknął. Dzień był ciepły; ciężki śnieg zalegający na lodzie sprawiał, że wleczenie sań było szczególnie męczące. Napał piersią na ciągnącą go do tyłu uprząż. – Będę na niego uważał.

W obozie został przy ognisku długo po kolacji; czekał, aż Richmond i Taylor położą się spać. Buchan siedział obok Reilly’ego. Wszyscy pozostali zapadli już w kamienny, wyzuty ze snów letarg. Reilly rozpostarł gołe dłonie, próbując ogrzać je przy ogniu.

– Od jakiegoś czasu chciałem o to spytać... – zagaił porucznik. – Ma pan dość paskudne szramy.

Reilly szybko spojrzął na wierzch dłoni, tak jakby po raz pierwszy dostrzegł

pokrywającą go ciemną sieć. Potarł pręgi drugą ręką. Peyton miał wrażenie, że próbuje je zmasać.

– O, to było całe wieki temu, sir – powiedział Irlandczyk do oficera, zerkając ponad płomieniami i spoglądając Peytonowi prosto w oczy. – Na starym kontynencie. Ta historia nie należy do tych, które lubiłbym wspominać. Poza mną brał w niej udział pewien kowal i jego córka. Mówiąc więcej, naraziłbym na szwank dobre imię dziewczyny oraz poważanie, jakim, mam nadzieję, obecnie mnie pan darzy.

Richmond zaklął i kopnął szczapę leżącą w ognisku, posyłając w górę nieduży pióropusz iskieł, które opadły na śnieg i tam zagasły. – A da się w ogóle zaszkodzić imieniu Irlandki? – spytał. – No, Tomie Taylor, co ty na to? A może poważaniu, w którymś ktoś ma Irlandczyka?

Taylor zbył pytanie wymijającym wzruszeniem ramion, lecz poza tym nie zrobił nic, by go powstrzymać.

– No dalej, snuj swoją smętną opowieść, Paddy – ciągnął Richmond. – Na nasze oko nie masz nic do stracenia.

Peyton popatrzył na Reilly’ego i Buchana. Porucznik uśmiechnął się i położył dłoń na przedramieniu Reilly’ego, by powstrzymać go przed odpowiedzią. – Mam nadzieję – powiedział oficer z tak silnym szkockim akcentem, na jaki go tylko było stać – że nie masz pan równie niskiego mniemania o wszystkich ludach celtyckich.

– Ależ skąd, sir – zaczął tłumaczyć się Richmond – tylko ten tutaj wyjątkowo mnie męczy, bo nie do końca wiadomo, po czyjej jest stronie.

– Zamknij ten plugawy pysk, Richmond – odezwał się Reilly.

Tamten puścił to mimo uszu. – Biorąc pod uwagę, że nasz ajrysz pozenił się z Indianką, szczytem głupoty byłoby oczekiwać, iż będzie wyżej cenił życie angielskich protestantów niż któregoś ze swoich.

Zanim Richmond skończył to mówić, Peyton zerwał się na nogi. Przyklękawszy przed nim i Taylorem, szeptał coś do nich przez chwilę.

– Przez szacunek dla twojego ojca – rzucił Richmond, po czym skinął głową, wpatrując się w ognisko z furiackim rozdrażnieniem.

Peyton wstał i zwrócił się do Reilly’ego: – Joseph, Richard chciałby cię przeprosić. Wszyscy wiemy, że Annie jest dobrą chrześcijanką. Powiedział to w żartach, nie chcąc obrazić ciebie ani twojej żony.

Reilly również wstał. – Doceniam to, John. Znaczyłoby to dla mnie jednak więcej, gdyby padło z ust jegomościa siedzącego za twoimi plecami. – Odwróciwszy się do Buchana, rzucił: – Dobranoc, sir.

Buchan skinął głową.

Peyton obszedł ognisko i usiadł na miejscu zwolnionym przez Reilly’ego. We czterech przesiedzieli przy ogniu dużo dłużej, niż którykolwiek mógłby sobie

życzyć. W końcu Richmond zaklął pod nosem i poszedł ułożyć się na swoim poślaniu, a Taylor ruszył w ślad za nim nieco bardziej potulnie, po drodze pozdrawiając Peytona i Buchana skinieniem głowy.

– Ten wasz człowiek, Richmond... – westchnął Buchan.

– Diabelskie nasienie. Ale właśnie podczas takiej mordęgi jak ta wędrówka można docenić jego wartość. Jeśli wpadnę pod lód, ciągnąc sanie, chciałbym mieć go gdzieś w pobliżu.

Buchan powoli pokiwał głową i przyjrzał się młodszemu mężczyźnie. Pomyślał, że twarz Peytona jest chłopcę, uderzająco pozbawiona bruzd. Na głowie miał burzę brudnozłotych włosów, w oczach żywy błysk zdumienia, który sprawiał, że wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości.

– Na co pan patrzy? – spytał Peyton.

Buchan wskazał go palcem. – Próbuję dostrzec w panu ojca – wyjaśnił. – I jakoś nie mogę.

– Twarz Johna Seniora to nie lada widok, przyznaję. – Peyton zapatrzył się w ognisko. – Może będę miał dość szczęścia, żeby z taką nie skończyć.

Dwudziestego drugiego rano natknęli się na kolejny odcinek płotu, a przebywszy wzdłuż niego dwie mile znaleźli duży, okrągły skład wzniesiony ze świerczyny i skór karibu nieopodal zagrody, której według Culla nie było jeszcze, gdy przechodził tamtędy przed osiemnastoma miesiącami. Ponad lód przy brzegu wystawały dwa pale cumownicze, a przed budowlą leżały szczątki kilku zarżniętych karibu.

Weszli do środka i przystanęli na parę chwil, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Z mroku wyłonił się rząd udźców i tułowi podwieszonych pod krokwiami. Nieopodal półek w głębi pomieszczenia znaleźli potrzask na kuny. Tom Taylor zwolnił mechanizm za pomocą kija. W magazynie znaleźli jeszcze cztery samotrzaski mające zabezpieczyć mięso przed padlinożercami. Na płytach wewnątrz pułapek widniały napisy *Peyton*. Richmond twierdził, że zostały skradzione z jego chaty jesienią.

Większość zamrożonego mięsa była przechowywana w kwadratowych skrzyniach wykonanych z płatów świerkowej kory. Duże kawały tłustego, oddzielonego od kości mięsa były ułożone tak, by pośrodku pojemnika zmieściło się serce, nerka lub wątroba. Natknęli się na kilka pokrywek od cynowych czajników, mogących według Culla należeć do kobiety, którą zabrał kiedyś do St. John's. W pomieszczeniu wisiało także parę skór – bobrów, kun i karibu – które Buchan kazał im zabrać razem z dwoma skrzyniami mięsa. Poszedłszy z chłopcem pokładowym do sań, przyniósł w zamian parę flanelowych spodni, wełniane skarpety, trzy bawełniane chustki, trzy składane noże, dwie siekiery oraz nieco nici

i szpagatu. Wszystko to ułożyli równo pośrodku magazynu.

Richmond, stojąc z potrzaskami przerzuconymi przez ramię, spytał porucznika, ile zamierza zapłacić Indianom za zwrot jego skradzionego sprzętu.

Pokonali jeszcze dziesięć mil, zanim rozbili obóz i upiekli mięso karibu na kolację. Buchan poprosił Peytona, by podczas zwiadu towarzyszył jemu i Cullowi w zastępstwie Hughstera, który uskarżał się na stopy. Wieczorna mgiełka rozszczała światło zachodzącego słońca tak, że czerwone ramiona blasku wyciągały się ku czterem stronom świata niczym płonący krzyż zawieszony ponad lasem. Cull wskazał im je, mówiąc: – Jutro zawieje prawdziwe wietrzysko, niezawodnie. – Po-deszli jeszcze dwie mile w górę rzeki, do obozu wrócili po zmroku. Cull zgadywał, że gdyby nie sanie, byłiby już o dzień drogi od jeziora. Wyznaczono trzy warty, a czuwający mężczyźni byli przez całą noc pod bronią.

Nad ranem zrobiło się lodowato i zerwał się wściekły zachodni wichur, dokładnie według przewidywań Culla. Peyton, który objął ostatnią wartę, siedział przy ognisku, gdy Buchan wygrzebał się z koców. Skinęli sobie na powitanie, nie próbowali jednak przekrzykiwać się z wyciem wiatru. Kilka minut później jeden z leżących nieopodal żołnierzy usiadł nagle prosto.

– Szeregowy Butler! – zawołał na powitanie Buchan.

Żołnierz obrócił się powoli do ognia. Jego twarz wyglądała jak maska błędnego zdumienia, jakby właśnie wrócił z wycieńczającej podróży po zaświatach.

– Witamy w krainie żyjących! – krzyknął Buchan.

Podczas śniadania mężczyźni kulili się na tyle blisko ognia, na ile starczyło im odwagi, a płomień miotał się to w jedną, to w drugą stronę niczym niespokojne zwierzę uwiązane na krótkim postronku. Musieli pokrzykiwać donośnie, żeby się usłyszeć, a ich głosy łamały się i zlewały w kłęby unoszone przez wiatr.

Rzeka ponad obozowiskiem stała się węższa, płytsza i tak rwąca, że nawet przy samych krawędziach koryta nie było lodu. Cztery mile przebrnęli po brzegu, w razie konieczności wyrabując ścieżkę przez zarośla za pomocą siekier i szabli, około dziesiątej rano stało się już jednak jasne, że nie sposób iść dalej z saniami. Buchan postanowił podzielić grupę i zostawić przy większości prowiantu ludzi Culla oraz czterech marynarzy. Reszta miała ruszyć dalej, niosąc w plecakach zapasy na cztery dni. Zamierzał zostawić tam również Taylora i Richmonda, ale obaj na samą wzmiankę o tym zaczęli okazywać urażoną dumę w tak niekontrolowany sposób, że – zważywszy dodatkowo na fakt, iż pozostali byli w większości wyczerpani wędrówką – Buchan był zmuszony do porzucenia tej myśli.

Większość charakterystycznych punktów powyżej Badger Bay Brook nie miała jeszcze nazw, więc za każdym razem, gdy natknęli się na kolejny dopływ rzeki Exploits czy istotny element ukształtowania terenu, Buchan zwoływał mężczyzn w wianuszek i kazał wykrzykiwać propozycje. Zostawiali za sobą nazwy niczym kamienie układane na ziemi, by znaczyły drogę powrotną przez dzicz: Bu-

chan's Island, pagórek Cull's Knoll, cypel Deep Woody Point czy wreszcie Surprise Brook, czyli strumyk, w którym Peyton się kąpał, zapadłszy się w lodzie. Richmond rozgłaszał wszem wobec, że on również chce nazwać coś swoim nazwiskiem. Za każdym razem okazywał rozczarowanie, że znowu został pominięty.

– Dzień jeszcze młody – uspokajał go Tom Taylor. – Z pewnością niebawem natkniemy się na skałę dość tępą, by godna była twojego nazwiska.

Cztery mile dalej Cull znalazł na południowym brzegu krótką ścieżynkę, którą niedawno ktoś przeciągnął kanu, by ominąć bystrze na rzece.

– Przenoska Dicka – ochrzcił ją Taylor, na co Richmond zwymyślał go od żalonych suchych pomiotów i kazał mu iść do diabła dodając, że nie chce go więcej znać.

Milę dalej obeszli długi, wysoki cypel i ujrzeli przed sobą jezioro, potężniejsze, niż którykolwiek poza Cullem by się spodziewał. Krańce ogromnej, pokrytej lodem i śniegiem przestrzeni wydawały się oddalone o cały dzień drogi, a środkiem doliny biegła olśniewająca stępka srebra. Było po trzeciej, a wiatr zelżał na tyle, że pogoda wydawała się znośna. Wsunąwszy się już pod sklepienie szarych chmur, słońce rozświetlało olbrzymią połą lodu, a śnieg wiszący na gałęziach świerczyny porastającej zbocza jarzył się złościście. Cała dolina sprawiała wrażenie katedry rozświetlonej płomieniami świec. Grupa wyczerpanych mężczyzn stanęła w miejscu. Oddychali ciężko, opierając się na kijach i nachylając do przodu, by zrównoważyć ciężar plecaków, a na wszystkich twarzach malował się wyraz zmęczenia i nabożnej czci, upodabniający ich do garstki pielgrzymów.

Peyton odezwał się pierwszy. – Ktoś tam jest – powiedział, wskazując przeciwniegi brzeg, na którym można było dostrzec dwa blade punkciki sunące na tle ciemniejszego lasu. Buchan kazał wszystkim ukryć się szybko między drzewami. Tam, mrużąc oczy, zaczęli dyskutować o tym, co widzą po drugiej stronie.

Taylor twierdził, że stworzenia mają po cztery nogi, więc to najprawdopodobniej karibu. Richmond parsknął drwiąco. – Ślepy jesteś jak jakiś pieprzony jeżowiec, a rozumu nie masz nawet w połowie tyle, co on. Te stwory mają po dwie nogi, a jeśli to nie Czerwoni Indianie, to ja jestem papistą.

Cull sądził, że najprawdopodobniej rację ma Richmond, zaproponował więc, by podeszli nieco bliżej, wciąż jednak trzymając się drzew, żeby się nie zdradzić. Zdjąwszy plecaki, zaczęli przedzierać się przez las tak szybko, jak tylko pozwalały im gałęzie olch, świerków i krzewów. Po półgodzinie odnieśli wrażenie, że wcale nie zbliżyli się do tajemniczych sylwetek. Buchan już miał zarządzić postój, gdy nagle kapral Bouthland wskazał jakiś punkt na krawędzi lodu. – Poruczniku, czy ten drugi przypadkiem czegoś nie ciągnie?

Mężczyźni osłonili oczy i wyteżyli wzrok w ostatnich promieniach słońca. – Sanie – powiedział Cull. – Coś w tym rodzaju.

Kilku innych przytaknęło. – To rozstrzyga sprawę – stwierdził Buchan, za-

wracając ich nad rzekę. – Jeśli ci dwaj chodzą tutaj na chwilę przed zmierzchem, to ich obozowisko nie może być daleko. Bładym świtem wrócimy w te okolice i spróbujemy podkraść się do nich, gdy będą jeszcze spali.

Wrócili za cypel osłaniający rzekę i rozbili obóz, a ponieważ zakładali, że znajdują się jeszcze ponad dwie mile od osady Indian, Buchan pozwolił im rozpalić nieduże ognisko, żeby ugotować kolację. Podczas posiłku wyłożył mężczyznom zasady, których przestrzegania oczekiwał od nich rano, zwłaszcza w obecności kobiet. Na koniec obwieścił, że broń odłożą razem z plecakami.

Richmond wstał ze swojego miejsca i zrzucił do ognia resztki z talerza. – Mowy nie ma – zaprotestował. – Za cholere.

– Panie Richmond – upomniał go spokojnie Buchan.

– Johnie Peyton? – zaapelował do młodszego mężczyzny Richmond, odwracając się do niego.

– Przybyliśmy tutaj z pokojową misją z ramienia gubernatora Nowej Fundlandii oraz Jego Królewskiej Mości – ciągnął porucznik.

– Gubernator może mnie pocałować w dupę, Królewska Mość zresztą też! – krzyknął Richmond.

– Panie Richmond! – Buchan wstał i ruchem ręki nakazał żołnierzom to samo. Po chwili wszyscy członkowie wyprawy zerwali się na równe nogi. Przez jakiś czas dało się słyszeć tylko wściekłe wrzaski. Richmond, osłaniany od tyłu przez Taylora, dźgał powietrze palcem, wydzierając się na Buchana; Peyton z Reillem zdołali wcisnąć się pomiędzy swoich ludzi a żołnierzy.

– Nie będzie żadnej misji, jak się wszyscy nie pozamykacie – hamował ich Peyton. Powtarzał to, dopóki wszyscy nie uspokoili się dostatecznie, by dać krok do tyłu.

Buchan oznajmił Richmondowi, że wyłącznie nadzwyczajne okoliczności powstrzymują go przed tym, by nakazać żołnierzom odarcie go z ubrań i wychłostanie do nieprzytomności. Nie chciał słyszeć z jego ust ani słowa, dopóki głośno nie przeprosi Jego Królewskiej Mości i gubernatora. Peyton szturchnął lekko Richmonda w plecy. Tamten popatrzył w ciemność i wygłosił przeprosiny tonem nieco bezczelnym, lecz zaledwie na tyle, by mieć pewność, że ujdzie mu to na sucho.

– Co nie zmienia faktu, że nie zamierzam iść nad jezioro bez broni – dorzucił.

– A więc nie pójdziesz – odparł Buchan.

– Ja też nie – powiedział Taylor, sadowiąc się przy ogniu. Hughster z wyraźnymi oporami dorzucił do listy również swoje nazwisko.

– Panie poruczniku – zaczął Cull – nie mamy pojęcia, na ilu Indian natkniemy się rano. Mogą ich być nawet dwie setki z okładem.

– Niewielkie możemy żywić nadzieje na zaskarwienie sobie ich zaufania, jeśli pojawimy się ze strzelbami w rękach.

– Może i tak – przyznał Cull. – Ale przynajmniej nam łatwiej przyjdzie wykrzesać z siebie zaufanie do nich.

Buchan zdusił westchnienie frustracji. Zwrócił się do Peytona. Twarz młodszego mężczyzny wykrzywiła się, jakby właśnie przełknął coś kwaśnego. – Panie Peyton?

Peyton wspomniał tamtą chwilę, gdy siedział naprzeciw Cassie, a ona powtórzyła mu słowa Johna Seniora. Poczł rozdrażnienie na myśl, że ojciec miał rację. – Poruczniku, rozumiem co prawda pańskie zapatrywania, muszę jednak z przykrością przyznać, iż sam skłaniam się raczej ku opiniom pana Culla.

– A zatem dobrze. – Buchan zajął swoje miejsce przy ognisku, co wszyscy stojący jeszcze mężczyźni odebrali jako zachętę do tego, by usiąść. – Żołnierze zostawią strzelby i pójdą z samymi pistoletami. Pozostali mogą zabrać taką broń, jaką uznają za stosowną. Nikt nie podejmie jednak żadnych działań bez mojego wyraźnego rozkazu. Zrozumiano?

Odpowiedział mu krąg kiwających głów. Zaczł prószyć lekki śnieg; te spośród widocznych w blasku ognia płatków, które zabłakały się nad płomienie, parowały i gasły niczym iskry skrzesane na krzemieniu.

Buchan obudził grupę o czwartej rano. Zjedli w pośpiechu, każdemu wydzielono kieliszek rumu dla pokrzepienia w zmaganiach z przenikliwym chłodem. Kiedy dotarli do miejsca, w którym widzieli dwóch Czerwonych Indian, było już na tyle szaro, że mogli iść po śladach pozostawionych przez tamtych na śniegu. Kilku żołnierzy uskarżało się na ziąb, co jakiś czas wszyscy wchodzili więc między drzewa, by spędzić parę minut w ukryciu przed wiatrem. Ślady płóz okrążyły cypel wrzynający się w jezioro i prowadziły na drugi brzeg. Na lodzie grupa była zupełnie odkryta; mężczyźni przeklinali pogodę i maszerowali tak szybko, jak tylko pozwalały im spuchnięte nogi i poobcierane stopy.

Na zachodnim brzegu znaleźli niedużą, osłoniętą zatoczkę, nad którą ujrzeli dwa rozstawione obok siebie *mamateeki*. Sto jardów od tamtych stał trzeci namiot. Za chwilę miało wzejść słońce. Zatrzymawszy mężczyzn, Buchan przyjrzał się broni każdego z osobna i nakazał im, by wszelkie jego polecenia wykonywali bezwzględnie. Podkradli się do brzegu w całkowitym milczeniu. Porucznik gestami rozmieścił ich tak, by obstawili wszystkie namioty. Kiedy wszyscy na migi potwierdzili gotowość, wyprostował się i stanął na baczność.

– Witajcie, przyjaciele! – zawołał. – Przynoszę pozdrowienia od Jego Królewskiej Mości, Króla Anglii.

Odpowiedziało mu jedynie ciche zawodzenie wiatru w drzewach.

Ruchem ręki nakazał Bouthlandowi podejść bliżej. Żołnierz ściągnął skóry z wejścia największego namiotu. Peyton zbliżył się do Buchana i Culla, stojących

nieopodal otworu. Razem wpatrywali się w półmrok, w którym leżała nieruchomo grupa mężczyzn, kobiet i dzieci. Peyton szybko ich porachował: siedemnaścioro, do tego jedno czy dwa niemowlęta. Żadna z postaci leżących w *mamateeku* nie drgnęła ani nie odezwała się słowem; nikt nie zerknął nawet ku otwartemu wejściu, by odnotować obecność nieznanym.

– Jak myślicie, co im dolega? – spytał Cull.

Buchan nagle przypomniał sobie o Butlerze i przywołał go bliżej. – Powiedz im, że nie ma czego się bać – rozkazał.

Żołnierz wykonał jego polecenie. Po chwili stwierdził: – Wygląda na to, że nie rozumieją, sir.

– To powiedz coś innego, do diaska. Spróbuj innego języka.

– Tak jest. – Butler wydukał to samo zdanie po szwedzku i fińsku, a na koniec także łamaną niemieczyzną, wszystko bez większego powodzenia.

– Dobra, dobra – powiedział wreszcie Buchan, zmuszając się do ciągłego posyłania uśmiechów ku zmarłym w bezruchu sylwetkom, spoczywającym w słabo oświetlonym wnętrzu. – Będzie trzeba jakoś sobie poradzić bez tego.

– Może to by coś pomogło, gdyby wszyscy, którzy są na widoku, pozbyli się broni – podsunął Peyton. Buchan przytaknął, więc Peyton z Cullem odłożyli strzelby, a pułkownik rzucił na śnieg swój pistolet i szablę. Oficer uniósł ręce, zbliżył się do *mamateeku* i stanął w wejściu.

– Jestem porucznik David Buchan z okrętu HMS Adonis – przedstawił się radośnie.

Twarze Indian zaczęły powoli obracać się w stronę mężczyzny leżącego w głębi namiotu. Ten w końcu podniósł się z posłania i podszedł do białego. Miał dobre sześć stóp wzrostu, przy nim porucznik wyglądał jak karzełek. Czarne włosy miał pofarbowane czerwoną ochrą, podobnie zresztą jak twarz, dłonie i skórzany płaszcz. Gdy Buchan wyciągnął do niego rękę, Indianin ją przyjął. Wymienili się powitaniem w swoich językach. Skinąwszy na Culla i Peytona, Buchan przedstawił ich Indianinowi, który odwzajemnił ich uśmiechy i uściśnął im dłonie. Powiedział coś do ludzi leżących wokół paleniska, a kilku z nich wstało i podeszło bliżej, by podjąć białych w wejściu do namiotu.

W ciągu kilku minut zebrał się przy nich cały obóz – Peyton naliczył łącznie trzydzieścioro ośmiu Beothuków – i obie strony przystąpiły do wymiany pozdrowień. Po chwili początkowej nieufności kobiety zaczęły przyglądać się ubraniom białych mężczyzn, dotykać materiałów i guzików, dyskutować głośno między sobą. Poza Richmondem wszyscy członkowie ekspedycji Buchana odłożyli strzelby. Chusteczki, koziki i inne interesujące drobiazgi, które mężczyźni mieli przy sobie, zostały zebrane i przekazane Indianom, którzy odwzajemniły się, wręczając im półtuzin kunich skór.

Po wymianie podarków przystąpiono do rozpalania ogniska; jedna z dziew-

czynek przykleknęła, by skrzesać iskry na okrągłą hubkę. Peyton zgadywał, że może mieć jakieś dwanaście lat. Podniosła wzrok; zorientowała się, że mężczyzna jej się przygląda. Uśmiechnął się do niej i skinął głową, po czym również przykleknął i osłonił dłońmi środek paleniska, by zachęcić płomień. Zauważył, że jako podpałki użyła pęczka puchu z piersi modrosójki. Dziewczynka lekko dmuchała na stosik i dokładała do ognia drobne strużyny. Ich głowy znalazły się tak blisko siebie, że czuł zapach oleju, którym natłuszczone były jej włosy.

Na ognisku upieczono duże steki z karibu; biali mężczyźni dostali kiełbasy z jaj i foczego tłuszczu. Siedzieli przy palenisku, posilając się i rozmawiając między sobą, wciąż jednak uśmiechali się do gospodarzy i wykonywali gesty mające dać im do zrozumienia, jak pyszne jest jedzenie i jak bardzo już się najedli. Pili wodę z kubków wykonanych z brzozonej kory, zszytej świerkowymi korzonkami.

Kapral Bouthland odezwał się nieco głośniejszym głosem, dzieląc się z innymi spostrzeżeniem, że Czerwoni Indianie nie są aż tak wielcy, jak się wcześniej obawiał, a najwyższy wśród nich – ten, który rano pierwszy zbliżył się do Buchana – najwyraźniej ma jakąś władzę nad całą grupą.

– Ja bym powiedział, że przypominają bardziej ludzi z kontynentu niż Indian – oznajmił Butler.

Richmond zwrócił się do młodego żołnierza: – A rozumiesz choć słowo z tego, co oni mówią?

– Obawiam się, że nie.

Richmond mruknął i pokręcił głową, jakby od początku wiedział, że to poroniony pomysł.

O dziesiątej mieli za sobą trzy i pół godziny spędzone w towarzystwie Czerwonych Indian. Buchan usiadł koło wysokiego wodza, narysował na ziemi prostą mapę i na migi wytłumaczył mu, że chce wrócić tam, gdzie zostawił podarki, a następnie wnieść je nad jezioro. Biali goście wstali i zaczęli szykować się do drogi, a wódz wskazał siebie i dwóch swoich towarzyszy, dając do zrozumienia, że pójdą razem z nimi. Gdy już to sobie wyjaśnili, kapral Bouthland poprosił o zgodę na pozostanie u Beothuków, dzięki czemu miałyby czas na naprawienie swoich rakiet śnieżnych. Szeregowy Butler na ochotnika został razem z nim.

Przed południem dotarli do swojego ostatniego obozu nad rzeką. Nie dostrzegłszy tam nic przypominającego zapasy czy podarki obiecane przez Buchana, wysoki wódz odłączył się od nich i zawrócił nad jezioro, dwóch swoich ludzi posłał jednak dalej z białymi.

Rzekę zastali otwartą, byli więc skazani na żmudną wędrówkę wąską lodową półką, trzymającą się jeszcze brzegu. Szukali drogi po lodzie, maszerując gęsiego. Jeden z Indian szedł przed Buchanem, drugi zamykał grupę. Późnym popołudniem

dostrzegli ogień podtrzymywany przez pozostałych członków ekspedycji Buchana. Indianie zaczęli pokazywać sobie ognisko palcami i odbyli krótką rozmowę. Po chwili ten, który szedł na końcu, odwrócił się i pobiegł w stronę jeziora.

– Ucieka! – zawołał Reilly, a cała grupa odwróciła się i popatrzyła w górę rzeki.

Taylor stwierdził, że Indianin jest jeszcze w zasięgu strzału z muszkietu, ale Buchan kazał wszystkim opuścić broń. Gestem ręki dał drugiemu Beothukowi do zrozumienia, że może śmiało pójść w ślady swojego towarzysza, ten jednak nie skorzystał z okazji. Zeszli razem do obozu z saniami, gdzie Indianin otrzymał w prezencie parę spodni, krótkie wełniane skarpety i flanelową koszulę. Natychmiast zdjął swój skórzany płaszcz oraz obcisłe spodnie i przebrał się w nowe ubrania. Był tak uszczęśliwiony podarkiem, że ponownie uściśnął dłoń każdemu z członków ekspedycji. Buchan wskazał mu także zapasy koców, wełnianych ocieplaczy, koszul, koralików, noży i innych artykułów, na migi pokazując, że wszystkie mają trafić nad jezioro.

Zasiedli do posiłku złożonego z solonej ryby zapijanej kakao. Biali mężczyźni rozmawiali między sobą, wyrażając obawy i niezadowolenie, pilnowali się jednak, by w zachowaniu wobec gościa wciąż okazywać serdeczną beztróskę. Cull i Hughster byli przekonani, że Indianin, który uciekł, zobaczywszy ognisko, musiał odnieść wrażenie, iż czeka tam ukryty oddział mający ich pojmać lub zabić.

Buchan przytaknął. – Podzielim panów obawy, jednakże obecność tego osobnika – wskazał brodą Indianina i uśmiechnął się szeroko, gdy spotkały się ich spojrzenia – stanowi wystarczające zabezpieczenie dla Butlera i Bouthlanda. Dobre traktowanie, z jakim tu się spotkał, zada kłam wszelkim fałszywym pogłoskom, które jego towarzysz może obecnie rozsiewać nad jeziorem. – Nachyliwszy się ku ognisku, podniósł czajnik i dolał wrzątku sobie oraz goszczącemu u nich Indianinowi.

Nazajutrz rano obudziła ich mokra zadymka i tumany śniegu unoszone z ziemi przez północno-wschodni wicher. Buchan zostawił w obozie ośmiu mężczyzn, pozostali zaś pochylili głowy i zaczęli brnąć poprzez przenikliwą zawieruchę, sunąc jeden za drugim w górę rzeki. Kiedy dotarli nad jezioro i ruszyli ku namiotom, Indianin miejscami wybiegał przed grupę i po chwili wracał, by dalej iść u boku porucznika. Pół mili od *mamateeków* wskazał ręką strzałę sterczącą ze śniegu pokrywającego lód. Nieopodal przebiegały świeże ślady sań.

O drugiej dotarli do obozu Czerwonych Indian i zastali opuszczone namioty. Schronienia zostały porzucone w nieładzie. Beothukowie zabrali ze sobą wszystkie przedmioty przedstawiające jakąkolwiek wartość, nie licząc kilku skór karibu oraz rzędu długich kości goleniowych podwieszonych na belkach.

Rozpaliwszy ogień z węgla żarzących się jeszcze na palenisku w największym z *mamateeków*, mężczyźni przystąpili do suszenia butów i skarpet. Wygoto-

wali na rosół szpik z jednej z goleni karibu. Niewiele rozmawiali. Indianin zdawał się nie mieć pojęcia ani co zaszło w obozie, ani jakie mogły być tego przyczyny. Podczas gdy jedli, on chodził po namiocie, sprzątając i układając rzeczy, jakby chciał przez to powiedzieć, że spodziewa się szybkiego powrotu pobratymców. Kilka razy wskazał ręką przeciwległy brzeg, co biali uznali za sugestię dotyczącą kierunku, w którym tamci się oddalili. Gestowi towarzyszył osobliwy, wymuszony śmiech.

– Trochę zdziwaczały ten gnojek jak na moje oko – nie wytrzymał Richmond.

Tom Taylor wzruszył ramionami. – Mnie też by się pogmatwały myśli, gdybym był na jego miejscu.

Parszywa pogoda pogorszyła się jeszcze z nastaniem nocy, wejście zakryto więc skórami karibu. Wycie wiatru w drzewach oraz dudnienie gradu i mokrego śniegu o ściany namiotu sprawiało, że mogłaby podkraść się do nich po cichu grupa dowolnych rozmiarów, Buchan podzielił więc mężczyzn na dwie warty mające siedzieć całą noc pod bronią. Peyton został przydzielony do pierwszej grupy, zasiadł więc z innymi na okrągłej podłodze, za jedyne źródło światła mając pośpenny płomień ogniska. Nikt się nie odzywał.

Tamtego ranka, kiedy wyruszał z domu zimowego ojca, wepchnął do plecaka niedużą paczuszkę zawiniętą w skrawek muślinu. Wyjął ją w *mamateeku* i rozwinął plik ręcznie zapisanych kartek. Było za ciemno na czytanie. Wertował je na oślep, muskając strony opuszkami palców.

Reilly, który siedział najbliżej, nachylił się, żeby zajrzeć mu przez ramię. – Co tam masz? – spytał.

Peyton pokręcił głową.

– Cassie – szepnęła Irlandczyk, a Peyton przytaknął, nie odrywając wzroku od kartek.

Podczas jego pierwszej zimy na Nowej Fundlandii John Senior zostawił go w domu, żeby opiekował się Cassie, choć chłopak błagał ojca, aby pozwolił mu towarzyszyć sobie w głębi łądu. W Wigilię Bożego Narodzenia przed północą Cassie weszła do sypialni Peytona i obudziła go. Była w pełni ubrana, naciągnęła już nawet ciężki płaszcz.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Wstawaj – odparła. – Już czas.

Zszedłszy do kuchni, zastał ją w drzwiach z muszkietem pozostawionym im przez ojca. Ubijała właśnie proch.

– Która godzina? – spytała.

– Co ty robisz?

– Godzina.

Wyciągnął z kieszeni nowy złoty zegarek, który ojciec dał mu, zanim wyru-

szyl w głąb ładu. Nachylił tarczę do świecy stojącej na blacie. – Za trzy dwunasta.

– Ubieraj płaszcz, migiem.

Wyszła za próg, a on szybko ruszył w jej ślady. Stanęli zaraz za drzwiami. Odśnieżony skrawek terenu przed domem obrzeżony był zaspami sięgającymi im ponad głowy. Noc była bezwietrzna. Cassie uniosła broń, oparła kolbę na barku i przekrzywiła głowę. Stali tak przez kilka chwil. Jej wargi poruszały się cicho; nachyliwszy się ku niej, Peyton usłyszał, że pod nosem powoli odlicza do zera.

Popatrzył na gwiazdy i pokręcił głową. A potem usłyszał. Wystrzały, dwa, trzy, może więcej. Nieliczni mieszkańcy wybrzeża stawali przed swoimi chatami i strzelali w ciemność, by uczcić nadejście tego dnia. Cassie szarpnęła za spust. Huk strzelby był ogłuszający, a rozbłysk prochu pogłębił tylko ciemność, która zapadła chwilę później.

W domu nalala im po szklance rumu, a następnie wyjęła niedużą paczuszkę zawiniętą w kawałek muślinu i przewiązaną szpagatem. Położyła mu prezent na kolanach i wróciła na swoje miejsce. Peyton w milczeniu wpatrywał się w zawiniątko. Rum skrzył mu się w brzuchu jak słoneczna drzazga. Popatrzył na nią.

– Rozpakuj – poprosiła.

Uśmiechał się głupkowato, rozsupłując węzły i zsuwając materiał. – Co to takiego? – Wyjął z opakowania stos kartek i ułożył go sobie płasko na kolanach. – Cassie?

Przyniosła mu świecę ze stołu, żeby mógł się lepiej przyjrzeć. Pierwsza strona była zapisana rozstrzelonymi, pochyłymi literami. Nachylił się jeszcze mocniej. – Tragedia Otella, Maura weneckiego – odczytał na głos. Przewertował kartki, całe dziesiątki, wszystkie zapisane tym samym charakterem pisma. Pod *Otellem* leżał przepisany ręcznie tekst *Burzy*. Peyton był zdumiony. W jej kufrze widział kompletne dziewięciotomowe wydanie dramatów Szekspira pod redakcją Nicholasa Rowe'a.

– Taki miałam sposób na zabicie czasu – wyjaśniła Cassie – kiedy matka chorowała. U kresu życia przespiała większość dnia i nocy, a ja byłam zbyt zmęczona, żeby zwyczajnie czytać. Pomyślałam, że może chciałbyś je dostać.

Peyton gapił się na nią, bezgłośnie otwierając i zamykając usta. Wstał i przełożył kartki na jej kolana. – Mam coś dla ciebie – oznajmił.

Słyszała dudnienie jego nóg na schodach, potem krzątanie w sypialni na piętrze. Kiedy wrócił do kuchni, jedną rękę trzymał za plecami.

– Zamknij oczy – polecił. – Wyciągnij rękę.

Położył jej na dłoni mały skórzany woreczek.

Cassie wysypała zawartość woreczka na kolana i po kolei oglądała przedmioty, nadstawiając je do światła. Rogowa rzeźba. Ptasie czaszki. Ognisty kamień.

– Skąd je masz?

– Ze Swan Island. John Senior znalazł tę sakiewkę w jaskini na brzegu.

– Są przepiękne.

Pokiwał głową i zarumienił się, zawstydzony tym, że zasłużył na jej wdzięczność. Poza tym zdradził jej tak niewiele o pochodzeniu prezentu, że miał wrażenie, iż w jakiś sposób ją okłamał.

Nakłoniła go do wspólnej lektury *Otella*. Dzielili się rolami tak, by odgrywać dialogi między głównymi bohaterami, chyląc głowy nad kartką przy jednej świecy. Peyton czytał niepewnie, więc Cassie trącała go palcem w przedramię, dając mu sygnał, że już jego kolej; szeptała mu każde słowo, na którego wymowie się zaciął. Wyglądało na to, że zna dramat na pamięć, bo czasami recytowała kwestie z przy-mkniętymi oczami. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że ludzie mogą mówić tak otwarcie, prosto z serca. Kiedy Cassie powiedziała: „Że kocham Maura i pragnę być przy nim, o tym mój nagły czyn i poświęcenie grzmią wobec świata”, Peyton nie był w stanie znaleźć swojego miejsca na stronie. To samo poczucie zagubienia ogarnęło go w indiańskim namiocie, gdy dotykał tych kart w niemal zupełnej ciemności.

Rano wciąż padał mokry śnieg. Buchan kazał mężczyznom poukładać w trzech *mamateekach* koce, koszule i garnki przyniesione znad rzeki. Wyruszyli po lodzie w kierunku wskazanym poprzedniego wieczora przez Indianina. Beothuk biegł przed nimi zygzakami, jakby podążał ścieżką, której nikt poza nim nie był w stanie dostrzec. Od czasu do czasu odwracał się do białych i machał ręką, zachęcając do wędrówki w stronę odległego brzegu. Nie uszli jeszcze nawet mili po lodzie, gdy Indianin odbił nieco w prawo i zamarł w bezruchu. Po paru chwilach rzucił się do ucieczki, nie oglądając się za siebie.

– Jezu, Jezu – jęknął William Cull, a grupa przyspieszyła, zmagając się z porywistym wiatrem, dopóki nie dotarła do punktu, w którym przed chwilą przystanął Indianin.

Ciała leżały jakieś sto kroków od siebie, obdarte z ubrań, ułożone na brzuchach. Głowy obu żołnierzy zniknęły. Karki mieli nierówno obszarpane ze skóry, jakby szyje przerabano jakimś tępym narzędziem. Luźne szarfy krwi wiły się po śniegu powyżej okaleczeń. W plecach trupów tkwiły strzały. Grupa stała w osłupieniu, chłonąc ten widok bez słowa, dopóki jeden z marynarzy nie odwrócił się od zwłok i nie zaczął rzygać. Odgłosy jego torsji wyzwoliły strumień przekleństw, a kilku innych mężczyzn, w tym Peyton, padło na kolana i również zwymiotowało na śnieg.

Przykryli ciała świerkowymi gałęziami i obciążyli je kamieniami wygrzebanymi spod śniegu na najbliższym przylądku, który nazwali Bloody Point. Buchan

poprowadził pacierze, czytając ze swojego modlitewnika, a ci, którzy znali słowa, odmówili razem z nim Psalm dwudziesty trzeci i Modlitwę Pańską. Potem mężczyźni odwrócili się i pomaszerowali po lodzie w stronę rzeki.

Stojąc nad okaleczonymi zwłokami towarzyszy, Richmond i Taylor zapalali żądzą iście starotestamentowej zemsty i zdołali już w jakimś stopniu nakłonić do współpracy pozostałych przy życiu żołnierzy oraz Matthew Hughstera, ale Buchan stanowczo obstawał przy natychmiastowym odwróceniu. Tylko trzech mężczyzn miało przy sobie strzelby, a musieli zakładać, że nad jeziorem mieszka więcej Indian, niż widzieli w tym jednym obozowisku. Istniało prawdopodobieństwo, że jakaś grupa została już wysłana w dół rzeki, by napaść na ośmiu białych pilnujących sań. Sama ta myśl sprawiała, że śpieszno mu było wrócić do obozowiska. Na końcu jeziora mężczyźni przystanęli, by posilić się chlebem i rumem. Ustawili się w rzędzie: członkowie grupy, którzy mieli strzelby, szli na czele i na końcu, a ci uzbrojeni tylko w pistolety i szable maszerowali między nimi. Idąc gęsiego, zeszli do obozu, gdzie czekali na nich pozostali.

Gwałtowna odwilż, która przyszła po wichurze i opadach śniegu z deszczem, sprawiła, że droga powrotna była bardziej niebezpieczna niż podróż w górę rzeki. Poniżej obozu lód odpadał już od brzegów, mężczyźni przepakowali więc możliwie najwięcej prowiantu do plecaków i porzucili sanie. Co chwilę zapadali się w poszczerbionym lodzie, mocząc sobie ubrania i obcierając piszczele do krwi. Zdarzało się, że płat lodu odrywał się od brzegu, unosząc kogoś na wodę. Musieli ratować pechowców, wyciągając ku nim kije lub rzucając im liny. Na odcinkach, gdzie tafla była jeszcze pewna, miarowy deszcz i przelewający się górą nurt sprawiły, że nad lodem płynęło kilka cali wody pozbawiającej ich czucia w stopach i szarpiącej skórę na otartych do krwi kostkach i piętach. Grubo po zmroku dotarli do punktu, w którym obozowali dwudziestego pierwszego, co oznaczało, że przebyli trzydzieści dwie mile jednego dnia.

Przez kolejne trzy dni pokonywali co najmniej osiemnaście mil dziennie, często brodząc po kolana w lodowatej wodzie lub człapiąc przez na wpół roztopiony lód, tnący im ubrania i skórę. Szli w niemal zupełnym milczeniu, przerywanym tylko przynagleniami wykrzykiwanymi przez Buchana. Sunęli przed siebie z lunatycznym wyrazem twarzy, podobni jakiejś zgrai somnambulików. Każdego dnia Peyton tracił czucie w nogach i od któregoś momentu patrzył na poruszające się kończyny tak, jakby należały do cudzego ciała. Wydawało się, że nawet Richmond wyczerpał już swoje pokłady sił, bo człapał tylko bezmyślnie, czasami padając na rękę i kolana. Nocami większa część grupy uskarżała się na spuchnięte nogi, więc Buchan kazał im wcierać w piszczele smarowidło przygotowane z rumu i słoniny, co przynosiło względną ulgę. Każdej nocy co najmniej jeden z nich zrywał się z posłania, nękany snami o nieskazitelnie złotowłosej głowie Butlera nabitej na pal, o oczach Bouthlanda tak nieruchomych i niewidzących jak pieprzyk na jego policz-

ku. Niektórzy świadomie próbowali unikać snu z obawy przed tym, dokąd ich zawiedzie, ostatecznie jednak zawsze wycieńczenie brało górę. Buchan rano osobiście budził każdego z członków ekspedycji, a przez cały dzień zamykał pochód po-naglając ich, by jak najszybciej dotarli na wybrzeże.

Ostatniego dnia wyprawy, gdy ujrzeli Little Peter's Point i uświadomili sobie, że już tylko kilka godzin mozolnej wędrówki dzieli ich od Adonisa, wszyscy popadli w dziwaczne uniesienie. Mężczyźni dodawali sobie animuszu, pokrzykując na siebie nawzajem, wybuchali śmiechem, jeśli się potknęli, a do tego bezustannie rozprawiali o potrawach, które zjedzą, oraz o wielogodzinnym śnie, w którym się pograżą, gdy dotrą na okręt – tak jakby wszystko, co przeżyli nad rzeką, było tylko zbiorowym koszmarem, z którego nagle się przebudzili. Opuściło ich na jakiś czas nawet dojmujące poczucie winy, że porzucili nagich, bezgłowych towarzyszy na zamrzniętym jeziorze.

Wspominali już ekspedycję jako szereg odrębnych etapów, a w ich głowach zaczynały kształtować się słowa gawęd, które zamierzali snuć po powrocie. To właśnie świadomość, że przeżyją i będą mogli je opowiadać przyprawiła ich o takie upojenie i napęliła niewysłowioną nadzieją podczas tych ostatnich kilku godzin spędzonych nad rzeką Exploits. Peyton, podobnie jak pozostali, czuł się absolutnie oczyszczony i wyzuty z wszystkiego poza pragnieniem mówienia. Przez całą drogę wzdłuż brzegu, mając już Adonisa w zasięgu wzroku, myślał wyłącznie o tej chwili, gdy zobaczy się z Cassie, spojrzy jej prosto w oczy i rzuci: „Posłuchaj, coś ci opowiem”.

SIEDEM

Gubernator wertował raport, podczas gdy Buchan jadł posiłek. Duckworth zaledwie przed kilkoma dniami wrócił po zimie spędzonej w Anglii i wciąż próbował przetrawić wiadomości, które czekały na niego w St. John's. W roztargnieniu popijał brandy z kieliszka, ale nie zadał sobie trudu, żeby zamówić jedzenie. Nie miał apetytu.

– Ja ponoszę za to winę – powiedział. Uniósł dokumenty, które przeglądał, i lekko nimi potrząsnął.

Odłożywszy nóż i widelec na talerz, Buchan oparł przedramiona na stole. Lekko pochylił głowę. – Mieliśmy pecha – powiedział. – Pecha na całej linii.

Duckworth pokiwał głową, znowu wlepiając wzrok w papiery.

– Wasza ekscelencjo, oni się bali. Zrobili to powodowani strachem.

– Ja ponoszę winę – powtórzył gubernator.

– Nie pozwolę, żeby pan...

– Nie traktujcie mnie protekcyjnie, poruczniku. – Duckworth podniósł kieliszek do ust i przytrzymał go pod nosem. – David – powiedział łagodnie. –

Mam nadzieję, że Marie dobrze się miewa?

– Tak, dziękuję.

– A córeczka?

– Jak najlepiej. Wedle ostatnich wiadomości, które do mnie dotarły. Mam nadzieję, że uda mi się je tutaj sprowadzić, jeśli przyjdzie mi stacjonować na Nowej Fundlandii dłużej niż przez kolejny rok.

Duckworth odstawił brandy. Zaczął bębnić palcami w drewniany blat. Zastanawiał się, jak długo on sam pozostanie w St. John's. – A chciałby pan tu dłużej stacjonować?

Buchan wycierał właśnie usta serwetką. Popatrzył na gubernatora. – Jeśli rozmawiamy o moich pragnieniach, to przede wszystkim chciałbym wrócić nad jezioro Czerwonych Indian.

– Wykluczone. – Duckworth przycisnął rękę do brzucha, jakby poczuł nagłe ukłucie bólu. – To zbyt niebezpieczne, bez dwóch zdań.

– Tamci żołnierze zginęli na służbie.

– Zginęli podczas lekkomyślnej ekspedycji mającej zaspokoić moją osobistą zachciankę.

Buchan uśmiechnął się do niego. – Sam pan sobie szkodzi, gubernatorze. Oczywiście doskonale pana rozumiem, ale nie zamierzam się na to godzić.

– Poruczniku...

– Nie od dziś wiemy, że to, co słuszne, zawsze wiąże się z ryzykiem.

– Do ciężkiej cholery, człowieku! – krzyknął Duckworth. Zreflektował się szybko i powtórzył niemal szeptem: – Do ciężkiej cholery. – Pogroził mu palcem nad stołem. – Nie mógł pan stać nad tymi ludźmi leżącymi na lodzie bez głów, *bez głów*, poruczniku... nie mógł pan patrzeć na to i zachowywać taką bez troskę.

– Panie gubernatorze, najlepszy sposób na uczczenie pamięci tamtych żołnierzy, jaki przychodzi mi do głowy, to kontynuowanie naszych starań, dopóki nie zwieńczymy ich sukcesem.

Duckworth pokręcił głową i odwrócił się tak, jakby próbował uniknąć niechcianego pocałunku. – Widzę, że na te sprawy wciąż zapatruje się pan jak młokos.

Buchan podniósł sztucce. – Teraz to pan traktuje mnie protekcjonalnie.

– Nie pozwolę na następną ekspedycję do zimowych obozowisk. To zbyt niebezpieczne. – Duckworth westchnął. – Mój organizm po prostu nie wytrzyma kolejnej takiej historii.

– Na razie przyjmuję to do wiadomości. Żądam jednak zgody na powrót w lecie celem nawiązania kontaktu z mniejszymi gromadami zapuszczającymi się na wybrzeże. Poza tym, moim zdaniem, roztropnie będzie pokazać osadnikom, iż marynarka jest obecna w ich okolicach. Na wypadek, gdyby ktoś zamierzał na własną rękę wziąć odwet na Indianach.

Gubernator pociągnął obfity łyk brandy. – Ta robota wpędzi mnie do grobu.

Buchan skinął głową. – Dziękuję.

– Ani mi się waż dziękować. – Duckworth wznosił wysoko rękę. – Brandy! – zawołał gniewnie.

W lecie Buchan powrócił nad zatokę Exploits w roli sędziego pokoju, a gdy rozprawy czy inne obowiązki nie pochłaniały jego uwagi, prowadził szeroko zakrojone poszukiwania na północno--wschodnim wybrzeżu oraz rozsianych wzdłuż niego wyspach. Od czasu do czasu odwiedzał Peytonów na Burnt Island i jadł z nimi posiłek, próbując wydobyć z nich jak najwięcej informacji o miejscach, gdzie ostatnio widziano Beothuków. Robił zapiski w swoim dzienniku i szkicował odręczne mapki, by utrwalić sobie te punkty w pamięci. Peyton widział ostatnio opuszczone obozy u ujścia tej czy tamtej rzeki. Któryś z ich ludzi dostrzegł przelotnie kanu opływające przylądek w tej czy tamtej zatoce.

Rozmowy prowadzili w wyciszonym, niemal elegijnym tonie, jakby dyskutowali o istotach prawie całkowicie zmiecionych z powierzchni Ziemi – duchach i zjawach, błakających się czasami po tej stronie ciemności.

Peyton dzielił się chętnie wszelkimi informacjami i sam podsuwał obszary, na których warto szukać. John Senior siedział w milczeniu i odpowiadał na bezpośrednie pytania, ale zazwyczaj nie był zbyt wylewny. Po wyjściu oficera zwykle wyśmiewał całe przedsięwzięcie.

– Nie pojmuję, jak on mógł, ot tak sobie, zostawić dwóch martwych ludzi na jeziorze – powiedział cicho z nutą bolesnego zaskoczenia w głosie. – Gdyby zginął ktoś z wybrzeża, rozpętałoby się prawdziwe piekło. I bardzo słusznie, cholera.

– Już ja znam twoje pojęcie tego, co słuszne – rzucił Peyton. Ostatnimi czasy drażniło go każde słowo ojca i postanowił sobie, że będzie mu to wyraźnie dawał do zrozumienia.

John Senior pokręcił głową. – Richmond z Taylorem już się palą, żeby ruszać w górę rzeki, jak tylko przyjdzie zima. Nie powiem, żebym nie podzielał tych nastrojów. – Splunął do pustego kominka. – Gdyby to *ciebie* zabili, Johnie Peyton...

Peytonowi stanął przed oczami obraz ojca w łóżku Cassie. Wstał i podszedł do okna, żeby odegnać tę wizję. Rozwścieczało go to, że wciąż zachowywali się przy nim tak, jakby nic między nimi nie było. – Odnosnie do tego, co właściwe, ufam wyczuciu porucznika Buchana.

– Skończy się to tak, że jego głowa przyozdobi któryś z wigwamów nad jeziorem. Takie jegomość ma pojęcie o tym, co właściwe.

Pesymizm Johna Seniora wpędził syna jedynie w ślepy zapał do podejmowanych przez Buchana prób pojednania z Indianami. Peyton zbierał opowieści innych mieszkańców wybrzeża, by przekazywać je oficerowi podczas kolejnych wizyt;

gromadził pamiątki z własnych wypraw nad rzeki, gdzie mieli jazy na łososię. Kilka razy zdarzyło mu się powierzyć swoją pracę najemnym rybakom, by osobiście towarzyszyć Buchanowi podczas wypraw w te zakątki wybrzeża, których porucznik jeszcze zbyt dobrze nie znał.

– Gdybym miał mniej oleju w głowie, mógłbym pomyśleć, że szukasz sobie czerwonej żonki – powiedział John Senior po powrocie syna z jednej z tych wycieczek.

Zaczęli się wtedy awanturować, stojąc o parę cali od siebie i opryskując sobie twarze śliną. Cassie, zaalarmowana wrzaskami, wyszła do nich przed dom i każdemu z nich położyła dłoń na ramieniu. Obaj zrobili krok do tyłu, zażenowani, że dali się przyłapać w stanie niepohamowanej furii. Peyton poszedł do domu i zamknął się w swoim pokoju. Czuł się niezręcznie myśląc o tym, że oto połączył się ojcem za pośrednictwem dotyku Cassie. Zastanawiał się, czy z całej ich trójki wadziło to tylko jemu jednemu.

Pod koniec sierpnia Peyton i Cassie wybrali się do Reilly’ego na sianokosy. Kiedy podpłynęli łodzią wiosłową do jazu na rzece, zobaczyli, że Richmond i Taylor stoją już z Reillym na plaży.

Annie Boss wyszła im na powitanie wąską ścieżką, prowadzącą z chaty nad wodę. Na rękę niosła dziecko. Wszyscy goście, nie licząc Peytona – który tego lata dwukrotnie odwiedził Charles Brook przy okazji kontroli połowów łososi na rzekach Johna Seniora – widzieli noworodka po raz pierwszy. Kolejno uściśli dłonie i złożyli najlepsze życzenia świeżo upieczonym rodzicom. Richmond bezceremonialnie szturchnął Reilly’ego w bark i powiedział:

– A już od dawna myśleliśmy, że brak ci śrutu i strzelasz z samego prochu.

– Nie zwracajcie uwagi na tę zakutą pałę – zaśmiał się Tom Taylor, ściskając rękę Reilly’ego. Sami mieli z żoną pewne trudności w tym względzie, nie był więc w stanie podśmiewać się z innych, nawet z ajrysza i jego Indianki. – Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego. Wiem, że Siobhan powiedziałyby to samo, gdyby tu była.

Bite trzy dni spędzili na łąkach, wśród wysokich do pasa traw. Drobiny skoszonych łądyg dostawały im się do butów, za kołnierzyki, pod koszule i do bielizny, klejąc się do spoconej skóry. Na koniec trzeciego dnia zeszli nad rzekę i zaczęli brodzić w wodzie, zmywając ciemne plamy chlorofilu z szyi, nadgarstków i kostek. Zanurzali głowy, by opłukać spocone włosy. Powróciwszy na brzeg, mężczyźni pozdejmowali i wykręcili koszule. Reilly poszedł do chaty, by rozpalić ogień. Cassie wyszła dalej w nurt i obróciła się tak, by unosić się na plecach. Jej biała muślinowa sukienka poruszała się na powierzchni jak liść opadły z gałęzi wiszącej nad rzeką.

Peyton brodził na płyce, przyglądając się kobiecie. Jej włosy unosiły się swobodnie na wodzie. Przez mokry materiał sukienki przeświecały ciemne aureole sutków; popatrzył nagle na własne przemoczone ubranie, ogarnięty obawą, że woda mogła w podobny sposób uwydatnić też pewne aspekty jego ciała.

Richmond, stojący na plaży za jego plecami, wybuchnął śmiechem. – Nie ma szans, żeby znalazł sposób na taką oziębłą megierę – stwierdził.

Peyton odwrócił się w wodzie i popatrzył ku plaży, ale Tom Taylor zdążył już zaatakować przyjaciela. – Richmond, dobroci masz w sobie tyle, co kołek wbity w ziemię. – Stał z rękami na biodrach i krzyknął: – Wstydu masz mniej, niż dostaje od Boga wesz!

– Pies cię trącał, Taylor. Będę mówił, co myślę, i to kiedy mi się żywnie spodoba. – Żeby udowodnić, że ma do tego prawo, klepnął Taylora w brzuch i powiedział: – Wyhodowałeś sobie sadelko, bez dwóch zdań. Spuchłeś jak kogut żarty przez roztocze.

Peyton wyszedł z wody, zdjął i wykręcił koszulę, a następnie naciągnął buty na nogi i odszedł, mijając Richmonda i Taylora, których dyskusja przeistoczyła się już w głośną awanturę. Reilly siedział przed chatą na kawałku drewna; przed nim stało wypełnione wodą z rzeki wiadro, w którym chłodziło się kilka butelek świeżego piwa. Okaleczoną dłonią sięgnął do pojemnika i podał jedną z flaszek Peytonowi. Piwo miało ostry, drzewny smak żywicy. Peyton spił pół butelki i naciągnął mokrą koszulę. Usiadłszy na ziemi, zaczął ryc piętą w piachu.

– A tamci dwaj, o co się znowu wyklócają?

Peyton wzruszył ramionami, ale nie spojrzął na Irlandczyka.

– Twarz masz posępną jak styczniowa noc – zauważył Reilly.

Peyton przytaknął, ale nie odezwał się ani słowem. Siedzieli w milczeniu, słuchając dobiegających z plaży wrzasków Richmonda i Taylora. Cassie zapewne leżała wciąż na wodzie i płynęła powoli z nurtem. Peyton zamknął oczy, chroniąc je przed światłem późnego popołudnia, i podparł czoło pięścią.

Miał osiemnaście lat, gdy po raz pierwszy przyplynie z Cassie na sianokosy bez Johna Seniora. Ojciec nalegał, by popłynęła do Charles Brook zamiast niego i skorzystała z okazji do spędzenia odrobiny czasu w „damskim towarzystwie”. Cassie wprawdzie udzielała jeszcze wtedy Peytonowi lekcji późnymi popołudniami, ale niezadowolony z pozycji jej ucznia chłopak coraz częściej pozwalał, by praca zajmowała go aż do wieczora. W tygodniu poprzedzającym ich przeprowadzenie do chaty Reilly’ego spędził kilka wieczorów, dając się nad *Robinsonem Crusoe* – książką, która w mniemaniu Cassie miała szczególnie go zaciekać, biorąc pod uwagę, że on sam również wylądował na brzegach niemal bezludnej wyspy.

– Tęsknisz za Anglią? – spytała go.

– Nie – odparł zwięźle. Był już od niej wyższy, przez co myślał, że Cassie wciąż go uczy, przyprowadzała go o coraz większe zniecierpliwienie.

Widziała, że chłopak nie zamierza zdradzić konkretnych przyczyn swojego rozdrażnienia, rozmawiała więc z nim dalej tak, jakby poprzednie pytanie było obojętne i dotyczyło samej książki.

– A było w Anglii coś, za czym tutaj tęsknisz?

Wzruszył ramionami. – Marmolada pomarańczowa – rzucił. – Piłem też czasami herbatę z miodem.

Powoli pokiwała głową. Stuknęła palcem w strony książki. – Dalej – nakazała.

Gdy przygotowywali się do tamtej pierwszej wspólnej podróży, spakowała do plecaka dziwny zestaw przedmiotów – kompas, kilka czystych kartek, ciężkie skórzane rękawice, mosiężny pojemnik, melasę, pusty słoik. Po sianokosach, kiedy już inni pracownicy rozeszli się znad rzeki Reilly’ego, powiedziała Peytonowi, że chciałaby spędzić jeszcze kilka godzin na świeżo skoszonej łące. Stali wtedy na plaży z Josephem Reillym. Irlandczyk dorzucał drewno do porządnie roznieconego ogniska.

– Jeśli zabawicie trochę dłużej, zdążymy upiec chleb i będziecie mogli zabrać bochenek dla Johna Seniora – zachęcił.

Cassie i Peyton szli przez pół godziny, aż przystanęli na jednej z szerokich, trawiastych, upstrzonych głazami polan. Dzień był ciepły, ale podmuchy północnego wiatru niosły już chłodek, przysiedli więc po zawietrznej dużego, łuszczącego się kamienia, wygrzanego w promieniach słońca. Nad horyzontem wisiały długie nici pierzastych chmur. Podczas gdy Peyton zbierał chrust, Cassie wykladała na ziemię zawartość plecaka.

Stała ze słóczykiem melasy nad świeżo rozpalonym ogniskiem, zlała długą strużkę wprost w płomień i usiadła koło Peytona.

– Co ty robisz?

– Poczekaj.

Ciepło ognia rozniosło wokół nich woń melasy. Cassie ułożyła kartkę na ziemi i przygniotła rogi kamieniami.

Po kilku minutach pojawiła się pierwsza gromadka pszczoł. Cassie nic nie powiedziała, ale uśmiechnęła się do Peytona tak, jakby się o coś założyli i już była pewna wygranej. – Wyjmij zegarek – powiedziała. Kolejną kroplę melasy wylała na papier, a następnie otworzyła metalowy pojemniczek i starannie obsypała płamę czymś, co przypominało Peytonowi czerwoną paprykę lub drobne opiłki metalu.

Dwie grube pszczoły wylądowały na kartce i zaczęły błąkać się po niej, kreśląc koślawe kółka. Gdy odlatywały, ich brzuchy były czerwone jak wschodzące słońce. – Sprawdź godzinę – nakazała Cassie. – Wstała i popatrzyła za owadami ulatującymi w stronę lasu, po czym sprawdziła kierunek na kompasie. Znowu usia-

dła przy nim w milczeniu. Cztery minuty później pierwsza poczerwieniała pszczoła wróciła na kartkę. Druga przyleciała zaraz za nią.

– No – mruknęła Cassie. Przekrzywiła głowę i, spoglądając w słońce, zmrużyła oczy, jakby dokonywała skomplikowanych matematycznych kalkulacji. – Zgaduję, że to będzie jakieś dwieście, może dwieście pięćdziesiąt jardów. – Wstała i podniosła skórzane rękawice oraz pusty słoik. Powiedziała Peytonowi, żeby zagołował przyniesiony bukłak wody na herbatę. – Jeśli mi się poszczęści, powinnam wrócić w ciągu dwudziestu minut.

Właśnie zaczynało do niego docierać, co Cassie zamierza zrobić. – Nigdy go tam nie znajdziesz – powiedział.

Już sprawdzała azymut na kompasie; nie zerknęła nawet przez ramię. Pomaszerowała przez łąkę, a nierówny teren dodatkowo pogłębił jej zwyczajne kuśtykanie. Zniknęła w lesie bez słowa. Peyton postawił na ognisku garnek wody i zaparzył się w bąbelki odrywające się od dna. Wyłowiwszy z plecaka woreczek z herbatą, odczekał, aż woda w pełni się zagotuje, sychnął do wrzątku garść liści i odstaawił garnuszek obok ogniska. Popatrzył w kierunku drzew, między którymi zniknęła Cassie.

– Ta herbata zdąży zamarznąć, zanim ona wróci – mruknął pod nosem. Zerknął na zegarek. Siedemnaście minut. Dziewiętnaście.

Kiedy wróciła do ogniska, jej twarz błyszczała od potu. Ciężkie rękawice niosła pod pachą, a przed sobą trzymała słoję wypełniony po brzegi miodem i woskiem.

– Musiałam wspiąć się na drzewo – powiedziała. Na jej szyi i twarzy puchło już kilka niepokojąco czerwonych bąbli.

– Pożądliły cię – zauważył Peyton.

– Należ nam po kubeczku.

Zlał herbatę do dwóch cynowych kubków, a Cassie zagarnęła do każdego z nich łyżkę świeżego miodu. Jedno z naczyń przekazała Peytonowi, drugie wzniosła w toaście. Napili się jednocześnie; nawet poprzez falę gorąca poczuli czystą, głęboką słodycz.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Kiedy byłam małą, ojciec zabierał mnie z St. John's na wędrówki – wyjaśniła. – Spędzaliśmy sobotnie popołudnia, włócząc się w głębi łądu. Nauczył mnie... – Zerknęła na Peytona wstydliwie. Odkąd przypląnęła na północ z Johnem Seniosem, prawie nie wspominała o rodzinie; zdawało się, że żałuje, iż ten temat w ogóle się pojawił. – Nauczył mnie pływać, używać strzelby. I tego też – dodała, unosząc słoję miodu. – Powiedział mi, że to właśnie dlatego matka się w nim zakochała. Odkąd tylko przestała być małą dziewczynką, zabierał ją do doliny i wydobycwał dla niej miód z drzew właśnie w ten sposób. – Pokręciła głową. – Matka zawsze powtarzała, że zadurzenie się w moim ojcu było największym błędem, jaki

popęłniła w życiu.

– Ile ty masz lat, Cassie?

Szelmowsko zerknęła na niego kątem oka, jakby oceniała go na nowo. – Bardzo jesteś bezpośredni, Johnie Peyton. Mam dwadzieścia cztery lata.

Tak jak przed chwilą ona, Peyton skierował twarz ku słońcu i zmrużył oczy, dokonując w głowie kilku szybkich obliczeń.

– To więcej czy mniej, niż się spodziewałeś?

– Dlaczego twoja matka mówiła, że popełniła błąd, zakochując się w twoim ojcu?

Cassie odwróciła się i popatrzyła na granicę lasu. – Ojciec dużo pił. Przepuszczał pieniądze, jego noga nigdy nie powstała w kościele. – Po raz pierwszy od przybycia na północno-wschodnie wybrzeże opowiedziała wtedy komuś o knajpie ojca, jednej z dziesiątek portowych spelun, w których rybacy i żeglarze przepijali zarobki z całego sezonu pracy. Zacytowała Peytonowi motto tawerny: „Zalany za pensa. W trupa za dwa pensy. Słoma za darmo”. Rybacy pili ciemny jamajski rum, dopóki było ich na niego stać, a potem przerzucali się na *callibogus* czy *king calli*: mieszanekę świerkowego piwa z rumem, ginem lub lokalnym bimbrem, tak gryzącym i mocnym, że można go było palić jak świecę. Faceci spali na słomie pod ścianami i szczali prosto w ubrania; sprzeczki i bijatyki wylewały się na ulicę. Dwie czy trzy zubożałe prostytutki snuły się w mroku między stolikami.

Cassie mieszkała z rodzicami w wąskim dwukondygnacyjnym domu, składającym się z jednego pokoju na parterze i dwóch sypialni na piętrze, na które prowadziły wąskie, pozbawione poręczy schody. Dom przylegał do tawerny, lecz o jej wnętrzu wiedziała w dzieciństwie tak niewiele, że równie dobrze mogłaby wychowywać się w Londynie. Matka nie pozwalała jej przekraczać progu knajpy pod żadnym pozorem, dziewczyna orbitowała więc wokół budynku niczym księżyc, ani razu nie zbliżając się do drzwi nawet na kilka kroków.

– Moja matka była dobrą kobietą, świeć Panie nad jej duszą. Wstydziła się, że kojarzono ją z szynkiem – wyjaśniła Cassie. – I z ojcem chyba też. Zwykła mawiać, że miłość to ogień, który rozgrzewa głupców.

Zapadło między nimi długie milczenie, jakby ta wzmianka zawstydziła ich oboje. Dopili herbatę i wyłożyli przyniesione jedzenie. Dzień był przejrzysty i raczej ciepły. Pszczoły latały przy zakręconym słoiku miodu i pogniecionej kartce ubrudzonej melasą. Jednostajne bzyczenie było niczym szmer planety kręcącej się wokół Słońca.

Peyton oderwał czoło od pięści i popatrzył na Reilly’ego. Był wyczerpany długimi dniami pracy; piwo uderzyło mu od razu do głowy. W brzuchu czuł pustkę.

– Już myślałem, że zasnęłeś – rzucił Reilly.

Pokręcił głową. – Wspominałem pierwszy raz, kiedy przyplłynąłem tu na sianokosy z Cassie. Tamten Czerwony Indianin... Pamiętasz?

Irlandczyk uśmiechnął się. – Jak go zobaczyłeś, to myślałem, że wyskoczysz ze skóry.

Wracając tamtego popołudnia z miodowej łąki, Peyton i Cassie wyszli z lasu jakieś kilkaset jardów ponad chatą Reilly'ego i zeszli wzdłuż rzeki. Reilly był na plaży, stał plecami do wody. Peyton już miał go zawołać, gdy na przeciwnym brzegu rozległ się cudzy głos. Jeden z Beothuków kucnął na jazie, wpatrując się w wirującą wodę. Na plecy opadały mu włosy czarne jak torf, a twarz, szyję i dłonie miał pociemniałe od ochry o barwie krwi. Miał na sobie ubrania ze skóry kарибу, a na ramieniu trzymał długie drzewce ze świerczyny lub sękaty jedliny. Przebił powierzchnię wody dzidą i wydobył późnoletniego łososia, miotającego się tak, że broń drżała na całej długości. Podniósłszy się powoli, zmierzył stojącego na plaży Irlandczyka spojrzeniem, które zdawało się w jakiś sposób władcze. – Joe Reilly! – zawołał ponownie.

Wciąż nie spuszczać z oczu punktu, w którym Indianin zniknął między drzewami, Peyton wyprzedził Cassie i, po drodze kilkakrotnie się potykając, dopadł do Reilly'ego. – Co mamy robić? – krzyczał. – Co robić? – Nawet stojąc przy nim, dreptał w miejscu i wymachiwał ręką w stronę drugiego brzegu rzeki. Nagle zamarł i popatrzył na Irlandczyka. – Joseph, on znał twoje imię.

Reilly zwiesił głowę i popatrzył na swoje buty. Okazywał nietypowe dla siebie zmieszanie. Cassie zdążyła do nich podejść, a Annie Boss zbliżyła się ścieżką z chaty.

– Kiedyś to była ich rzeka – wyjaśnił. – Podchodzą tu raz czy dwa razy w tygodniu i biorą sobie rybę. Nie ma w tym nic złego.

– Oni zamordowali Harry'ego Millera.

– Nie uchodzi mi mówić źle o umarłych, ale Harry Miller był srogim, zawziętym człowiekiem.

– Czerwony człowiek to nie zły człowiek – powiedziała Annie.

– Oni zabili Harry'ego Millera – powtórzył Peyton.

– Tak po prawdzie, to mogą zabić każdego z nas w dowolnej chwili, a my nawet nie zdążymy się połapać, kto to był – stwierdził Reilly.

Annie Boss wyciągnęła rękę i złapała go za ramię. – John Peyton – szepnęła. Nigdy dotąd go nie dotknęła. Zobaczył, że jej brązowe oczy są usiane złotymi plamkami jak kamienie upstrzone gwiazdkami miki. – Czerwony człowiek to nie zły człowiek – powtórzyła.

Reilly pokręcił głową. – Twój tata zapewne nie będzie zachwycony, gdy się dowie, że pozwalam Czerwonym Indianom podbierać jego ryby.

Peyton popatrzył na Cassie, potem znów na pracownika.

Annie Boss sięgnęła do fałdów fartucha i otarła rękę.

– Chleb gotowy – stwierdziła. – Mamy chleb dla Johna Seniora.

Przyklękawszy na piasku nieopodal miejsca, gdzie Reilly rano palił ognisko, zaczęła kopać niedużą łopatką. Z ziemi uniósł się obłoczek pary; sięgnęła w głąb nagą dłonią i wydobyła okrągły bochenek. Otrzepała śnieżnobiałą skórę z luźnych ziaren piasku i podała go Cassie.

Chleb parzył ją w palce; musiała przekładać go z ręki do ręki.

– John Senior z pewnością doceni waszą uprzejmość – powiedziała, przez dłuższą chwilę wpatrując się Peytonowi w oczy.

– Przekażcie mu wyrazy uszanowania – powiedział Reilly, po czym wszyscy pożegnali się skinieniami głów.

Popołudnie okazało się zaskakująco wilgotne i ciepłe. Osłoniwszy oczy, Reilly popatrzył kolejno w cztery strony świata. – Przepiękny dzień – stwierdził. – Może być, że idzie za tym paskudna pogoda.

Wiosłując ku Burnt Island, Peyton patrzył wprost na Cassie, siedzącą na rufie z chlebem ułożonym w fałdzie spódnicy między nogami. Rozległy front czarnych chmur wychynął szybko zza horyzontu na południu i zachodzie, a słońce wsunęło się za ten ciemny wał. Peyton wiedział, że będą potrzebowali szczęścia, aby dobić do brzegu, zanim zacznie padać deszcz, a zapewne nadciągnąć miał również wiatr i pioruny. Szarpał rozpaczliwie za wiosła. Skóra zdawała mu się napięta, jakby zrobiła się już za mała, żeby pomieścić wszystko, co dzieje się wewnątrz.

– O czym myślisz? – spytała Cassie.

Pociągnął za wiosła z całych sił. – O niczym.

Uśmiechnęła się do niego. – Pierwszy raz widziałeś Czerwonego Indianina?

– Widziałem w Poole – wysapał między szarpnięciami. – Małą Indiankę. Zanim przyплынаłem. Nie była ani. Trochę podobna.

Cassie skinęła głową, ale już więcej się nie odzywała. Peyton znowu uwiesił się ciężko na wiosłach. Nie omawiając wcale sprawy, zgodzili się nie wspominać Johnowi Seniorowi o Indianinie. Wspólny sekret, przestrzeń dostępna tylko dla nich. Aż miał ochotę ją pocałować. Zerknął przez ramię na zbliżającą się nawałnicę. W miejscach, gdzie czarne ławy chmur stykały się i zachodziły na siebie, przenikały przez nie jaskrawoczerwone i złote nici światła, rozpalone jak magma.

Całe lata po tamtej pierwszej wyprawie na sianokosy Peyton wciąż rozmyślał o największym błędzie w życiu jej matki. Nadal czuł zapach tamtego świeżego chleba, bijącego gorącem na jej kolanach. Pociągnął powoli duży łyk piwa, ciepłego – i zapewne równie ohydneho – jak szczyny.

Reilly sięgnął do wiadra po kolejną butelkę. – Nigdy nie wspomniałeś ojcu o tamtym Indianinie, co?

Młodszy mężczyzna pokręcił głową. – Ani słowem.

– A ten twój Buchan ciągle ugania się za nimi po wybrzeżu?

– Owszem. – Peyton podniósł wzrok i popatrzył na Irlandczyka. – Jakie mu

dajesz szansę?

– Zgaduję, że żadnego z nich nawet nie zobaczy. A po tym, co stało się w ziemi, to pewnie i lepiej.

– Joseph, dlaczego oni zabili tych żołnierzy?

– Nie ma nawet co zgadywać, cóż takiego oni sobie mogą myśleć.

Peyton wycelował w niego szyjką butelki. – Ty dobrze wiesz dlaczego, prawda?

Twarz Reilly'ego przybrała na chwilę taki wyraz, jakby stanął krzywo na zwichniętej kostce. Wciąż słyszeli krzyki Richmonda i Taylora, wyklócających się nad wodą.

– To przez nich, prawda? Przez tych dwóch na plaży?

Reilly wyprostował się tylko i oparł obie dłonie na udach.

– I przez Culla z Hughsterem – dociekał Peyton.

Irlandczyk westchnął przeciągle. – Mogli nabrać podejrzeń na widok niektórych spośród nas. Jeśli kogokolwiek rozpoznali, to śmiało się założy, że po raz pierwszy widzieli go w niezbyt przyjemnych okolicznościach.

Peyton znowu skierował w jego stronę butelkę i zaczął mówić: – A John Senior...

Annie Boss wyszła z chaty z synem na rękach i usadowiła się między dwoma mężczyznami. Peyton nie dokończył myśli.

Annie odsłoniła pierś i podsunęła sutek dziecku. Kiedy podniosła wzrok, Peyton zobaczył płatki złota błyszczące w tęczęwkach jej oczu. Uśmiechnęła się do niego, zaciskając wargi tak, jakby chciała za coś przeprosić – jakby była zażenowana faktem, że siedzi przy nim, karmiąc dziecko. Wszyscy troje czuli się zawstydzeni i nie mieli pojęcia, jak przezwyciężyć to uczucie.

– Co zamierzasz zrobić, Johnie Peyton? – spytał Reilly.

– Z czym konkretnie?

Reilly teatralnie wzruszył ramionami i popatrzył młodszemu mężczyźnie prosto w oczy. – Ciężko musi ci się mieszkać w tamtym domu – stwierdził – z nimi dwojgiem.

Peyton spuścił wzrok i zaszurał nogami. – A dokąd pójdę? – spytał.

W następnym roku Buchan powrócił na północno-wschodnie wybrzeże, choć z upływem lata wyczuwał, że wola gubernatora stopniowo słabnie. Odpowiedział na to głęboką, desperacką nadzieją, jak człowiek próbujący ratować rozpadające się małżeństwo. Co miesiąc słał do St. John's wyczerpujące raporty, załączając listę wszystkich obozowisk, ścieżek i śladów obecności Beothuków, na które się natknął. Relacjonował spotkania z czerwonoskórymi, których przebieg opisywali mu inni. W każdym liście zawierał zapewnienia, że wyczekiwane przez niego stanięcie

twarzą w twarz z Indianinem jest nie tylko bardzo możliwe, ale wręcz nieuniknione.

Cel ten osiągniemy z najwyższym prawdopodobieństwem, o ile do końca sierpnia będziemy nieprzerwanie prowadzić nasze działania. Nasze konsekwentne starania celem włączenia rdzennych mieszkańców wyspy w kręgi cywilizowanego społeczeństwa winny być traktowane jako sprawa wagi narodowej, zaś ostateczne powodzenie jako okazja do częściowego zmycia piętna sprowadzonego na nas przez wcześniejsze barbarzyństwa, których dopuścili się nasi rodacy. Mój drogi Panie Duckworth... – pisał.

John Thomas Duckworth przestał piastować stanowisko gubernatora Nowej Fundlandii jesienią roku 1812. Prowadzone za swoją zgodą dyskretne ekspedycje do krainy Czerwonych Indian uznał ostatecznie za całkowitą klęskę. Wrócił do Anglii, uskarżając się na bóle głowy tak silne, że nieraz na wiele godzin tracił widzenie obwodowe w prawym oku.

Jego następca odrzucił wystosowaną przez Buchana petycję o pozwolenie na kontynuowanie starań zapoczątkowanych przez Duckwortha. Nad zatokę Exploits porucznik miał wrócić dopiero po siedmiu latach.

Część 2

dwall n also *drool*, *dwoll* MED *dwale* n 'dazed or unconscious condition' (c1400–1450); EDD *dwal(l)* sb 1 'light slumber' [...]

1895 *J A Folklore* viii, 28 *Dwoll*: a state between sleeping and waking...

dwall s też *drool*, *dwoll* MED *dwale* s stan oszołomienia lub utraty przytomności (ok. 1400–1450); EDD *dwal(l)* s 1 lekki sen [...]

1895 *J A Folklore* viii, 28 *Dwoll*: stan pomiędzy jawą a snem [...]

– *Dictionary of Newfoundland English*

Pozostałe straty

1817–1818

JEDEN

Wczesnym wieczorem siódmego listopada 1817 roku w niedużym domku przyległym do sklepów i magazynów przy Lower Path – znanej już wtedy w St. John's jako Water Street – wybuchł pożar.

Niemal cała ścieżka była niegdyś zakryta wysokimi stojakami do suszenia ryb – prymitywnymi treżazami ze świerkowych żerdzi, na których rozkładano zasolone dorsze. Większość zdążyła już zniknąć – niektóre padły ofiarą zeszłorocznej pożogi przy Water Street, inne stopniowo rozbierano, by robić miejsce dla nowych budynków, w miarę jak St. John's przeistaczało się z osady rybackiej w główny ośrodek handlu całej kolonii. Kilka odcinków ulicy wciąż jednak biegło w cieniu rzędów luźno połączonych dłuźyc, okrytych wysuszoną na wiór świerczyną.

Po stronie przystani nad Water Street stał szereg dużych drewnianych składów, w których późnym latem przechowywano suszone dorsze przeznaczone na eksport, a na jesieni wiele spośród importowanych towarów oraz pożywienie mające stanowić zapasy na zimę dla mieszkańców kolonii. Północna strona ulicy stanowiła długi na milę ciąg domów poprzetykanych sklepami detalicznymi sprzedającymi artykuły spożywcze, narzędzia i ubrania, czy wreszcie patentowe lekarstwa w rodzaju Ekstraktu Musztardowego, syropu z sarsaparyli, Balsamu Życia i tabletek żółciopędnych. Był tam zakład szewski, sklep modniarski, piekarnia, kuźnia i tawerny takie jak The Royal Oak, Shoulder of Mutton, The Globe, The Jolly Fisherman.

Sama ulica, wciąż nieutwardzona, w najlepszych okresach była tylko nierówna i wyboista, a w czasie śloty zmieniała się w zdradliwe błotne grzęzawisko. W miejscu zaprojektowanym z największym rozmachem była szeroka na jakieś pięć kroków, ale zdarzały się punkty, gdzie sklepy stojące po obu stronach były oddalone od siebie o niewiele ponad dwa kroki. Przeważające wiatry wpadały w ten długi, wąski tunel między dwukondygnacyjnymi budynkami, zrywając czapki z głów przechodniów, wywracając parasole na lewą stronę i niestrudzenie bujając wiszącymi nad wejściami do magazynów drewnianymi szyldami z wymalowanymi psami, kozami i rybami.

Wieczorem stały wiatr rozniósł ogniste żagwie z jednego płonącego domu i obsypał nimi całą pociemniałą ulicę niczym zawieszony na kole fajerwerk, wy-

strzelający pióropuszcami iskier. W ciągu kilku minut sąsiednie domy i stojaki na ryby zdążyły się zająć, a ogień przeniósł się na południową stronę ulicy. Rozbrzmiały dzwony ogłaszające pożar, a oddziały żołnierzy, marynarzy i ochotników z miasta rzuciły się do pracy z wiadrami, toporami i linami cumowniczymi, próbując opanować ogień. Kiedy strażacy zebrali się na ulicy, płonęły już wszystkie budynki od King's Beach po nabrzeże Governor's Wharf. Wściekły blask płomieni pod zawieszonym nisko tumanem dymu oświetlał pierścień wzgórz, które otaczały przystań jak szereg pochodni zatkniętych wokół sceny. Statki stojące przy nabrzeżu oddały cumy, by znaleźć się poza zasięgiem pożogi, a spokojna powierzchnia wody pod nimi zmąciła się blaskami odbitego światła. Wiatr poniósł iskry na pokłady statków, tak że kilka, na których zaproszył się ogień, spłonęło aż do linii wody. Całe zastępy mieszkańców ruder stojących dalej od przystani zeszły z góry nad Water Street i zaczęły szabrować budynki, podążając w ślad za płomieniami. Niektórzy kupcy bronili swoich towarów ze strzelbami w dłoni, dopóki pożar nie zmusił ich do opuszczenia posterunków. Inni otwierali drzwi szeroko, by pozwolić grabieżcom wynieść tyle, ile zdołają, zanim płomienie strawią wszystko. Co jakiś czas dało się słyszeć łoskot zapadających się dachów, przebijających stropy, które niegdyś okrywały. Płonące ściany składały się i padały na ulicę.

W ciągu sześciu godzin od pierwszego alarmu doszczętnie spłonęły siedziby kupców przy Water Street, Duckworth Street i Holloway Street, a poza nimi również budynek sądu, dziesiątki magazynów, szopy, nabrzeża i sto trzydzieści domów. Od wschodniego krańca miasta aż po stromą uliczkę prowadzącą na Hill o'Chips nie przetrwało nic poza kilkoma budynkami gospodarczymi.

Pierwsza oficjalna siedziba gubernatorów Nowej Fundlandii powstała w 1781 roku w obrębie murów Fort Townshend na wzgórzach nad St. John's. Była pomyślana wyłącznie jako letnia rezydencja na sezon połowów, ale jej mieszkańcy uważali, że nawet w tej ograniczonej roli jest niezadowolająca. Dom był zbudowany z jodłowego drewna i pokryty ciężkim łupkowym dachem, który odkształcał konstrukcję w takim stopniu, że deszczówka kapała miarowo do gabinetów i sypialni. Śnieg niesiony przez porywiste wiatry dostawał się do środka przez te same zakamarki i co roku potrafił zbierać się przy łózkach i biurkach nawet we wrześniu czy w maju. Kolejni gubernatorzy zlecali dobudowanie do serca domu dodatkowych gabinetów oraz pomieszczeń dla służby, sekretarzy i urzędników, tak że rezydencja rozszerzała się spiralą, obrastając dysfunkcyjny rdzeń jak złośliwy guz. Wiły się tam skomplikowane labirynty długich, pozbawionych okien korytarzy oraz przejść rozjaśnionych jedynie światłem z przyległych pomieszczeń, więżące w środku wilgoć i chłód. W każdym z pokoi znajdował się kominek, lecz nieustanne przeciągi uniemożliwiały utrzymanie dogodnej temperatury w którymkolwiek

punkcie budynku.

Pierwszy gubernator obarczony obowiązkiem całorocznej rezydentury na Nowej Fundlandii, wiceadmirał Francis Pickmore, spędził w tym domu długi, paskudny listopad u schyłku sezonu. Napisał do Jego Królewskiej Mości, błagając o pieniądze na budowę domu bardziej liczącego z jego stanowiskiem oraz skrajnie trudnymi warunkami, które przyjdzie mu znosić przez całą zimę. W odpowiedzi hrabia Bathurst powołał się na sytuację ekonomiczną Anglii, twierdząc, że zniechęca ona do podobnych ekstrawagancji.

Dwa tygodnie po pożarze – nie mając za sobą jeszcze nawet pełnego miesiąca swojej pierwszej zimy w St. John's – Pickmore zasiadł w jednym z bezlitośnie zimnych gabinetów, próbując ocenić ogrom strat oraz jego niezliczone konsekwencje. Trwający już drugi rok z rzędu kryzys na rynku dorsza w Europie doprowadził wielu mieszkańców wyspy do skrajnej biedy, a ogień pochłonął sporą część zapasów pożywienia, odłożonych w magazynach na zimę. Już w listopadzie temperatura spadała poniżej minus dwudziestu stopni. Nocami na ulicach grasowały bandy oprychów rozbestwionych przez głód i chłód, bijące i okradające każdego napotkanego przechodnia.

Pickmore zakrył usta chusteczką. – Spodziewam się, że czeka nas zima z piekła rodem – powiedział.

Buchan stał naprzeciwko jego biurka, trzymając kapelusz pod pachą. – Najpewniej, sir.

Pickmore podniósł wzrok. Jego twarz była blada, spuchnięta i na swój sposób pozbawiona życia. Wilgotne brązowe włosy, duże załzawione oczy. Topielec, pomyślał Buchan. Człowiek zbyt zobojętniały, by cokolwiek mogło go przytłoczyć.

– Jakie są szacowane straty, poruczniku?

– Co najmniej milion funtów. Część tej kwoty, zapewne około stu tysięcy funtów, zostanie pokryta przez ubezpieczenie. Większość rybaków straciła jednak wszystko.

– Ilu bezdomnych?

– Tysiąc, może więcej.

Pickmore pokiwał głową. – Jak to się ma do zeszłorocznego pożaru?

– Powiedziałbym, że liczby są porównywalne.

– A wszyscy ci „*rals*”⁹, błakający się nocami po ulicach? – Zamachał chusteczką.

⁹ *Ral, raille* (ang. nowofundlandzki) – opryszek, wagabunda, łotr. Zima 1817–1818 utrwaliła się w pamięci mieszkańców Nowej Fundlandii jako „Winter of the Rals”.

– Tej zimy wydają się równie zuchwali, co poprzedniej. Publiczne chłosty ostudziły nieco ich nastroje. Pozwoliłem sobie powołać nieduży oddział żołnierzy,

mający patrolować ulice po zmroku.

– Nad wyraz godne pochwały. – Pickmore wypowiadał się z roztargnieniem, które sprawiało, że jego komplementy brzmiały jak nagana. – Poszczęściło się nam, że w tych okolicznościach mamy tu człowieka o pańskim doświadczeniu. Przyznaję, że sam nie miałbym pojęcia, od czego zacząć.

Buchan lekko schylił głowę. Zeszłoroczny pożar oraz wynikłe z niego trudy i niepokoje mieszkańców St. John's stanowiły wyłączną przyczynę zarządzenia stałej obecności gubernatora w kolonii. Porucznik widział jednak – i usłyszał to z ust samego Pickmore'a – że nowy przełożony na niewiele się zda.

– Ekscelencjo, oni zaczynają klecić na pogorzeliśku budy wzdłuż tych samych, fatalnie wytyczonych ścieżek. Sądzę, że najlepiej byłoby zabronić tego do wiosny, kiedy zaistnieje możliwość wzniesienia konstrukcji w sposób bardziej przemyślany. W przeciwnym razie będziemy nadal dosłownie siedzieć na beczce prochu.

Gubernator zacisnął usta i przytaknął. – Zgoda... – powiedział, po czym urwał, by wykrztusić ciemny gruzel flegmy w białą chusteczkę, którą zawsze trzymał w lewej dłoni. – Niewiarygodna rzecz, że ktoś zdołał wznieść dom tak piekielnie przenikający chłodem. – Podszedł do kominka, dorzucił do ognia dwie szczapy i sięgnął po trzecią. Stał tam, wpatrując się tępo w migoczący płomień.

– Coś jeszcze, sir? – spytał Buchan.

Pickmore odwrócił się do niego z bierwionem w dłoni. Wyglądał niemal tak, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem. – Poruczniku, nie ma pan o mnie zbyt dobrego zdania, prawda?

Owszem, Buchan czuł do niego niechęć. Wcześniej podejmował próby zainteresowania gubernatora losem Czerwonych Indian, lecz bez większego powodzenia. „Mam inne zmartwienia na głowie” – zbył go wtedy Pickmore, wymachując chusteczką jak człowiek pogrążony w akcie wiecznej kapitulacji. Buchan miał wrażenie, że jegomość martwi się głównie o siebie. Jego bezustanne narzekania i nieznośne słabowanie sprawiały, że przywodził na myśl zepsute dziecko. Buchan nie raz dzielił się tym spostrzeżeniem z Marie, a stojąc przed gubernatorem, rozważał wyrażenie na głos podobnej oceny. Ostatecznie jednak powiedział tylko: – Mam stanowisko, ekscelencjo, a nie zdanie.

Resztę popołudnia Buchan spędził na pogorzeliśku nad przystanią. Czerń wypalanej ziemi wciąż przezierała spod śniegu, który spadł parę dni po pożarze. Wzdłuż całej Water Street ludzie przetrząsali kijami zgliszcza magazynów i sklepów w nadziei, że znajdą resztki spalonych ryb lub wołowiny, którymi mogliby nakarmić rodzinę. Trzy kobiety w długich spódnicach i chustach siedziały we wnęce utworzonej przez wciąż stojące prostopadle do siebie ściany, obejmując ramionami

garstkę dzieci w wieku od dwóch do dziesięciu lat. Na wschód od miasta, w okolicach Hill o'Chips, widniał już szereg świeżo wzniesionych bud – ustawionych ściana w ścianę chatynek z odzyskanych kawałków drewna i płótna, na tyle niskich, że nawet osoba tak skromnego wzrostu jak Buchan nie mogła stanąć w nich prosto.

Skądś dobiegał płacz nieutulonego dziecka. Buchan miał wrażenie, że przesywające, bezcielesne zawroźdzenie niemowlęcia to odgłos opadającego słońca, które chowało się już za wzgórza na zachodzie. Długie zimowe cienie wsączały się w przystań, włokąc zmrok w ślad za sobą. Odwróciwszy się od nabrzeża, ruszył stromym zboczem w stronę fortu na wzgórzu.

Zastał tam patrol żołnierzy marynarki przygotowujący się do wieczornej służby. Powtórzył swoje rozkazy, polecając im użyć wszelkich środków niezbędnych do zabezpieczenia obywateli przed gangami grasującymi na ulicach.

– Wolno wam ukrywać się przed chłodem w zamkniętym pomieszczeniu po pięć minut na godzinę. Ani chwili dłużej. Zrozumiano?

Pomaszerował do kantyny, w której właśnie wydawano kolację. Stanąwszy za pustym krzesłem, położył dłonie na drewnianym oparciu i odczekał, aż w pomieszczeniu zapadnie milczenie. Trzystu żołnierzy i marynarzy odwróciło się w jego stronę. Czyjś sztuciec spadł na podłogę. Ktoś spytał: – Usiądzie pan z nami, poruczniku?

– Kapralu Rowsell – odezwał się Buchan.

Podwładny zerwał się z miejsca, omal nie wywracając krzesła. – Tak jest, sir.

– Rano weźmiecie oddział złożony z osiemdziesięciu ludzi na Hill o'Chips i usuniecie wszystkich mieszkańców tymczasowych schronień zbudowanych po pożarze, bez względu na płeć i wiek. Jeśli będzie trzeba, użyjecie siły.

– Tak jest.

– Budy zostaną zrównane z ziemią. Ludzi należy przenieść do przykościelnych sal, zgodnie z ich wyznaniem. Jeśli zajdzie taka potrzeba, rozbijecie namioty przed kościołami, aby pomieścić wszystkich poszkodowanych.

– Tak jest.

Buchan wziął oddech. Celowo nie podnosił głosu; czuł, że mężczyźni zgromadzeni na sali niedostrzegalnie nachylają się ku niemu, próbując dosłyszeć jego słowa. – Od dzisiaj racje żywnościowe wszystkich żołnierzy w służbie Jego Królewskiej Mości zostają zmniejszone o połowę.

Rowsell odchrząknął. – Tak jest – powiedział ponownie.

Buchan odwrócił się od kaprala i skupił wzrok pośrodku pomieszczenia. – Uzyskane w ten sposób nadwyżki zostaną sprawiedliwie rozdysponowane między kościołami celem wykarmienia zamieszkałych w nich osób. – Popatrzył znowu na Rowsella. – Czy to jasne?

– Jak słońce, sir – przytaknął kapral.

Postał tak jeszcze przez chwilę, wodząc wzrokiem po twarzach swoich ludzi. Wszyscy patrzyli prosto przed siebie albo spoglądali w talerze. Odsunął krzesło od stołu i zajął swoje miejsce. – A teraz chętnie się do was przysiądę.

Była prawie ósma, gdy wrócił do dzielonego z żoną i czteroletnią córeczką mieszkania w obrębie murów fortu. Dziecko już spało. Marie siedziała przy ogniu, opatulona grubymi warstwami szali i koców. Była w trzeciej ciąży; spodziewała się rozwiązania w ciągu kilku dni lub tygodni. Jej brzuch rozdymał okrywające ją tkaniny, a widoczna ponad nimi głowa wydawała się komicznie mała na czubku tej góry leżącej w fotelu. Żółte pukle, delikatny nosek, policzki zarumienione tak, jakby godzinami biegała na dworze. To była wciąż twarz tamtej piętnastoletniej dziewczyny, którą poznał, gdy jeszcze z najwyższym trudem dogadywała się po angielsku.

– Twoja kolacja do wyrzucenia – obwieściła, nie odwracając się od ognia.

– Zjadłem z ludźmi z kantynie – wyjaśnił. – Przepraszam.

– Zawsze tylko przepraszasz, tak?

Przysunął sobie fotel do kominka i uśmiechnął się do żony.

– Nie uśmiechaj się – zgañła go. Zaczęła się wiercić, nie mogąc znaleźć pozycji, w której dziecko nie uciskałoby jej żeber lub kręgosłupa. Brała lekkie, urywane wdechy, próbując uniknąć bolesnej kolki błędzącej jej po brzuchu i plecach. – Pojęcia nie masz, co to znaczy być w ciąży. Ja gotuję dla ciebie w tym stanie, a ty jesz w kantynie.

– Masz w pełni sprawną służącą, która może dla ciebie gotować.

– Jest do niczego. Irlandczycy pojęcia nie mają, co to gotowanie. Gorszi są nawet od Anglików.

Buchan znowu przesunął fotel i uniósł jej prawą nogę, kładąc ją sobie na kolanach. Zdjął żonie ciężki skórzany kapeć i mocno potarł kciukiem spód jej stopy. Zwiesiła głowę do tyłu. – *Pardonnez moi, cheri. Tu es tout pour moi* – wyszeptał.

Usiadła prosto i wyszarpnęła mu stopę z rąk. – Muszę się tobą dzielić z mężczyznami z kantyny, i to jest twoje pojęcie o małżeństwie? Muszę się tobą dzielić? A twój francuski jest potworny.

Uśmiechnął się i sięgnął po jej lewą stopę. Jego francuski nie był najlepszy, co do tego miała słuszność. Czasami jednak zadawał sobie trud, żeby mówić szczególnie źle, ot, żeby się z nią podroczyć. – *C'est vrai?*

Siódmy miesiąc ciąży zawsze przynosił żonie nieustanny ból, a wywołana przez to kapryśność była zdumiewająca. Uparcie pogodne usposobienie Buchana w obliczu jej gniewu doprowadzało ją czasami do jeszcze większej furii, lecz w ogólnym rozrachunku stanowiło jedną z nielicznych rzeczy, które czyniły ostatnie osiem tygodni przed porodem znośnymi. Posłała mu w odpowiedzi krzywy

uśmiech. – *Oui* – powiedziała. – *C'est vrai*.

Siedzieli w milczeniu, a Buchan masował jej spuchnięte stopy. Zanim przysnęła w fotelu, mruknęła: – *Pardonnez moi, chéri. Tu es tout pour moi*. – Wypowiedziała te słowa, bezbłędnie naśladowując szkocki akcent męża.

– Połóż się spać – powiedział.

– Kochasz mnie, tak?

– Tak.

– Tylko mnie, *c'est vrai*?

– *Oui* – przyznał. – *C'est vrai*.

Buchan patrzył na śpiącą żonę. Przed trzema laty zostawiła ich starszą córkę w szkole z internatem w Anglii, by przyplłynąć do niego na Nową Fundlandię. A nawet tutaj potrafił spędzać z dala od domu tygodnie, czasem całe miesiące. Gdyby zsumował wszystkie swoje nieobecności, okazałoby się, że pochłonęły kilka lat ich małżeństwa.

Z wyjątkiem ostatnich dwóch miesięcy każdej ciąży, Marie nigdy na nic się nie uskarżała ani nie żądała od niego niczego więcej. Wciąż zaskakiwała go siłą jej woli oraz wierność raz podjętej decyzji. Poza obliczem nie zostało w niej już nic z dziecka – chyba że właśnie to ufne oddanie mężowi. Buchan czuł się go coraz mniej godzien. Musiał podjąć świadomy wysiłek, by nie odpowiadać na niekliwe względy, które mógłby okazywać dziecku niedopełniający swoich obowiązków rodzic. Masował kciukiem ściętno biegnące od jej dużego palca niemal do pięty. Obecnie tylko to przynosiło jej jakąkolwiek ulgę.

Kiedy Buchan i Marie się poznali, Anglia i Francja szykowały się właśnie do kolejnej wojny po krótkim zawieszeniu broni. Bez przekonania próbował odwieść ukochaną od małżeństwa. Na pokładzie HMS *Nettby* widział ludzi z wnętrzościami wyprutymi przez kule armatnie, z ramionami potrzaskanymi przez latające odłamki. Rannych znoszono do chirurga pracującego na najniższym pokładzie. Tam układano ich w rzędzie, a lekarz zajmował się nimi, ściśle przestrzegając kolejności i nie bacząc zupełnie na ich rangę czy ciężkość obrażeń. Wielu wykrwawiło się na śmierć, czekając na swoją kolej. Rannym mężczyznom wciskano skórzany knebel między zęby i amputowano kończyny, stosując tylko haust rumu jako znieczulenie. Na pokładach działowych wszystkich martwych załogantów oraz tych rannych, którzy nie rokowali żadnych nadziei na przeżycie, wyrzucano do morza przez ambrazury, by zrobić miejsce dla zmienników.

Buchan nie uważał, by którekolwiek z tych opowieści były odpowiednie dla dziewczyny w wieku Marie, robił jednak co w jego mocy, by dać jej do zrozumienia, z czym może wiązać się ożenek z oficerem marynarki. W kolejnych latach myślał o sobie jak o przydatku – palcu, uchu, stopie – bez którego żona w razie konieczności będzie musiała nauczyć się żyć. Był w końcu żołnierzem, potrafił więc znaleźć coś przerażająco erotycznego w podejmowaniu takiego ryzyka. Pocieszał

się myślą, że żona podjęła decyzję o małżeństwie z nim w pełni świadoma, iż istnieje taka ewentualność. Natomiast myśl, że to on mógłby uczyć się życia bez Marie, nie powstała mu w głowie aż do ostatniego dziecka.

Tamten połóg stanowił koszmarne doświadczenie, które o mało jej nie uśmierciło. Trzydziestosześciodzinne męczarnie, poród pośladowy – ich druga córka przyszła na świat nogami do przodu. Przez jakiś czas akuszerka obawiała się, że umrze i matka, i dziecko. Wydalając popłód, Marie straciła tak dużo krwi, że pościel, ręczniki czy nawet materac nie nadawały się już do użytku i musiały zostać spalone. Buchan siedział zamknięty w drugim pokoju, podczas gdy kobiety zajmowały się tymi sprawami za ścianą. Historię porodu poznał dopiero po fakcie. Zdawał sobie sprawę, że została skrócona i ocenzurowana przez wzgląd na subtelność. Wiedział, że te słowa nie oddają jej prawdziwego znaczenia, że są mniej przerażające niż samo wydarzenie.

Organizm Marie nigdy nie odzyskał dawnej sprawności po tamtych skrajnych przejściach, a podczas trzeciej ciąży osuwał się stopniowo w coraz bardziej delikatny stan. Dla obojga było jasne – choć nigdy nie powiedzieli tego głośno – że nadchodzący połóg może ją zabić. Buchana dręczyło coraz bardziej znajome poczucie winy, jakby jakaś mała kópka kopała go w żebra od wewnątrz.

Ostrożnie nałożył żonie kapeć i delikatnie postawił jej stopę na podłodze. Przegrzebał palenisko i dorzucił drewna, po czym poszedł do sypialni i wysikał się do nocnika. Zdjąwszy z łóżka ręcznie zszywaną kapeć, wrócił z nią do kominka, gdzie ułożył się koło fotela żony i zasnął.

O wpół do czwartej tamtego ranka – dwudziestego pierwszego listopada – wartownicy z jednego z zacumowanych w porcie St. John's okrętów Jego Królewskiej Mości zauważyli długie zasłony ognia powiewające w oknach budynku spółki Huie & Reed, stojącego przy Water Street, nieopodal skrzyżowania z Adelaide. Oddano strzał z działa okrętowego, by zaalarmować mieszkańców. W ciszy wczesnego poranka huk odbijał się echem od otaczających zatokę wzgórz, doprowadzając całe miasteczko do stanu zamglonego snem zamętu i paniki, jakby osada znalazła się nagle pod oblężeniem. Tysiące bosych, ubranych jedynie w koszule nocne ludzie powybiegały z domów w zimową noc, często wynosząc ze sobą na przenikliwy chłód płaczące dzieci i niemowlęta.

Nie było wiatru, lecz ogień i tak rozprzestrzeniał się szybko po zbitych ciasno szeregach drewnianych domów i magazynów wypełnionych sypkimi towarami. Kiedy Buchan dotarł na Water Street, wszystko na wschód od uliczki Adelaide – aż do granicy poprzedniego pożaru – stało już w płomieniach i było niemożliwe do uratowania. Skrzyknąwszy oddział złożony z żołnierzy i rybaków, poprowadził go na zachód od budynku spółki Huie & Reed. Kazał im zburzyć kilka stojaków na

ryby, znajdujących się jeszcze ponad ścieżką. Mężczyźni wspinali się po drabinach na domy stojące przy ulicy i rozkładali na dachówkach mokre koce i dywany. Rzucali się w tę i we w tę z miotłami, strącając iskry spadające na dachy. Buchan zdawał sobie sprawę, że nie mają szans na uratowanie swoich domów i interesów. Jedynym rozwiązaniem był pas przeciwpożarowy – otwarta przestrzeń, której ogień nie przekroczyłby w taką bezwietrzną noc.

Wysłał żołnierzy do dwóch domów stojących naprzeciw siebie przy wąskiej ulicy i kazał im usunąć z mieszkań wszystkich znajdujących się tam jeszcze ludzi. Mężczyźni z piłami i toporami przecięli główne belki drewnianej konstrukcji po południowej stronie ulicy, a jeden z marynarzy został posłany na szczyt drabiny z liną cumowniczą, którą uwiązał do okapu dachu. Wokół nich zdążył już zebrać się tłum złożony z kilkuset mężczyzn, Buchan rozkazał więc, by przy wolnym końcu cumy stanęło tyłu, ilu tylko zdoła sięgnąć do niej ręką. Prawie stuosobowa grupa ustawiła się skośnie na Water Street. Buchan wrzeszczał do mężczyzn szarpiących za sznur, przekrzykując ryk nadciągającego ognia. Dwukondygnacyjna konstrukcja zatrzeszczała i przekrzywiła się na bok jak pijany człowiek próbujący podnieść się z krzesła, po czym zatoczyła się na ulicę i runęła w chmurze pyłu. Mężczyźni stojący z liną w dłoniach oraz przyglądający im się gapie zaczęli wiwatować.

Zanim kurz zdążył opaść, jakaś kobieta podeszła do Buchana i zaczęła okładać go obiema rękami po piersi i twarzy. Była ubrana tylko w koszulę nocną, na głowie miała czepek. Jeden z żołnierzy podbiegł do niej i złapał ją od tyłu za ramiona. Krzyczała niezrozumiale, wciąż rzucając się na Buchana; udało im się unieruchomić ją dopiero po kilku minutach. Gdy żołnierz obalił ją na ziemię i usiadł na niej, przytrzymując jej ręce, popatrzyła na oficera.

– To był mój dom, ty skurwielu! – wrzasnęła. – To był mój dom!

– Próbowałem ją powstrzymać, sir – tłumaczył się żołnierz – ale silna jest jak tur.

– Zabrać ją stąd – nakazał Buchan.

Mężczyźni zdążyli już uwiązać cumę do przeciwległego budynku; zebrali się przy linie, czekając na znak, że mają zacząć ciągnąć. Pożoga wzbierała za ich plecami, hałas był już zbyt wielki, by dało się go przekrzyczeć. Wyjąwszy z kieszeni chustkę, Buchan wzniósł ją w powietrze, jakby zamierzał dać sygnał do rozpoczęcia wyścigu. Trzykrotnie uniósł ją i opuścił, a ochotnicy trzy razy uwiesili się na linie, dom jednak ani drgnął. Po każdym niepowodzeniu za cumę łapało więcej mężczyzn.

– Zburzyć to! – wrzeszczał Buchan bezskutecznie. – Zburzyć to!

A wtedy usłyszał ich głosy – śpiewali portową szantę, jej słowa sunęły pod zgiełkiem pożaru niczym dym. *Haul on the bowline, the bugger must come this time, haul, boys, haul*¹⁰ – wybrzmiewał coraz głośniejszy refren, w miarę jak do śpiewu przyłączali się gapie stojący na ulicy. Kiedy budynek wreszcie poddał się i ru-

nał, mężczyźni padli do tyłu, pokładając się na siebie na całej długości liny. Podczas gdy wstawali i klepali po ramionach kompanów stojących najbliżej, na ulicy wybrzmiał kolejny wiwat. Buchan chodził między nimi, nakazując żołnierzom oczyszczenie działek ze szczątków konstrukcji. Po kilku minutach natknął się na ciemną sylwetkę skuloną nad jakąś postacią rozciągniętą na ulicy. Potężny brodac z opaską na prawym oku klęczał, tuląc głowę leżącego mężczyzny. Podniósł wzrok, gdy oficer przepchnął się do niego.

10 *Haul on the bowline* – dosł. „ciągnij bulinę”; prawdopodobnie jedna z najstarszych znanych do dzisiaj szant.

– Zabrać go z ulicy! – rozkazał Buchan.

Mężczyzna z opaską pokręcił głową. – On nie żyje, sir.

Zmarły ścisnął jeszcze w dłoniach przód swojej koszuli, jakby próbował zerwać ją z ciała.

Pasy przeciwpożarowe zapobiegły spaleniom budynków stojących na ostatnich stu pięćdziesięciu jardach Water Street, lecz i tak drugi pożar zdążył pochłonąć tamtej zimy dwieście czterdzieści domów i sklepów. Przed jedną z zim zarejestrowanych jako najostrzejsze w historii kolonii co trzeci mieszkaniec St. John's został bez dachu nad głową i środków do życia. Nawet ci, którzy zachowali jakieś pieniądze, nie mieli dostępu do jedzenia ani innych towarów, bo te w większości spłonęły w magazynach. W kolejnych miesiącach najslabsi spośród bezdomnych pomarli z głodu lub zima w nędznych prowizorycznych budynekach, przed których skleceniem gubernator nie potrafił ich powstrzymać. Ziemia na cmentarzu była twarda jak skała, ciała zmarłych obsypywano więc w trumnach pokruszonym lodem i składowano w forcie, z wykopaniem grobów czekając do wiosny.

Wiceadmirał Francis Pickmore został pierwszym gubernatorem Nowej Fundlandii, który zmarł, piastując stanowisko. Już w październiku, gdy wprowadził się do Fort Townshend, cierpiał z powodu przewlekłych, dokuczliwych chorób. Sroga zima, niepokoje wywołane pożarami oraz wilgoć i chłód panujące nieprzerwanie w rezydencji pokonały go niczym drapieżnik dopadający rannej zdobyczy. Zmarł dwudziestego czwartego lutego w wyniku powikłań wywołanych bronchitem.

Tamtej zimy nieustający mróz już w pierwszych dniach grudnia odciął wybrzeże zwartym pasem lodu. Chcąc odesłać zwłoki gubernatora do Anglii, Buchan wcielił do wojska trzystu rybaków i zmusił ich oraz marynarzy z okrętów Drake, Egeria i Fly do pracy nad przebicciem przejścia z zatoki na otwarte morze. Przy brzegu lód był gruby na pięć stóp; mężczyźni wyrąbывali w nim kanał przy pomocy siekier, pił do lodu oraz tępego uporu. Trzy tygodnie po rozpoczęciu prac statek HMS Fly wyszedł z St. John's, niosąc na pokładzie doczesne szczątki gubernatora Pickmore'a, zakonserwowane w dużej beczce rumu. Buchan był obecny przy

opuszczaniu ciała w mętną alkoholową kąpiel. Zanurzona pod powierzchnię twarz zaciągnęła się sepią, przybierając wyraz błogiej obojętności. Topielec, pomyślał Buchan, podczas gdy zabijano pokrywę gwoździami.

Kanał, który pracownicy wyryli w lodzie, by otworzyć wody Atlantyku, był długi na 2856 jardów. W ciągu tygodnia nieustępliwy mróz zasklepił go na nowo, a port pozostał niedostępny dla statków do maja.

Ku ogólnemu zdumieniu, wskutek samych pożarów nikt nie zginął. Mężczyzna, który – jak podejrzewano – zmarł w wyniku zawału serca podczas wyburzania domów przy Water Street, stanowił jedyną ofiarę śmiertelną odnotowaną podczas tych dwóch fatalnych nocy. Przed pogrzebem wyłożono ciało w jednej z nielicznych tawern niestrawionych przez pożar – jednoizbowej knajpie, której właścicielem i jedynym pracownikiem był mężczyzna z przepaską. Gdy Buchan zaszedł do pubu, by uhonorować pamięć zmarłego, szynkarz przedstawił się jako Harrow.

– Sam zem był w marynarce – powiedział. – Lata temu. Zanim straciłem oko. – Wskazał je dłonią.

Buchan pokiwał głową.

Trumnę ułożono na kontuarze, stał przy niej rząd pijanych rybaków. Skrzynia została sklecona z surowych desek, a spoczywający w niej mężczyzna ubrany był w czarny garnitur, o kilka rozmiarów za duży i skrojony wedle mody sprzed trzech dekad.

– Mój własny garnitur – wyjaśnił oficerowi Harrow. Sam miał na sobie przewiazaną w pasie ludową koszulę, której fałdy opadały niemal do podłogi. – Ostatnio miałem go na grzbiecie może z rok po tym, jak wyszedłem z wojska. A ten tutaj biedny skurczybyk nie miał porządnego przyodziewku, w którym mogliby go pogrzebać.

– Był pańskim krewnym?

– Nie, wspólnikiem w interesach. Swego czasu, przed śmiercią jego żony. Potem sprzedał swoje udziały w tawernie i przepił wszystko co do grosza.

Kilku mężczyzn stojących przy barze wzniosło toast na cześć legendarnych wyczynów denata na tym polu.

– Kiedy pogrzeb?

– Jutro w południe. – Harrow pokręcił głową. – Zaskoczony jestem, że Kościół go w ogóle przyjmie. Przez te wszystkie lata, kiedy go znałem, jego noga nie postąpiła za progiem świątyni.

– Dopravdy?

– Owszem. Dziwadło z niego było, bez dwóch zdań. Miał córkę, bystrą dziewczynę. Któregoś sierpnia ubrał ją w męskie łachy i polazł z nią aż do Portugal Cove, choć nie było tam wtedy jeszcze drogi. Słyszałem też dużo dziwniejsze opo-

wieści, przed których przytoczeniem powstrzymuje mnie obecność jego szczątków.

Kolejna fala toastów.

Buchan rozejrzał się po marnie oświetlonym pomieszczeniu. – A gdzie jest teraz jego córka?

– Wyjechała dwadzieścia parę lat temu. Zatrudnił ją człowiek z północy, niejaki Peyton. Jest właścicielem połowy tamtejszego wybrzeża. Nie sposób stwierdzić, gdzie ją potem zaniósł. Zechce pan wypić coś na koszt firmy, poruczniku?

Harrow obszedł kontuar i zniknął za trumną.

– Nie – odmówił Buchan. – Dziękuję. Chciałem tylko złożyć kondolencje.

Harrow ponownie wychynał zza baru i oparł się barkiem o trumnę. – To my dziękujemy. W jego imieniu. Proszę wrócić w bardziej radosnych okolicznościach. Napitek na koszt firmy będzie na pana czekał.

Dopiero kilka tygodni później Buchan zdobył się wreszcie na to, by wziąć do ręki pióro i napisać list mający wyruszyć na północ na pokładzie pierwszego statku pocztowego, który wyjdzie z Portugal Cove po wiosennych roztopach.

Szanowna Panno Jure, z ogromnym żalem i szczerym współczuciem zawiadamiam, iż wczesnym rankiem dwudziestego pierwszego listopada roku 1817 odszedł z ziemskiego padółu Pani ojciec – zaczął.

DWA

Cassie opowiadała Peytonowi o pierwszej wędrowce, którą jako dziewczynka odbyła z ojcem między St. John's a Portugal Cove. Siedziała przy ogniu w domu letnim, ubrana w gruby wełniany sweter, z flanelowymi spodniami wciągniętymi pod blady len spódnicy, chroniąc się przed chłodem wczesnego maja. List z wiadomością o śmierci ojca leżał na jej kolanach. Mówiąc, nieświadomie bawiła się kartką.

– Miałam dopiero dwanaście lat – powiedziała.

Poszli z ojcem indiańską ścieżką, szlakiem w głębi lądu, całymi milami biegnącym przez teren, który w jej książkach byłby nazwany *nieprzeniknioną knieją, nieprzebytymi trzęsawiskami*. Uplęły już całe dziesięciolecia od czasów, kiedy Beothukowie zajmowali tę część wyspy, a ścieżka sprawiała wrażenie jedynie pogłoski o ich odejściu – ledwie widoczna, czasami zanikająca w pół drogi przez moczary, czasami urywająca się w świerkowym zagajniku. Potrafili wtedy spędzić dwa kwadransy z okładem, bezskutecznie kreśląc w terenie zygzaki, próbując znaleźć jakiegokolwiek podpowiedzi wskazujące na jej dalszy kierunek. Ojciec chodził przygięty do ziemi, jakby mógł wywęszyć trop niczym ogar. Miał gęste, kędzierzawe bokobrody, a rzędząca czupryna odsłaniała bladą skórę na głowie. Niósł myśliwski plecak z prowiantem i czystymi skarpetami. U pasa miał uwiązaną niedużą podróżną beczułkę, wypełnioną świerkowym piwem. Przykucnął przy zagłębieniu

niach w mchu mogących świadczyć o tym, że ścieżka skręca na północ. Zaczął oburącz skubać bokobrody, rozmyślając nad właściwą trasą.

Zauważywszy, że córka mu się przygląda, uśmiechnął się do niej. – Tak – zawyrokował, jakby jej spojrzenie stanowiło decydujący czynnik. – A więc tędy. – Wyprostował się i pomaszerował przed siebie, a Cassie ruszyła za nim ze wzrokiem wlepionym w jego stopy, co kilka kroków podbiegając, by nie zostać z tyłu. Była już wyczerpana i bliska łez, ale nie zamierzała się poddać, przyznając się do słabości czy prosząc o wytchnienie. Ojciec utrzymywał to samo tempo, które narzucił, gdy rankiem po ciemku wyszli z St. John's, a ona była zdeterminowana, aby go nie spowalniać. Wtedy miała jeszcze ambicję, by dorównać mu w jego niepomowanej żądzy świata. Tak samo jak przed laty matka.

Matka miała zaledwie siedemnaście lat, gdy poznała mężczyznę, który miał później zostać jej mężem. Popłynęła z nim na Nową Fundlandię, by ochronić rodziców przed hańbą nie do pomyślenia.

Cassie zerknęła na Peytona, by upewnić się, że pojął, o czym mowa. Skinieniem głowy dał jej znak, żeby mówiła dalej.

Matka chciała wieść porządne życie. Zanim upływ lat i coraz bardziej rozpustne postęпки męża wyczerpały ją na dobre, walczyła o zachowanie choćby pozorów godności. W jej mniemaniu pub prowadzony przez małżonka stanowił kolejną przyczynę upokorzeń, które musiała znosić. Nie potrafiła mówić o tym miejscu bez pełnego odrazy drżenia w głosie.

– Mówiłaś mi już kiedyś, co o tym sądziła – powiedział Peyton.

Cassie pokiwała głową. Ojciec uskarżał się na humory żony, ale przyznawał, że wycierpiała przez niego dość, aby mieć prawo do jakiejś dozy rozczarowania. Pozwalał jej potępiać tawernę, nie odpierając jej krytyki żadnymi poważniejszymi argumentami. Nierozstrzygnięty konflikt między rodzicami wnikał jednak w inne obszary życia rodziny – zwłaszcza gdy chodziło o córkę. Matka była drobiazgowa i wymagająca, troskliwa, czujna i nieustępliwa. Ojciec – niedbały, brawurowy i niebaczący na to, co przystoi robić dziewczynce w jej wieku – szczególnie kiedy był pod wpływem alkoholu. Pozwalał jej czytać wczesną poezję Johna Donne'a, uczył ją pływać w jeziorze Quidi Vidi, brał ją ze sobą na nabrzeże, by łowić na linkę wargacze w porcie. Nauczył ją nabijać broń i strzelać na wzgórzach nad St. John's.

– Zrujnujesz dziewczynie życie – ostrzegła matka.

– Skończyłem już z rujnowaniem dziewczętom życia, kochanie – odpowiedział.

Posłała mu ponure, pogardliwe spojrzenie. – Żałuję, że w ogóle stanąłeś na mojej drodze.

Cassie czasami zaprzęgała do roboty panujące między rodzicami napięcie, wmanewrowując matkę w ustępstwa, o których w normalnych warunkach nie było-

by mowy. John Donne wykraczał nieco poza jej zdolności pojmwania, łowienie ryb na linkę nudziło, natomiast nauka pływania, strzelanie oraz tym podobne sprawy były podniecające i warte walki. Kiedy ojciec obwieścił, że wybiera się na wędrówkę do Portugal Cove, córka zaczęła zabiegać o zgodę na udział w wyprawie.

– Nie bądź śmieszna – zgałła ją matka.

– Daj dziecku spokój – zareagował ojciec. Jego ton sugerował, że sam również nie da się łatwo przekonać.

– Cóż za stworzenie chcesz wychować? – narzekała matka. – Ciągniesz ją ze sobą na nabrzeże. Rozbierasz do półnaga nad jeziorem. Co sobie ludzie pomyślą, jak zobaczą, że wleciesz ją w spódnicy przez pół wyspy?

– Ludzie? A jakimiż to ludźmi tak się zajmujesz?

– Na wszystko, co mi święte, Garfieldzie Izakiah Jure, nie pozwolę, żebyś poprowadził Cassandrę w jakiś las.

– Nie pozwolisz?

– Nie. Nie pozwolę. To nie miejsce dla dziewczynki.

Ojciec w zamyśleniu pokiwał głową. – Zaiste – przyznał. Zerknął na córkę, która siedziała obok w milczeniu pozwalając, by sprawy biegły swoim tokiem. Potem spojrział znowu na żonę. – Całkowicie się zgadzam – oznajmił, po czym bez słowa wyszedł z domu.

Cassie spuściła wzrok i zapatrzyła się w wypolerowane sprzączki od butów. Matka chodziła po izbie tam i z powrotem. Zachowywały się tak, jakby osiągnęły impas w kłótni, którą prowadziły wyłącznie we dwie. Było jasne, że to nie koniec. Obie wyczekiwały czegoś, pełne niepokoju.

Po półgodzinie ojciec Cassie wrócił z parą męskich spodni, skarpetami, czapką i krótkim spencerem.

– Będziemy cię musieli jakoś przechrzcić – powiedział do córki.

– Ależ Izakiah... – zaczęła matka.

– Przymierz – zachęcił. – Wprowadzimy parę poprawek.

– Gdzieś ty dostał te ubrania?

– Od najmniejszego dżentelmena, jakiego udało mi się znaleźć w sąsiedztwie. Kosztowały mnie półtorej butelki jamajskiego rumu. Pasowałyby coś królewskiego, o arystokratycznym brzmieniu. Cassie, chciałabyś mieć na imię Henry? A może Charles? Zawsze podobał mi się Charles. Tak bym ci dał na imię, gdybyś urodziła się chłopcem.

Skarpety były dziurawe i brudne, ich smród wypełnił izbę. Matka stała bezradna pośrodku pomieszczenia. Wszystko, co działo się na jej oczach, było tak niewłaściwe, że sama nie wiedziała, od czego powinna zacząć protesty. W końcu oznajmiła: – Cassie nie włoży ani jednego z tych łachów, dopóki nie zostaną porządnie wyprane.

Żądała tak niedużego ustępstwa, oddając tak wiele w zamian, że Cassie z oj-

cem natychmiast przystali na jej warunki.

Wyruszyli w drogę godzinę przed świtem, dokładnie tydzień później. Matka patrzyła za nimi, stojąc w otwartych drzwiach. Jej sylwetka odcinała się od nikłej poświaty świecy; cień padał na piaszczystą ścieżkę. – Odprowadź mi ją tylko całą! – zawołała do męża, gdy byli już niemal poza zasięgiem słuchu. Kiedy drzwi się zamknęły, dusząc prostokąt światła, Cassie odwróciła się i popatrzyła w dół z boczna.

Pierwsze trzy mile za miastem przebyli w dobrym tempie szeroką, uczęszczaną drogą, prowadzącą do miejsca zwanego Tilt House. W tym czasie słońce zdążyło wznieść się dobrze ponad horyzont. Cassie czuła swędzenie, wywołane przez świeże pęcherze, tworzące się właśnie na jej piętach.

– Teraz robi się dużo gorzej, mój mały Charlesie – powiedział ojciec. Przytknął do ust wylot beczułki z piwem, po czym znowu wetknął w niego korek. Wyjął z plecaka nieduży słoik świńskiego smalcu. Dwoma palcami wygarnął sporą bryłę z pojemnika i podsunął go Cassie, samemu obficie nakładając biały tłuszcz na czoło, twarz i szyję. Skinieniem głowy wskazał córce krętą ścieżynkę, biegnącą między pniami drzew i płytkimi bagnami. – Robactwo – wyjaśnił.

Cassie przytaknęła i zaczęła smarować się tłuszczem, naśladowując ojca.

Kolejne trzy mile, dzielące ich od Twenty Mile Pond, przebyli ścieżką używaną zazwyczaj przez ludzi chcących dotrzeć zimą nad jezioro. Była wyżłobiona koleinami, poprzecinana strumykami i usiana pniami drzew oraz kamieniami. Komary wisiały nad ich głowami w zmierzwionych aureolach – tak gęstych i ruchliwych, że gdy coś mówili, musieli zakrywać usta dłońmi. Przekraczali mokradła upstrzone głębokimi kałużami ciemnej wody. W miejscach, gdzie ścieżka była najbardziej podmokła, z myślą o podróżnikach ułożono w pewnych odstępach kamienie i bale drewna, lecz nawet one zaczęły już pogrążyć się w brei. Buty Cassie były dla niej trochę za duże; oba spadły jej przy dwóch różnych okazjach, tak że musiała wydobywać je rękami z ciemnego błota.

Przystanęli nad Twenty Mile Pond, żeby opłukać buty i skarpety oraz zjeść posiłek złożony z chleba z serem. Siedzieli na karczowisku nad wodą, korzystając z silnego przewiewu, który suszył im ubrania i odpędzał owady. Dziewczynka położyła się na kamieniach i zasnęła z kawałkiem chleba w dłoni.

W tym momencie Cassie przerwała opowieść, jakby jej snucie wyczerpywało ją tak samo, jak niegdyś wędrówka. Peyton spoglądał na nią, gdy wpatrywała się w płomień.

Za jeziorem indiański szlak wcinał się między drzewa i zwał się tak bardzo, że nie byli w stanie iść obok siebie. Ścieżkę tarasowały nieraz głązy wypchnięte z gruntu, niektóre tak wysokie, że sięgnęłyby osi wozu. Ojciec pokonywał rzeki w bród, idąc po pas w wodzie i niosąc córkę na barana. Oboje wpatrywali się w nurt, a on ostrożnie przesuwał nogi, szukając oparcia dla stóp. Gubili ścieżkę,

znajdowali ją, znowu gubili. Przekraczali połacie sięgającego im do ud błota, łapiąc za gałęzie i stąpając po odkrytych korzeniach. Dłonie mieli pocięte, podrapane i pokryte świerkową żywicą. Cassie nie czuła nóg, zelówki miała uwalane krwią. Zupełnie nie tego się spodziewała, a zarazem tego wszystkiego właśnie pragnęła.

– Rozumiesz, co mam na myśli? – spytała.

Peyton wzruszył ramionami. – Chyba tak.

– Chodzi mi o to, że chciałam wszystkiego, czego on chciał.

Peyton tylko skinął głową.

Do Portugal Cove dotarli dopiero po zmroku, a ojciec podszedł do pierwszego napotkanego domu, żeby spytać o jedzenie i nocleg. To była jednoizbowa chatynka, za drzwiami widzieli nieduży ogień rozpalony, by odegnać wieczorny chłód. Zaproszono ich do środka, gdzie przedstawili się mieszkańcom – Cassie jako Charles.

– Ładne chłopię – stwierdził mężczyzna, który otworzył im drzwi. Nazywał się O'Brien. Wysokie czoło i niezwykle wydatne szczęki starego Irlandczyka zdawały się za duże w stosunku do jego twarzy i całego ciała. Poza nim w nędznej chałupie mieszkała tylko jego żona, Margaret, malutka, dziarska kobieta, która – jak mieli się później dowiedzieć – była niemal zupełnie ślepa. Chodząc po izbie, poruszała się pewnie jak kot.

Margaret zawiesiła nad ogniem garnek foczego mięsa z ziemniakami i rzepą, a oni wyszli na zewnątrz, by obmyć sobie nogi w strumieniu płynącym kilka kroków od chatki. Ojciec położył sobie nogi Cassie na kolanach, osuszył jej stopy rąbkiem koszuli i nałożył odrobinę smalcu na każdy z bąbli płamiących jej podeszwy.

Cassie, która nigdy jeszcze nie miała w ustach foczego mięsa – matka nie zamierzała go kupować czy jeść, dopóki dostępna była peklowana wołowina – sama nie wiedziała, co myśleć o jego ciemnym, oleistym smaku. Po wędrówce była jednak tak głodna, że zjadła całą miskę, przyjęła zaproponowaną dokładkę, a na koniec palcem wskazującym oczyściła gliniane naczynie z resztek sosu. Ojciec opowiadał właśnie gospodarzom zmyśloną historyjkę o wilczym apetycie syna, o tym, jaki chłopak jest nienasycony, kiedy Cassie zasnęła, oparta na jego ramieniu. Rano obudziła się na posłaniu ze świerkowych gałęzi, rozłożonym na klepisku nieopodal paleniska. Za koc służyła jej kurtka ojca.

Odwróciła głowę do Peytona. Twarz miała chorobliwie bladą, co sprawiało, że jej oczy zdawały się czarne i puste niczym bryłki węgla, pozostałe po wygasłym ognisku.

– Chciałabyś może wypić trochę rumu? – spytał Peyton.

Rozejrzała się nagle po izbie; uświadomił sobie, że pomyślała o Johnie Seniorze. O ile go pamięć nie myliła, w obecności jego ojca nie tknęła nigdy ani kropli. Gdy tylko Cassie otworzyła list i podzieliła się z nimi zawartą w nim wiadomością, staruszek poszedł na nabrzeże, by tam łatać sieci lub po prostu strugać kawa-

łek drewna. Na chwilę położył szorstką dłoń na ramieniu Cassie – to był jego jedyny komentarz w tej sprawie – po czym bez słowa wyszedł z domu. Peyton próbował sobie wyobrazić Cassie, opowiadającą tę historię jego ojcu – nie był w stanie. Przynajmniej rozmowy z nią John Senior pozostawiał zawsze synowi.

Zszedłszy do składziku na nabrzeżu, John Senior zapatrzył się w morze. Za grosz wiatru, ale zatoka mocno rozbujana. Gładka, szara tafla przypominała kamienne podwórze unoszone ruchami skorupy ziemskiej.

Kiedy syn przyплыł z Fogo słupem wyładowanym wiosennymi zapasami, John Senior czekał na niego nad wodą. – Przyszedł list – obwieścił Peyton, przekakując przez burzę, gdy zacumowali już Susan do nabrzeża. – Z St. John's.

Poszli wtedy do domu we dwóch, jako posłańcy niosący złe wieści – w to nie wątpili. Kiedy Cassie otworzyła list, John Senior położył jej dłoń na ramieniu, myśląc, że mógłby coś powiedzieć; jakieś słowo pocieszenia. Nic z tego, co przychodziło mu do głowy, nie wydawało się jednak w najmniejszym stopniu stosowne, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich poznał Cassie i jej ojca.

W dawnych czasach, kiedy z Harrym Millerem przyплыwali do St. John's, by sprzedać złowione w sezonie łososie, potrafili wynajmować pokoje w tawernach nawet na tydzień. Codziennie po załatwieniu interesów ostro pili, a Miller robił użytek z usług, na które liczyć mógł mężczyzna w stolicy wyspy. John Senior z początku opierał się podwodnemu nurtowi własnej samotności i żądzy, trzymając się z dala od kobiet krążących między knajpianymi stolikami niczym stada mew wiszące nad rybakami oprawiającymi ryby.

– A już zacząłem zachodzić w głowę, jakiego to rodzaju nafty potrzeba, żeby rozpalić twój knotek, jeśli wiesz, co mam na myśli – oznajmił Miller, gdy wreszcie udało mu się nakłonić młodszego współnika do sprowadzenia sobie kobiety do pokoju.

John Senior nigdy nie podzielał nieskrywanej rozkoszy, z jaką Miller oddawał się corocznemu rytuałowi rozpusty. Propozycje składane przez niego po pijaku każdej napotkanej kobiecie czy jego zawodzące orgazmy słyszane w całej trzykondygnacyjnej karczmie zawstydzaly Johna Seniora; w trzeźwym świetle dnia godziły w jego poczucie przyzwoitości. Przez jakiś czas byli jednak współnikami również na tym polu – podobnie jak na wszelkich innych.

Część któregoś wieczora w St. John's spędzili w tawernie należącej do ojca Cassie, który, przysiadłszy się do ich stolika na kilka kolejek, zaprowadził ich na koniec do siebie do domu. Miller pokrzykiwał, składając niewybredne propozycje dwóm kobietom, które salwowały się ucieczką na piętro, a ojciec Cassie, bynajmniej nie urażony, śmiał się i zachęcał go do dalszych starań. Później wstał i nachylił się do Millera tak, jakby płakał mu na ramieniu. Obaj równocześnie skinęli

głowami, a ojciec Cassie kilkakrotnie poklepał swojego gościa po barku i poszedł po schodach na górę. Miller siedział na krawędzi krzesła, bębniąc dłońmi w uda. Podśpiewywał coś pozbawionego melodii i słów – *di, di di di, di di*. Zaczął gmerać przy kroczu; rozparł się na krześle, wprowadzając poprawki.

John Senior wpatrywał się w swojego współnika, odczuwając dziwny ciężar, jakby przygniotła go nagle cała obcość i niepewność świata. Zdawał sobie sprawę, że gdyby życie potoczyło się inaczej, to jego rodzony ojciec siedziałby właśnie przy Millerze z tym samym co tamten pijackim, drapieżnym wyrazem oczekiwania wypisanym na twarzy.

Matka Johna Seniora od ślubu oskarżała męża o sypianie z prostytutkami. Kiedy syn miał trzynaście lat, w ramach protestu przeniosła się do sypialni, którą dzielił z siostrami. O tym fakcie nigdy się nie rozmawiało; niezbędne zmiany i kompromisy na łonie rodziny wprowadzono w milczeniu – tak jak ludzie we śnie przesuwiają się, by zrobić w łóżku miejsce na jeszcze jedno ciało. Syn odczuwał jednak upokorzenie obojga rodziców. To było jak choroba przekazywana wciąż między dwiema osobami; wirus trwający to w jednym żywicielu, to w drugim, utrzymywany tak przy życiu przez wiele lat.

Wcale nie poszukując tej wiedzy, przekonał się o prawdziwości zarzutów stawianych ojcu, słuchając wzmianek sąsiadów i przyjaciół, zwracając nieco baczniejszą uwagę na jego zwyczaje i ścieżki. Nie wspominał o tym rodzicom, ale czuł, że ta świadomość czyni z niego współsprawcę.

Ostatnie tygodnie życia ojciec spędził przykuty do łóżka, wycofany i niekomunikatywny, bełkoczący i niekontrolujący wydalania. Nocami John Senior czuł przy konającym, podczas gdy matka i dwie siostry spały w pokoju obok. Rano i wieczorem przewijał kwadratowe pieluchy, zeskrobując do nocnika nieodmiennie czekające w nich odchody. To było coś w rodzaju jego pokuty za posiadaną wiedzę – poniżenie, którego postanowił oszczędzić matce. Któregoś ranka weszła do izby, gdy z pieluchą kucał nad nocnikiem. Buchający od dołu fetor był obrzydliwy – niepodważalny przejaw zgnilizny toczącej jądro świata.

– Johnny, o kobietach mężczyźni myślą wyłącznie brzuchem – powiedziała. Pokręciła głową, okazując pełną urazy pogardę. Nigdy nie sądził, że matka taką lekceważącą opinią obejmie również swojego syna.

Ciągłe podśpiewywanie Millera przyprawiało go o mdłości. Z piętra dobiegały głosy; prowadzona szeptem dyskusja. Wstał z krzesła. – Miller! – warknął, rzucając się na współnika. Żołądek podskakiwał i szarpał mu się w brzuchu jak łoś miotający się na końcu dzidy.

– Chryste Panie, Peyton! – wrzasnął Miller.

John Senior trzymał go już za włosy i włókł przez pokój. Ojciec Cassie wołał coś ze szczytu schodów, ale mężczyźni w mgnieniu oka znaleźli się za drzwiami. John Senior pędził przed sobą Millera, poganiając go kopniakami, kuksańcami

i policzkami.

– Czyś ty oszalał, człowieku?! – darł się Miller. – Ty świętoszkowaty utrapieńcu!

W ten sposób przebyli króciutką nieutwardzoną uliczkę oraz całą długość Lower Path, aż wreszcie dotarli do tawerny, w której spali.

Następnego popołudnia John Senior wrócił do zaułka i odczekał nieopodal domu, aż ojciec Cassie poczłapie do knajpy. Stał przed dwiema kobietami, nie mając bladego pojęcia, co powinien powiedzieć ani po co właściwie przyszedł. Pogadał chwilę bez ładu i składu o książce, którą trzymała Cassie, a następnie złożył niezręczne przeprosiny za Millera, jakby tamten był psem, który nasikał na dywan. Kobiety okazywały wyraźny brak zaufania, a dostrzegając jego widoczny strach i niepewność, odczuwały tylko większą nieufność. Odwróciły wzrok i nie odezwały się do niego ani słowem. A zanim zdążył podjąć decyzję co do właściwego sposobu pożegnania, ojciec Cassie wrócił do domu.

John Senior pośpiesznie wymówił się i ruszył do wyjścia, odczuwając ulgę w związku z tym, że spełnił już obowiązek, którego natury sam do końca nie pojmował. Zanim jednak przekroczył próg, przez dłuższą chwilę wpatrywał się jeszcze prosto w oczy mężczyzny, doszukując się czegoś w ich przygaszonym przez alkohol blasku, sądząc, że może to wystarczy, by poznać odpowiedź. Po którą z nich poszedł wtedy na górę – po żonę czy po córkę?

Patrzył na szare wody zatoki tłukące o brzeg, zmagając się z tą samą falą mdłości, którą poczuł wtedy, siedząc tam z Millerem. Czuł, że przytłacza go ten sam dziwaczny ciężar.

Nie planował zawczasu, że zaproponuje Cassie pracę u siebie. Zrobił to powodowany jakimś mętnym impulsem, gdy po kilku latach, przy okazji wizyty w St. John's, dowiedział się o śmierci jej matki. Po jej przybyciu na północ wydawało mu się prawdopodobne, że ona i jego syn się pożenią, pozostawił więc bez odpowiedzi pytanie, które niegdyś sobie zadawał. Zdążył się już nauczyć, że czasami lepiej nie wiedzieć. Zostawiał ich samych, kiedy tylko mógł; wysyłał ich do Reilly'ego na sianokosy. Siebie postrzegał jako swata. Jako dobrego ojca.

Na tę myśl pokręcił głową. Dobry ojciec. Kilka lat po przybyciu Cassie wybrał się na letni obchód po rzekach, by sprawdzić stan jazów na łososie oraz stopień zakonserwowania ryb. Miał dopłynąć do Charles Brook i pójść nad rzekę Richmonda, ale podarował sobie ostatnią część trasy, dostrzegając złowróżbne zmiany pogody. Kiedy przybił do nabrzeża, nikogo na nim nie zastał. John Peyton i najemni rybacy łowili dorsze na ławicy przy drugim końcu Burnt Island. Wszedłszy do domu, zastał Cassie w drewnianej balii przy kominku. Stała po kolana w wodzie, trzymając w ręce ściereczkę. Włosy miała upięte na szyi. Przez chwilę wpatrywał się w nią oszołomiony, jakby ktoś uderzył go w pierś, pozbawiając tchu. Przez okna wpadały ukośne snopy słonecznego światła, drobiny kurzu tańczyły w powie-

trzu nieśpiesznego walca.

Dotąd nie przyszło mu do głowy, że mógłby mieć ją dla siebie. Że jej pożąda. Nie próbowała się nawet okryć, po prostu wpatrywała się w niego porozumiewawczo i zawzięcie. Ciężko oddychała przez nos. Jej naga skóra lśniła jak szyba, za którą zachodzi słońce.

Wspomnienie tamtego spojrzenia wciąż przyprawiało Johna Seniora o wrażenie, że klatka piersiowa zaciska mu się na płucach. Odwróciwszy się od miarowego dudnienia wody, zszedł z nabrzeża. Czuł się zawstydzony i przestraszony, jakby dopiero co wybudził się ze swojego koszmaru. *Po żonę czy po córkę?* Pomaszerował na wzgórze wznoszące się za domem letnim. Grunt pod stopami wydawał mu się niewiele twardszy niż powierzchnia oceanu. Wyczuwał mroczne, nieodparte przyciąganie ziemi, która ostatecznie otwiera się i połyka człowieka w całości. Ojciec Cassie już tam zniknął, a ich wszystkich – co do jednego – ten sam ukryty nurt wiódł w ślad za nim.

Peyton wrócił ze spiżarni, niosąc szklanki. Nalał im po niewielkiej porcji rumu i dodał do obu odrobinę wody. Wrócił na swoje miejsce. – Obudziłaś się przy palenisku... – zachęcił.

– Jeszcze dwie rzeczy – podjęła opowieść Cassie.

Staruszka krzątała się po chatce; ogień, na którym miała ugotować wodę, już płonął. Dym odpływał przez drewnianą beczkę robiącą za swego rodzaju komin. Margaret zmrużyła oczy i zerknęła na Cassie – na smugę ruchu w miejscu, gdzie spała dziewczyna. Tak bardzo wyteżała wzrok, że jej powieki prawie się zamknęły. – Dziecko – zagadnęła, wyciągając rękę w jej kierunku. Obaj mężczyźni nadal spali, ułożeni pod przeciwległymi ścianami. Margaret ujęła ją za nadgarstek i nagle się uśmiechnęła, wpatrując się w dal, jakby w fizycznym kontakcie między nimi było coś potajemnego.

– No – zaczęła. – Zastanawiam się, czy mogłabym cię prosić o drobną uprzejmość?

Cassie przestąpiła z nogi na nogę, zmagając się z pokusą cofnięcia ręki. Stopy paliły ją w miejscach, gdzie skóra została starta z pięt i palców.

– Wyjaw mi swoje prawdziwe imię – powiedziała Margaret.

– Słucham panią?

– Nie jesteś chłopcem, nawet ja to widzę.

– Pani jest ślepa?

– Prawie całkowicie. No, a teraz zdradź ślepej staruszce swoje imię.

Cassie podeszła jeszcze bliżej. Była niemal tego samego wzrostu co Margaret, stanęła więc na palcach, by sięgnąć jej do ucha. Miała wrażenie, że zdradza tajemnicę i naraża się na jakieś ryzyko. – Cassie – szepnęła. – Cassandra.

Irlandka poklepała ją po ramieniu, wciąż się uśmiechając. – Nikomu nie powiem – obiecała.

Po południu O'Brien zabrał ich niedużym skifem na morze, by nałowić homarów na kolację. Panowała zupełna flauta; pozwolili łodzi dryfować nad przybrzeżną płycizną. O'Brien miał drewniany kij, długi na czternaście stóp i zakończony cienkim metalowym hakiem. Klęczał na dziobie zaparty kolanami o burty, a Cassie wychylała się przez reling, przyglądając się jego pracy. Woda była tak przejrzysta, że dziewczyna widziała kamienie i ciemne palce wodorostów leżące na plamistym dnie oceanu. Gdy tak sunęli po wodzie, O'Brien trzymał swój bosak przy samym dnie, a drzewce załamywało się pod skórą morza niczym pęknięta kość, wygięta pod nieprawdopodobnym kątem. Jego ramiona zanurzyły się niespodziewanie, ale łagodnie. Gdy wysunął bosak z wody, przekładając go w rękach, na końcu ujrzeli homara owiniętego chwytym ogonem wokół haka. O'Brien strząsnął zdobycz do drewnianej balii, wypełnionej do połowy wodą.

Cassie obserwowała przez chwilę swoją kolację, wpatrując się w oczy ciemniejące tak gęstą czernią, że zdawały się zupełnie niewidome; w długie anteny poruszające się jak czułki owada. – Dlaczego dał się tak wyciągnąć? – spytała. – Z ogonem owiniętym wokół haka?

– Wystarczy wsunąć im koniuszek haka pod brzuch – wyjaśnił Irlandczyk. – Lekko je polechcesz i od razu się kulą, żeby się zabezpieczyć. To silniejsze od nich, Charlie. Taką już te biedne skurczybyki mają naturę.

Grube półksiężycy szczypiec otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały. Powiedziała Peytonowi, że pamięta jeszcze, jakie wtedy poczuła niespodziewane ukłucie litości dla miotającego się rozpaczliwie homara. To nagle pragnienie, by wetknąć palec w jego kłapiące na oślep kleszcze.

Peyton pomyślał, że już zakończyła swoją opowieść, choć miał wrażenie, że historia wskazuje na jakąś niewypowiedzianą, osobną sprawę. Jej ciężar przytłoczył go podobnie jak samotność, którą zawsze wyczuwał w Cassie, a którą ona uparcie skrywała, nie chcąc poddać jej bliższym oględzinom. Wiedząc o niej tak wiele, wcale nie czuł się przez to mniej zagubiony w jej towarzystwie. Odczekał – jak mu się zdawało – dość długi czas, a ponieważ wciąż się nie odzywała, zagaił: – To wszystko, Cassie?

Oderwała wzrok od listu, który trzymała na kolanach. Płakała, a na jej twarzy widniał smutny, poważny uśmiech.

– To nigdy nie będzie *wszystko* – odparła.

TRZY

Pod koniec tamtego lata Peyton i jego ludzie wyładowali słup trzystoma półbeczkami suszonego solonego łososia. Czekali na pomyślny wiatr, by popłynąć na

rynek w St. John's. Było zimniej niż zwykle o tej porze roku, a nic nie zwiastowało poprawy pogody. Peyton wysłał Reilly'ego i Taylora do budynku dla pracowników, aby przyłączyli się do Richmonda i młodego Michaela Sharpe'a, którzy już wcześniej położyli się spać. John Senior został na łodzi i drzemał w kabinie, przykryty cienkim kocem. Peyton stanął przy nim w ciemnościach panujących pod pokładem, próbując odgadnąć, czy starzec śpi.

– Tato – szepnął.

– Niczego mi nie brakuje.

– Umrzesz tu z zimna. – Nachyliwszy się, zdarł koc z koi.

– Chryste Panie, John.

– Idź do domu.

Staruszek usiadł, mamrocząc coś pod nosem, i zaczął po omacku szukać czapki oraz rękawic. – Gdzie on jest? – powiedział do siebie.

– Gdzie co jest?

– Położyłem tu gdzieś zegarek.

– Zostaw, za kilka godzin wrócimy na Susan i wypłyniemy. Idź, prześpij się.

Przez cały wieczór pod pokrywą chmur było ciemno choć oko wykol, lecz po jakimś czasie niemal pełna tarcza księżycy zaczęła przez rozpraszającą się zasłonę. Poświata była blada, fosforyzująca; zdawała się emanować z samej ziemi, ze ścian domu letniego. Peyton popatrzył za ojcem schodzącym z pomostu i ruszającym pod górę, w kierunku domu. John Senior miał już siedemdziesiąt lat, a syn dostrzegał w jego chodzie znamiona wieku, ale staruszek wciąż wykonywał prace odpowiednie dla mężczyzny dwa razy młodszego: wyciągał sieci z wody, oprawiał ryby, potrafił porąbać sąg brzoźowych polan. W jego sprawności kryło się coś bez mała nadnaturalnego; przydawała mu osobliwej władzy, która napełniała Peytona niechęcią.

– Tylko tu czuwaj – rzucił ojciec przez ramię.

– O mnie się nie martw.

Peyton spędził następną godzinę, kręcąc się po skrawku terenu ponad plażą; schodził z pomostu i wracał, a tupanie jego butów na suchych świerkowych żerdziach przywodziło na myśl dudnienie fal o kadłub łodzi. Cienki snop księżycowego światła położył się na wodzie niczym drabina łącząca zatokę z otwartym morzem. Podkowa zalesionych wzgórz za domem i budynkami gospodarskimi była jak czarny klin wciśnięty pod nakrapianą ciemność nocnego nieba. Na szczycie najwyższego grzbietu widniało pojedyncze drzewo, przewyższające wszystkie inne o głowę, jakby zostało namaszczone na punkt obserwacyjny zapewniający idealny widok na całą zatokę. Spoglądając na nie, Peyton zadygotał. Wciąż zdarzały mu się chwile, gdy coś ukrytego w tej krainie przenikało go w taki sposób – podmuch wiatru w drzewach upodabniający się do dźwięku stóp za jego plecami; chłodny nurt czujności, gdy pływał wzdłuż wybrzeża, sprawdzając należące do rodziny jazy na

ryby. Poprzysiągł sobie, że tej jesieni wdrapie się na górę i zetnie to cholerne drzewo. Zerknął na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy, rozejrzał się więc wokół po raz ostatni. Susan kołysała się, leniwie szarpiąc za cumy. Nie dało się słyszeć nic poza przeciwnym wiatrem oraz ruchem morza na plaży – wdech, wydech.

Peyton poszedł ścieżką do domu, pod drzwiami odwrócił się, by jeszcze raz popatrzeć na przystań i łódź, po czym wszedł do ciepłej kuchni. John Senior spał na leżance, zwrócony twarzą do ściany. Cassie spała obok niego w fotelu; głowa opadła jej tak, że broda opierała się na ramieniu. Wyglądali jak stare małżeństwo.

Najciszej jak potrafił przesunął kociołek nad środek paleniska i wymknął się do salonu. Położył się w chłodzie na ławie z wysokim oparciem i na chwilę przymknął oczy czekając, aż woda się zagotuje.

Beothukowie przez dwa dni obserwowali białych z rosnącego na wzgórzu drzewa zapewniającego widok na całą zatokę. Drugiej nocy czuwania, gdy łódź była już wypakowana po sam pokład i gotowa do rejsu, grupa złożona z siedmiu mężczyzn i jednej kobiety pod osłoną ciemności wypłynęła dwoma kanu na osłonięte wody zatoczki. Głosy stojących na straży rybaków niosły się ku nim, gdy podpływali powoli do przystani, obierając kurs idealnie odzwierciedlający ukształtowanie linii brzegowej. W morskiej wodzie chlupoczącej o breg wiosła pracowały bezgłośnie; każde pociągnięcie było doskonale zsynchronizowane, perfekcyjnie ciche. Wsunęli się pod świerkowe dłużyce pomostu i czekali tam, a rozlegające się nad nimi sporadycznie rozmowy, pierdnięcia i śmiechy białych ciągnęły się długo w noc. Każdy ich oddech był równie wymierzony i subtelny jak pociągnięcia wiosła, które niosły ich do przystani. Czekali dalej, a wreszcie na świerkowych żerdziach zaczęły wybrzmiewać kroki tylko jednego mężczyzny. Po jakimś czasie usłyszeli dźwięk drzwi otwieranych i zamykanych w domu na wzgórzu.

Odciąwszy cumy, napanarli na wiosła, a łódź odwróciła się z milczącą gracją księżycy sunącego pośród chmur nad ich głowami. Gdy wypływali z zatoki, ogarnęła ich gorączka euforii, nikt nie odezwał się jednak słowem – całą energię włożyli we wleczenie ciężkiego statku, podążającego w ślad za nimi jak dobrze ułożony pies.

Peyton ocknął się na ławie, gdy do jego uszu dobiegła erupcja niezrozumiałych pokrzykiwań w kuchni. A potem głos Cassie, próbującej wybudzić ojca z koszmaru. Peyton zerwał się na nogi i nie zwracając na nich uwagi, pobiegł do frontowych drzwi. Biegnąc ścieżką nad wodę, wyciągnął z kieszeni zegarek i próbował odczytać godzinę przy świetle księżycy. W połowie zбочa zerknął w stronę pomostu i stanął jak wryty. Oddychał płytkimi westchnieniami, para kłębiła się

w nocnym powietrzu. Rozglądał się gorączkowo, jakby spodziewał się ujrzeć na wzgórzach łódź niesioną przez Indian na plecach. Ojciec zawołał go od drzwi domu. Spojrzał na zegarek. Była pierwsza trzydzieści w nocy.

Pozostali mieszkańcy gospodarstwa zbiegli się za nim na przystań w niezasznurowanych butach, podtrzymując opadające spodnie rękami. Stanąwszy razem na skraju pomostu, zapatrzyli się w czerní wody, spoglądając ku wyjściu z przystani, gdzie ogrom morza zaczynał właśnie uciekać przed nimi, niesiony kolejnym odpływem. Resztki cum Susan wciąż wisiały na palach pomostu.

- Czerwoni Indianie – stwierdził Tom Taylor.
- Nie mogli odpłynąć daleko – podsunął Peyton.
- Nie ma najmniejszego sensu ganiać ich po ciemku – powiedział Richmond.
- Przy takim świetle nie odróżniłbyś Indianina od własnego tyłka.
- Na łodzi został zegarek po moim ojcu – odezwał się John Senior.
- Jak tylko zacznie świtać, ruszymy za nimi – obiecał Richmond.

Cała grupa odwróciła się i poszła do domu. Cassie podała im herbatę i babkę z rodzynkami, a oni usiedli przy stole i jedli w milczeniu.

John Senior opróżnił swój kubek i wstał, by pójść do sypialni na piętrze. – Mogli zaciągnąć ją wszędzie, od Leading Tickles po Gander Bay. Spróbujmy nie przespać świtu. – Popatrzył na syna, ale nie powiedział nic więcej.

Nazajutrz było ładnie, wiał rześki wiatr. Idealny dzień do żeglugi. Peyton pokręcił głową. Razem z Taylorem pływał łodzią wiosłową pośród dziesiątków wysepek stłoczonych przy brzegu jak kaczątka próbujące trzymać się możliwie najbliższej matki. Wybrzeże kryło tak wiele zatoczek, cieśnin i zakamarków, że każdego dnia roku można by chować skradziony słupek w innym miejscu.

- Igła w stogu siana, Tomie Taylor – mówił Peyton co jakieś trzydzieści minut, jak zegar wybijający każdą półgodzinę.
- Wiemy tyle, że skurczybyki najpewniej zaciągnęły ją gdzieś pod brzeg i tam porzuciły.

Wczesnym popołudniem dopłynęli do Chapel Island i zatrzymali się w Boyd's Cove, by zagotować herbatę na plaży.

- Nie wiem, czy jest sens zapuszczać się za tę zatoczkę – stwierdził Peyton.
- Chyba tylko brytyjska marynarka byłaby w stanie zaholować Susan jeszcze dalej.

Taylor przytaknął. – Jeśli zawrócimy teraz, może zdążymy dopłynąć do domu, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

- W porządku – zgodził się Peyton. Wyrzucił fusy na piasek i powoli rozejrzał się wokół. Szary ocean, szara piaszczysta plaża. Za jego plecami niskie klify.

Taylor stanął przy nim i nogą nagarnął piach na żar po ognisku.

- Może inni mieli więcej szczęścia – powiedział.

Późnym popołudniem Richmond z żółtodziobem Michael Sharpe'em natknęli się na Susan porzuconą na mieliźnie nieopodal ujścia Charles Brook. Łódź miotła się niebezpiecznie na falach nadchodzącego przyływu. Żagle zostały odcięte wraz z częścią olinowania, a tłukący o pływającą kadłub już był uszkodzony. Zdawali sobie sprawę, że słup uniesiony przez przyływ może roztrzaskać się o skały, na razie nie widzieli jednak bezpiecznego sposobu, by dostać się na pokład.

Podczas gdy Michael Sharpe zmagał się z wiosłami, skręcając gwałtownie na wezbranych falach i podpływając na tyle blisko Susan, na ile starczyło mu śmiałości, Richmond zdołał przerzucić przez burty dwie liny zakończone kotwicznymi. Jedną uwiązali do ciężkiego kamienia, by umocować słup od strony oceanu, drugą zaś wyprowadzili na brzeg w nadziei, że uda im się odciągnąć bezbronną łódź od klifów czy niskich skał, o które mogłaby się rozbić. Zanim skończyli, zrobiła się już prawie szоста wieczorem. Richmond zostawił Sharpe'a ze strzelbą na straży i w zapadającym mroku popłynął w kierunku Burnt Island.

Kiedy Taylor i Peyton wrócili, Richmond zszedł do nich nad wodę.

– Znalazłem ją u ujścia Charles Brook – oznajmił. – Niezbyt zaskakujące, co nie, Tom? – spytał, gdy gramolili się z łódki na pomost. – Akurat na progu naszego własnego mieszańca i jego stadka *Jackietarów*¹¹. – Zaśmiał się, choć w jego głosie nie było za grosz wesołości. Odrobina uprzejmości, którą niegdyś Richmond okazywał jeszcze Irlandczykowi, zniknęła już bez śladu. Kiedy John Senior powierzył synowi pieczę nad funkcjonowaniem rodzinnego interesu, Peyton na swojego brygadzystę wybrał właśnie Reilly'ego. Ojciec nie sprzeciwił się wprawdzie tej decyzji, lecz usłyszawszy o niej, w taki sposób przekrzywił głowę – i tak powoli, z rozmysłem ubił tytoń w pełnej fajce – że dał tym synowi do zrozumienia, iż może się to wiązać z pewnymi kłopotami. Taylor poczuł się dotknięty, bez dwóch zdań, Richmond potraktował to natomiast jako zdradę – jakby członek własnej rodziny wbił mu nóż w plecy – i najwyraźniej w swojej małostkowości poprzysiągł sobie wypowiedzieć im jakąś odwetową wojenkę. Gdyby tylko Peyton był w stanie wymyślić jakikolwiek sposób na zwolnienie go za plecami ojca, zrobiłby to już dawno.

¹¹ *Jackietar, jackatar* (ang. nowofundlandzki) – pogardliwe określenie oznaczające Nowofundlandczyka mieszanej krwi, zazwyczaj francusko-indiańskiego pochodzenia.

– Żagle zniknęły – zameldował Richmond – ale po tym, jak unosi się na falach, zgaduję, że łososie są wciąż pod pokładem.

– Będzie trzeba dostać się na nią podczas jutrzejszego odpływu, o ile nie roztrzaska się tej nocy – stwierdził Peyton.

John Senior i Reilly wrócili z poszukiwań godzinę później. Mężczyźni zjedli razem kolację, popijając ją herbatą obficie zaprawioną rumem, po czym rozeszli się do łóżek. Ostatecznie Peyton został w kuchni sam z Cassie sprząającą ze stołu.

– Możemy stracić cały rok pracy, a do tego łódź – powiedział. Prowadził w głowie obliczenia, próbując oszacować ogrom strat.

– Trzeba mnie było obudzić, kiedy wczoraj wszedłeś do domu – rzuciła, nie patrząc w jego stronę. – Poszłabym nad wodę na czas twojej drzemki.

– Zamierzałem przymknąć oczy tylko *na chwilę* – bronił się.

– To nie powód, żeby się na mnie złościć, Johnie Peyton.

Powiedziała to tak miękko, że ledwie dosłyszał jej słowa. Natychmiast zrobiło mu się wstyd. Na wiosnę, kiedy dotarła do niej wiadomość o śmierci ojca, zaszła w niej jakaś zmiana, której nie dostrzegali nikt poza nim. Coś zarwało się pod twarzą skorupą, którą pokazywała światu. Zdawała mu się wydrążona, łamliwa, krucha jak pierwsza warstwa lodu tężejąca jesienią na sadzawce. Westchnąwszy, oparł głowę na rękach, a po chwili podniósł wzrok ku powale.

– „Jednak dzień, co dzień, me smutki przedłuża. A noc w cierpienie, co noc, mnie zanurza” – wyrecytował.

Przestała krzącać się przy stole i popatrzyła na niego. – A myślałam, że już cię to wszystko zupełnie nie interesuje.

Pokręcił głową i odwrócił twarz od świecy. – Po prostu nigdy nie miałem do tego głowy – wyjaśnił. Popatrzył na Cassie stojącą przy stole. Uśmiechała się, zaskoczona strzępem wiersza, który zdołał wynieść z ich zakończonych przed laty lekcji. Poczul dojmujący, rozwścieczający przypływ zadowolenia, że zdołał dać jej tę chwilę satysfakcji.

– Powinieneś się zdrzemnąć – powiedziała łagodnie.

O świcie zastali słup w mniej więcej takim samym stanie, w jakim zostawił go Richmond. Wszedłszy na pokład, Peyton zastał ładunek nietknięty i w większości niezalany, skradzione zostały natomiast wszystkie ruchome elementy wyposażenia, nie wyłączając żagli i większości olinowania. Maszt nosił ślady uderzeń jakichś tępych ostrzy, ale oparłszy się o niego Peyton stwierdził, że stoi raczej pewnie. Dwie pozostawione na pokładzie strzelby Michael Sharpe znalazł jeszcze wieczorem na płyciźnie u ujścia Charles Brook. Lufy były wygięte, spusty i zamki nie nadawały się do naprawy.

W drodze na ławicę John Senior przystanął rano w Little Burnt Bay, by poprosić o pomoc właścicieli kilku niedużych łodzi. Przy płynęli niedługo po tym, jak Peyton dostał się na pokład. Zabrał się do wiązania i podawania im lin. Sznur, który poprzedniego dnia udało się wyprowadzić na brzeg, został uwiązany do topu masztu, a kilku mężczyzn złapało za drugi koniec, próbując rozbujać słup tak, by

na falach przyływu zszedł z mielizny.

Do południa zdołali oswobodzić łódź, wziąć ją na hol i wyruszyć w drogę powrotną na Burnt Island. Przed rejssem do St. John's czekał ich jeszcze co najmniej tydzień pracy przy naprawach kadłuba i masztu, uzupełnianiu olinowania i szyciu nowych żagli. Większość połowów z tamtego sezonu udało im się jednak uratować.

CZTERY

Coś podążało za Johnem Peytonem przez las.

Szedł przez dzicz, zastawiając pułapki na traperskim szlaku wijącym się między bystrymi potokami i płytkimi zalewami utworzonymi przy żeremiach, a w końcu uchodzącym do rzeki Exploits o kilka mil od starej chaty Reilly'ego. Od rana piekł go kark, jakby ktoś po kryjomu badał jego zwyczaje, obserwując go spomiędzy drzew. Z początku starał się to ignorować, tak jak zwykle nie przyjmował do wiadomości pierwszych objawów choroby, żywiąc nadzieję, że ból głowy, kaszel czy lekka gorączka rozejdą się po kościach. A jednak poczucie, że jest śledzony i poddawany ocenie, nie chciało go opuścić.

Zima nie przyszła jeszcze na dobre, co sprawiało, że wędrówka przez las okazywała się żmudna. Nierówny śnieg leżący na ziemi był zazwyczaj zbity i ciężki. Żadnej z rzek nie skuł jeszcze porządnie lód, a na trzy stopy od brzegu tafla zdawała się zbyt niepewna, by można było zaryzykować wejście na nią. Minęło dopiero pół miesiąca, odkąd przyłynęli Susan z St. John's, gdzie sprzedali odzyskany ładunek. Zdaniem jego ojca, było jeszcze o dwa tygodnie za wcześnie, by myśleć na poważnie o zastawianiu potrzasków.

John Senior już od dawna nie zajmował się pułapkami. Od lat stopniowo wyzbywał się obowiązków związanych z rodzinnym przedsięwzięciem, Peyton zaś przejmował je, wykazując tę samą zawziętość i krótkowzroczną determinację, co ojciec. Forsował się bezlitośnie, każdego lata przez wiele tygodni pływając samotnie między rzekami, na których sprawdzał stan jazów i stopień zakonserwowania ryb. W zimie zawsze ruszał w głąb lądu, by zastawiać potrzaski. Ta zapamiętałość w pracy była dla niego również sposobem na wyzbycie się czegoś, stanowiła świadome odcięcie się od ojca, od Cassie. Zwłaszcza tej jesieni nie mógł się już doczekać chwili, gdy wreszcie zostawi ich w domu.

W latach, które upłynęły, odkąd John Senior przekazał synowi nadzór nad połowami ryb, przydarzyło im się kilka mniejszych czy większych kradzieży dokonanych przez Czerwonych Indian. Ojciec pragnął rewanżu, Peyton odrzucał jednak wszelkie sugestie, że mogliby wysłać ludzi w górę rzeki. Stanowiło to dla staruszka nieustanne źródło frustracji. – Kiedy przekazywałem ci nasze dobra, nie zdawałem sobie sprawy – mówił – że wszystko to diabli wezmą, bo zechce ci się podkarmiać

tych pieprzonych Indiańców.

To był jak dotąd jedyny spór między nimi, który nie zakończył się kapitulacją Peytona. Słyszał wystarczająco dużo opowieści o dawnych najazdach na obozowiska Beothuków, by wiedzieć, co z tego wyniknie. Gdy próbował wyobrazić sobie konsekwencje, stawała mu przed oczami indiańska dziewczynka – ta, którą zobaczył niegdyś wystawioną na stole w Poole – unoszona przez kogoś w las przy wtórze wystrzałów i ryku ognia trawiącego namioty. Widział dziewczynkę o czarnych, natłuszczonych olejem włosach – tę, która tamtego ranka nad jeziorem krzesłała iskry na podpałkę z ptasiego puchu – obmacywaną przez Richmonda i Taylora. Kiedy z którejs chaty znikaly pułapki, kiedy ktoś odcinał od ciężarków nowe sieci na łososie, kiedy John Senior wyśmiewał go i zastraszał – Peyton pozostawał nieugięty.

Aż do historii z Susan. W dzień po tym, jak przyholowali ją z uratowanym ładunkiem do zatoczki na Burnt Island, posprzeczali się o to, jakie kroki należy podjąć. Uparcie kręcili się wokół tej kwestii jak dwaj mężczyźni na jednej łodzi, machający wiosłami w przeciwnym kierunku. Wczesnym popołudniem kłótnia przycichła i rozeszli się – każdy z nich przekonany, że postawił na swoim. John Senior zabrał się do ciosania i korowania jodły ułożonej na brzegu nieopodal pomości. Richmond, pracujący na pokładzie Susan, krzyknął do niego: – Tym razem nazywamy Indiańcom tyle podarków, ile im się należy, co nie, panie John?

– Odbierzemy co nasze, i to z nawiązką – przytaknął John Senior, nie przerywając pracy.

Peyton podszedł do ojca i przykucnął przy nim. Płynne, wymierzone ruchy siekiery oddzielały korę od białego drewna z taką precyzją, że aż ścisnęło go w dołku. John Senior pracował brawurowo szybko, przywodząc synowi na myśl człowieka biegnącego w dół z boczka w takim pędzie, że z trudem utrzymuje się na nogach. Rzednące, siwe włosy miał zaczesane na cętkowaną wątrobowymi plamami skórę głowy; pod jego brodą trzęsły się dwa korale obwisłej skóry. „Mój ojciec” – pomyślał Peyton. Nie był jednak w stanie tego poczuć.

John Senior podniósł wzrok i popatrzył na niego, wznosząc rozgrzaną główkę siekiery w akcie chwilowego rozejmu z jodłowym pniem. W taksującym spojrzeniu Peyton dostrzegł również moment bolesnego zdumienia. Szare oczy zdawały się wyblakłe, pozbawione barwy.

– Tym razem nie próbuj mi się stawiać, chłoptasiu – ostrzegł John Senior, wskazując go ostrzem siekiery.

Pozostali mężczyźni – Richmond z Taylorem, Reilly i młody Michael Sharpe – przerwali pracę, by popatrzeć.

– Tato... – powiedział Peyton.

– Możesz pójść z nami albo zostać z kobietą, taki masz wybór.

Peyton wstał i nachylił się ku niemu. Zaczął bezradnie gestykulować. – Oj-

ciec... – próbował przywołać go do porządku.

Starzec wrócił do korowania pnia; jego ramiona nieustępliwie powtarzały ten sam delikatny ruch, sunąc w dół jodły. Peyton patrzył, jak kora odwija się jednako- wymi cienkimi pasami.

– Ty skurwysynu – szepnął, ojciec nie oderwał jednak wzroku od siekiery opadającej na drzewo. Pracownicy odwrócili się i wrócili do swoich zajęć. Fale oceanu wciąż ślepo obmywały brzeg.

Spędzany w lesie sezon łowiecki stanowił zazwyczaj jedyny okres w roku, gdy Peyton czuł się wolny od wszystkiego, co go dręczyło. To miejsce było w jego mniemaniu mniej skomplikowane. A może raczej miało do zaoferowania pewną przeciwwagę, czyniącą zadość pojawiającym się komplikacjom. Wyższe tempera- tury mogły go co prawda spowolnić, dawały jednak okazję do zastawienia pro- stych, zanurzanych pod wodą samotrzasków nieopodal miejsc, gdzie bobry ześli- zgiwały się do niezamarzniętych rzek. Złowił ich też sporo w suche pułapki na brzegach.

Dzięki temu, że tak wcześnie wyszedł w teren, zdążył również odnaleźć uło- żone pieczolowicie w płytkich stawach sterty młodej olchy i brzozy, którymi bobry miały żywić się przez zimę. Zamierzał wrócić w te miejsca, gdy rzeki zamarzną, wybić nad nimi przeręble i opuszczać pod wodę potrzaski przymocowane do dłu- giego palika wbitego porządnie w dno i zabezpieczone dodatkowo poprzeczką uwiązaną ponad lodem na wypadek, gdyby bóbr zdołał przegryźć palik przy dnie. Jeśli woda była zbyt płytka, zwierzę zamarzało nieraz w świeżym lodzie, zanim Peyton zdążył wrócić do pułapki. Musiał wydobywać je ostrożnie, by nie uszkodzić futerka. Zanim wyszarpnął zdobycz, pracował bez rękawic, używając małej siekier- ki – a czasem tylko noża – do kruszenia brył lodu przymarzniętych do futra. To była chłodna, frustrująca robota, problem miał jednak proste i konkretne roz- wiązanie – coś, co Peyton był w stanie zrobić bez rozterek czy zmieszania. Rozu- miał tę głuszę, zwyczaje zwierząt, rytm pogody. Właśnie ta wiedza sprawiała, że czuł się tam najbliższy odnalezienia swojego miejsca na ziemi, obdarzenia miłością czegoś, co może – w pewien nieświadomy sposób – odwzajemnić jego uczucie.

W tym roku natomiast niepokój towarzyszył mu w drodze i nie chciał go opuścić. Peyton nie mógł przystać na to, by ojciec zabrał jego ludzi w górę rzeki, jeżeli on sam również nie wybierze się z nimi, aby utrzymywać ich gniew na wo- dzy. Zgodził się więc poprowadzić wyprawę nad jezioro w marcu. John Senior mó- wił o zadoścuczynieniu, Peyton wiedział jednak, że tak naprawdę pcha go do dzia- łania żądza odwetu. Ojciec jaśniał niecierpliwym wyczekiwaniem niczym ostrze odświeżone na kamieniu szlifierskim. Peyton czuł, że wyznaczony miesiąc nadcią- ga nieubłagane niczym pola lodu dryfujące z Labradoru na południe, niwecząc kil- ka tygodni spokoju, którymi cieszył się co roku.

Doszło do tego jeszcze towarzyszące mu poczucie, że ktoś mu się przygląda.

Przyznawał przed sobą, że nie ma ono żadnych konkretnych podstaw. Brnął przed siebie, celowo nie oglądając się przez ramię, nie zerkając między drzewa po prawej czy po lewej. Chwilowo nie miał żadnego pomysłu, jak pozbyć się tego wrażenia.

Postanowił przebyć dodatkowe dwie, trzy mile dzielące go od chaty Reilly'ego nad rzeką Exploits zamiast nocować w szałasie stojącym na końcu szlaku. Gdy do niej dotarł, niebo było wciąż szare od resztek odbitego światła dnia, nad rzeką panowały jednak ciemności, a las czerniał zawzięcie, zmieniając się w pozbawioną szczegółów ścianę. Reilly opuścił chatę przed kilku laty, gdy gwałtowny wzrost liczebności rodziny sprawił, że wyprawa z Charles Brook nad rzekę stała się zbyt uciążliwa. Odtąd zastawiał swoje pułapki bliżej domu. Nikłe światło wlewało się przez dziurawy dach, przez drzwi wiszące na jednym zawiasie. Peyton dotarł po omacku do paleniska, w którym leżała sterta zbutwiałego drewna. Zabrał się za rozpalanie ognia, a gdy płomienie buchały już porządnie, stanął na chwilę nieruchomo, by posłuchać, jak na zewnątrz gęstnieje ciemność, jak drzewa kołyszą się na wietrze. Doszedł do wniosku, że udało mu się zgubić to, co towarzyszyło mu przez cały dzień – cokolwiek to było.

Spędził tam długą, bezsenną noc. Ciało sprawiało wrażenie spuchniętego i odrętwiałego ze zmęczenia, przysypiał jednak niespokojnymi drzemkami, a wyczerpanie ciążyło mu tak, jakby leżał pod wodą. Świerkowe bale chaty trzaskały miarowo pośród wycia wiatru – *zegar śmierci*, jak nazywał to ojciec; zapowiedź czyjegoś zgonu. Kilukrotnie podniósł się, żeby dorzucić drewna do ognia albo odlać się na śnieg, stojąc w drzwiach. Potem sam nie wiedział, czy naprawdę robił te rzeczy, czy tylko mu się przyśniły. Słyszał o ludziach, którzy w dziczy dostawali pomieszania zmysłów. W pewnym momencie przyszło mu do głowy, że może właśnie dotykają go pierwsze objawy.

Rano zastał kilka cali świeżego śniegu na podłodze pod dziurawym dachem. W lesie rozlegały się okrzyki modrosójki. Ten dźwięk wydał się Peytonowi zaciekle samotniczy, jakby ptak próbował odegnać pocieszenie.

Powiódł wzrokiem po wałającej się budzie. Z jedyne go okna zniknęły wszystkie cztery szybki. Zapatrzył się w kąt, w którym siedział kiedyś z Cassie. Jej twarz była wtedy śmiertelnie blada, jedno oko miała ciemne od krwi. Usunęła ciężę, by nie uległy zmianie warunki jej potajemnego związku z Johnem Seniozem, by oszczędzić mu wychowywania pokrzywnika, *merrybegota*, wylęgańca. Bękarta. „Nie wspomnisz o tym ojcu ani słowem” – powiedziała wtedy. Pomyślał, że boi się utraty stanowiska, wygnania spotykającego upadłe służki w jej książkach.

Przez lata, które upłynęły od tamtej wizyty u Annie Boss, Cassie ani razu nie napomknęła o tej sprawie w rozmowie z Peytonem. Stała się wręcz bardziej zamknięta w sobie, pogrążyła się jeszcze głębiej w tym, co on uważał za kapitulację

popartą postanowieniem żelaznej woli, za wybrany z pełnym przekonaniem i zawziętością stan rezygnacji. Miała swoje lektury i codzienną litanię domowych obowiązków. Miała uparte milczenie Johna Seniora i typową dla niego obojętność, które przedkładała nad wszystko, co mógłby jej zaoferować młody Peyton.

Kiedy syn miał sześć czy siedem lat, ojciec porzucił małżeńskie łóżce i odtąd, zimując w Poole, sypiał w jego pokoju. Matka postrzegając Nową Fundlandię jako wir, który z każdym rokiem pochłania kolejną część jej męża. Miesiące, które spędzał z dala od domu, przynosiły ulgę im obojgu, stanowiły czas, gdy emocjonalne i cielesne realia ich życia osiągały swoistą stabilizację. Związek między ojcem i Cassie, choć zupełnie odmiennego rodzaju, miał w sobie tę samą dziwną, ascetyczną równowagę. Wciąż nie potrafił wyobrazić ich sobie jako kochanków; wątpił, czy doszło między nimi do wielu zbliżeń. Peyton pomyślał, że Cassie wybrała właśnie ten ojcowski dystans, chcąc pożenić go z własnym odszczepieniem od świata.

Z lojalności wobec Cassie nie wspominał nikomu ani słowem o ciąży. Porozmawiał z Reillym, aby upewnić się, że historia nie wyjdzie poza ich krąg. Nie dawało mu to jednak spokoju. Nie miał pojęcia, czy istnieje coś, czego by dla niej nie zrobił, gdyby tylko o to poprosiła. Czuł, że sam nie należy do siebie – był rozparcelowany między innymi, jakby niektóre działki zostały przepisane na Cassie, a inne na Johna Seniora. Dręczące go dzień wcześniej pieczenie karku było jak swędzenie gojącego się piętna po rozgrzanym żelazie. Zupełnie jakby ta kraina również rościła sobie prawo do jakiejś jego części.

Zanim wstał spod koca, rozejrzał się po izbie. Luźny rząd suszonych kwiatów i ziół wisiał wciąż nad paleniskiem. Poszarzałe ze starości rośliny kiwały się przy każdym podmuchu wiatru jak nieme dzwony.

Świeży śnieg zawiął jego ślady – odciski indiańskich rakiet sprzed kilku godzin były ledwie widoczne. Wyglądało to tak, jakby przeszedł tędy wiele lat temu, niemal w innym życiu. Wiatr zawodził w drzewach. Chata Reilly'ego stała na końcu szlaku, nie miał więc innego wyjścia niż ruszyć w drogę powrotną, znowu kuszając lęk, który przez cały miniony dzień starał się trzymać w ryzach.

Przystanąwszy nad niedużą dolinką, w której zastawił swoją ostatnią pułapkę, popatrzył w dół. Owalne wgłębienia po rakietach ukryte pod świeżym śniegiem przypominały delikatną koronkę na obrusie. Było coś jeszcze. Rząd niedużych, regularnych dołeczków, pogrzebanych już prawie pod śniegiem. Tropy. Westchnął z ulgą, krótko i płytko.

Każdą z jego pułapek odwiedziło to samo zwierzę. Wyglądało na to, że zdążyło ono zawrócić i podążało już szlakiem w przeciwnym kierunku, dokładnie tak jak Peyton. Dwie godziny drogi przed środkowym szaląsem w jednym z suchych potrzasków znalazł bobra obróconego na grzbiet. Miękkie podbrzusze zostało

otwarte, a stek, wątroba, żołądek i spory kawał jelita wyjedzone jak najlepsze przysmaki. Świeży śnieg uniemożliwił rozpoznanie tropów, ale Peyton zgadywał, że to lis. Kot nie śledziłby go tak bezczelnie. Zwierzę było najwyraźniej nawykłe do obecności ludzi i zapewne wiedziało, do czego służą pułapki. Pozostawiwszy ścierwo w samotrzasku, ruszył w dalszą drogę. Śnieg wciąż delikatnie prószył, okrywając jego głowę i ramiona grubą, nieskazitelną warstwą bieli.

Najbliższe schronienie stanowił lekko ulepszony jednospadowy szałas wzniesiony frontem do niewysokiego skalistego klifu, który miał odbijać ciepło ogniska z powrotem w otwartą paszczę budy. Obudził się wcześniej i poszedł dalej, nie kłopotząc się gotowaniem śniadania na ognisku, tak że do głównego szałas na szlaku dotarł już w południe. Tam spakował potrzebny sprzęt i znowu zawrócił, licząc na to, że uda mu się cofnąć do pośredniego szałas, zanim na dobre zapadnie zmrok.

Kiedy znowu stanął nad bobrem, stwierdził, że w międzyczasie lis musiał pożywić się tam co najmniej raz. Peyton wyjął resztki padliny z pułapki i powłókł je trzydzieści jardów dalej wzdłuż rzeki, na niemal pozbawiony śniegu skrawek gruntu osłonięty świerkowymi gałęziami. Położył zwierzę przy dużym kamieniu. Przykucnąwszy ostrożnie, ułożył sobie plecak na kolanach, by podczas pracy wyjmować z niego na bieżąco niezbędne narzędzia i materiały. Za pomocą krótkiej łopatki przysypał ścierwo śniegiem, piaskiem i suchymi igłami opadłymi z gałęzi. Zabił długi na osiemnaście cali palik głęboko w grunt i przymocował do niego łańcuch pułapki. Następnie wydłubał w ziemi niewielkie zagłębienie oddalone o jakieś sześć cali od przynęty i zastawił w nim potrzask, okrywając środek szmatką wygotowaną w wodzie ze świerkową korą. Na koniec obsypał to wszystko żwirem zmieszonym ze śniegiem.

Sześć cali od pierwszego zagłębienia wykopał kolejną płytką dziurę. Tym razem zdjął rękawice i dotykał pułapki gołymi rękami. Zastawił potrzask w podobny sposób jak pierwszy, nie zaprzętał sobie jednak głowy szmatką czy porządnym paliem. Obsypawszy drugą pułapkę, spakował narzędzia i ostrożnie się wycofał.

W pośrednim szałasie ugotował sobie na kolację kawał peklowanej wieprzowiny i posiedział jeszcze chwilę, dorzucając drewna do ognia rozpalonego pod czerwonym skalistym zboczem. Potem położył się na plecach, wpatrując się w grube poszycie ze świerkowych gałęzi ułożone na skośnych belkach nad jego głową. Zbliżywszy rękę do źródła blasku, zaczął układać dłoń tak, by jej cień przybierał kształty różnych zwierząt.

Po tym, jak John Senior postawił mu ultimatum dotyczące wyprawy nad jezioro – *chloptasiu*, powiedział do niego, kucając nad jodłowym pniem i ściskając w pięści trzonek siekiery – Peyton wymknął się do domu w samotności. Usiadłszy

przy kuchennym stole, ukrył twarz w dłoniach.

– Czyżbyś chciał herbaty?

Założył ręce i oparł łokcie na stole.

– Co się dzieje? – spytała go Cassie.

Peyton odwrócił się do niej. – On zamierza policzyć się z nimi tej zimy.

– To znaczy?

– John Senior. Wybiera się z Richmondem i Taylorem nad rzekę, żeby wyrównać rachunki. Jeśli będzie trzeba, pójdą i nad samo jezioro.

Cassie usiadła naprzeciw niego. Była zaskoczona oporem Peytona. – Trudno go winić, że chce odzyskać to, co przez nich stracił.

Przyjrzał jej się uważnie. W jej obecności nie wyklócali się nigdy z ojcem o kradzieże Indian, nie mówili też zbyt wiele o czasach, gdy żył jeszcze Harry Miller. Mimo wszystko nie mieściło mu się w głowie, że Cassie może myśleć o ojcu z taką naiwnością, spędziwszy tyle lat w jego domu. W jego łóżku. Wpatrywał się w nią bez słowa.

Wzruszyła ramionami i zrobiła dziwną minę, dając mu do zrozumienia, że według niej jest niesprawiedliwy. Ten niemy gest pokazał mu, że to prawda – że Cassie nie wie o jego ojcu prawie nic, że nie ma nawet pojęcia, w czym swego czasu brał udział. Do czego jest zdolny.

Pokręcił głową. – To Richmond z Taylorem mnie martwią. Wciąż żywią urazę za to, co stało się podczas ostatniej ekspedycji nad jezioro. A kiedy już ktoś zginie, w sprawę wmieszają się przedstawiciele prawa. Nie sposób stwierdzić, jak to się wszystko dla nas skończy.

Wyjął z kieszeni kurtki fajkę i odciął sobie od bloku trochę tytoniu.

– Może wystarczyłoby wmieszać w to przedstawicielei prawa zawczasu? – rzuciła Cassie.

– A konkretnie jak? – spytał gniewnie. Nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

Odpowiedziała prześmiewczo nadgorliwym tonem. – Czyżby Jego Wysockość nie pragnął już nawiązać przyjaznych stosunków z rdzenną ludnością wyspy?

Peyton wskazał ustnikiem fajki jakiś bliżej nieokreślony punkt. – Nagroda wciąż obowiązuje. – Wpatrywał się w powałę, stopniowo pojmując znaczenie jej wzmianki. – Moglibyśmy poprosić o zgodę. Zrobić z tego oficjalną ekspedycję. To powinno przytemperować wszystkich, którym zachciałoby się awantur.

Cassie przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę. Zachowywała się w ten sposób zawsze, gdy pozwalała innym przypisać sobie pomysł, na który bez niej nigdy by nie wpadli.

– Będzie mi potrzebny papier – rzucił. Zdażył już wstać z krzesła i rozpocząć poszukiwania pióra i kałamarza.

Po kolacji z namaszczeniem skopiował list, którego wcześniejsze wersje spisał na brudno na odwrocie kwitów i rejestrów, po czym dał go Cassie do sprawdze-

nia.

26 września 1818 roku

Sir,

Upraszam o zgodę na wyłuszczenie Ekscelencji poniższych faktów mających unaocznić skalę grabieży mojego mienia, jakich dopuścili się Indianie, a które ostatecznie skłoniły mnie do zwrócenia się do Ekscelencji z pokorną prośbą o łaskawe pozwolenie na podjęcie ekspedycji celem uzyskania zadośćuczynienia za wymienione straty.

W styczniu 1815 roku Dick Richmond, zatrudniany przeze mnie myśliwy, opuścił jedną z należących do mnie chat w głębi lądu celem udania się do mnie z interesami. W chacie pozostawił zapasy, nieco futer oraz swoje ubrania. Powróciwszy na miejsce dostrzegł, iż pod jego nieobecność pewne osoby dostały się do środka i zabrały lub zniszczyły jedzenie i wszystkie futra oraz szereg drobnych przedmiotów przedstawiających wartość dla łowcy. Jako że chatę od mojego miejsca zamieszkania dzieli odległość dwudziestu mil, Richmond zmuszony był tam przenocować, następnego dnia jednak wrócił do mnie, by donieść o zaistniałej sytuacji. W towarzystwie Richmonda oraz drugiego pracownika, T. Taylora, odwiedziłem rzeczoną chatę i zastałem straty zgodne z opisem. Nieopodal odnaleźliśmy toporek i fragment indiańskiej rakiety śnieżnej, co utwierdziło nas w mniemaniu, iż rabunku dopuścili się Czerwoni Indianie. Następnie podążyliśmy po ich śladach do innych łowieckich chat Richmonda i stwierdziliśmy, że sprawcy ukradli siedem spośród moich pułapek. Szkód i strat poniesionych przeze mnie przy tej okazji niepodobna oszacować na mniej niż piętnaście funtów, niezależnie od faktu, iż straciliśmy dużą część sezonu polowań na zwierzęta futerkowe.

W czerwcu 1816 roku nowe sieci na łososie, w tym dwie sztuki długie na sześćdziesiąt sążni, zostały odcięte od obciążników na Indian Arm Brook. Pozostały tylko niewielkie fragmenty Lin Mocujących sieci do boi. Po sposobie, w jaki ucięto obciążniki, oraz po śladach Czerwonej Ochry na Bojach, nabraliśmy silnych podejrzeń, że dopuścili się tego Indianie, zwłaszcza iż żadne inne osoby nie znajdowały się wtedy w pobliżu. W sierpniu moi ludzie znaleźli korkowe pływaki i fragmenty lin mocujących w obozie zajmowanym uprzednio przez Czerwonych Indian. Straty, które poniosłem w związku z utratą sieci, określam na dwadzieścia funtów, nie licząc ryb, które mogły zostać złowione rzeczonoego lata.

Pozostałe straty sieci, pułapek i prowiantu, wynikłe z odrębnych zajęć, kosztowały mnie co najmniej kolejne piętnaście funtów.

W początkach bieżącego miesiąca, września, Indianie podpłynęli do mojej przystani na Exploits Burnt Island i odcięli cumy dużej łodzi, dopiero co wyladowanej łososiem etc., przeznaczonym na sprzedaż na rynku w St. John's. Gdy o pierwszej trzydzięci w nocy stwierdziłem jej brak, przygotowano do poszukiwań kilka małych łódek, które wypłynęły o świcie. Około siódmej wieczorem znalazłem łódź porzuconą przy brzegu w nadzwyczaj niebezpiecznym położeniu. Kadłub został uszkodzony, a Indianie odcięli żagle z częścią olinowania i zrabowali niemal wszystkie ruchome elementy. Dwie strzelby wydobyto później z dna pobliskiego potoku, okazało się jednak, że zostały z rozmysłem zniszczone przez Indian i nie nadawały się do naprawy. Konsekwencje uszkodzeń łodzi oraz części jej ładunku, jak również kradzieży osprzętu nie sposób zażegnać za kwotę mniejszą niż 140 czy 150 funtów.

Wszystkie wcześniejsze straty ponosiłem, nie szukając zadośćuczynienia, mając na uwadze okrucieństwa, których dopuścili się w przeszłości wobec Indian poddani Jego Królewskiej Mości. Żywię jednakże obawę, iż ostatniego zajścia nie wolno nam zignorować, stanowi ono bowiem wróżbę przyszłych grabieży, które najpewniej zrujnują mnie i pozostałych. Wynikła z tego frustracja w przyszłości doprowadzić może jedynie do krwawej rozprawy z Indianami.

Składam niniejsze zeznanie w nadziei, iż Ekscelencja wyrazić zechce zgodę na to, aby niewielka grupa moich ludzi wyprawiała się tej zimy w głąb lądu w poszukiwaniu mojej własności i – o ile okaże się to możliwe – postarała się ją odzyskać. Żywię również szczere pragnienie sprowadzenia niektórych Indian na wybrzeże celem zapoczątkowania przyjaznego dialogu z całym plemieniem.

Wszystkie wspomniane starania zostaną podjęte na mój koszt i na moje wyłączne ryzyko. Jako że miałem okazję zapoznać się z terenami, na których Indianie szukają schronienia zimą, żywię pełne przekonanie, iż przedłożony przeze mnie plan uda się z powodzeniem zrealizować.

Najniższy pokłon oddaje

Waszej Ekscelencji pokorny i uniżony sługa

John Peyton Jr.

Skończywszy lekturę, oddała mu list przez stół. Przytrzymała płatek prawego ucha między kciukiem a palcem wskazującym. Peyton był zajęty składaniem przeczytanych przez nią kartek i wyrównywaniem zagięć dłonią.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że zdarzyło się tak wiele kradzieży.

– Mieszanie pieprzonych waśniaków z St. John's w nasze sprawy to strata czasu – stwierdził John Senior. Podejmował zawzięte starania, by w obecności Cassie ukrywać swój gniew. – W cholerę z ich zgodą. I tak ruszamy w marcu. Pamiętaj, żeby i o tym powiadomić pana gubernatora.

Cassie uśmiechnęła się do Peytona. – List jest dobry. Wszystko w porządku.

Kiedy popłynęli z ładunkiem łososia na rynek, spotkali się w St. John's z Charlesem Hamiltonem, nowo mianowanym gubernatorem, który potwierdził, że nagroda za sprowadzenie na wybrzeże jednego z Czerwonych Indian wciąż wynosi sto funtów szterlingów. Mając na uwadze straty poniesione przez Peytonów, udzielił im błogosławieństwa urzędu na proponowaną ekspedycję. To na jakiś czas uspokoiło Peytona. Przeżył nawet okres starannie ukrywanej wesołości, sądząc, że choć raz udało mu się podejść ojca, przejąć kontrolę nad sytuacją. Ta pewność szybko go jednak opuściła. Zdał sobie sprawę, że wydarzenia potoczą się swoim tokiem bez względu na jego zapatrywania; że ekspedycja nabierze rozpędu, a w końcu zmieni się w sunącą po stromym zboczu lawinę, której on nie będzie w stanie zatrzymać ani skierować w inne miejsce.

Usiadł i przeciągnął się w szalasię, wypychając ręce tak daleko, jakby chciał, żeby wyskoczyły ze stawów. Gdy dorzucił do ognia nieco drewna ze skarłowaciałych drzew, płomień zaczął oblizywać suchą powierzchnię niczym żywe stworzenie zaspokajające głód.

Lisica złapała się za przednią prawą łapę; kiedy Peyton ją zobaczył, leżała na tyle daleko od palika, na ile pozwalał łańcuch. Świeży śnieg zdążył już zawiąć odkrytą łapę ziemi. Po śladach odcisniętych przy kołku Peyton widział, że zwierzę spędziło tam jakiś czas, tańcząc dziko i próbując się wyswobodzić. W promieniu łańcucha widniały trzy czy cztery jasne kręgi moczu.

Kiedy się pojawił, uniosła głowę i popatrzyła na niego, nie wstała jednak z ziemi. Fałszywa pułapka, którą celowo dotykał gołymi rękami, leżała nieopodal na widoku. Lisica musiała ją wywęszyć, gdy tylko podeszła – wydłubała ją spod śniegu i zwolniła mechanizm, odwracając potrzask nosem lub łapą.

Zboczył ze ścieżki, żeby wyciąć sobie porządną brzożową pałkę, po czym przykucnął jakieś dwadzieścia jardów od zwierzęcia i przemówił do niego łagodnie. – Kogo my tu mamy? – zagadnął. Średniej wielkości lisica; zgadywał, że jakieś piętnaście funtów wagi. Przepiękne stworzenie – delikatna sierść mieniąca się

srebrem i czerwienią, gęsta, niemal czarna kita. Idealnie symetryczny pysk, jakby miał znamionować przebiegłość i inteligencję. Nie dostrzegł oznak strachu czy paniki, tylko blask jej spokojnego, taksującego spojrzenia. Miał wrażenie, że rozpoznaje ten wzrok – uczucie, że coś obserwuje go w ten sposób. Dostrzegł pierścień obszarpanej skóry zaraz nad szczękami pułapki, w miejscu, gdzie lisica próbowała przegryźć własną łapę, żeby się uwolnić.

Nie wstając, zdjął rękawice i plecak, po czym podniósł strzelbę. Strzelając do zwierzęcia, zniszczyłby futerko, w miarę możliwości wołał więc tego uniknąć, wiedział jednak, że lepiej zachować ostrożność. Szamoczące się zwierzę mogło poluzować palik lub zaciśnięte na łapie szczęki. Być może brakowało już tylko jednego szarpnięcia.

Wstał i ruszył naprzód, niosąc w rękach strzelbę i brzozy kij. Przyczajona lisica próbowała się wycofać, była jednak w stanie tylko przesunąć się lekko to w jedną, to w drugą stronę na końcu łańcucha, szarpiąc przytrzaśniętą łapą. Szczeknęła ostro i przywarła barkiem do gruntu, szczerząc kły na stojącego nad nią człowieka. Peyton trzepnął ją w łeb pałką, jeden raz, zdecydowanie, lecz nie na tyle mocno, by puścić krew, a ona padła na bok z wywieszonym językiem i na wpół przymkniętymi powiekami.

Odłożywszy strzelbę, przyklęknął przy zwierzęciu i nagą dłonią przycisnął je w miejscu, gdzie przez grube futro wyczuł krótkie, urywane oddechy. Drugą rękę podsunął na jego szyję i zacisnął pod uszami. – Kogo my tu mamy? – powtórzył. Prawe kolano oparł zaraz za przednią łapą i dociążył je tak, by zgnieść klatkę piersiową lisicy, wpychając połamane kości w narządy wewnętrzne. Znowu przytknął dłoń do futra i odczekał, aż krew zaleje płuca, a blask w ślepiach zagaśnie.

Wyjął nóż zza pasa i trącił czubkiem galaretowate oko, by upewnić się, że zwierzę jest martwe. Uwolniwszy okrwawioną kończynę lisicy z potrzasku, za pomocą siekiery odrąbał na obalonym pniu obie przednie łapy powyżej nadgarstków. Nożem naciął skórę na tylnych nogach, przeciągając ostrzem od końców łap po nagi otwór odbytu, po czym oskórował je, odcinając płat na wysokości pięt. Jedną z ogołoconych nóg przywiązał do gałęzi mniej więcej na wysokości swojej piersi, oddzielił gęsty wycior kity od kości ogonowej i rozciął zwierzę wzdłuż podbrzusza. Pomagając sobie ciężarem ciała, zdjął powoli skórę z tuszy i przednich nóg, wyciągając je z futra niczym rączki dziecka niechące wyjść z rękawów ciasnego swetra. Odkroił chrząstki uszu od czaszki, zręcznie wykonał nacięcia wokół oczodołów i oddzielił od głowy czarne wargi oraz ciemny, jeszcze mokry nos.

Włożywszy rękę w skórę, Peyton wywrócił ją z powrotem na prawą stronę. Do przejścia w futro zimowe brakowało jej jeszcze kilku tygodni, ale sierść była gęsta i równa, płonąca żywą barwą. Nagrzana od ciała skóra nie zdążyła jeszcze ostygnąć, futro grzało go w gołe dłonie.

Jezioro

Marzec 1819

PIĘĆ

Warunki panujące na rzece były wręcz idealne do wędrówki – pewny lód, sprzyjająca pogoda. Szło ich razem ośmiu: Peyton i John Senior, Richmond, Taylor i Reilly, Matthew Hughster i William Cull – prawie dorównujący wiekiem Johnowi Seniorowi – a do tego młodzik, Michael Sharpe. Wychodzili o wschodzie słońca i zatrzymywali się dobrze po zmroku, a bez wypakowanych sań, które kiedyś wlekli pod górę z Buchanem, osiągnęli zdumiewająco dobre tempo, średnio po dwadzieścia mil dziennie. Czwartego dnia dotarli prawie do Badger Bay Brook i znaleźli się o dzień drogi od jeziora. W nocy wystawili warty, po dwóch uzbrojonych mężczyzn – pierwszą objęli Taylor i Michael Sharpe. Pozostali ułożyli się przy ognisku. Peyton leżał bezsennie, przysłuchując się rozmowie Taylora z młodym Michałem, dopiero co przybyłym na wybrzeże i zbyt zielonym, by płonać¹². Facet opowiadał mu historię o jegomościu, który umarł z wyczerpania w burdelu po wypiciu szklanki wyciągu z bobrzyczych genitaliów.

¹² *Too green to burn* – nowofundlandzki frazeologizm określający osobę niedoświadczoną, naiwną.

Michael Sharpe powiedział: – Od tego nie da się umrzeć.

W jego głosie nie było przekonania.

– A co taki szczawik może o tym wiedzieć? – wyśmiał go Taylor.

– Wiem to i owo.

Taylor zbył go przeciągłym, lekceważącym pomrukiem.

– Kiedy tu przypląnąłem, byłem niewiele starszy od ciebie – powiedział – ale nie byłem nawet w połowie tak nieopierzony.

– Najął cię pan Peyton? – spytał Sharpe.

Taylor pokręcił głową. – To Harry Miller nas zatrudnił. Mnie i Richmonda.

Trzy tygodnie po tym, jak John Senior odstawił ich na Fogo Island, Tom Taylor pocałował swoją młodą żonę na pożegnanie na schodach domu zimowego Millera. Razem z Richmondem poszli za Millerem w las – obciążeni plecakami ważącymi po osiemdziesiąt pięć kilogramów – by spędzić w terenie swój pierwszy sezon jako traperzy. Mieli dwoje sań, które psy ciągnęły po pierwszym śniegu tej zimy. Ciężar ładunku i cienki śnieg sprawiały, że podróż była zmudna. Nieraz mężczyźni musieli na zmianę zajmować miejsce psów w uprzężach, by przeciągać sa-

nie po nierównym lub niezaśnieżonym terenie.

Przez kolejne trzy miesiące sypiali razem w traperskiej chacie patrząc, jak zima nabiera rozpędu, a śnieg powoli wypełnia las niczym woda podnosząca się w zenie nieszczelnej łodzi. Oznacжали w terenie swoje szlaki – długie, krzywe szprychy rozchodzące się od osi, którą stanowiła chata z bali. Potrafili wychodzić w las nawet na tydzień; przynosili z powrotem bobry, lisy, kuny, a czasami i wilka. Miller uczył ich skórować zwierzęta; oddzielać cieką warstwę tłuszczu tak, by nie uszkodzić futra; przygotowywać z popiołu i zwierzęcego sadła smarowidło do garbowania skór.

– A widziałeś tam wtedy wielu Czerwonych? – spytał Michael Sharpe.

Taylor pokręcił głową. – Nie, nie tamtej zimy. Pierwszych zobaczyłem wiosną. Miller kazał nam zbudować nowy jaz na rzece za Charles Brook.

Gdy tylko łód puścił na dobre, Richmond z Taylorem zaczęli wznosić zapórę z bali i kamieni na wąskim, płytkim zakolu rzeki. Przez dwa tygodnie pracowali po pas w lodowatej wodzie, obciążając kamieniami ramę ze świerkowych pni, mającą utworzyć stopień na całej szerokości koryta. Każdego popołudnia, gdy zdejmował przemoczone ubrania, stopy miał białe i bez czucia, a na pomarszczonej skórze rysowały się wzory przywodzące na myśl szron na szybie. Obkurczona moszna przypominała ciasną skorupę, a jądra chowały się w głębi ciała, tak że musiał palcami wypychać je z powrotem do worka.

W drugim tygodniu czerwca w górę potoku podpłynęło pięciu Beothuków w kanu. Siobhan była w chacie, Richmond poszedł do lasu, by ściąć bale na stojak do suszenia sieci. Taylor stał w wodzie i dłuwał u podstawy zapory, a kiedy wreszcie zauważył Indian, nie był w stanie stwierdzić, od jak dawna mu się przyglądają. Wpatrywali się w niego w milczeniu, siedząc w łodzi stojącej przy brzegu. Znajdowali się na tyle blisko, że mógł ich policzyć i oszacować ich wiek oraz tężyznę.

Całkiem nagle, jakby na jakiś znak, którego on nie był w stanie rozpoznać, pięciu mężczyzn zaczęło krzyczeć i potrząsać wiosłami, a może łukami. Taylor poślizgnął się na mokrych kamieniach, a gdy stanął z powrotem na nogi, zeszczął się przez spodnie do potoku, wciąż słysząc dzikie wrzaski. W końcu rzucił się do ucieczki w poprzek nurtu i na czworakach wdrapał się na brzeg. Pognał do chaty, drąc się nieprzerwanie i wychlapując z butów i zza pasa pióropusze wody. Zawołał do żony, żeby została w środku, po czym wybiegł za próg z rogiem na proch i jednostrzałową strzelbą, której widok skłonił Beothuków do odwrotu, chociaż spływając z nurtem ku oceanowi, wciąż nie przestawali krzyczeć. Taylor pogubił większość śrutu, który zamierzał wsypać do lufy. Trząsł się tak wściekle, że nie był w stanie utrzymać rogu nieruchomo i nasypać prochu. Kiedy oderwał się od swoich niezdarnych prób naładowania broni, stwierdził, że Indianie zdążyli już zniknąć za zakrętem rzeki. Ze wstrętem cisnął strzelbę na ziemię. Klął na drzewa, chodząc w tę i z powrotem. Kopniakiem posłał róg do rzeki, a po chwili, pomstując nieprze-

rwaniu, wszedł do wody, żeby go wyłowić.

Taylor zerknął na twarz Sharpe'a. Młodzian pokręcił głową.

– Zeszczaleś się w gacie, Tomie Taylor? – spytał. Wydawał się głęboko zadowolony.

– Owszem, dokładnie to zrobiłem – przytaknął Taylor. – A tego właśnie lata zamordowali Harry'ego Millera, niecały miesiąc po tym, jak ja ich widziałem.

Znaleźli jego ciało za chatą, na ścieżce prowadzącej na polanę, na której się zwykle załatwiał. Tkwiło w nim kilka strzał, w plecach, ramionach, nogach. Ziemia w pobliżu zwłok upstrzona była świeżymi śladami zwierząt, a truchło najwyraźniej objadane było już od wielu dni; okrwawione ubrania zostały zdarte z korpusu. Wyzierwały z niego szare kości, poznaczone śladami zębów. Z wierzchu zniknęła większość mięsa. – Nie wiem, czy warto to w ogóle zakopywać – powiedział wtedy Richmond.

Taylor nachylił się do młodzika. – Urznąli mu głowę, a resztę zostawili na pastwę padlinożerców, ot co. To samo zrobili z tamtymi dwoma żołnierzami, kiedy ostatnio wybraliśmy się nad jezioro.

Peyton usiadł na kocu. – Tomie Taylor, nie mieszaj chłopakowi w głowie.

– Lepiej, żeby wiedział, z czym będziemy mieli jutro do czynienia – to z kolei powiedział Richmond. Wyglądało na to, że nikt jeszcze nie zasnął, a cały obóz przysłuchuje się rozmowie. – Nie ma powodu, żeby ukrywać przed nim prawdę.

Ze spowitego ciemnością zakątka, w którym leżał Reilly, dobiegł chichot. – Dobrze powiedziane, Richmond. A może ty zechcesz zdradzić mu prawdę o tym, jak wpadła w twoje łapy tamta indiańska dziewczynka, która ostatecznie wylądowała w Poole?

– Jaka dziewczynka? – spytał Sharpe.

– Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, Reilly – rzucił Richmond.

Tamci dwaj zaczęli się ze sobą wyklócać, Peyton wrzeszczał na nich bez skutku. W końcu John Senior podniósł się i wzniosł pistolet w świetle ogniska. Trzymał go tak, dopóki wszyscy nie zamilkli, a wtedy zagroził: – Zastrzelę pierwszego, który przed świtem odezwie się choć słowem. – Powiódł wzrokiem po kręgu wpatrujących się w niego mężczyzn. – Klnę się na Chrystusa.

Wszyscy ułożyli się z powrotem na swoich posłaniach ze świerczyny. Peyton nakrył głowę kocem. Kilka razy tej nocy zastanawiał się, czy nie stanąć przed ojcem i nie powiedzieć czegoś, choć słowa.

Richmond w ogóle nie myślał o tamtej Indiance od ostatniego razu, gdy szli w górę rzeki, a Peyton wspomniawszy Buchanowi, że widział ją w Poole. Przez jakiś czas leżał, rozmyślając celowo o innych rzeczach, kiedy jednak zasnął, zaczął śnić o tamtym letnim poranku, gdy wybrał się na jedną z kilku ptasich wysepek na wy-

brzeżu. O wschodzie słońca powietrze było przejrzyste, natomiast kiedy dobijał do najbliższej wyspy, jej brzegi spowijała już mgiełka. Tysiące ptaków krążyły przy urwistych klifach, co chwilę nurkując i wzlatując znowu niczym meszki dręczące stoicki pysk krowy. Wpłynął we mgłę i powiosłował wzdłuż skał. Maskonury, burzyki i nurniki tłoczyły się tak gęsto na wodzie wokół łodzi, że miał wrażenie, iż mógłby zejść na ląd po ich grzbietach.

W strome brzegi wyspy wcinała się tylko jedna plaża, gdzie dało się wyciągnąć łódź. Beothukowie przyплыли przed nim – chodzili już po klifach, zbierając jaja, a kanu leżało oparte o szarą skałę. W pierwszym odruchu chciał zawrócić i popłynąć na stały ląd, zerknął jednak na leżącą w łodzi długą strzelbę na kaczki – zabrał ją z myślą o polowaniu na ptactwo – oraz muszkiet, który zawsze nosił przy sobie. Zgadywał, że w jednym kanu nie mogło zmieścić się więcej niż sześć osób. Owinąwszy dulki szmatami, powiosłował cicho na płyciznę i wyskoczył do sięgającej mu do kolan wody. Złapał za cumę uwiązaną do dziobu i wyciągnął skif na plażę. Ponad wypłaszczeniem rósł jedyny las na wyspie, Richmond obrócił więc łódkę na burtę, dźwignął ją na plecy i ukrył wśród drzew. Sam zasadził się na tyle płytko w zagajniku, by nie stracić z oczu kanu leżącego na plaży. Naładował broń, nucąc pod nosem jakąś pozbawioną melodii piosenkę i zerkając na plażę. Usiadł z muszkietem na kolanach, strzelbę ułożył sobie u stóp i czekał, podczas gdy dzień stopniowo wypalał mgłę.

Taylor wybudził go ze snu, trącając go w ramię czubkiem buta. Richmond wyjrzał spod koca i popatrzył na górującą nad nim sylwetkę. Zajęło mu to chwilę, nim pojął, gdzie się znajduje; zanim umiejscowił się na brzegach rzeki Exploits, dzień drogi od jeziora Czerwonych Indian. – Twoja warta – powiadomił go Taylor, po czym odwrócił się, żeby obudzić Johna Peytona.

– Zostaw go – szepnął Richmond. – Niech śpi.

Cisnął do ognia naręcze chrustu, chcąc poczuć szybką falę ciepła, i zawiesił nad płomieniem czajnik z wodą na kubek herbaty. Gmerał palcami w swojej brodzie, jakby próbował wyłuskać z niej tkwiący tam ciągle tłusty osad minionego snu.

Siostra wywieszała akurat pościel na sznurkach przed domem nad rzeką Toma Taylora, gdy on przyszedł z dziewczynką od strony plaży. Powiewał mocny, ciepły wiatr; mokre pranie wydymało się i strzelało za jej plecami. Po klamerki sięgała do kieszeni białego fartucha, trzy spośród nich miała w ustach. Długie, ciemne włosy zawiązała w kucyk, ale cienkie kosmyki wysunęły się ze wstążki i trzepotały jej wokół głowy, zawiewały na twarz. Ujrzawszy go, wyjęła klamerki z ust i stanęła w miejscu, przyglądając się, jak brat podchodzi trawiastym zboczem na szczyt niewysokiego wzgórza. Obiema dłońmi odgarnęła włosy z oczu. Richmond niósł dziewczynkę, niezgrabnie przyciskając ją do ramienia, jakby osłaniał jej twarz przed wiatrem. Dotarłszy do siostry, wyciągnął ku niej rękę, podając jej zdumione

dziecko. – Proszę – powiedział.

Wzięła dziewczynkę, lecz ani na chwilę nie oderwała wzroku od twarzy brata.

– Od kiedy ją znalazłem, nawet nie pisnęła – stwierdził. – Natknąłem się na nią na ptasich wyspach. – Skinął głową w stronę oceanu. – Zostawili ją tam samą jak palec.

Siobhan popatrzyła na małą.

– Gdzie Tom?

Wskazała las za ich plecami. – Poszedł po trochę drewna.

– Pewnie umiera z głodu – zauważył. – Znajdź jej coś do jedzenia, dobrze?

Kiedy Richmond znalazł Taylora i wrócił z nim do domu, dziecko siedziało już przy stole z zawiniętą w ściereczkę garścią rodzynków i ssało je przez materiał. Wolną ręką przyciskało do piersi drewnianą figurkę, coś w rodzaju lalki.

– Rany boskie – rzucił Taylor.

– Tom, musimy ją zabrać do St. John's.

Siobhan patrzyła to na Richmonda, to na męża. Kilukrotnie zmierzyszy ich wzrokiem, spytała: – A cóż takiego zamierzacie z nią tam zrobić?

– Jeśli zdołamy odstawić ją do gubernatora, dostaniemy pięćdziesiąt funtów.

Taylor pokręcił głową i spojrzał na swoje stopy, zażenowany tym, że szwagier powiedział to tak otwarcie. Pomimo wielu lat przepracowanych na dworze Siobhan miała twarz białą jak mleko. Niebieskie żyły na jej skroniach zatętniły pulsem. – I myślicie, że gubernator wam uwierzy, że znaleźliście dziewczynkę błakającą się samopas po wyspie?

– Wiedziałem, że popełniłeś błąd, pokazując jej to dziecko – rzucił Taylor.

– Rozumiem, że tobie uśmiecha się to tak samo jak jemu? – spytała męża. – Jak żyję, nie widziałam jeszcze takich dwóch jak wy.

Dziewczynka przyglądała im się, ssąc szmatkę trzymaną w dłoni. – No ale proszę, dziecko tu jest, czy ci się to podoba, czy nie – oznajmił Taylor. Zdjął z głowy czapkę i złożył ją w dłoniach. – Nie możemy teraz tak po prostu wrócić na tamtą wyspę i jej tam zostawić, co nie?

Siobhan poroniła dwukrotnie krótko po ślubie; potem nie zdołała już zająć w ciąży. Obaj mężczyźni widzieli, że cała zgryzota i złość, która wezbrała w niej po tamtych stratach, objawia się w jej opiekuńczości wobec indiańskiego dziecka. Taylor odwrócił się do Richmonda i powiedział: – Nie przemówimy jej do rozsądku.

– W takim razie zobaczymy, co ma na ten temat do powiedzenia pan Peyton – uciął rozmowę Richmond.

Przenocowali w domu Taylora. Richmond spał na leżance w kuchni, a dziewczynka dostała maleńki pokój naprzeciwko sypialni Toma i Siobhan. Taylor przywiązał sznurek do jej klamki, a położywszy się do łóżka, drugi koniec za-

ciągnął sobie na dużym palcu u nogi, by zabezpieczyć się na wypadek, gdyby mała chciała wymknąć się z pokoju i czmychnąć w noc.

Siobhan pokręciła głową. – Tomie Taylor, ona nie ma jeszcze nawet pięciu lat.

– To nie są normalne stworzenia – stwierdził. Podparł się na łokciu, by zdmuchnąć świecę.

Dziewczynka obudziła się z płaczem w środku nocy, Siobhan poszła więc do niej, po drodze pchając drzwi tak, że o mało nie wyciągnęła z łóżka śpiącego męża za nogę. Najwcześniejsze godziny poranka spędziła u boku dziecka, próbując dać mu po ciemku choć odrobinę ukojenia.

Przed południem mężczyźni wyruszyli w drogę do domu letniego Peytona na Burnt Island, zabierając ze sobą małą Indiankę. Naradziwszy się z Johnem Seniorem, ustalili, że dziecko spędzi resztę lata u Siobhan i Toma, a do St. John's wezmą je pod koniec sezonu, gdy popłyną na rynek z ładunkiem zakonserwowanego łososia – wtedy spróbują złapać gubernatora, zanim czmychnie na zimę do Anglii.

Zażądali spotkania z gubernatorem, gdy tylko zacumowali w St. John's, na audiencję musieli jednak poczekać aż trzy dni. Większość tego czasu John Senior spędził, troszcząc się o interesy, opiekę nad dzieckiem pozostawił zaś Richmondowi i Taylorowi. Prowadzali dziewczynkę po sklepach przy Upper Path i Lower Path, a sklepikarze dawali jej małe, kwaśne jabłuszka albo kostki cukru do ssania. Szanowane kobiety, które w innych okolicznościach minęłyby ich, nie skinąwszy nawet głową, przystawały i zagadywały dziecko śpiewnym głosem, wypyując o jego imię i wiek. Richmond raz czy dwa próbował powiedzieć uczciwie, co to za dziewczynka, lecz wynikała z tego konsternacja skłoniła go do wymyślenia historii lepiej przystającej do oczekiwań dociekliwych kobiet. Mówił im, że to córka jego siostry, że jest niema i od urodzenia nie odezwała się ani słowem. W miarę powtarzania tej opowieści czuł się coraz swobodniej ze swoimi zmyśleniami, wzbogacał je więc na bieżąco o nowe szczegóły, nadając dziecku imię (Rowena, po prababce), dorzucając starszą siostrę, która przyszła na świat martwa, oraz przypisując jej ogromne zamiłowanie do starych walijskich pieśni. Tom Taylor z niedowierzaniem przysłuchiwał się coraz dłuższej i bardziej zagmatwanej opowieści, nie zaprzeczał jednak słowom przyjaciela aż do momentu, gdy Richmond oznajmił komuś, że dziecko jest z lekka zdziwaczale, bo jako niemowlę wykazywało niecodzienną skłonność do jedzenia trawy, co, zdaniem niektórych, stało się przyczyną jego niemoty.

– Dicku Richmond, większego steku bzdur w życiu nie słyszałem – skomentował.

Richmond zdawał się dotknięty. – Ja wcale nie twierdzę, że taka jest przyczyna – stwierdził, wyraźnie rozdrażniony. – Mówiłem tylko, że niektórzy tak uważają.

Zaczął w jej obecności nazywać siebie wujkiem Richardem i codziennie kupował jej bloczek twardego toffi, żeby miała co robić wieczorem. Ulice w pobliżu przystani były rozgniecione na błotną breję przez wozy, zwierzęta i setki ludzi przybywających do St. John's z całej wyspy w nadziei na znalezienie statku mogącego zabrać ich na zimę do Anglii. Z obawy, że dziewczynka się wywróci lub zginie w tłumie, Richmond wziął ją w końcu na barana i nosił tak przez większość czasu.

Korona brytyjska nie postrzegała wówczas Nowej Fundlandii w kategoriach pełnoprawnej kolonii, traktowano ją raczej jako pływającą osadę rybacką oraz polygon dla rekrutów marynarki wojennej – kraj, który istnieje tylko latem. Na zimę większość osadników i najemnych rybaków wracała do Anglii, podobnie zresztą jak sam gubernator. Z tego, co zasłyszeli Richmond z Taylorem, błakając się po osadzie, obecny przedstawiciel Korony był daleko spokrewnionym z rodziną królewską pomniejszym urzędnikiem, któremu zaproponowano to stanowisko w ramach swego rodzaju kary za rozrzutne życie. W Anglii lękał się wierzyteli tak bardzo, że budził się przed świtem i do zmroku trzymał się z dala od domu. Posadę na Nowej Fundlandii przyjął przede wszystkim po to, by na jakiś czas uwolnić się od długów.

Nagroda, na którą liczył Richmond, została ustanowiona przez poprzednią administrację, a gubernator nie miał pojęcia o jej istnieniu aż do momentu, gdy stanęło przed nim trzech mężczyzn z dziewczynką. Wysłuchał opowiadania Richmonda o dziecku błakającym się samotnie po ptasiej wyspie, nie komentując go w żaden sposób i nie dając poznać swojej opinii nawet z wyrazu twarzy.

– Co ona trzyma w ręce? – spytał.
– Lalkę, ekscelencjo. Tylko tyle miała przy sobie, gdy ją znalazłem.
– Na moje oko nie przypomina Indianki.
– Użyliśmy dostępnych nam skromnych środków, by ucywilizować dziecko – wyjaśnił John Senior. – Zeskrobaliśmy mu farbę z twarzy, przystrzygliśmy włosy i ubraliśmy je w dorzeczne ubrania.

Dziewczynka stała między porywaczami a chorowitym, usadowionym w fotelu jegomościem, który co chwilę przeciągał dłonią po rzednących włosach. Buty i nogi aż do kolan miała uwalane błotem. Oparła brodę na główce lalki i trwała w bezruchu.

– Niech powie coś w ojczystym języku.

John Senior odchrząknął. – Sir, odkąd ją znaleźliśmy, nie odezwała się ani słowem.

Gubernator westchnął przeciągle i ze znużeniem. – Panowie, bez względu na to, w jaki sposób weszliście w posiadanie tej Indianki, o ile to w ogóle Indianka... – przez chwilę mierzył ich wzrokiem, dając im do zrozumienia, że ma w tym względzie wątpliwości – dla Korony jest ona całkowicie bezużyteczna.

– Przebyliśmy długą drogę, żeby okazać tutaj to dziecko... – zaczął Richmond.

Gubernator zdążył już wstać z fotela. – A więc życzę wam przyjemnej podróży powrotnej. Wasz wniosek o nagrodę został odrzucony.

Trzej mężczyźni prosto ze spotkania poszli do pubu. Czuli się ośmieszeni i nieuczciwie wykorzystani, tłumienie tych uczuć napitkiem zajęło im większość wieczoru. Indianka stała przy nich; wpatrywała się w migoczącą świecę oczkami ledwie sięgającymi ponad blat stołu, w rączce trzymała blok twardego toffi. W końcu Richmond zaniósł ją na słomę pod ścianą. Zdjąwszy kurtkę, opatulił nią dziecko wciąż ściskające kurczowo swoją lalkę.

Rano John Senior popłynął do Poole, a Richmond z Taylorem odprowadzili słup na północno-wschodnie wybrzeże. Nie omawiali tego między sobą, obaj jednak spodziewali się, że po ich powrocie nad zatokę Exploits Siobhan przygarnie dziecko i wychowa jak własne. Gdy tylko wrócili z St. John's, zanieśli dziewczynkę do domu. Siedzieli razem w kuchni, mała bawiła się po cichu lalką na kolanach Siobhan. Za oknem wicher miotał płatami śniegu z deszczem, wyjąc w kominie przy mocniejszych podmuchach.

– Siobhan, może właśnie w ten sposób Bóg zechciał nam dać dziecinę – zagaił Tom Taylor.

Siobhan zsadziła dziewczynkę z kolan i postawiła ją na podłodze. Opiekowała się już dzieckiem od paru miesięcy i zdążyła przywiązać się do niego w niemal nieświadomy sposób. W tamtym momencie pękła w niej jednak jakaś delikatna struna; wyparła się tego, co jeszcze dzień wcześniej byłaby gotowa nazwać miłością. Lekko drżącym głosem oznajmiła: – Bóg na pewno nie chciał, żebym wychowywała niemą dzikuskę zamiast własnego dziecka. – Odwróciwszy się do brata, dodała: – Jak będziesz wyplęwał, zabierzesz ją ze sobą.

A potem wyszła z izby. Kiedy maszerowała ku drzwiom, dziecko wskazywało ją rączką.

Leciwe małżeństwo z Poole, które spędziło na wybrzeżu dekadę i wracało na starość do Anglii jednym z ostatnich statków wypływających z St. John's tamtej jesieni, zgodziło się przyjąć dziewczynkę i wychować ją na służącą. Aby pokryć koszty podróży przez ocean oraz utrzymania w Anglii, wystawiali ją przed oczami ciekawskich gapiów w jednym z przybrzeżnych magazynów w Poole. Opłata za wstęp wynosiła dwa pensy.

Podczas gdy to wszystko do niego wracało, Richmond wpatrywał się ślepo w ogień – kruche palce chrustu buchały płomieniami i kulily się niczym istoty próbujące bezskutecznie osłonić się przed żarem. Kiedy w czajniku zagotowała się woda, był już zbyt poruszony, żeby zaparzyć sobie herbaty. Siedział owinięty kocem, patrząc na buchające nad ogniem kłęby pary. W brzuchu czuł identyczne, palące wrzenie.

Późnym popołudniem następnego dnia – szóstego marca – po nieprzerwanej wędrówce trwającej od świtu Peyton i jego ludzie dotarli nad jezioro i przycupnęli ukryci w rosnącej przy brzegu gęstej świerczynie. Na polanie po drugiej stronie wody widniało oddalone o kilka mil skupisko zimowych namiotów; luźne warkocze dymu rozplątywały się w blasku dnia chylącego się już do kresu. Podczas gdy słońce opadało za ciemną żaluzję lasu porastającego zbocza doliny, wycofali się wzdłuż rzeki Exploits i skręcili do parowu, którym spływał do rzeki nieduży, bystry potok. Udeptali sobie teren pod obozowisko, odwiązali od butów indiańskie rakiety i zatknęli je na sztorc w śniegu sięgającym im do ud. Nacięli gałęzi z pobliskich świerków, a największe podparli tak, by utworzyć parawan chroniący obóz przed wiatrem. Pozostałymi wymościłi miejsca, w których zamierzali się położyć. Kiedy skończyli, było już ciemno i wzmógł się solidny wiatr, ale Peyton nie pozwolił im rozpaść ognia z obawy, że w ten sposób się zdradzą. Zarządził trzy warty. Grupa ułożyła się na posłaniach, by wziąć gwiazdy na przeczekanie. W przeszywającym chłódzie nikt nie zdołał się choćby zdrzemnąć, noc była jednak rozmyta i nierzeczywista jak sen, a każdy z mężczyzn czuł się w niej zagubiony.

Przed świtem ocknęli się i złożyli obóz. Przeżuli twarde suchary, żeby uspokoić żołądki. Wytrząsnawszy z muszkietów stary proch, wyskrobali i napełnili na nowo zapalę i panewki. Większość amunicji zabranej przez członków wyprawy stanowiły breneki i ładunki śrutu, ale Taylor, Richmond i John Senior nabili broń kulami. Kiedy wszyscy przypięli rakiety, Peyton przypomniał im, że nikt nie ma prawa strzelać bez jego zgody. Richmond burknął, że sam jest wprawdzie tylko najemnikiem, ale pozwoli sobie zauważyć, iż to paskudna sprawa tak pomiatać własnym ojcem. – Moje zdanie on już zna – rzucił John Senior. Peyton powtórzył rozkaz, by czekali na jego sygnał. Wyszli z jaru gęsiego i ruszyli wzdłuż rzeki na południe, ku przylądkowi odcinającemu ich od jeziora.

Podszycie lasu rosnącego nad wodą było tak gęste, że musieli iść jego skrajem, trzymali się jednak jak najbliżej drzew. Sypki śnieg zawiał brzeg tak mocno, że brnęli z trudem przez dwie i pół godziny, zanim wreszcie zatrzymali się o sto jardów od polany, na której stały namioty. Przycupnęli w kępie drzew na niedużym cyplu wystającym w jezioro. Kucający obok Peytona ojciec oddychał urywanie i z wysiłkiem. Pokręcił głową. – Zieję jak jakiś czort. Nie mam już za grosz dawnej mocy w płucach.

Peyton zerknął na Johna Seniora. Sam miał stopy pokryte pęcherzami, kolana i kostki opuchnięte i sztywne od zimna i wysiłku. Nawet kucanie sprawiało mu ból. Przed wymarszem z domu żywił obawy o kondycję ojca, ale w drodze to John Senior co rano pierwszy zrywał się z posłania, a po zmroku zagrzewał ludzi do dalszej wędrówki. Peyton pokręcił głową i popatrzył na polanę.

Dwa spośród *mamateeków* były pokryte kawałami brzozonej kory, zszytymi za pomocą włókien ze świerkowych korzeni i ścięgien zwierząt. Trzeci został natomiast owinięty płóciennym żaglem zabarwionym mieszanką tłuszczu i czerwonej ochry. Richmond skinął na niego brodą i mruknął: – Zdaje się, że to nasze.

John Senior przytaknął. – Nie będzie ich więcej niż po jakichś piętnastu w wigwamie. Razem może pod pięćdziesięciu. – Zerknął na Peytona, który wyciągnął kieszonkową lunetę Dollarda i, mrużąc oczy, obserwował przez nią polanę. – No? – spytał.

Peyton zamknął przyrząd i pokręcił głową. – Nic się nie dzieje. – Czuł otaczające go wyostrome napięcie, ten szmer wiszący w powietrzu niczym syk zielonego drewna dopiero co dorzuconego do ognia. A wtedy Joseph Reilly trącił go w ramię i wskazał postać, która właśnie ukazała się przed jednym z namiotów. Peyton ponownie przytknął lunetę do oka.

Richmond stwierdził, że powinni się ruszyć, zanim pozostali Indianie rozpoczną dzień. Zawtórował mu ogólny pomruk aprobaty, który Peyton puścił mimo uszu. Peyton wstał i wyszedł na otwartą przestrzeń. Kilku mężczyzn poszło w jego ślady, więc machnięciem ręki nakazał im wrócić między drzewa. Przed *mamateekami* wciąż poruszała się tylko jedna sylwetka, a na zamarzniętej tafli jeziora i w całej dolinie panowała cisza tak głęboka, że na chwilę ogarnęło go wrażenie, iż znajduje się w tej przestrzeni sam na sam z kobietą. Przez lunetę widział połysk jej starannie natłuszczonych włosów, twarz pomalowaną tym samym czerwonym barwnikiem co skradziony żagiel.

Wzniósł ramię. – Hej tam! – zawołał.

Własny głos wrócił do niego echem odbitym od linii drzew; Indianka właśnie odwracała się, by popatrzeć w jego stronę. Jeszcze zanim do jego uszu dobiegł jej pierwszy ostrzegawczy okrzyk, usłyszał, jak John Senior klnie za jego plecami, a mężczyźni wybiegają truchtem spomiędzy drzew.

Nim dobiegli w rakietach do połowy zamarzniętej zatoczki, cały obóz rzucił się do ucieczki; większość Beothuków wypadła z *mamateeków* i pognąła do lasu, natomiast mniejsza grupka puściła się pędem po zamarzniętym jeziorze, kierując się na południe. Niektórzy nie zdążyli się nawet do końca ubrać; w rękach nieśli wyłącznie niemowlęta. Nie zatrzymując się, Peyton wrzasnął do swoich ludzi, by nie otwierali ognia. Duże indiańskie rakiety, które mieli na nogach, były niewygodne i niemal zupełnie bezużyteczne na ubitym śniegu pokrywanym lodem na zatoce. Potykając się i ślizgając, mężczyźni zbliżyli się do brzegu na wysokości obozu.

– O tych, co w lesie, możemy zapomnieć! – krzyknął Richmond, gdy przystanął na skraju lodu.

Mniejsza grupa na jeziorze była jeszcze widoczna – na czele gromada postaci, z tyłu jeden maruder. Zdarłszy rakiety z butów, Peyton ruszył biegiem w ich kierunku. Po drodze zrzucił z ramion plecak, róg na proch i ciężki płaszcz. Przebie-

rał nogami w lęklwym, przesadnym pośpiechu, jakby katastrofy można było uniknąć wyłącznie pod warunkiem, że to on dotknie któregoś z Czerwonych Indian jako pierwszy, że to jego imię najpierw dotrze do ich uszu.

Dzień zaczął się już na dobre; śnieg i lód mieniły się w słońcu niczym miraż, a blask zniekształcał biegnące przed nim sylwetki tak, że zdawały się to unosić kilka stóp ponad jeziorem, to nie mieć nóg. Maruderem okazała się kobieta, którą zawołał na początku. Zostawała coraz bardziej w tyle; odróżniał już łopoczącą poję jej płaszcz ze skóry karibu, kołnierz obsyty gęstym futrem. Ktoś z biegnących na przedzie cofnął się i wyjął jej z rąk jakieś zawiniątko, wciąż jednak biegła z trudem, a Peyton szybko zmniejszał dzielącą ich odległość. – Hej! – krzyknął za nią. Był już tak blisko, że widział grube nici ze świerkowych korzeni, którymi zszyte były jej spodnie – białe włókna na tle materiału zabarwionego czerwoną ochrą. Na zewnętrznych szwach podzwaniały kościane wisiorki i jasnoczerwony ptasi szpon.

– Hej tam! – zawołał znowu.

Gdy dzieliło ich jakieś dziesięć kroków, kobieta, nie będąc w stanie dłużej biec, padła ciężko na kolana, a Peyton zatrzymał się, nie chcąc skracać dystansu. Dyszała chrapliwie i nierówno, krztusząc się i kaszląc; pozostali Beothukowie znikali już za widocznym w oddali przylądkiem. Wciąż klęcząc, odwróciła się do nieznanomego, rozpięła pas i uniosła poły płaszcz, odsłaniając piersi w geście prośby o litość. Sutki były ledwie widoczne pod czerwoną farbą pokrywającą jej tułów. Peyton odwrócił wzrok; oddychał z trudem, próbując uspokoić rozedrgane ciało. Gdy biegł, lodowate powietrze wdarło mu się w gardło i płuca; usta wypełnił mu ciemny, torfiasty smak krwi.

Położył strzelbę na ziemi i odsunął ją kopniakiem, a następnie odpiął pistolet i rzucił go w bok tak, że broń pojechała po lodzie jakieś dwadzieścia stóp, połyskując metalową lufą w słońcu. – Już dobrze – powiedział, spoglądając znowu na Indiankę. Ręce wznosił po bokach. Pierwsi członkowie jego wyprawy właśnie ich doganiali; kobieta skupiła wzrok gdzieś za nim, zerkając na nadbiegających mężczyzn. – Wszystko dobrze – uspokoił ją, dając krok w jej stronę.

Obejrzała się przez ramię i popatrzyła w stronę przylądka, przy którym ostatnio widziała swoich pobratymców, a następnie okryła się i wstała, czekając na spotkanie. Pokiwał głową i uśmiechnął się do niej. – John Peyton. – Klepnął się otwartą dłonią w pierś. – John Peyton.

Kobieta wciąż jeszcze płakała, ale kiwała głową i uśmiechała się bezradnie, zbliżając się do mężczyzny z wyciągniętymi rękami. Peytona zaskoczyły jej zęby, równe i nieskazitelnie białe.

Pierwszy dobiegł do nich Michael Sharpe. Przystanąwszy, zapatrzył się na Indiankę z wyrazem takiego zdumienia i nieufności na twarzy, jakby ujrzał drzewo, które wyszarpnęło korzenie z ziemi i przyszło do niego po jeziorze. Peyton delikat-

nie ujął ją za ramię ponad łokciem i wypowiedział imię mężczyzny, a ona uściśnęła tamtemu dłoń, skinęła głową i powiedziała do niego coś po swojemu, podobnie jak przed chwilą do Peytona. Gdy pozostali dołączyli do nich, niosąc płaszcz i sprzęt Peytona, ich także przywitała. John Senior poszedł pozbierać broń syna.

Peyton wyjaśnił im, że reszta Indian zniknęła za przylądkiem; odwróciwszy się w tamtą stronę, ujrzeli trzy sylwetki przyglądające im się z brzegu. Jedna z odległych postaci zamachała rękami, jakby chciała zwrócić na siebie ich uwagę.

– W porządku – mruknął John Senior. Ściągnawszy ciężką skórzaną rękawicę, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza po długą, lnianą chustę i strzepnął ją, strzelając materiałem w lodowatym powietrzu. – Proszę – powiedział staruszek, wręczając ją synowi.

Peyton przytaknął i, odwróciwszy się do trzech sylwetek na przylądku, zamachał białym kawałkiem tkaniny nad głową.

– Jej ręce! – warknął John Senior. – Co za pieprzony głupek.

Odebrał mu chustę i chwycił kobietę za ramię, obracając ją tyłem do siebie. Gdy wiązał jej ręce za plecami, spojrzała na Johna Peytona, a on skinął głową, robiąc co w jego mocy, by pokazać jej, że wszystko będzie w porządku.

Z brzegu zeszyły na łódz dwie postacie. Mężczyzna idący na czele niósł gałąź białego świerku – trzymał ją przed sobą, zbliżając się do grupy stojącej na jeziorze. Peyton odezwał się do towarzyszy, nie odrywając wzroku od nadchodzących Indian. – Nikt nie wystrzeli bez mojego pozwolenia – przykazał.

SZEŚĆ

Ułożywszy kamienie i świerkowe gałęzie zebrane na pobliskim przylądku w prosty kurhan oraz przysypawszy śniegiem plamy krwi na lodzie, biali wrócili po swoich śladach do obozowiska Indian. Największy z trzech namiotów był tak przestronny, że mogłoby w nim przenocować bez mała dwadzieścia osób; krąg płytkich zagłębień na posłania rozchodził się promieniście od paleniska znajdującego się pośrodku. Podstawę konstrukcji stanowiła wysoka na trzy stopy ściana z ułożonych poziomo bali uszczelnionych mchem i obsypanych ziemią od zewnątrz. Wzniesiony na niej stożek z dłuższych żerdzi służył za krokwie podtrzymujące grube pokrycie z brzoźowej kory. Ściany były obwieszane łukami, toporami, żelaznymi siekierami, pałkami i dzidami. Broń pokryto czerwoną ochrą i posegregowano z ogromną starannością.

Mężczyzn ogarnął graniczący z oszołomieniem spokój; wyrażali pełne czci uznanie dla otaczających ich przedmiotów. Gdy znaleźli zawierającą strzały skrzynię z brzoźowej kory, John Senior wyjął kilka okazów i przyjrzał się idealnie prostym świerkowym drzewcom, po czym puścił je dalej. Końce strzał upierzone były lotkami z dwóch rzędów szarych gęsich piór; groty ukształtowane zostały z żelaza.

Stary powiedział, że zazwyczaj Indianie wyrabiają je z płytek ze skradzionych po-
trząsków lub kwadratowych gwoździ rozbitych na płask i ukształtowanych kamie-
niem, a on sam przed ponad trzydziestu laty natknął się nad rzeką na starego India-
nina obrabiającego w ten sposób jedną z jego pułapek.

Węsząc po namiocie, rozpalili ogień z węgla żarzących się jeszcze w paleni-
sku. Na tyłach *mamateeku* William Cull natknął się na prymitywny drewniany po-
sążek, na którego szyi wisiał srebrny zegarek. Koperta została otwarta i opróżnio-
na; elementy mechanizmu znaleźli nieopodal, wplecione w skórzane rzemienie róż-
nej długości. Wypolerowane zębaki były przywiązane na naszyjnikach i bransolet-
kach obok kradzionych monet i muszli pobrażeków.

– Skradli panu z łodzi zegarek? – spytał William Cull, podnosząc drewnianą
figurkę.

– To po ojcu – wyjaśnił John Senior. – Przywiozłem go z Poole, kiedy przy-
płynąłem tu z Millerem na mój pierwszy sezon.

Cull zdjął kopertę z szyi drewnianej postaci i strącił rzeźbę na podłogę. In-
dianka, siedząca już przy ogniu, poczuła się tym urażona i zaczęła trajkotać coś do
niego tonem, który John Senior uznał za niedopuszczalny. Podniósł figurkę z ziemi
i stanął przy palenisku, przytrzymując ją nad płomieniami między kciukiem a pal-
cem wskazującym. Kołysał ją lekko jak wahadło, grożąc, że zaraz ją upuści. Kobie-
ta nieprzerwanie ich besztala, kilku mężczyzn zachęcało go więc, żeby wrzucił po-
sążek w ogień i zobaczył, czy Indianka będzie miała ochotę wyciągnąć go stamtąd
zębami.

– Dosyc tego – rzucił ostro Peyton, na co John Senior odparł, że dosyc, a jak-
że. Peyton odebrał figurkę ojcu i odstawił ją tam, gdzie znalazł ją William Cull,
a Indianka wróciła do gapienia się w ogień.

– Podejrzewam, że się trochę pogniewała na Johna Seniora – stwierdził
Richmond, kucając naprzeciw niej. – A przynajmniej zrobiła się czerwona na twa-
rzy.

Zagotowali wodę na herbatę i upiekli sobie steki z karibu, znalezione nieopo-
dal namiotów, w służącym za spiżarnię dole wyłożonym brzożową korą. Indianka
nie tknęła mięsa, Peyton podsunął jej więc suchar, odgryzając uprzednio kęs, by
pokazać jej, że jest jadalny. Żuła krawędź twardego chleba, aż jej ślina nie zmieniła
jednego końca niemal w pastę.

Po posiłku Peyton kazał Michaelowi Sharpe'owi popilnować kobietę i zabrał
pozostałych na obchód obozu. Niedaleko stała nieduża wędzarnia, gdzie Boethuko-
wie konserwowali mięso, oraz składzik, w którym przechowywali suche skóry,
w większości z karibu. Kilka skór nie było jeszcze do końca wyprawionych; wisia-
ły rozciągnięte na stojakach.

W pozostałych *mamateekach* odkryli przedmioty zrabowane z Susan: dwa
miedziane kociołki, nóż do oprawiania ryb, linkę, kołowrotek i ołowiane ciężarki.

Skradzione sieci zostały już rozplątane, a uzyskane sznurki skrócone w linę. Wszystkie rzeczy poza zniszczonymi sieciami mężczyźni znieśli do największego namiotu, gdzie dopakowali je do swojego sprzętu.

Kiedy skończyli, było już prawie ciemno, zagotowali więc znowu wodę na herbatę. W środku było na tyle ciepło, że mężczyźni pościągali futra, a niektórzy zdjęli buty, żeby wyciągnąć nogi przy ogniu. Usiadłszy przy kobiecie, Peyton zaczął dawać znaki rękami i rysować postaci na klepsku, próbując przekazać jej, że rano wyruszają w drogę powrotną, a ona pójdzie z nimi. Przyglądała mu się uważnie, lecz ani nie przytaknęła, przyznając się, że rozumie, ani nie pokręciła głową na znak protestu.

Koło ósmej John Senior zgromadził mężczyzn przed namiotem, zostawiając Peytona samego z kobietą. Trzykrotnie wystrzelili w powietrze ze strzelb nabitych samym prochem i wznieśli trzy gromkie okrzyki, by odstraszyć Indian mogących znajdować się w pobliżu obozu. Przy każdym wystrzale ciało kobiety podskakiwało; wpatrywała się w Peytona z przejęciem, jakby chciała, żeby dodał jej otuchy. Robił, co mógł, żeby ją pokrzepić za pomocą gestów i swoich bezużytecznych angielskich słów. Stwierdził, że to jeszcze prawie dziecko – miała może z dwadzieścia lat. Odliczył lata dzielące ich od pierwszej ekspedycji nad jezioro z Buchanem. Wtedy mogła być w tym samym wieku co dziewczynka rozpalająca tamtego ranka ognisko, nachylająca się nad kulką ptasiego puchu i krzesząca na niego iskry. W tym samym wieku co dziecko z Poole – tamta smutna postać wyzierająca na niego spod mętnych warstw lodu niczym twarz topielca uwięzionego pod lodem.

Mężczyźni wrócili nieśpiesznie do środka, a Peyton przydzielił Richmondowi pierwszą wartę przed wejściem. Kiedy się ułożyli, zamienili jeszcze parę słów, ale rozmowy były ciche i sporadyczne. Peyton spał niespokojnie, a w snach nie był w stanie poruszać się ani mówić. Często budziły go własne nieudolne próby podniesienia ręki czy krzyku; za każdym razem siadał na posłaniu i wyteżał wzrok w nikłym świetle ognia, by upewnić się, że kobieta leży przy nim.

Na śniadanie zjedli zimne skrawki pieczonego mięsa, popijając je herbatą. Poszli do składziku, wywlekli na zewnątrz futra – w sumie osiemdziesiąt skór kарибу, a do tego kilka tuzinów innych zwierząt – po czym podzielili je na równe pakunki i zawinęli w focze skóry z wszytymi rzemiennymi uchwytami. Dyskutowali o możliwości zdercia żagla z trzeciego *mamateeku*, płótno zostało jednak pocięte, zszyte ścięgna i zafarbowane indiańskim wywarem z tłuszczu i ochry, ostatecznie zostawili je więc na miejscu. Tom Taylor i Richmond opowiadali się za podpaleniem namiotów. Peyton oświadczył, że nie będą nic palić, nie licząc łuków, strzał i dzid. Kiedy odwrócili się do Johna Seniora, ten tylko wzruszył ramionami.

Peyton kazał Taylorowi, Richmondowi i Michaelowi Sharpe'owi ułożyć całą drewnianą broń w stos, po czym wszedł z ojcem do namiotu. Joseph Reilly siedział z kobietą, naprawiając rzemienie przy swoich rakietach. Peyton usadowił się przy

ognisku, rozpiął płaszcz i wyłowił z kieszeni fajkę oraz tytoń.

– Nie jestem pewien, czy powinniśmy brać ją ze sobą – powiedział.

Na twarzy Johna Seniora pojawił się ostry, starczy grymas. Na górnej wardze miał jeszcze zakrzepłą krew, jego nos, najpewniej złamany, był opuchnięty i lekko przekrzywiony. – Te futra na zewnątrz nie są razem warte nawet pięćdziesięciu funtów – stwierdził. – A gubernator jest gotów dać setkę za samą kobietę. To mniej więcej pokryje nasze straty.

Peyton przytaknął niepewnie. – Reilly? – spytał.

Irlandczyk oderwał się od pracy i utkwiał wzrok w świerkowych krokwiach. – Ci, którzy zostali w lesie, nie odczepią się już od twojej własności, chyba że uda ci się przekonać tę kobietę, żeby wybiła im to z głowy.

– A jakie według ciebie mam na to szanse po tym, co wydarzyło się wczoraj?

– Wszystko jest możliwe – stwierdził Reilly, w jego głosie nie było jednak słyhać przekonania.

– A zresztą, biorąc pod uwagę okoliczności, sam nie wiem, czy mądrze byłoby uczyć ją mówić. – Peyton skinął brodą w stronę jeziora.

John Senior pokręcił głową. – Nikt nie da jej wiary, jeśli będzie to słowo jednej Czerwonej Indianki przeciw słowu nas ośmiu. – Popatrzył na syna, znowu pokręcił głową i splunął do ogniska. – Zgadza się?

Peyton nic nie odpowiedział, więc staruszek zwrócił się do Reilly'ego. – Zgadza się?

Reilly wpatrywał się w ogień, w miejsce, gdzie ślina staruszka schła z sykiem na kawałku drewna.

Godzinę później wyruszyli na północ, w kierunku rzeki; każdy ciągnął za sobą sanie z foczej skóry wyładowane futrami. Większość zabrała sobie jakieś trofea – łuki, sterty strzał lub sięgające za kolana mokasyny z goleni karibu. Pociągawszy sanie przez kilka minut, Michael Sharpe rzucił postronek na ziemię, pobiegł na skraj lasu i tam zwymiotował na śnieg.

– Chryste Panie – westchnął Richmond z obrzydzeniem.

Peyton podszedł do chłopaka. – Już dobrze? – spytał.

Sharpe stał pochylony z rękami opartymi na udach i co chwilę spluwał. – Po prostu nigdy jeszcze nie widziałem, jak ginie człowiek. Tyle krwi... – powiedział, pokręcił głową i znowu dostał torsji.

Upłynęło jeszcze piętnaście minut, zanim mogli na dobre wyruszyć w dalszą drogę. Kobieta szła pośrodku szeregu, obok Peytona. Zanim opuściła namiot, starannie zaczesła włosy kościanym grzebieniem i nasmarowała je foczym tłuszczem, nie zabrała natomiast nic poza ubraniami, które miała na sobie. Podpalony przez mężczyzn nieduży stos rzeźbionej świerczyny, sosny i jedliny tlił się jeszcze długo po ich odejściu.

W tydzień po zatargu na jeziorze dotarli do domu zimowego i wprowadzili Indiankę do kuchni. Mężczyźni zasiedli na krzesłach pod przeciwległymi ścianami izby, wciąż obwieszeni całym swoim ekwipunkiem. Ich ubrania roztaczały woń dymu i mrozu. Kobieta usiadła na podłodze nieopodal Peytona.

John Senior wyjął pustą kopertę ojcowskiego zegarka, podniósł ją za łańcuszek i zaczął kiwać nią powoli, jakby próbował sam siebie zahipnotyzować. – Zobacz, co zrobili – powiedział do Cassie, otwierając klapkę, by odsłonić puste wnętrze. – Co mi po takim zegarku?

Peyton zdawał się nie słyszeć słów ojca ani nawet nie wiedzieć, gdzie się znajduje. Cassie pomyślała, że wygląda na wyczerpanego raczej zgryzotą lub rozpaczą niż zwykłym fizycznym wysiłkiem. – Johnie Peyton, wydajesz się sterany – zagaiła. Jedyłą odpowiedzią, jakiej się od niego doczekała, było lekceważące skinienie ręki.

John Senior powiedział, że Indianka jest podstępna i nie wolno jej ufać; że dwukrotnie próbowała im się wymknąć, kiedy spali. Za drugim razem miała związane ręce i nogi, a mimo to poczołgała się w las. Skórzany płaszcz zdjęła przez głowę i podłożyła go pod siebie, żeby wytłumić dźwięki. Odpęzła od ogniska i kręgu śpiących mężczyzn stopa po stopie, a ciągnąca się po ziemi skóra zacierała za nią ślady. Kiedy wreszcie złapali ją w lesie, znajdowała się już trzysta jardów od obozu.

Nie byli w stanie jej przekonać, żeby usiadła na krześle.

– I co z nią teraz będzie? – spytała Cassie. Gotowała wodę w kociołkach, by napełnić drewnianą balię ustawioną przed paleniskiem.

– O to spytam gubernatora – stwierdził Peyton. Potarł oczy kciukiem i palcem wskazującym. – Na jeziorze padły strzały. Doszło do rozlewu krwi, z którego będzie się trzeba wytłumaczyć.

Cassie odwróciła się od ognia i popatrzyła na nich.

– Co się stało?

– Stało się tyle, że musieliśmy się rozprawić z dzikusami – rzucił John Senior.

– Pomału – zwrócił się Peyton do ojca, po czym popatrzył na Cassie. – Opowiem ci później. – Skinął na Indiankę. – Woda jest już dość gorąca, żeby dało się wyszorować tę tutaj?

Dochodzenie

1819

SIEDEM

Pomimo że pogoda była niezła, a na niedużej galerii nieopodal wejścia tłoczyło się czterdziestu widzów, w wysoko sklepionej sali sądowej panował chłód. Pośrodku stał prosty stół, za którym zasiadł sędzia prowadzący rozprawę. Pod ścianą znajdował się rząd krzeseł dla przysięgłych, oddzielony długą, wypolerowaną barierką. Większość osób zgromadzonych w pomieszczeniu podczas całej rozprawy nie zdejmowała białych płaszczy, a gdy ławnicy udali się na naradę, ludzie wylali się na zewnątrz, by zapalić i przejść się w bladym słońcu późnego maja.

Peyton przypląnął kabotażowcem w pojedynkę, odrzuciwszy propozycję ojca, gotowego mu towarzyszyć. Tylko on został wezwany do stawienia się przed sądem w St. John's, stwierdził więc, że nie ma potrzeby komplikować sprawy zeznaniami ojca czy któregośkolwiek z pozostałych członków ekspedycji. Drugiego wieczora spędzonego w mieście spotkał się z gubernatorem w London Tavern, powstałej już z popiołów po pożarach z 1817 roku.

– Nad wyraz niefortunna sprawa – powiedział Hamilton – natomiast chodzi przede wszystkim o to, by formalności stało się zadość. – Jego głowę zdobiła burza srebrnych włosów. Był bardzo oficjalny w obejściu i przychodziło mu to tak naturalnie, że większości rozmówców przypadało to do gustu. Mówił z dłońmi złożonymi pod brodą. – Rozumie pan, że byłem zmuszony obrać właśnie tę drogę.

Peyton przytaknął. – Czy ekscelencja ma przy sobie mój list?

Gubernator sięgnął do kieszeni po pismo. Uśmiechnął się do młodszego mężczyzny. – Sądzę, że to wystarczy, by uczynić zadość dociekliwości sądu. Co do Indianki znajdującej się pod waszą opieką...

– Jesteśmy w tym względzie do dyspozycji ekscelencji. – Peyton pobieżnie omiótł wzrokiem kartki, jakby próbował rozpoznać charakter pisma. – Nasza gospodyni uczy ją mówić. Do kolejnej zimy powinna być z niej użyteczna tłumaczka, jeśli zechce ekscelencja wysłać ekspedycję nad jezioro.

Hamilton przelotnie zmarszczył czoło. – Czy kwestia, którą obecnie rozpatrujemy, nie stanie się zawadą w takim przedsięwzięciu?

– Sir, obawiam się, że nie rozumiem.

– Zginął człowiek – stwierdził Hamilton. – Być może powrót z kobietą nad jezioro tylko pogorszy sprawy.

– Wtedy na naszą korzyść będzie już przemawiało dobre traktowanie, którego doświadczyła Indianka.

– Zgoda – powiedział Hamilton z uśmiechem. – Do tej kwestii najpewniej wrócimy kiedy indziej. A tymczasem?

– Zapewnimy kobiecie wikt i opierunek w naszym domu na Burnt Island, za pozwoleniem ekscelencji.

– Ma się rozumieć – przytaknął Hamilton. – A teraz skupmy się na innych sprawach. Mój poprzednik, gubernator Pickmore, zamierzał uczynić pana sędzią pokoju na północno--wschodnim wybrzeżu.

– Doniesiono mi, że istnieje taka ewentualność.

– Gdy tylko bieżąca sprawa zostanie rozstrzygnięta, mianujemy pana oficjalnie. – Podniósł szklankę ze stołu. – Wypijemy za to?

Gdy następnego ranka został wezwany na świadka, Peyton poprosił o zgodę sądu na odczytanie listu, który w pierwszym tygodniu kwietnia przesłał do gubernatora Hamiltona.

– *Upraszam o zgodę na wyłuszczenie Ekscelencji...*

Odkaslnął w pięść i zaczął jeszcze raz.

Upraszam o zgodę na wyłuszczenie Ekscelencji okoliczności związanych z podjętą niedawno przeze mnie, mojego ojca i sześciu naszych ludzi ekspedycją w głąb terytorium Czerwonych Indian. Po uprzednim uzyskaniu od Ekscelencji zgody na próbę odzyskania naszej własności skradzionej przez Beothuków, wyruszyliśmy z domu 1 marca 1819 roku, wiedzeni wyjawionym Ekscelencji pragnieniem sprowadzenia niektórych spośród Indian na wybrzeże celem zapoczątkowania przyjaznego dialogu z całym plemieniem. Rozumując w tym duchu, zabroniłem członkom ekspedycji dopuszczania się jakichkolwiek aktów wrogości bez mojego wyraźnego rozkazu.

Szóstego marca, dotarłszy nad jezioro Indian i stanąwszy na jednym z cypli, ujrzałem postać idącą w naszym kierunku oraz trzy sylwetki zmierzające w przeciwną stronę. Nie byłem jeszcze w stanie stwierdzić, czy zbliżająca się do nas osoba jest mężczyzną, czy kobietą. Gdy ukazałem się na przylądku, Indianka, zobaczywszy mnie, krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Natychmiast pobiegłem za nią, nie zdołałem jednak zmniejszyć dzielącej nas odległości, dopóki nie zdjęłem raket i kurtki, co pozwoliło mi szybko się do niej zbliżyć, a ona uciekała dalej, zerkając na mnie przez ramię, rzuciłem więc broń na śnieg i wzniosłem ręce, by pokazać, że nie mam broni. Dopiero gdy wskazałem ręką broń leżącą już dość daleko ode mnie, Indianka stanęła w miejscu. Uczyniwszy to samo, zmierzylem się z wyzwaniem przekonania jej o moich dobrych zamiarach. Następnie zbliżyłem się i wyciągnąłem do niej rękę, a ona podała dłoń mnie oraz wszystkim przybyłym w ślad za mną członkom wyprawy.

Niedługo potem pojawili się trzej Indianie, których wcześniej widziałem idących w przeciwnym kierunku. Dwaj spośród nich zbliżyli się do nas. Widząc, że jeden z nich kryje coś pod długim płaszczem, nakazałem swojemu człowiekowi go przeszukać. Ten znalazł tam toporek, który zaraz odebrał Indianinowi. Dwaj Indianie podeszli do mnie i złapali mnie za ramiona, czyniąc próby odciągnięcia mnie od kobiety. Robiłem, co w mojej mocy, by się wyswobodzić, wciąż nie wypuszczając Indianki. Beothuk, któremu odebrano toporek, trzykrotnie ośmielał się sięgać po nasze strzelby, jego wysiłki kończyły się jednak niepowodzeniem. Ostatecznie zdołał chwycić strzelbę mojego ojca i podjął próbę wyszarpięcia broni z jego rąk. Złapał ojca za gardło, w tym momencie rozkazałem więc jednemu z moich ludzi uderzyć Indianina. Ten ustąpił na chwilę, dzięki czemu ojciec zdołał wyswobodzić się i wycofać. Beothuk wciąż jednak napierał na niego, wyszczerzony w dzikim uśmiechu. Pozbawiony innej opcji, nakazałem obronę mojego ojca. Kilka strzałów wybrzmiało w tak krótkim odstępie, że dopiero po chwili zorientowałem się, iż wypaliła więcej niż jedna broń. Widząc upadającego nieszczęśnika, pozostali Indianie natychmiast rzucili się do ucieczki. Gdybyśmy byli w stanie zastraszyć go lub inaczej nakłonić do zaprzestania agresji, z największą chęcią powstrzymalibyśmy się od przemocy. Zaznaczam również, że gdybyśmy zakończyli żywot nieszczęsnego Indianina w sposób nieusprawiedliwiony, nie trzymałbym się pierwotnego zamiaru, przedłożonego Ekscelencji i przez Ekscelencję zaaprobowanego, polegającego na sprowadzeniu na wybrzeże Indianki.

Moim pragnieniem było – i nadal pozostaje – nawiązanie dobrych relacji z Indianami celem ochrony mojej własności oraz wybawienia tego plemienia naszych bliźnich od nieszczęść i prześladowań, które cierpią w głębi lądu z rąk Mikmaków, na wybrzeżu zaś z rąk Białych.

Odczytawszy te słowa, powiódł wzrokiem po ludziach zgromadzonych na tyłach sali. Wpadające skośnie przez okna promienie słońca oślepiały go i skrywały twarze widzów. Nie miał zielonego pojęcia, co maluje się na ich obliczach. – Najniższy pokłon oddaje – wyrecytował, nie spoglądając na kartkę – Waszej Ekscelencji pokorny i uniżony sługa.

Kiedy przysięgli udali się na obrady, Hamilton zaprosił Peytona na lunch w siedzibie gubernatora w Fort Townshend. Posilali się w jadalni chlebem, mięsami na zimno i herbatą, podczas gdy lady Hamilton – o czym gubernator z góry uprzedził Peytona – kreśliła przed nimi swoje plany założenia szkoły w St. John's. Twierdziła, że brak jakiegokolwiek formalnej edukacji dzieci rybaków napawa ją zgrozą. To niedopełnienie obowiązków, niemal przestępstwo. Prawie nie tknęła jedzenia, co pozwoliło Peytonowi łatwiej ukryć fakt, że on sam również nie

był w stanie zbyt wiele przełknąć.

– Najdroższa, musisz przecież coś zjeść – zagaił Hamilton. Odparła, że język, którym posługują się niższe warstwy społeczeństwa, jest właściwie niezrozumiały, a bez szkolnictwa ich stan jest niewiele lepszy od tego, w którym wegetują dzicy. Hamilton odwrócił się do Peytona. – Powinienem być dobrze się namyślić, zanim ożeniłem się z reformatorką.

Była dużo młodsza od gubernatora i nie należała może do kobiet, które Peyton uznałby za pospolite, najbardziej wyróżniała się jednak niespożytą energią i entuzjazmem. Widział, że jej gesty są starannie wymierzone, stłumione pielęgnowaną od dawna powściągliwością.

– Panie Peyton, jestem przekonana, że do pana przemawiają moje argumenty. Pan bez wątpienia skorzystał z dobrodziejstw szkolnictwa. Odebrał pan edukację w Poole, zgadza się?

– Po części – wyjaśnił. – Przez wiele lat uczyła mnie również kobieta zatrudniona przez ojca. Wychowała się tutaj, w St. John's. Niejaka panna Cassie Jure.

Po twarzy lady Hamilton przemknął przelotny grymas.

Jej mąż powiedział: – Tak, jej ojciec zginął rok temu, walcząc z jednym z tych strasznych pożarów.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Zdaję sobie sprawę, że był pijaczną – powiedział Peyton. – To nie tajemnica.

– Oczywiście. – Gubernator z żoną zerknęli na swoje talerze. – Paskudna historia.

– Która, sir?

Hamilton podniósł wzrok. – Pożary, panie Peyton.

Jeden z żołnierzy wszedł do jadalni i stanął na baczność u szczytu stołu.

– Ławnicy wracają na salę rozpraw – zakomunikował.

Gdy John Peyton popłynął zeznawać w sądzie w St. John's, Mary zaczęła trzymać się możliwie najbliżej Cassie. Odkąd znalazła się w ich domu, Indianka traktowała młodszego Peytona jako swojego opiekuna i obrońcę, przyjmowała polecenia wyłącznie od niego i odmawiała zostawania sam na sam z kimkolwiek innym. Zanim wyruszył, dołożył wszelkich starań, by wytłumaczyć jej, że wróci z St. John's jak najszybciej, nikt jednak nie był pewien, ile z tego rozumiała. Co rano witała Cassie tym samym pytaniem.

– John Peyton?

– John Peyton wróci do domu już niedługo – uspokajała ją Cassie.

Indianka przytakiwała, jednak wyraz jej twarzy dawał jasno do zrozumienia, że słowo „niedługo” niewiele jej mówi i nie zmniejsza jej niepokoju.

Mary po raz pierwszy zainteresowała się pracami w gospodarstwie, widząc w tym sposób na spędzanie czasu z drugą kobietą. Cassie miała wrażenie, że Indianka chce uniknąć zostawiania sam na sam z Johnem Seniorem. Kiedy wchodził do izby, ona wychodziła, a jeśli to nie było możliwe, odsuwała się pod najdalszą ścianę. Tych dwoje odpychało się jak ujemne bieguny dwóch magnesów.

Podczas wspólnego wykonywania obowiązków Cassie starała się pracować nad angielszczyzną Indianki. Wskazywała przedmioty, których tamta jeszcze nie знаła bądź nie umiała nazwać po angielsku, i powtarzała sylaby, dopóki Mary ich nie przyswoiła. *Łódka. Pomost. Nocnik. Igła, nitka, materiał. Strumień. Gwiazdy. Księżyc. Słońce. Talerz. Hubka. Poduszka.* Mary wykazywała wrodzoną dociekliwość, zapamiętywała raz zasłyszane nazwy i rozumiała proste polecenia. Wydawała się jednak niechętna lub niezdolna do czynienia postępów wykraczających zbyt daleko poza użycie rzeczownika. Była w stanie wygłaszać tylko najprostsze stwierdzenia. – Mary głodna – mówiła. – Mary spragniona. Mary zmęczona. – Cassie sądziła, że to przez ograniczenia umysłowości i języka Czerwonych Indian, zdarzały się jednak chwile, gdy nabierała podejrzeń, że ma do czynienia z celową strategią, swoistym protestem. Z niezgodą na wejście w ich świat głębiej niż to absolutnie niezbędne do przetrwania.

W domu zimowym Mary dostała własny pokój, a John Peyton przeniósł się do budynku dla pracowników. Z tego, co widziała Cassie, Indianka w ogóle nie korzystała z łóżka i wołała kłaść się z kocem na drewnianej podłodze. Każdego ranka spała do późna; gdy Cassie przychodziła ją obudzić, zastawała ją skuloną w kącie. Mary chodziła w starej muślinowej sukni, którą dostała od Cassie, swoje skórzane ubrania nosiła jednak zawsze przy sobie, zawiązane w tłumoczek, który podczas pracy zarzucała sobie na plecy lub kładła na kolanach.

Ten jej zwyczaj był dla Johna Seniora szczególnie irytujący. Nie przestawał się na to skarżyć, jakby Mary obstawała przy swoim wyłącznie po to, by zrobić mu na złość. W dniu rozprawy wrócił do domu znad wody, gdzie z Richmondem, Taylorem i Sharpe'em spędzili poranek na wskrzeszaniu przed nadchodzącym sezonem nabrzeża i stojącego na nim składziku, w którym oprawiano ryby. Dzień był zaskakująco mglisty, w powietrzu wisiała groźba deszczu. Zanim zasiadł z mężczyznami do obiadu, powiedział: – Nie mogę znieść smrodu tych brudnych skór, które ona wszędzie ze sobą taszczy.

– Ładnie by się toto paliło – rzucił Richmond.

Cassie popatrzyła na niego tak, że usiadł do stołu, nie odzywając się już więcej. Mary pomaszerowała do spiżarni, gdzie najwyraźniej zamierzała pozostać, dopóki mężczyźni nie wrócą do pracy.

– Przez ten odór odechciewa mi się jeść – poskarżył się John Senior.

Cassie uśmiechnęła się do niego. – Znam cię już tyle lat, ale nie widziałam jeszcze niczego, co pozbawiłoby cię apetytu.

Staruszek przyjrzał się jej uważnie i pokręcił głową. Odwrócił się do Toma Taylora. – Co za niewyparzona gęba – powiedział. – Dlaczego ja to znoszę?

Taylor uśmiechnął się głupkowato, jakby chciał dać do zrozumienia, że mógłby zgadnąć dlaczego, ale skromność nie pozwalała mu powiedzieć tego głośno.

– Jedzcie obiad – nakazała Cassie.

John Senior znów się odezwał: – W St. John's pewnie już zaraz będzie po wszystkim.

Trzej pracownicy przytaknęli trzeźwo i pochylili głowy nad talerzami.

Wystawiwszy na stół wszystko, czego mogli potrzebować, Cassie zostawiła ich i poszła posiedzieć z Mary w spiżarni. Nie odzywały się do siebie; z początku nawet nie dawały po sobie poznać, że dostrzegają swoją obecność. Oddech Mary był płytki i chrapliwy, jakby właśnie zatrzymała się po długim biegu. Siedząc tak blisko niej, Cassie czuła bijącą od skórzanych ubrań woń dymu i starego potu, na którą tak uskarżał się John Senior. Ten zapach już zawsze miał jej się kojarzyć ze strachem. Kilka minut później rozpadało się, a krople zaczęły bić o pojedynczą szybę. Cassie wskazała małe okienko. – Deszcz – powiedziała.

Mary przytaknęła, lecz nie odezwała się ani słowem. Nad zatoką poniósł się przeciągły, głęboki grzmot.

– Piorun – powiedziała Cassie.

Mary spojrzała na nią. Na jej twarzy malował się wyraz udręki; Cassie miała wrażenie, że Indianka chce ją o coś zapytać.

– *Baroodisick*.

Cassie przekrzywiła głowę.

Zaraz rozległ się kolejny grzmot, tym razem bliżej, a Mary wskazała palcem sufit i wyjaśniła: – *Baroodisick*.

– Ba...

– *Baroodisick*.

– *Baroodisick*. Piorun?

Mary przytaknęła. – Piorun. *Baroodisick*.

Cassie uniosła dłoń, zawahała się na chwilę. Czuła, że rumieniec zalewa jej policzki. Wyciągnęła rękę i dotknęła guzika przy sukience Mary. – Co to jest, Mary? – szepnęła.

– *Agamet*.

– *Agamet* – powtórzyła Cassie. – Guzik?

Indianka skinęła głową, po czym oznajmiła: – Mary wraca. – Obróciła się i popatrzyła Cassie prosto w oczy. – Mary wraca domu – dodała. Jej pierwsze zdanie po angielsku.

Przewodniczącym ławy przysięgłych był niejaki Newman Hoyles, przysadzi-

sty kupiec z St. John's. Był niemal zupełnie łysy, a na jego czole permanentnie widniała pręga odcisnięta przez kapelusz. Podniósłszy się z krzesła, szarpnął za mankiety kurtki i obciągnął je na nadgarstki. W ręce trzymał pojedynczą kartkę. Gdy odczytywał werdykt, jego wyraźnie roztrzęsione dłonie wprawiały w drżenie cały arkusz papieru, a Peyton nie był w stanie stwierdzić, czy to normalna dla niego przypadłość, czy też wynik zadania, które przyszło mu spełnić. Czuł ten dygot przez całą salę. Lekkie, niepokojące poruszenie w brzuchu.

– Ława przysięgłych – odczytał Hoyles – pragnie przedłożyć sądowi, iż w pełni wykorzystując dostępne środki, zbadała niefortunne okoliczności utraty życia przez jednego z członków plemienia Czerwonych Indian podczas niedawnej utarczki między denatem a Johnem Peytonem Seniozem i Johnem Peytonem Juniorem, która to wywiązała się nad rzeką Exploits w obecności członków ich ekspedycji, w łącznej liczbie ośmiu, oraz na oczach kilku Indian z rzeczzonego plemienia. Ława przysięgłych wyraża przekonanie, iż zajście nie zostało zaplanowane z premedytacją, a grupa Peytonów nie miała intencji schwywania któregokolwiek z Indian z użyciem przemocy mogącej stać się zarzewiem rozlewu krwi. Co więcej, upór denata usprawiedliwiał podjęcie przez Peytonów działań obronnych.

Na barierce oddzielającej ławników od sali stała szklanka wody; Hoyles przerwał, by zwilżyć usta. Zerknąwszy szybko na Peytona, opuścił wzrok na kartkę.

– Niemniej jednak, doszedłszy do powyższej opinii na podstawie jednego tylko przedstawionego im zeznania oraz uznawszy sprawę za pierwszorzędną i domagającą się jak najpełniejszego ustalenia niewinności Peytonów oraz ich ludzi, ławnicy wyrażają ubolewanie z powodu braku obszerniejszego materiału dowodowego. Stąd też ława przysięgłych zaleca, aby czterech spośród członków wyprawy stawilo się przed sądem pod koniec sezonu lub też, aby spośród oficerów Marynarki Wojennej Jego Królewskiej Mości wyznaczono sędziego, który uda się do zatoki Exploits celem zgromadzenia wszelkiego materiału dowodowego mogącego w bardziej satysfakcjonującym stopniu rzucić światło na sprawę.

Kiedy Hoyles wrócił na swoje miejsce, po galerii dla widzów poniosło się szemranie, a sędzia uderzył młotkiem o blat, prosząc zebranych o spokój. Peyton skrzyżował i rozkrzyżował nogi. Nie usłyszał żadnego z późniejszych komentarzy sędziego, nie ruszył się z miejsca, kiedy wszyscy wokół powstawali i zaczęli szurać nogami, sunąc ku wyjściu. Gubernator Hamilton podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu, przybierając zboląły, pojednawczy wyraz twarzy.

– Obawiam się – powiedział – że będziemy musieli jeszcze nieco opóźnić pańskie mianowanie.

Tamtego wieczora zjadł samotnie w London Tavern, po czym spędził kilka

godzin na picu w pojedynkę. Po południu gubernator wielokrotnie przeproszał go za dziwną zachciankę ławników. – Całkowicie nieprzewidziane – mówił cicho. W okazywanym przez niego zatroskaniu brakowało przekonania, jakby sam już nie wiedział, czyją stronę najbezpieczniej będzie trzymać. – Nie wydaje mi się, aby ten werdykt był wiążący. W moim mniemaniu sprawa się tylko rozwlecze i tyle o niej usłyszymy.

Peyton podziękował za zaproszenie na obiad. Zamierzał rano pojechać pociągiem do Portugal Cove i stamtąd wrócić kobotażowcem na północno-wschodnie wybrzeże. Tymczasem podjął świadomy wysiłek, by spać się do nieprzytomności i spróbować osiągnąć stan przypominający sen. O jedenastej trzydzieści ta ewentualność wydawała się równie nieprawdopodobna, co wczesnym wieczorem. Uregulował rachunek i wyszedł w czerń. Powietrze miało nową miękkość, to była pierwsza niezaprzeczalnie ciepła noc tej wiosny, wiatr nie niósł nawet cienia mrozu. Rozbujane ręczne latarnie sunęły po Water Street, znacząc ludzi łażących z tawerny do tawerny lub śpieszących do domów.

Skierował się na zachód, po pijanemu potykając się wielokrotnie na nierównej, ciemnej ścieżce. Zatrzymywał ludzi z latarniami, wypytywał ich o drogę i szedł dalej ulicą, aż w końcu skierowano go do ślepego zaułka, nieco dalej na północ. Drzwi szynku były otwarte, gwar wylewał się w noc. Obok knajpy stał wąski, dwukondygnacyjny budynek o ciemnych oknach. W środku Peyton usiadł na jedynej wolnej krześle – obok mężczyzny śpiącego z ramionami założonymi na blat. Pośrodku pomieszczenia stało trzech mężczyzn odśpiewujących jakąś piosenkę. Najwyraźniej tylko jeden znał słowa, a dwaj pozostali wypełniali luki w tekście bełkotem, półsłówkami czy sylabami wyzutymi ze spółgłosek.

Czuł, że jest coś niewłaściwego w tym, że się tam znajduje – że przekroczył próg niedostępny dla Cassie. Wzniósł rękę, by przywołać szynkarza, staruszka z opaską na oku. Zapłaciwszy za całą butelkę, powoli napełniał i opróżniał swoją szklankę, dopóki wszyscy śpiewacy nie padli nieprzytomni na słomie pod ścianą.

Dwie czy trzy dziewczyny pokroju tych, o których wspominała Cassie, przechadzały się między stolikami, starając się wciągnąć bywalców w rozmowę. Co jakiś czas któraś opuszczała pomieszczenie w towarzystwie faceta – raz popędzana przez niego w pijackim pośpiechu, raz wlokąca swojego nowego towarzysza tak, by nie runął na ziemię w drodze do drzwi. Po piętnastu minutach, po godzinie wracały do knajpy i znowu rozpoczynały obchód. Obserwował ruchy ich ukrytych pod spódnicami bioder, ze wstrętem i podnieceniem wyobrażając sobie mgliście, co musiały robić jeszcze przed chwilą.

Takie kobiety często pracowały w tawernach, które odwiedzali z Johnem Seniorem, gdy przyplływali do St. John's z połowami z całego sezonu. Ojciec zawsze odwracał się od nich z powagą, którą Peyton z początku brał za odrazę. Doszedł jednak do wniosku, że w sposobie, w jaki je spławiał, jest coś bliższego zażenowa-

niu, jakaś zadawniona hańba. Ten sam wstyd, który sprawił, że przez lata utrzymywał swój związek z Cassie w tajemnicy. Myśl o Johnie Seniorze wprowadziła Peytona we wściekłość. „Obleśny skurwysyn” – pomyślał. A następnie powiedział to na głos.

Odkąd usiadł, każda z kobiet zdażyła już podejść do jego stolika; każdą z nich odprawił. Był już tak pijany, że nie odróżniał jednej od drugiej. Pachniały lawendą. Z nieznanego mu powodu mówiły na niego „Jimmy”.

– Doskwiera ci samotność, Jimmy?

– Chciałbyś spędzić parę chwil sam na sam z dziewczyną, Jimmy?

Kiedy szli do drzwi, rękę zarzucił jej na ramiona; pomagała mu utrzymać się na nogach. Próbował zapytać ją o imię, ale słowa nie układały mu się na języku, zdawały się pozbawione kośćca, padały z płaskim to tu, to tam. Dziewczyna poprowadziła go w głąb zaułka między tawerną a dwukondygnacyjnym domem, wolną ręką gmerając mu już przy pasku. – To cudownie, Jimmy – trajkotała. – To cudownie. – Wszystko, co było w nim jeszcze stałe, zdawało się rozpuszczać, nie licząc tego, co skoncentrowane tam, gdzie dotykała. Nie chciał tego, on tego nie chciał, a ona przyciągnęła go do siebie, opierając się o ścianę i oplatając go w pasie obnażoną nogą. Twarz omiotła mu przyprawiająca o mdłości woń lawendy. Wcisnął w nią kutasa drobnymi, wściekłymi ruchami, stękał w jej włosy, aż wreszcie jego ciałem wstrząsnęły spazmy i nie pozostało już nic, co mogłoby utrzymać go na nogach. Pozwoliła mu paść na ziemię i stanęła nad nim, wygładzając spódnice. Nie widział jej w nieprzeniknionych ciemnościach, słyszał tylko szelest materiału opadającego na miejsce. Gdy przy nim uklęknęła, znowu spróbował zapytać ją o imię.

– Masz coś dla mnie, Jimmy? – spytała łagodnie.

Kiedy wsunął jej w dłoń kilka monet, pomogła mu podciągnąć spodnie i zostawiła go na ziemi, ubabranego wilgotnym ohydztwem nasienia i jej śliskich płynów, zaczynającym już cuchnąć w drobnych splotach jego włosów łonowych. Obrócił się na bok na nierównym podłożu i trzymał się w ramionach, dopóki noc go wreszcie nie ogarnęła i nie zasnął w ciemności.

OSIEM

Oficer zasiadł przy prostym stole z desek, przekartkował swój notatnik i otworzył go na czystej stronie. Ubrany był nienagannie, a sposób bycia, podobnie jak mundur, miał wyprasowany w kant. Jego włosy były starannie wypomadowane i zaczesane do tyłu. Peyton pomyślał, że zauważalnie zrzedły, a mężczyzna zdaje się bardziej wychudły i surowy niż przed laty. Od ostatniego spotkania z nimi zdażył uzyskać awans. Spośród wszystkich domowników tylko Indianka, która nigdy nie widziała tego człowieka i posługiwała się angielszczyzną złożoną z kilku słów

i pomieszanych fraz, nie odebrała tej zmiany jako kłopotliwej i nieco złowróźbnej. *Kapitan David Buchan.*

Zanurzył pióro w inkauscie i z namaszczeniem postukał nim w krawędź kałamarza. Popatrzył na nich tak, jakby miał zaraz naszkicować ich wszystkich – John Peyton na krześle przy stole, za nim, na leżance, John Senior wyglądający przez okno, dalej Cassie z Indianką siedzące ramię w ramię pod drzwiami spiżarni. Mary miała na sobie fartuch i jedną z muślinowych sukni Cassie, na kolanach trzymała jakieś zawiniątko.

Buchan odchrząknął. – Wraz z grupą swoich ludzi odbył pan nieszczęsną ekspedycję nad jezioro Czerwonych Indian w marcu tego roku. Zgadza się?

– Owszem, zgadza się, jak zeznałem już w St. John's.

– W wyprawie łącznie brało udział ośmiu mężczyzn.

Peyton przez chwilę kiwał głową, po czym odwrócił się do ojca. Gdy podparty na łokciu John Senior napomknął coś Cassie o szykowaniu kolacji, obie kobiety podniosły się ze swoich miejsc i zniknęły w spiżarni.

Buchan odchylił się i odłożył pióro do kałamarza. Szarpnął za krawędź swojej kurtki. – Dzisiaj rozmawiam z panem jako dżentelmen i przyjaciel.

Peyton uśmiechnął się surowo. – Kapitanie, jest pan zawsze mile widziany w naszych progach. A jeśli ze swoim podwładnym, panem Rowsellem – tu skinął na kaprała stojącego przy krześle Buchana – zechce pan zostać u nas na skromnej kolacji i zatrzymać się na noc, znajdziemy łóżka i jedzenie. Natomiast nic, co zanotuje pan w tym swoim kajeciku, nie cofnie już tego, co zaszło nad jeziorem. Zeznając przed sądem w St. John's, opisałem przebieg wydarzeń dokładnie tak, jak moim zdaniem należało to uczynić.

Buchan westchnął i namyślił się, przytykając opuszki palców do skroni. Sięgnąwszy po notatnik, zamknął go i zapiął w kieszeni.

– Kolacja byłaby bardzo mile widziana – powiedział, skinieniem ręki nakazując Rowsellowi, by zajął miejsce przy stole.

Mężczyźni zasiedli do posiłku złożonego z peklowanej wieprzowiny duszonej z ziemniakami, kapustą, rzepą i zieleniną. Jedzenie na talerzach zostało polane słonawym wywarem wybranym chochlą z garnka, w którym gotowało się mięso i warzywa. John Senior napełnił nim kubek i popijał podczas kolacji. Gdy jedli, Cassie krzątała się przy stole i zносиła puste naczynia do spiżarni. Mary siedziała w głębi izby i obrębiała kwadratowy płat skóry przy pomocy szydła wykonanego z żelaznego haka na ryby. Kiedy w marcu pojawiła się w domu, Cassie próbowała nauczyć ją używać igły i nici, Indianka odsuwała je jednak z takim zniecierpliwieniem, że w końcu Peyton musiał nakazać gospodyni, żeby dała jej spokój. Tłumoczek z dobytkiem leżał przy niej na podłodze.

– Została zatrudniona w charakterze służącej – stwierdził Buchan.

Peyton wzruszył ramionami. – Staraliśmy się przydzielić jej pewne stałe obowiązki w gospodarstwie, ale nie przyjęła tego zbyt dobrze. Dopóki nikt jej nie rozkazuje, sama dość chętnie włącza się w prace.

– Jak na mój gust, nie ma najmniejszych oporów przed wścibianiem nosa w nasze sprawy – poprawił go John Senior. – Nie myślcie panowie, że nas teraz nie podsłuchuje. Albo że nie wie, iż właśnie o niej mowa.

Buchan i kapral spojrzeli na nią ponad ramionami gospodarzy. Mary wpatrywała się w robótkę z pustym wyrazem twarzy, niczym osoba zahipnotyzowana płynnymi ruchami płomienia. Wszyscy słyszeli skrzeple szmery pobrzmiwające w jej oddechu, jakby każdy haust powietrza przechodził przez wilgotną szmatkę. W miesiącach, które upłynęły od rozprawy, zaczęła wykazywać wyraźne objawy bronchitu.

– Poza tym interesuje ją wszystko, co nie należy do niej, więc na panów miejscu miałbym baczenie na swój dobytek – ciągnął John Senior. – W tym swoim pakunku potrafiłaby wynieść kotwicę ze szkunera.

Buchan popatrzył na Peytona, niecierpliwie postukującego widelcem o blat. – Czy kradła przedmioty z gospodarstwa?

– Zdarzył się jeden przypadek, owszem.

Cassie włączyła się w rozmowę: – Proszę zważyć, kapitanie, że nie była to kradzież w zwyczajnym tego słowa znaczeniu.

– Nadzwyczajna kradzież – rzucił oficer lekkim tonem. – Intrygujące.

– Zniknął mi kiedyś z szafki zwój materiału; wyróciłam dom do góry nogami, ale nie mogłam go znaleźć. W toku moich dociekań spytałam Mary, czy przypadkiem go nie widziała. – Cassie uśmiechnęła się do Indianki. – Nie potrafi dobrze kłamać. – Mary nie oderwała się od pracy. – Poszłam do jej pokoju i zaczęłam przetrząsać szuflady. Podążyła tam za mną, wyraźnie niezadowolona z moich przypuszczeń, nie próbowała mnie jednak powstrzymać, usiadła tylko na skrzyni w kącie izby i zaczęła marudzić.

– Ma się rozumieć, zaginiona sztuka materiału znajdowała się w skrzyni – dokończył Buchan.

– Musiałam ściągnąć ją z wieka siłą. W tym momencie ją przekonywać mnie, że to John Peyton dał jej materiał, zawołałam go więc do nas, co ucięło tę linię obrony. Uciekła, zanim otworzyliśmy skrzynię. Kiedy zajrzeliśmy do środka, znaleźliśmy mój materiał, lecz już nie w formie zwoju.

– Panno Jure, odczuwam niewymowne napięcie – stwierdził Buchan, żartobliwie odgrywając udrękę. – Proszę.

– Zawsze miała w zwyczaju wcześniej kłaść się do łóżka. Spała jednak dużo mniej, niż sądziliśmy. W skrzyni znaleźliśmy szesnaście par kunsztownie zszytych niebieskich mokasynów przeróżnej wielkości.

– Wigwam, w którym spędziliśmy tamtą noc nad jeziorem. O ile mnie pamięć nie myli, było tam siedemnaście czy osiemnaście zagłębień na posłania wykopanych wokół ogniska.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Oczywiście, ostatecznie powróci ona do swojego plemienia – obiecał Buchan.

Peyton przytaknął. – Nie miałbym nic przeciw temu.

– Przydałoby się jeszcze tylko, żeby gubernator wypłacił nagrodę za nasze wysiłki – rzucił John Senior.

– Jeżeli powrót Mary do plemienia Czerwonych Indian zaowocuje poprawą stosunków z nimi, wynagrodzenie zostanie natychmiast wypłacone – obiecał Buchan. Brzmiało to tak, jakby odczytywał publiczne obwieszczenie o treści, która jego samego napawała niesmakiem.

Cassie przyniosła do stołu dzbanek wody i napelniła wszystkie szklanki.

– Jeszcze przez kilka tygodni moglibyśmy liczyć na spotkanie jakichś Indian nad zatoką – podsunął Peyton. – Później będziemy musieli poczekać, aż rzeka zamrznie, i odprowadzić ją aż nad jezioro.

– My, panie Peyton?

– Czuję się w jakimś stopniu odpowiedzialny za jej los, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich znalazła się wśród nas. Jestem do pańskiej dyspozycji, o ile uzna to pan za stosowne.

John Senior dźgnął talerz widelcem i zaczął wściekle przeżuwać jedzenie, nie odezwał się jednak ani słowem.

– Będzie pan mile widziany – zgodził się Buchan.

Gdy Cassie zebrała i zmyła wszystkie talerze po posiłku, podprowadzili Mary do stołu i usadzili ją na krześle obok Buchana. Kapitan otworzył swój dziennik na pustej stronie i naszkicował prostą mapę zatoki Exploits. Wrysował tam łódź, a na jej pokładzie żołnierzy oraz postać, którą wskazał końcem ołówka, jednocześnie dotykając palcem Mary. Na jednym z przyłądków umieścił trójkątne namioty oraz ognisko, mające oznaczać, że są zamieszkałe. Indianka nachyliła się nad stołem, przyciskając piersi do leżącej na jej kolanach zawiązanej chusty z ubraniami. Zerknęła to na kartkę, to na twarz artysty, jakby mogła wywrzeć jakiś wpływ na to, co jeszcze pojawi się na papierze. Buchan połączył łódź i obozowisko przerywaną linią, po czym narysował Mary na brzegu. Następnie pokazał, że łódź odpływa bez niej.

– Nie, nie – zaprotestowała. Zamachała dłońmi przed twarzą. – Dla Mary niedobre.

Buchan powiódł wzrokiem po reszcie zebranych, nikt jednak nie przyszedł mu z pomocą. – Dlaczego nie, Mary? Co niedobre dla Mary?

Kręciła tylko głową.

– Nie rozumiem – przyznał się Buchan. W końcu ustąpił i przeniósł porzuconą postać z powrotem na łódź.

– Tak, tak – powiedziała. Odczuwana przez nią ulga była ewidentna, lecz zarazem podszyta apatią i wyczerpaniem.

Peyton zauważył, że nie sposób stwierdzić, na kogo natkną się nad zatoką, o ile w ogóle spotkają jakichkolwiek Beothuków, a możliwe, że Mary chciałaby wrócić wyłącznie do grupy, przy której znaleziono ją nad jeziorem.

– A zatem dobrze – mruknął Buchan. Naszkicował schematycznie rzekę i północne brzegi jeziora, a łódź pojawiła się tam zaraz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

John Senior zaprotestował. – Na całym Bożym świecie nie znajdzie się nikt, kto da radę wciągnąć łódź aż nad jezioro, obchodząc wodospady na rzece.

Buchan zerknął na niego. – To tylko symbol – wyjaśnił. – Środek transportu. To nie ma być dosłowne.

– I uważa pan, że ona za panem nadaża?

Buchan przez chwilę przyglądał się staruszkowi, ostatecznie jednak bez słowa wrócił do rysunku. Mary wciąż wpatrywała się w kartkę. – Mary? – spytał. – Dobrze dla Mary?

Skinęła głową.

Umieścił jej postać na brzegu jeziora, ukradkowo obserwując jej reakcję. Zakryła usta dłonią. Buchan zaczął rysować przerywaną linię, oznaczającą, że łódka odpływa bez niej, a Mary natychmiast opadła na oparcie krzesła.

– Nie – powiedziała. – Nie nie nie nie nie. – Miała zboląły, bezsilny wyraz twarzy. Obie dłonie położyła na ustach.

– Mamy odprowadzić cię do twojego plemienia – dodał Buchan, ona jednak nadal odrzucała jego propozycję jednym słowem, wygłaszanym nieustannie przez złożone dłonie.

John Senior wydał z siebie pomruk wyrażający coś pomiędzy obrzydzeniem a satysfakcją.

– Niech ona to zrobi – zaproponowała Cassie.

– Proszę? – spytał Buchan, szybko podnosząc wzrok.

– Niech narysuje, co jej się podoba.

– A umie rysować?

Nachyliwszy się nad kartką, Cassie zmierzyła wzrokiem koślawe ludziki naszkicowane przez Buchana. – W moim mniemaniu, zdoła spełnić rygorystyczne standardy wyznaczone przez Marynarkę Wojenną Jego Królewskiej Mości.

Buchan poczuł, że zaczyna się rumienić. Doznanie to było tak niecodzienne, że jego widoczne zażenowanie tylko się spotęgowało, a w końcu przybrał barwę niemal równie głęboką, co kolor jego bluzy od munduru. Nie odrywając wzroku od Cassie, podsunął ołówek Indiance. Mężczyźni siedzący przy stole bez większego

przekonania próbowali ukryć wesołość. Mary zerkała to na Cassie, to na oficera, wciąż nie dotykając ołówka z obawy przed obraniem którejś ze stron.

– Nie przejmuj się, Mary – zdopingowała ją Cassie.

W końcu i Buchan uśmiechnął się do Indianki. – Proszę – zachęcił.

Skinęła głową i przyjęła ołówek. Kilukrotnie obróciwszy dziennik na białe, ułożyła go dokładnie tak jak chciała, i zaczęła poprawiać szkic rzeki Exploits. Jej rysunek był staranny i szczegółowy, z grupkami drobnych, wklęsłych łuków znaczących najważniejsze bystrza oraz kłębamii mgły przy dwóch wodospadach. Kropeczkami zaznaczyła przenoski wokół każdej z tych przeszkód. Dodała trzeci *mamateek* do dwóch trójkątów narysowanych przez Buchana nad jeziorem. Po chwili przerwała i podniosła wzrok na otaczający ją krąg twarzy.

– Śmiało – powiedział cicho Buchan.

Dorysowała coś do swojej sylwetki stojącej na brzegu – coś, co postać trzymała na wysokości pasa.

– Co to jest? – spytał John Senior. – Ten pakunek z ubraniami, który wszędzie wlecze ze sobą?

– Niemowlę – powiedziała Cassie. – Dziecko, Mary?

– Tak, tak. Dziecko.

– Ona ma dziecko? – spytał Buchan. Popatrzył po mężczyznach siedzących przy stole.

– Zdaje się, że taka jest istota tego, co tutaj sugeruje – podsumował Peyton bezbarwnym głosem.

– Wiedzieliście o tym?

– Kiedy się poznaliśmy, nie zostaliśmy sobie bynajmniej należycie przedstawieni – skwitował John Senior.

– Dziecko Mary – powiedziała Indianka.

– Chciałabyś wrócić do domu i być ze swoim dzieckiem – powiedział Buchan, ona jednak nie zrozumiała; po prostu wpatrywała się w niego. Wyjawszy jej z ręki ołówek, ponownie pokazał, że łódź odpływa znad jeziora. Znowu zaczęła protestować.

– Dobrze – powiedział – dobrze. – Zwrócił jej ołówek i wskazał kartkę. – Pokaż mi, czego chcesz.

Mary przeniosła stojącą na brzegu postać z dzieckiem z powrotem do łodzi. Następnie narysowała trasę biegnącą w dół rzeki, przez przenoski przy wodospadach i bystrzach, aż do zatoki Exploits. Dorysowała Burnt Island, na niej plażę i kwadratowy dom z ludźmi siedzącymi przy stole, a pomiędzy nimi siebie i dziecko.

– Dobrze – powiedziała z naciskiem, choć jej upór zdawał się zainfekowany jej chorobą, wyzuty z sił i przekonania. Położyła ołówek obok dziennika. – Dobrze dla Mary.

Chwilę po narysowaniu mapy Mary poszła do swojego pokoju. Cassie dokończyła sprzątanie po kolacji i usiadła z mężczyznami, którzy zdążyli już zabrać się za butelkę rumu. W 1818 roku Buchan wziął udział w sześciomiesięcznej ekspedycji do Arktyki. Próbowali dotrzeć statkiem na biegun północny. Dzielił się właśnie relacją ze swoich podróży. Dowodził okrętem Dorothea, towarzyszył mu porucznik John Frankland na statku Trent. Wypłynęli ze Spitsbergenu siódmego czerwca i łatwo dotarli poza północno-zachodni kraniec wyspy. Nieopodal Red Bay utknęli w lodzie na trzynaście dni, potem schronili się w cieśninach Fair Haven. Szóstego lipca wypłynęli ponownie i osiągnęli szerokość 80 stopni 34 minut, zanim warunki lodowe zmusiły ich do wycofania się na południe. Pogoda bywała tak mroźna i niesprzyjająca, że nieraz cały takielunek skuwał lód. Marynarze gotowali wodę w kotłach i luzowali węzły nad parą, by móc postawić żagle. Za pomocą siekier i szabli odrąbывali od dzioba i pokładu grube narośla lodu.

Cassie przypatrywała się Buchanowi przez pokój. Gdy mówił, jego twarz zdawała się jaśnieć wewnętrznym światłem, jak u człowieka wspominającego spotkanie z Bogiem. Dłońmi obrazował pozycję kadłubów, kąt nachylenia kry lodowej, odległość od statku do lądu. Ich ciągły ruch wzmacniał jego manierę roztargnionej rzutkości, nieczęsto opuszczającą go w towarzystwie innych mężczyzn. Peytonowie z kapralem Rowsellem nachylali się, opierając ręce o kolana, aby znaleźć się możliwie najbliżej opowieści, zupełnie jakby grzali się przy ogniu.

Wracając na Grenlandię wzdłuż krawędzi paku lodowego, dwa statki wpłynęły w sztorm. Skrajnie silne kołysanie kadłuba wyrzuciło Buchana z koi. Ubrał się i wspiął na mostek, trzymając się po drodze, czego popadnie. Nawałnica atakowała tak wściekle, że nie mieli innego wyboru, niż schronić się przed nią w arktycznym lodzie.

– To było uderzenie! – krzyknął Buchan, tłukąc pięścią o otwartą dłoń. – Wszystkich co do jednego ścięło z nóg, drzewce zajęczały. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że masztów nie potrząsało u podstawy. – Przedramieniem zademonstrował im niewiarygodny kąt nachylenia, który jakimś cudem wytrzymały. – Gdy wszystko inne zamarło w bezruchu, okrętowy dzwon wciąż bił na wietrze. Pojednałem się z Bogiem – powiedział. – W pewnym pośpiechu – dodał.

Zanim śmiech ucichł, Cassie wstała, pożegnała mężczyzn i poszła do łóżka. Leżała bezsennie, słuchając szmeru fal wlewającego się przez otwarte okno oraz głośniejszego przyboju rozmów w kuchni. Odczekała, aż rozlegnie się szuranie krzeseł i dźwięk kroków mężczyzn rozchodzących się do pokojów. John Senior skierował się z Rowsellem do pomieszczeń dla pracowników, nalegając, by Buchan zajął jego sypialnię. Poczekała jeszcze trochę, aż wreszcie pływy niemal zmieniły kierunek, a na schodach nad jej głową dało się słyszeć ukradkowe stąpa-

nie jednej osoby schodzącej na dół. Pomyślała, że brzmi to jak kroki człowieka, który zamierza ukraść kosztowności, wynieść pokątnie biżuterię, srebra i ukryte szkatułki pełne funtów szterlingów.

Zastała go siedzącego na leżance przy kominku. Zapalił jedną świecę; powietrze wypełniała gryząca woń knota.

– Dzisiaj chyba nie potrzeba rozpałać ognia – zauważyła.

– Nie byłem pewien, czy do mnie dołączysz.

– Tak po prawdzie, ja również nie byłam pewna.

Buchan przytaknął i wziął wdech. – Szczerze mówiąc, poczułbym pewną ulgę, gdybyś nie przyszła.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym odwróciła się, by wrócić do sypialni.

– Nie, proszę – zaprotestował, przynosząc krzesło i stawiając je przed swoim; ręką dając jej znak, by usiadła.

Przez jakiś czas przyglądali się sobie nawzajem. Cassie miała czterdzieści jeden lat; Buchan już za dnia dostrzegł upływ czasu na jej twarzy – kurze łapki rozchodzące się z kącików oczu, skóra na szyi pozbawiona dawnego napięcia. W niemal całkowitych ciemnościach rozświetlanych przez pojedynczą świecę zmiany te były niedostrzegalne, wyczuwał w niej jednak bardziej fundamentalny zwrot, jakąś różnicę w sposobie bycia. Nadal wykazywała subtelne, łatwe do pomylenia z arogancją lekceważenie dla pozycji społecznej, przepadła gdzieś natomiast charakteryzująca je swoboda. Kiedy ją poznał, towarzysząca jej nieustannie ostrożność była jeszcze podskórna i ukradkowa. Teraz zdążyła już wypłynąć na powierzchnię, jakby Cassie była zbyt wyczerpana jej kamuflowaniem. Siedząca przed nim kobieta miała pełen napięcia, mętny wygląd osoby odbywającej właśnie długi post.

Cassie skrzyżowała nogi i poprawiła koszulę nocną na udach. – Minęło sporo czasu – powiedziała. – Powinniśmy chyba mieć sobie coś do powiedzenia, nieprawdaż?

Drugi raz tego wieczora Buchan poczuł, że się czerwieni.

Po raz pierwszy wybrzmiewające na schodach kroki oficera wyrwały Cassie ze snu w październiku 1810 roku. Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły gwałtownie, a cały dom westchnął dosłyszalnie, gdy wtargnął do niego powiew wiatru. Wyjrzała przez oszronione okno, lecz nie dostrzegła na niebie ani śladu poranka. Zastanawiała się, czy może Buchan nie poszedł zajrzeć z jakiegoś powodu do żołnierzy śpiących na prowizorycznych pryczach w budynku dla pracowników. Przez łopoczące płachty wiatru dosłyszała zbolące szczekanie mężczyzny wymiotującego na śnieg pod jej oknem. Wstała z łóżka, poszła do kuchni i roznieciła ogień, by zaparzyć mu herbaty na uspokojenie żołądka.

– I tak leżałam bezsennie – skłamała.

Paskudna pogoda utrzymała się także nazajutrz i zatrzymała Buchana w domu zimowym na kolejny dzień i noc. Tamtego ranka siedział naprzeciw niej z dłońmi na kolanach, słuchając jej tak, jakby oczekiwał, że opowie mu historię swojego życia. Jakby już zapłacił za rozrywkę. Sama do końca nie rozumiała, co w nią wstąpiło, że nachyliła się i podniosła spódnicę, by pokazać mu szramę na nodze. Nie znał go nikt na całym północno-wschodnim wybrzeżu. Dla niej również był obcy, a tymczasowość jego obecności sprawiała, że tak już pozostanie, bez względu na to, jak wiele ona zechce mu o sobie powiedzieć. – Nie wydaje mi się, żeby warto było się jeszcze krygować – powiedział. A ona zaczęła terkotać jak wiatr w kominie.

Następnej nocy znowu zszedł po schodach – zakradł się na dół w pół godziny po tym, jak z Johnem Seniozem rozeszli się do łóżek. Naciągnawszy szal na ramię, wyszła na korytarz i stanęła w drzwiach do kuchni. Siedział na leżance, ogień już się palił. Był ubrany nieco bardziej formalnie niż poprzedniej nocy.

– Dobrze się pan czuje, poruczniku?

Uśmiechnął się do niej. – Wybornie, dziękuję. Nalałem wody do czajnika.

– Czy to po filiżankę herbaty pan tu przyszedł, panie Buchan?

– Jeżeli na nic innego nie mogę liczyć – odpowiedział łagodnie.

Cassie przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. W końcu podeszła do kominika i zawiesiła czajnik na wyciągniku nad płomieniami. – Widzę, że najwyraźniej nie ma pan o mnie zbyt wysokiego mniemania, poruczniku.

– Wręcz przeciwnie – zaprotestował, nie powiedział jednak nic więcej.

Wzięła krzesło stojące przy stole i przesunęła je na swoje miejsce przy kominiku, zdeterminowana, by tym razem trzymać język za zębami. Buchan musiał wyczuć w jej obejściu tę decyzję lub coś w tym rodzaju, bo gdy oboje usadowili się z kubkami herbaty, sam zaczął mówić o swoim dzieciństwie spędzonym w Szkocji. Opowiedział jej o ojcu, także oficerze marynarki, który zmarł przez zwykłe zacięcie w rękę – zakażona rana poczerniała, a ostatecznie uśmierciła go gorączka. W ciągu roku matka ponownie wyszła za mąż; obecnie już rozumiał, że była to decyzja podyktowana względami praktycznymi i przebaczył jej to, co wówczas uważał za bezdusność lub nieobyczajny wybryk. Wtedy właśnie zaciągnął się do marynarki w charakterze chłopca pokładowego, żeby ukarać matkę, a ona nie była w stanie odmówić mu swojej zgody, biorąc pod uwagę, że tak niedawno zawiodła go, znajdując sobie nowego męża. Przed jego wypłynięciem przepłakała wiele dni. Przyznał, że wciąż nie wybaczył sobie ówczesnego egoizmu.

– Był pan dzieckiem – podsunęła Cassie.

– Niemniej jednak było to okrucieństwo. Proszę mi wierzyć, dobrze wiedziałem, o co mi chodzi, i chciałem zadać jej taki sam ból, jaki ona sprawiła mnie. Zwyczajna zemsta. Szybko tego pożałowałem.

Został przydzielony jako służący niejakiemu Jamesowi Richardsonowi, chorążemu zamieszkującemu wraz z żoną kajutę wydzieloną kilkoma płachtami płótna rozpostartymi pod ścianą niższego pokładu. Resztę nisko sklepionej przestrzeni zajmowało dwustu mężczyzn i chłopców śpiących w hamakach rozwieszonych nad żeliwnymi działami. Jedyne źródło światła stanowiły ambrazury, które przy złej pogodzie zamykano. Marynarze nieczęsto się kąpali. Ubrania prali co jakieś dwa miesiące w wiadrze morskiej wody, wybieliwszy je uprzednio w moczu gromadzonym w beczce. Powietrze zasnuwał smród próchna, zenzy i ludzkich odchodów.

Buchan i inni chłopcy pokładowi byli zakwaterowani z podchorążymi w kabinie na najniższym pokładzie, znajdującym się pod linią wodną. Wielu spośród tych kandydatów na oficerów było niewiele starszych od Buchana, mieli po jedenaście czy dwanaście lat; nękali i dręczyli innych chłopców oraz siebie nawzajem. Ponieważ Buchan pochodził ze Szkocji, a do tego był jednym z najmłodszych członków załogi, stał się ich ulubionym obiektem zainteresowania. Obcinali jego hamak, kiedy spał, kradli mu ubrania i jedzenie, rzucali się na niego grupkami po dwóch czy trzech i spuszczały mu lanie. Buchan wychodził z siebie, ogarnięty frustracją i wściekłością. Przehandlował połowę swoich racji piwa i grogu w zamian za obietnicę odrobiny spokoju, nic to jednak nie dało.

To pani Richardson, pływająca z mężem po morzach już od wielu lat, zaleciła mu kroki, które powinien podjąć. Sprokurowała mu odpowiednie narzędzie – kawałek liny z supłami, używany do wypędzania ludzi z koi przy porannej pobudce. Wspólnie zawyrokowali, że najlepszym celem będzie podchorąży Marryat, może nie najgorszy z jego dręczycieli, ale mniej więcej dorównujący mu wzrostem i ponoć ssący kciuk przez sen. Buchan zszedł pod pokład chwilę przed kolacją, gdy większość kadetów siedziała przy stole. Podszedł wprost do Marryata, ściągnął go na podłogę i zaczął okładać go biczem. Pozostali podchorążowie stłoczyli się wokół nich, pokrzykując dziko, nie przyszli jednak swojemu towarzyszywi z pomocą. Kiedy stało się jasne, że Marryat nie jest w stanie się obronić, zmienili stronę i zaczęli zagrzewać do walki Buchana. Lina zostawiała pręgi na twarzy i przedramionach chłopca, Buchan podciągnął mu więc koszulę na głowę, by poznać jego plecy i pierś. Miejsca, na które spadły węzły, zaczynały krwawić. Rozdzielono ich dopiero, kiedy dwaj spośród starszych kadetów stwierdzili, że Marryatowi grożą trwałe obrażenia. W ramach kary za napaść Buchan został wychłostany trzcina, a następnie przysznurowany do masztu. Większość dnia spędził uwiązany do stengi, ale prześladowania, które dotąd cierpiał, ustały niemal całkowicie.

– Ile pan miał wtedy lat, poruczniku? – spytała Cassie.

– Dziesięć. Wątpię, czy wróciłbym jeszcze na morze, gdyby nie pani Richardson.

– Trudno jest mi sobie wyobrazić, aby matka darząca swoje dziecko choć odrobiną szczerego uczucia przystała na jego powrót do warunków tak urągających

ludzkiej godności.

Uśmiechnął się, dostrzegając siłę emocji pobrzmiewających w jej głosie. Wydawała się szczerze oburzona. – Ma się rozumieć, matce nie powiedziałem o tym wszystkim ani słowa.

– Rozumiem. Oczywiście. – Po chwili podniosła wzrok. Spytała, czy matka kiedykolwiek przebaczyła mu, że opuścił ją w taki sposób.

Buchan pokręcił głową. – Nie zdążyliśmy wrócić do tego przed jej śmiercią. Czasami mam wrażenie, że sam jestem ojcem wspomnienia, które mi po niej pozostało: kobiety porzuconej najpierw przez męża, a następnie przez syna. Myśl o niej wciąż trzyma się mnie kurczowo jak zapłakane dziecko. – Popatrzył na sufit. – Kiedy człowiek zawinił wobec umarłych, nie sposób się od nich całkiem uwolnić, nawet gdyby ostatecznie zaczął żywić taką chęć.

Cassie odwróciła głowę i utkwiała wzrok w swoim kubku.

– Przepraszam. Nie chciałem wprawić pani w zły nastrój.

Pokręciła głową, zaciskając usta w cienką, wściekłą linię. – Wspaniała historia, poruczniku. Niejednego słuchacza doprowadziłaby do łez. Z pewnością szczególnie przydatna, gdyby chciał się pan wślizgnąć do łóżka kobiety.

Oficer z namysłem postukał się palcem w nasadę nosa. – Odnoszę wrażenie, że to pani ma o mnie niezbyt wysokie mniemanie.

Popatrzyła na mężczyznę ze zbolalym wyrazem twarzy. – Być może pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni – zauważyła.

– I zapewne najlepiej będzie, jeśli wrócę już do łóżka. – Wstał z krzesła. – Dziękuję za dotrzymanie mi towarzystwa. I za herbatę.

Kiedy wyszedł, siedziała jeszcze długo w kuchni, podczas gdy żar stygł na popioły, a wiatr niestrudzenie szarpał się z oknami i rygłem u drzwi. Dopła ostatni zimny łyk herbaty i po ciemku poniosła swój szal do sypialni.

Dwa tygodnie później Buchan wrócił do domu Johna Seniora, by omówić z gospodarzem szczegóły planowanej ekspedycji nad jezioro Czerwonych Indian. Nad ranem usłyszała, że oficer schodzi na parter i mija jej drzwi. Przez jakiś czas leżała w łóżku, próbując wybić sobie z głowy myśl o wychodzeniu z sypialni.

Zapytał, czy tym razem nie zechciałaby napić się z nim czegoś mocniejszego od herbaty. Odwróciła się, by sięgnąć po szklanki i butelkę. Przez jakiś czas sączyli trunek w milczeniu.

– Panno Jure, nie odpowiedziała pani nigdy na pierwsze pytanie, które jej zadałem.

Zmarszczyła brew.

– Przed paroma tygodniami – przypomniał – spytałem o pani opinię na temat Czerwonych Indian.

– Och – w jej głosie wybrzmiała lekka nutka rozczarowania. – To raczej domena mężczyzn.

– Sądzę, że nie powinno to powstrzymywać pani przed wyrobieniem sobie w tej kwestii własnego zdania.

Uśmiechnęła się. – Szczerze mówiąc, nie wiem o nich prawie nic. Z tego, co słyszałam, swego czasu mocno dawali się tu osadnikom we znaki. Ogólnie rzecz biorąc, wydają mi się zwyczajnie zagubieni.

– Właśnie – potwierdził Buchan, wskazując ją szklanką trzymaną w dłoni. – Mam identyczne odczucie. Są jak dzieci porzucone przez rodziców.

Pokręciła głową. – Nie. Nie. Po prostu wydają się zagubieni, tak jakby sami nie poznawali już ziemi, na której mieszkają.

Wpatrywał się w nią, nie mogąc pojąć, co takiego ma na myśli. Postawił szklankę na podłodze między stopami i skrzyżował ręce na piersi. – Była pani kiedykolwiek zakochana, panno Jure?

Brwi się jej ściągnęły, przymknięta powieka opadła podejrzliwie. – Nie. Nie to dla siebie wybrałam.

Buchan posłał jej zatroskane spojrzenie. – Uważa pani, że mamy w tym względzie wybór?

– Owszem – stwierdziła. – Tak. Od jak dawna jest pan żonaty?

– Już kilka lat. – Utkwił wzrok w powale. – W czerwcu będzie dziewięć.

– A od jak dawna jest pan nieszczęśliwie żonaty?

– Ależ ja bardzo kocham Marie – zachnął się.

– Sir, muszę przyznać, iż przestaję rozumieć. Być może trzeba panu poćwiczyć się jeszcze nieco w nalewaniu.

Buchan pochylił się do przodu i popatrzył na podłogę. – Być może ja również wierzę, iż w tym względzie mamy jednak jakiś wybór. Cassie – zawahał się, wypowiedziawszy jej imię. – Cassie, obiecuję, że nigdy nie będę ci opowiadał o miłości. – Popatrzył na nią. – Nigdy ci nie powiem, że chcę cię stąd zabrać.

Odwróciła od niego twarz. – Nie mam powodu, by ci ufać.

– Ani ja tobie – odparł. – A jednak proszę, spójrz na nas.

Pomyślała, że to śmiechu warte, z jaką ostrożnością się do siebie zbliżają. Niczym dzieci sprawdzające wodę na obcym brzegu. Jakby oboje spodziewali się pułapki, śmiertelniegroźnego przydennego nurtu ukrytego pod spokojną powierzchnią. Stwierdziła, że to smutna prawda o świecie, iż tylko obopólne poczucie bezbronności zapowiada odrobinę bezpieczeństwa.

Spali ze sobą trzy razy – przy okazji trzech osobnych wizyt oficera w domu Johna Seniora – ani razu nie rozebrawszy się całkowicie w swojej obecności. Jej pierwszy orgazm był na tyle niespodziewany i intensywny, że zaniósł ją wstydlivym śmiechem, jeszcze zanim doznanie przestało wstrząsać jej ciałem. Poza tym pieprzyli się w milczeniu tak absolutnym oraz tak nabrzmiałym wysiłkiem, aby stłumić wszelkie odgłosy rozkoszy, że zdawało się, iż poruszają się pod wodą. Cassie siadała okrakiem na obnażonych udach Buchana i ścisnęła kurczowo materiał

jego koszuli. Włosy rozplątywały się i opadały jej na twarz; nie był w stanie nawet dojrzeć jej wyrazu. Dociskała do niego miednicę i kołysała się, dopóki nie opadła na jego ciało, oddychając zachłannie, jakby właśnie wypłynęła na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza.

Kiedy wytaczał się spod niej, Cassie kładła się na brzuchu, a on powoli wchodził w nią od tyłu. Sama prawie go już nie czuła, ale znajdowała przyjemność w odczuwaniu na plecach jego ciężaru, ślepego ciepła jego ciała ciągnącego ku niej niczym roślina nachylająca się do słońca. Podobało jej się to, że nie widzi jego twarzy, gdy wreszcie sztywniał i przytykał uchylone usta do jej karku. To, co ich łączyło, zdawało się dzięki temu mniej osobiste i bardziej intymne zarazem.

Zasypiał na niej, a jego kutas wiotczał i wysuwał się niemal nieodczuwalnie. Sięgała ręką do tyłu i muskała jego twarz opuszkami palców, dopóki dotyk go nie obudził i nie przesunęli ciał tak, by leżeć bok w bok. Wtedy pozwalali sobie na pocałunek, z całą wstydlivością ulotnej czułości, której nie byli w stanie ani zaakceptować, ani całkowicie się wyzbyć.

Zanim opuścił jej łóżko, Cassie prosiła go, by opowiedział jej coś o Marie: gdzie się wychowała, jak była uczesana przy ich pierwszym spotkaniu, czy czytała książki albo chodziła na koncerty. Dostrzegala jego opory przed mówieniem o żonie. Jego odpowiedzi były niepewne, defensywne, przeproszające, ona jednak nalegała, by opowiadał jej ze szczegółami o ich narzeczeństwie, ślubie i pierwszych latach małżeństwa. Nie potrafił odmówić widząc, że znajduje w tym jakieś dziwne ukojenie. Opowiedział jej, że Marie miała w zwyczaju skrapiać listy wodą różaną, wyliczył kolory, które wybrała do ich mieszkania (jasnozielone adamaszki w salonie, błękitna farba w sypialni), przytoczył dziwną wymowę jego imienia, która nie uległa zmianie przez wszystkie lata spędzone przez nią w Anglii: *Da-wiiid*. Cassie przyciskała czoło do jego piersi i przyjmowała każdy nowy detal skinieniem głowy, jakby układała sobie w myślach listę. Powiedział jej o tym, że Marie wstydziła się swojego ciała, a po latach małżeństwa wciąż nie rozbierała się przy nim, chyba że w absolutnej ciemności. Z nikim dotąd nie mówił o tak intymnych szczegółach małżeństwa.

– Jak jej się oświadczyłeś? – spytała Cassie.

– Obawiam się, że niezbyt romantycznie. Przede wszystkim poznałem ją przez przypadek. Z ciotką i wujem znalazła się na pokładzie francuskiego statku, zmuszonego przez brytyjską marynarkę do zawinięcia do Portsmouth. Spędziła w Anglii rok, czekając na możliwość powrotu do domu. Miała wtedy zaledwie piętnaście lat. By okazać gościnność, oficerowie marynarki prosili ją z ciotką na różne przyjęcia. Anglia nie przypadła jej zbytnio do gustu – ani pogoda, ani jedzenie, ani ludzie. Chwilę przed naszą pierwszą rozmową dowiedziała się akurat, że niektórzy przedstawiciele gminy, chcąc pozbyć się żon, prowadzają je na targowisko i odsprzedają jak ruchomy majątek. Z postronkiem na szyi. Później ani razu nie

widziałem jej równie wścieklej. Poprosiła: „Raczy pan wyjaśnić ten... ten *angielski* obyczaj”.

– Jak go wyjaśniłeś?

– Powiedziałem: „Ja nie jestem Anglikiem”. Być może właśnie to ją we mnie urzekło.

Cassie przesunęła się, ocierając się o niego. – A oświadczyły?

– Tak. To było po pokoju w Lunéville w 1801 roku. Pierwsza okazja, by obie kobiety wróciły do Francji. Zdążyliśmy już z Marie spędzić nieco czasu w swoim towarzystwie. Powiedziała mi jasno, że nie ma ochoty wyjeżdżać.

– A więc to ona oświadczyła się tobie.

– Raczej sugestia oświadczyń logicznie z tego wynikała. Poza mną nie było w Anglii nic, co mogłaby opuszczać z żalem.

– Jej rodzice wyrazili zgodę?

– Ciotka wróciła do kraju bez niej. Pokój potrwał zaledwie kilka miesięcy, w związku z czym jej rodzice, nawet gdyby chcieli zaoponować, nie mieliby czasu na opuszczenie kontynentu i odzyskanie córki.

– Nie było posagu.

– Nie – stwierdził. – Nie było. Po ślubie Marie zrzekła się lojalności wobec Francji.

– Poświęciła dla ciebie wszystko.

– Bardzo wiele – przyznał Buchan. – Chyba tak, owszem. Dlaczego chcesz to wszystko wiedzieć?

Uniosła głowę i popatrzyła na niego. – Już czas, żeby udał się pan do swojego pokoju, poruczniku.

Po każdym spotkaniu z Buchanem, gdy leżała samotnie w łóżku, krążył po niej zmienny nurt emocji, którego moc przywodziła na myśl rzekę ukrytą zimą pod skorupą lodu. Obracała się na bok z dłonią wciśniętą pomiędzy uda, a gdy szczytowała po raz drugi, dopiero ten stłumiony, mglisty orgazm pozwalał jej na ły. Wówczas była w stanie osunąć się powoli w sen.

Rano przyrządzała śniadanie dla Johna Seniora i jego gościa. Mówiła do niego per „panie poruczniku”. On mówił: „panno Jure”. Staruszek rozsmarowywał na naleśnikach grubą warstwę melasy, chępiąc się rozkoszą kolejnej spokojnie przespanej nocy.

Ostatni raz byli ze sobą w styczniu 1811 roku, zaledwie parę tygodni po tym, jak wybrała się do Annie nad rzekę Exploits, a dziecko wylało się z jej brzucha niczym przebity czyrak; trzy dni przed planowanym wymarszem ekspedycji Buchana z Ship Cove.

Wciąż była słaba i rozstrojona, a jej zdolność do utrzymania w żołądku pokarmu czy alkoholu była trudna do przewidzenia. Zapadła w podszyty wyczerpaniem sen zaraz po tym, jak opuściła mężczyzn siedzących przy stole i ostatni raz

tęgo dnia zajrzała do Johna Seniora. Peyton odstąpił swoją sypialnię porucznikowi i poszedł z okrętowym lekarzem do budynku dla pracowników. Cassie przegapiła by wycieczkę Buchana do kuchni, gdyby nie obudziła jej fala mdłości. Wygrzebawszy się z łóżka, nachyliła się nad kwaśnym fetorem nocnika i zwymiotowała do niego kolację.

Buchan lekko zapukał do jej drzwi i sam wszedł do środka. Stanąwszy nad nią, położył jej rękę na plecach. – Dość nieoczekiwana zamiana ról.

Pomógł jej wstać i zaprowadził ją do kuchni, gdzie przysiadła na leżance.

– Czuję się już dużo lepiej – powiedziała.

Przyniósł jej z pokoju szal i zabrał się za parzenie herbaty. Siedzieli obok siebie, gdy piła słodki, ciemny napój. Buchan obejmował jej plecy ramieniem, bujając ją delikatnie na boki. Odgarnął jej włosy za ucho i pocałował ją w policzek.

– Dużo lepiej – powtórzyła. Położyła dłoń na jego nodze i ścisnęła.

Siedzieli w tej pozycji dłuższy czas. Buchan opowiadał jej o przygotowaniach do ekspedycji, o ekwipunku, który muszą spakować, o całej liście prezentów dla Czerwonych Indian, o trudach, których mogą spodziewać się w drodze. Cassie pomyślała, że mężczyzna wciąż ma w sobie coś z dziesięciolatka: to perwersyjne skupienie na jednym celu, obsesja na punkcie sporządzania list – jakby odpowiednia ich liczba mogła pomieścić wszystko, co na świecie ważne – to nieskrywane upodobanie do niebezpieczeństw. Sama nie wiedziała, jak to jest, że niektórzy mężczyźni nigdy z tego nie wyrastają, i dlaczego u niektórych jest to tak niewytłumaczalnie pociągające. Nagle pojęła, że pod tym względem Buchan jest taki sam jak jej ojciec. Kiedy mówił, opierała głowę na jego ramieniu, żałując, że w ogóle kiedyś zasiadła z nim w tej izbie sam na sam.

– Cassie – powiedział. – Słuchasz mnie?

Spojrzała na niego i po raz pierwszy, a zarazem ostatni, pozwoliła sobie wymówić jego imię. – David.

Już miał się do niej uśmiechnąć, ale wyraz jej twarzy bynajmniej do tego nie skłaniał. – Co się dzieje? – spytał. – Cassie?

Uklękła przed nim na zimnej drewnianej podłodze. Sięgnęła do paska jego spodni, by je rozpiąć i zsunąć mu z ud.

– Nie jesteś teraz w odpowiednim stanie... – zaczął cicho, biorąc ją za ramiona i próbując dźwignąć na nogi, ona jednak odepchnęła jego ręce i położyła go na leżance z głową zadartą niewygodnie pod ścianą. Gdy ściągnęła mu spodnie, nogawki odwróciły się na lewą stronę. Wcisnęła w niego twarz, całując obnażoną skórę ud. Wzięła główkę kutasa do ust, nawilżyła śliną i zaczęła go głaskać, obejmując palcami. Dotykając go, obserwowała jego twarz – każdy ruch jej ręki powodował lekki skurcz mięśni; jego głowa kołysała się gwałtownie to w jedną, to w drugą stronę. Wyglądało to tak, jakby rytmicznie kłuła go igłą. Jego oddech zamierał raz po raz, rwąc się niczym szmata przeciągana przez ciernie. Wyglądał

pięknie i idiotycznie, a widok jego oblicza przepelnił ją smutkiem nabrzmiewającym w niej tak samo jak swego czasu rozkosz, którą razem z nim odkryła, tak że znów musiała hamować się, by stłumić wzbierający jęk.

Buchan położył jej dłoń na ramieniu, a ona obniżyła głowę, by złapać do ust niewielki strumień nasienia. Podczas gdy on leżał jeszcze bez ruchu, wstała i przekazała mu go do ust. Pocałowała go mocno, i całowała tak długo, dopóki nie pozostało w ich ustach nic poza jego ostrym, gryzącym smakiem.

Złapała jego głowę w obie dłonie. – Nie możemy tego robić, już nigdy – powiedziała.

Popatrzył na nią wyczekująco, jakby spodziewał się jeszcze czegoś poza tym zwięzłym oświadczeniem.

– Rozumiem – odparł w końcu.

Uśmiechnęła się do niego. – Nie. Nic nie rozumiesz.

Smak jego nasienia był silny i medyczny; sprawił, że język zaczął świerzbić ją niczym odrętwiąta kończyzna wracająca do życia. To wrażenie nie opuściło jej, dopóki nie zasnęła w łóżku sama, leżąc naprzeciw okna, za którym gwiazdy mrugały ostro w bezkسیężycowej ciemności nocy.

Buchan spytał: – Jak ją traktują?

– Słucham, kapitanie?

Ta lekka nuta rozczarowania w jej głosie. Może uznała za niesprawiedliwą jego sugestię, iż Peytonowie mogliby skrzywdzić Mary. A może zraniło ją to, że pierwsza rzecz, którą do niej powiedział, była tak chłodna i bezosobowa. Płomień świecy kłaniał się i stawał na baczność w podmuchach wiatru wpadających przez otwarte okna kuchni.

– Robi tutaj za służącą?

– Pański ton sugeruje, iż bycie na służbie w tym domostwie uznaje pan za coś uwłaczającego godności.

– Ależ skąd. – Rumieniec, który nie zdążył zejść z jego twarzy, pogłębił się jeszcze bardziej. Buchan cieszył się, że jest prawie całkiem ciemno. – Jestem tylko ciekaw, w jakim położeniu...

– John Peyton opisał już panu w szczegółach jej położenie.

– Tak – przyznał. – Tak, po prostu... miałem nadzieję. Myślałem, że w razie konieczności będę mógł zaufać pani słowom bardziej niż jego.

– Ona ma tu wszystko, czego chce i potrzebuje. Jeśli ma ochotę, śpi po dwaście godzin na dobę, i często tak właśnie jest. John Peyton świata poza nią nie widzi, jakby była małym dzieckiem; wręcza jej drobne podarki, biżuterię i tym podobne. Pomaga nam, gdy tak jej się spodoba, a jeżeli woli siedzieć i dąsać się przez cały dzień, to drogę ma wolną. Zdarza jej się podejmować gości z całego wybrzeża:

ludzie przychodzą, żeby na nią popatrzeć i powiedziałabym, że Mary ma raczej słabość do bycia w centrum uwagi.

– Przedstawia to pani tak, jakby ona chciała tu zostać.

– Sam pan widział, co dzisiaj narysowała.

– Nie mieści mi się w głowie, że woli porzucić swoje plemię i zostać na Burnt Island.

– Wątpię, czy to tylko kwestia tego, co *woli*, kapitanie. Życie żadnego z nas nie jest aż tak nieskomplikowane, nie zgodzi się pan?

– Ogólnie rzecz biorąc – powiedział cicho. – Zgodzę się.

– Z początku używała angielszczyzny wyłącznie po to, by mówić o powrocie. Od paru tygodni sprawia jednak wrażenie, jakby straciła zamiłowanie do indiańskiego życia. – Przyglądali się sobie nawzajem. – Moim zdaniem ona po prostu boi się tam wracać.

– A skąd te podejrzenia?

– Spędziła już z nami dużo czasu. Może obawia się posądzenia o to, że odeszła z własnej woli.

– Tam *zginął człowiek* – przypomniał jej Buchan.

– Niektórzy mogliby pomyśleć, że to tylko kolejny powód, by nie odchodzić z zabójcami. I nie zostawać z nimi tak długo.

Buchan spuścił głowę i popatrzył na swoje stopy. Zszedł na parter bez butów i skarpet. Teraz wyglądało to na idiotyczny wyraz zażyłości, jakby przesłuchiwał obcą osobę, ubrany w bieliznę. – Co tam się stało, Cassie?

Uśmiechnęła się do niego. – Myślisz o mnie czasem? – spytała.

Podniósł wzrok, zbity z tropu. – Słucham?

– Kiedy byłeś uwięziony w lodach Arktyki i po ciemku leżałeś samotnie na koi, przyszedł ci choć raz na myśl?

– Cassie. – Poczul wzbierającą panikę. – Nie rozmawialiśmy ze sobą od lat.

– Oczywiście.

– Czas, który ze sobą spędziliśmy, wspominam z czułością...

– Nie, przepraszam. Przestań, proszę. – Jej głos miał natarczywie kojący ton, przybierany przez dorosłego, gdy próbuje uspokoić dziecko lękające się ciemności. – Po prostu czasami przez wiele miesięcy nie mam okazji zamienić nawet paru słów z osobą nie pochodzącą z tego gospodarstwa. Rozumie pan, o czym mówię, kapitanie?

Odchrząknął. – Gdybym nie zakochał się w Marie, zanim cię poznałem...

– Och, nie – zaprotestowała Cassie, zakrywając usta ręką. – Ależ nie, nie zrozumieliśmy się. – Zaczęła się śmiać, próbując w miarę możliwości stłumić chichot dłonią.

– O co chodzi? – spytał Buchan z uśmiechem. Jej wesołość przyniosła mu ogromną ulgę, a ta chwila odprężenia jego samego również natchnęła dziwną

niefrasobliwością. Cassie zamachała wolną ręką, żeby go uciszyć, ale sama nie była w stanie się uspokoić. Parę chwil później w drzwiach stanął John Peyton w koszuli nocnej.

– Usłyszałem głosy – wyjaśnił. Przyglądał się dwojgu próbującym się opanować ludziom. Czuł się tak, jakby naszedł ich podczas pocałunku. Zauważył, że oficer ma gołe stopy.

– Najmocniej przepraszam – sapnął Buchan, wykrztuszając ostatni głupawy chichot. Otarł oczy wierzchem dłoni. Sztywne włosy porastające jego nadgarstek zaszeleściły krótko. Ten dźwięk, sprawiający wrażenie niestosownego i z lekka niesmacznego, z miejsca ich otrzeźwił. – Nie mogłem zasnąć, zszedłem więc, by posiedzieć w kuchni. Błąkając się tak, zbudziłem niechcący pannę Jure.

– Nigdy nie sypiałam zbyt głęboko – stwierdziła Cassie.

– Tak, oczywiście – stropił się Peyton. – Nie chciałem przeszkadzać.

– Ależ nie! – odparł Buchan. – Wypadałoby raczej uznać, że to my przeszkodziliśmy panu. Jeszcze raz przepraszam. Natomiast teraz, skoro już pana obudziliśmy, może zechce się pan do nas przysiąść?

Peyton wpatrywał się w tył głowy Cassie. Odkąd stanął w drzwiach, ani razu się do niego nie odwróciła. – Dziękuję, kapitanie. Jestem przekonany, że najlepiej będzie, jeśli wrócę do łóżka.

– Jak zresztą my wszyscy, bez wątpienia – dodał Buchan.

Kiedy Peyton wyszedł, Cassie szepnęła: – Ja chyba zrobię to samo. – Wstała z krzesła i przysunęła je do stołu. Przystanąła, wciąż trzymając dłonie na oparciu. – Chciałam podziękować – dodała. – Za list.

Na myśl o jej ubranym w niedopasowany garnitur ojcu, leżącym w trumnie pośród pijanych żałobników, Buchan, zawstydzony jakby w jej imieniu, skinął tylko głową.

– Panno Jure – powiedział, kiedy ruszyła do swojej sypialni. Poprawił się: – Cassie.

Obróciła się i popatrzyła na niego przez ramię.

– Pomożesz mi z nią porozmawiać? – poprosił. – Tobie najwyraźniej ufa. Zdajesz się rozumieć ją lepiej niż ja.

– Jeśli chcesz. Pomówię z nią.

DZIEWIĘĆ

Następnego ranka Cassie poszła z Mary po wodę ze strumienia. Balansowały na kamieniach nad ciemnymi, płytkimi zagłębieniami, a zanim zanurzyły wiadra, Mary wskazała ręką swój wizerunek na powierzchni. Uśmiechnęła się do Cassie. – Mary – powiedziała, wciąż celując palcem w wodę. Za każdym razem, gdy szły nad potok, Indianka powtarzała ten rytuał rozpoznania i nazwania, jakby chciała

potwierdzić tożsamość, którą przyjęła w gospodarstwie Peytonów. Już przed kilkoma miesiącami Cassie przeszła nad tym do porządku dziennego, tym razem jednak spojrzęła na kobietę. „Mary ma dziecko” – pomyślała.

Zanurzyły krawędzie wiader w odbiciach swoich twarzy i, ciągnąc z całej siły, dźwignęły własne wizerunki ze strumienia. Niosły po dwa wiadra, trzymając za szorstkie uchwyty z konopnych lin; każda z kobiet szła pośrodku obręczy odzyskanej z beczki na ryby, opierając naczynia o brzozy okrag, by oddalić chlapiącą wodę od sukienek. Tłumoczek ze skórzanymi ubraniami Mary uwiązała sobie na plecach za pomocą lnianej przepaski. Ostatnie komary lata roily się wokół ich bezbronnych głów. Indianka nuciła pieśń, która wydawała się Cassie równie pozbawiona melodii, co zaśpiew owadów. Kiedyś spytała ją, o czym jest ta piosenka, a Mary odstawiła wiadra i pokazała rękami podnoszenie szklanki do ust.

– Wo-da – wysylabizowała.

Gdy w marcu pojawiła się w domu Peytonów, Cassie patrzyła na nią tak, jak gdyby Peyton sprowadził z lasu na wpół dzikie zwierzę – coś, co być może uda się obłaskawić i w jakimś stopniu przyuczyć manier. Zagotowała wodę w kociołkach i napełniła malutką drewnianą balię. Mężczyźni wciąż siedzieli w kuchni w swoich zimowych ubraniach. Mary przycupnęła na podłodze nieopodal Johna Peytona, a gdy John Senior mówił, rozglądała się ukradkowo po izbie. – Nie radzę ci zostawać samej w jej towarzystwie – ostrzegł stary, ale Cassie wysłała ich obu na mróz, żeby narabiali drewna i zajęli się zwierzętami. Sama postawiła Mary pośrodku kuchni i rozebrała ją do naga. Mary odwróciła od niej głowę, jakby próbowała uniknąć widoku paskudnej rany.

Cassie zapamiętała smród, jakiś kwaśny zapach, który wydobył się spod ubrań. Wtedy nie miała pojęcia, że Mary karmiła dziecko, a mleko musiało wyciec, poplamić jej płaszcz i skwaśnieć. Zakładała, że tak po prostu pachnie Beothuk, a woń z czasem uda się wyparzyć. Obcisłe skórzane spodnie były przewiązane w biodrach rzemieniem, którego Cassie nie potrafiła rozsupłać, Mary sięgnęła więc do pasa i rozwiązała go za nią, nieprzerwanie odwracając od niej głowę. Jej cały tułów wysmarowany był czerwoną ochrą, a gdy Cassie usadziła ją w wannie, na wodzie pojawił się kozuch o barwie krwi. Sięgnąwszy po kostkę ługowego mydła i szczotkę, której używała do szorowania drewnianej podłogi, wymyła Indiankę z tą samą zdecydowaną pieczołowitością, zwracając szczególną uwagę na zakamarki i szpary, z których barwnik schodził najbardziej opornie – zagłębienia nad obojczykami, linię pod lekko zwisającymi piersiami. Pracowała, dopóki woda nie wystygła, a Mary nie zaczęła drzeć. Doląła więcej wrzátku do uświnionej balii i wróciła do szorowania.

Wtedy Indianka się odezwała, wydała z siebie pojedynczą, gardłową sylabę. Cassie spojrzęła na nią, a ich oczy spotkały się po raz pierwszy. Klęczała przy balii, sukienkę miała nasiąkniętą wodą, czerwoną farbą i mydlinami chlapiącymi na pod-

łogę. Ich twarze znajdowały się zaledwie kilka cali od siebie. Cassie czuła zapach jej oddechu, zaskakująco słodki, nieskażony, podszyty czymś ostrym i czystym, jakby świerkową żywicą.

– O co chodzi? – spytała łagodnie, ponieważ ich twarze były tak blisko.

Mary powtórzyła tamten dźwięk i przechyliła przy ustach dłoń złożoną w miseczkę.

– Woda – domyśliła się Cassie.

Mary przytaknęła.

– Wo-da – znów powiedziała Cassie, wyraźnie oddzielając sylaby, a Mary powtórzyła je po niej. Kiedy już dała jej kubek, pomyślała, że powinna ją również nauczyć mówić „proszę”.

Odstawiwszy puste naczynie, wycelowała w siebie mokrym palcem. – Cassandra – przedstawiła się. Naznaczyła sobie suknię na mostku okrągłą plamką wody. – Cassie – dodała. – Ca-ssie. – Gdy spędziły chwilę, pracując nad wymową, wskazała kobietę siedzącą w balii. – Jak masz na imię? – zapytała. – Twoje. Imię.

Indianka odpowiedziała bez wahania: – Mary.

– Musieliśmy ją jakoś ochrzcić – wyjaśnił później John Peyton. – Ni w ząb nie mogliśmy pojąć, jak ona się naprawdę nazywa.

Przez cały czas spędzony w domostwie Peytonów mówiła o sobie wyłącznie „Mary”, traktując angielskie imię jak ochronny talizman noszony przy samej skórze.

Cassie kazała Mary uklęknąć, chcąc wyszorować jej plecy, pośladki i uda. Namydliwszy szmatkę, sięgnęła jej między nogi, ale Indianka złapała ją za nadgarstek i szybko usiadła z powrotem. – W porządku, Mary – uspokoiła ją Cassie. – W porządku. – Poczuła, jak krew zaczyna pulsować jej w ręce pod silnym uściśkiem dłoni tamtej. Wolną ręką wzięła szmatkę i przytrzymała przed Indianką, podsuwając ją kobiecie drobnymi ruchami, jakby to był kęs jedzenia. Kiedy Mary przyjęła gałganek, Cassie wstała i poszła do swojego pokoju za kuchnią. Wzięła białą sukienkę wiszącą na drzwiach i wygrzebała pończochy ze skrzyni. Gdy uznała, że dała Indiance wystarczająco dużo czasu w samotności, zniosła ubrania do kuchni, wyłożyła je na leżance i przyklęknęła obok balii. Sięgając w mętną wodę, wydobyła jej maleńkie stopy, jedną po drugiej, i wyszorowała zrogowaciałe podeszwy, pięty i kostki. Kolana były wciąż posiniaczone od upadku na lód sprzed niemal tygodnia.

Kiedy Indianka była już wytarta i ubrana, Cassie przyniosła z pokoju nieduże lusterko. Na widok swojego odbicia Mary krzyknęła i odwróciła wzrok. Zaraz wyrwała szkiełko z dłoni Cassie, przytrzymała je w wyciągniętej ręce, wrzasnęła ponownie i zniosła się gromkim śmiechem, na którego dźwięk mężczyźni wbiegli do domu.

– Wszystko w porządku? – spytał John Senior.

Cassie usiadła przy stole i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest zmęczona. Przemoczona, zimna spódnica kleiła jej się do skóry.

– W takim przyodziewku wygląda jak prawdziwa dama – stwierdził Peyton, ze zmęczeniem kiwając głową i uśmiechając się do Mary, jak gdyby Indianka potrzebowała, żeby ktoś dodał jej odwagi, żeby ją uspokoił.

Cassie patrzyła na nią wówczas tak, jakby faktycznie mogła stać się damą; jakby to była tylko kwestia czasu. Nie miała jeszcze pojęcia, czy Mary zostanie z nimi, czy popłynie do St. John's, czy może zamieszka w domu pastora w Twillingate, snuła już jednak mgliste plany nauki gotowania, szycia, angielszczyzny, może nawet czytania.

– Od środka ich tak nie przypudrujesz – skwitował John Senior.

Cassie rozumiała później, że tkwiła w tym stwierdzeniu prawda, choć nie taka, jaką próbował wyrazić staruszek. Taszcząc wodę do domu, przyglądała się bosym stopom Mary, stąpającym przed nią po ścieżce w rytm piosenki. Po raz pierwszy, odkąd wykapała ją przed piecykiem, zadała sobie pytanie, jak Indianka może mieć na imię.

Peyton wraz z Johnem Seniosem wstali wcześniej, by popłynąć na ostatki dorszy w tym sezonie. Wczesnym popołudniem zrzucili na pomoście porządny, złapany na linkę połów. Zjadłszy szybki obiad, wrócili nad wodę, by oprawić ryby w składziku na nabrzeżu.

Chwilę po ich wyjściu kobiety zasiadły z Buchanem w salonie. Postawiony na straży przed domem kapral Rowsell otrzymał rozkaz, by nie wpuszczać nikogo do środka. Na nagiej drewnianej podłodze salonu leżał dziergany haczykiem dywan, na wypolerowanych stolikach ozdobne serwetki. Mary sięgnęła do najbliższej serwety, by zbadać palcami jej misterne sploty, Cassie przygotowała herbatę dla siebie i oficera. On miał na sobie czerwoną kurtkę od munduru.

– A więc, Mary – zaczął.

Cassie przyglądała się jej twarzy, temu charakterystycznemu dla niej wyrazowi wyczekującej niepewności. To była jej pierwsza linia obrony, ta gotowość do zadowalania innych, to napięte wypatrywanie wszelkich oznak tego, czego się po niej spodziewają. Codziennie Mary brnęła coraz dalej w głąb ich oczekiwań, tak że nie sposób już było stwierdzić, kim mogła być przed tym, jak Peytonowie sprowadzili ją znad jeziora na wybrzeże.

Buchan przybrał sztywną pozę na fotelu z wysokim oparciem, nadając głosowi taki ton, jakby przewodniczył rozprawie.

– Chcemy pomówić z tobą o zajściu, które miało miejsce nad jeziorem w marcu tego roku.

Zerkała szybko to na Buchana, to na Cassie, siedzącą tuż obok, na lewo od

niej. – John Peyton?

– Peytonów nie ma w pobliżu – oznajmił Buchan. – Zapewniam cię, że nie musisz się ich bać.

Mary przyjrzała mu się z mieszkanką zakłopotania i chłodu, w mniemaniu Cassie graniczącą wręcz z pogardą.

– Nie wydaje mi się – powiedziała do Buchana – żeby Mary chciała wyrazić strach.

– John Peyton – powtórzyła Mary.

– Wszystko w porządku – zwróciła się do niej Cassie. – Jeśli czegoś zapomnisz albo nie będziesz pewna, zapytamy Johna Peytona, kiedy wróci. Powiedz tylko tyle, ile pamiętasz. Dobrze?

Skinęła głową.

Cassie uśmiechnęła się do oficera. – Sądzę, że może pan kontynuować.

Buchan odchrząknął i przekartkował trzymany na udzie notes.

– Tak – westchnął. – A zatem dobrze. Mary, według Johna Peytona zostałaś pojmana przez grupę Anglików szóstego marca bieżącego roku.

Indianka zerknęła na Cassie i wlepiała w oficera pusty wzrok.

– Zmusili cię, żebyś z nimi poszła?

Nadal milczenie.

Cassie wyciągnęła ręce przed siebie i zetknęła nadgarstki.

– Związali ci ręce, Mary? O tak?

Zaprzeczyła, kręcąc głową. Po chwili pochyliła się do przodu i założyła ręce za plecy. Okręciła się tak, by mogli zobaczyć dłonie złożone na jej krzyżu.

– Rozumiem – powiedział Buchan. Zapisał coś w notatniku. – Za plecami – mruknął, po czym podniósł głos. – Bili cię?

Zaskoczona, osunęła się na oparcie.

Wzniósł ręce w przeproszającym geście i powtórzył pytanie łagodniejszym tonem. – Czy któryś z Anglików cię uderzył? – Pokazał jej zaciśniętą pięść i zamachał nią w powietrzu.

Mary pokręciła głową, z początku powoli, potem coraz mocniej, jakby stopniowo zaczynała kojarzyć, o co się ją pyta.

– Czy oni... – zaczął. Poprawił się w fotelu. – Czy którykolwiek cię *dotknął*?

– Kapitanie, błagam – powiedziała Cassie.

– Te pytania są nieodzowne, panno Jure. Najmocniej przepraszam, jeśli odbiera je pani jako afront wobec jej pracodawców. Mary...

Kobiety popatrzyły po sobie. W końcu Cassie skinęła głową, by ją zachęcić. Mary pokręciła głową, choć wyraźnie była niepewna dokładnej natury pytania.

Oficer pochylił się nad notatnikiem. Podniósł wzrok znad kartki i spytał: – Mary, kim był ten mężczyzna, który zginął?

Zawahała się i spojrzała na Cassie.

– Nieżywy – wyjaśniła łagodnie Cassie. – Nieżywy na lodzie, na jeziorze.
Mary przytaknęła.

Cassie wskazała Indiankę palcem. – Twój ojciec?

– Nie – odparła. – Nie ojciec.

Buchan wtrącił się: – Brat? Mąż? Wuj?

Mary skinęła głową. – Tak – przyznała.

Kapitan pochylił się. – Który? Mąż?

– Tak – powtórzyła Mary.

Pokiwał głową i nachylił się nad notesem, by zapisać w nim słowo „mąż”.

– Kapitanie.

Podniósłszy wzrok zobaczył, że Mary wpatruje się w Cassie. Twarz Indianki wykrzywiła się w zgnębionym, wyczekującym grymasie. Spodziewała się czegoś więcej.

– O co chodzi? – spytał.

Cassie poczuła na karku zimny dreszcz. Nachyliła się do kobiety. – Nieżywy na lodzie. Twój brat, Mary?

– Tak – odparła tamta.

Buchan opadł ciężko na fotel. Z niesmakiem skreślił piórem na kartce kilka drobnych pociągnięć. – Zaczynam się obawiać, że na niewiele się to zda – stwierdził.

Kobiety nadal wpatrywały się w siebie nawzajem. Cassie słyszała mokry, ciężki oddech Mary. Indianka złożyła ręce na swoim zawiniątku z ubraniami. – Kapitanie, ilu Beothuków wyszło na spotkanie ekspedycji Johna Peytona na jeziorze?

– Dwóch. Ten, który zginął, oraz drugi, który uciekł, gdy rozpoczęła się szarpanina...

– *Mąż i brat* – domyśliła się Cassie, pokazując Mary palce ułożone w V. – Dwaj ludzie. Dwaj nieżywi.

Dostrzegając występujący na ich twarze wyraz konsternacji, Mary bezgłośnie otworzyła usta.

– Obaj zastrzeleni – dodał Buchan, pokazując rękami, że przykłada kolbę strzelby do ramienia. – Bum – powiedział. – Bum. – Siedział na skraju fotela, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał. Notatnik spadł mu z kolan; leżał na podłodze, rozciągnięty niczym ranny ptak.

Mary wybuchnęła płaczem i podniosła tłumok z ubraniami, by ukryć twarz.

Ułożywszy Mary w jej sypialni, Cassie zeszła po schodach i zajrzała do kuchni. Buchan podniósł notes i siedział teraz przy kuchennym stole, sporządzając zapiski i ze złością kiwając głową.

– Dlaczego mieliby to tuszować? – spytała. – Po co przyznawać się do za-

strzelenia jednego człowieka i ukrywać śmierć drugiego?

– Najpewniej czuli, że zabicie tego pierwszego da się usprawiedliwić przed sądem. Drugiego najwyraźniej nie.

– Może ona kłamać.

– Wiem z pewnego źródła, że nasz świadek nie potrafi kłamać. Poza tym wymyślenie takiej historii nie przyniosłoby jej żadnych korzyści.

Cassie pokręciła głową. – Biedny John Peyton.

Z trzaskiem położył pióro na stole. – Panno Jure, nie jestem przekonany, czy w tym przypadku solidaryzuje się pani z właściwą stroną.

Przyglądała mu się ze zdziwieniem. Kiedy przesłuchiwał Mary, był zdawkowy i profesjonalny, chłodny, wręcz oschły. Człowiek zupełnie inny od tego, któremu kiedyś wyznała, że jej ojciec był nieporadnym pijaczyną. – Czy twoim zdaniem Mary jest ładna? – spytała.

Zerknął na Cassie i rozejrzał się szybko po kuchni, jakby pytanie dobiegło z jakiegoś niewidocznego źródła.

– Uważasz ją za atrakcyjną? Jako kobietę?

– Oczywiście, że nie – powiedział. – Inaczej, cofam tę wypowiedź. Jakież to może mieć znaczenie?

– Zapytałam z czystej ciekawości. – Wzruszyła ramionami. – Na jaki obrót spraw pan teraz liczy, kapitanie?

– Dwóch ludzi poniosło śmierć. Kłamstwa przedstawiono przed sądem jako fakty. Chcę, by sprawiedliwości stało się zadość.

Cassie zerknęła za siebie i popatrzyła na schody, po czym znów wlepiała wzrok w mężczyznę siedzącego przy stole.

– Cassie, zdumiewa mnie to, że uznajesz za słuszne bronić tych mężczyzn, choć zdajesz sobie sprawę, czego się dopuszczają.

– To nigdy do mnie nie należało – odezwała się cicho. – Żeby zdawać sobie sprawę z tego, czego się dopuszczają.

Buchan pokręcił głową. – Nie mów mi, że nie wiesz, jakie rzeczy robili swego czasu.

Cassie schyliła głowę i szepnęła coś, czego on nie był w stanie dosłyszeć.

– Słucham? Co mówisz?

– Jesteś taki naiwny, jeśli chodzi o prawdę. Sądzisz, że nigdy nie ma powodów, aby się jej bać.

Oficer przez chwilę ruszał żuchwą w milczeniu.

– Niech mi pan powie, kapitanie Buchan, czy pańska żona zasługuje na to, aby poznać prawdę?

– Kocham moją żonę.

– Ale to nie wyczerpuje tematu, nieprawdaż?

Podniósł się z krzesła. – Muszę prosić, by nie wyjawiała pani nikomu treści

naszej konwersacji z Mary. Dla dobra dochodzenia najlepiej będzie, jeśli podejrzani pozostaną w przekonaniu, że ich kłamstwo nie zostało wykryte. Czy mogę liczyć na pani współpracę w tym względzie?

Powoli pokręciła głową. – Nie, tego nie mogę obiecać.

– Użyję więc wszelkich dostępnych mi środków, by upewnić się, że wobec wszystkich osób utrudniających bieżące śledztwo zostaną wyciągnięte odpowiednie konsekwencje.

Popatrzyła na swoje dłonie i w roztargnieniu zaczęła dłubać pod paznokciami. Wiara Buchana w sprawiedliwość była tak ewangeliczna, że chwilami zdawała się zupełnie irracjonalna. Na północno-wschodnie wybrzeże również dotarły historie o „ziemi opryszków”, która nastąpiła po pożarach w St. John’s w 1817 roku. Dziesiątki desperatów aresztowano za kradzieże, rozboje, zakłócanie porządku publicznego. Wyrok za pierwsze przestępstwo wynosił trzydzieści sześć batów. Sprawców rozbierano do półnaga i uwiązywano na kolanach do wysokiego na cztery stopy palika na dziedzińcu Fort Townshend. Buchan był zawsze obecny przy chłóście, osobiście nadzorował wymierzanie kary.

Głośno było zwłaszcza o jednym Irlandczyku z perkatym nosem i włosami przyprószonymi siwizną, ojcu siódemki dzieci, który natychmiast po zwolnieniu z aresztu wrócił do rabunków na ulicach St. John’s. Rany po pierwszej chłóście były jeszcze otwarte, kiedy na placu zdarto z niego koszulę po raz drugi. Po piętnastu batach Buchan kazał żołnierzom wylać wiadro wody na nabrzmiąłą, ohydną papkę, w którą zmieniły się jego plecy. Gdy na nowo podjęto wykonywanie kary, pod wpływem mrozu mokre mięso zaczęło odchodzić od ciała długimi płatami, a Irlandczyk omdlał i dostał drgawek. Obecny przy chłóście medyk musiał powstrzymać ich przy dwudziestym trzecim uderzeniu. John Senior podzielił się tymi szczegółami z Cassie, nie kryjąc swego rodzaju pogardliwej satysfakcji. – Ten jegomość to istne wcielenie chrześcijańskiego miłosierdzia – zadrwił.

Cassie oderwała wzrok od dłoni i popatrzyła na Buchana. Przed oczami stała jej tamta twarz, którą widziała przed laty, klęcząc przed nim. Tamta bladeść i bezbronność, jakby trawiła go gorączka albo halucynacje. Głowa kiwająca się to w prawo, to w lewo, suche wargi lekko rozchylone. Nie potrafiła poukładać sobie w głowie tych sprzecznych obrazów.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak poważnie traktuje pan swoje stanowisko, kapitanie.

Zrobił krok w jej stronę. – Panno Jure, mogę tolerować u pani pewną dozę swobody, mając na uwadze okoliczności, które swego czasu przelotnie między nami zaistniały...

– Ale? – spytała Cassie.

Nie zdobył się na dokończenie groźby; odwróciwszy się od niej, gwałtownie otworzył frontowe drzwi.

Przez okno widziała, jak kapitan idzie ku plaży, po drodze mijając kaprała Rowsella, który wcześniej siedział na skalnym garbie, a na dźwięk otwierających się drzwi wyprężył się na baczność z dłońmi założonymi za plecami. Dziennik oficera leżał na stole obok kałamarza. Przeszła przez pokój i dotknęła bladej oprawy z cielejącej skóry. Otworzywszy zeszyt, przewertowała strony wypełnione ciasnym pismem, nie czytając notatek. Usłyszała kaszel Mary leżącej w sypialni na piętrze – przeciągłe, rwące konwulsje, jakby ktoś darł prześcieradła. Nagle odwróciła się, pomaszzerowała do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Trzydzieści sekund później wróciła do stołu. Zanurzywszy pióro w kałamarzu, obróciła dziennik i zaczęła pisać na marginesie przypadkowo wybranej strony: *David, mieliśmy dziecko. Zanim to skończyłam. Byłam w ciąży.*

Odłożyła pióro i podniosła wzrok znad kartki, na której już powoli sechł atrament. Zobaczyła, że przez okno przygląda jej się John Peyton. Natychmiast zamknęła dziennik i wyszła przed dom. Zbliżyła się do Rowsella, wciąż stojącego na baczność.

– Kapitan Buchan zapomniał swojego dziennika – powiedziała. Słyszała, że za jej plecami drzwi domu otwierają się i zamykają; Peyton wszedł do środka.

– Dziękuję, panno Jure – odparł Rowsell. – Zwrócę go kapitanowi.

Przez następne trzy tygodnie John Peyton towarzyszył Buchanowi. Razem z Mary i oddziałem żołnierzy pływali po zatoce Exploits kutrem i gigiem w nadziei, że uda im się znaleźć i podejść ukradkiem obóz Beothuków, u których mogliby bezpiecznie zostawić kobietę. Pogoda była ładna, właściwa dla późnego lata, ale Mary miała pod suknią flanelową bieliznę, a na wierzch zarzucała jeszcze ciężki płaszcz. Peyton i Buchan konsultowali z nią prawdopodobne lokalizacje obozowisk, lecz jej słabowitość i ospałość studziły ich nadzieje na powodzenie.

Popłynęli na wiosłach do Badger Bay, czterdzieści mil na zachód od Fortune Harbour, z wystawionym na dziobie okiem wypatrującym na brzegu świeżo wykarczowanych ścieżek, mogących świadczyć o niedawnej obecności Beothuków. Wieczorem ósmego września, gdy przedzierali się przez ostry sztorm z piorunami, ktoś spostrzegł kanu oddalone o milę od nawietrznej burty. Kuter ruszył w pościg i opłynął przylądek, za którym zniknęła łódka, nie było tam jednak śladu po Indianach. Buchan wydał rozkaz desantu w miejscu, gdzie jego zdaniem Beothukowie mogli przybić do brzegu. Wraz z Peytonem i kilkoma żołnierzami spędzili ponad godzinę, uganiając się po zaroślach. Zagłębiając się w las, żołnierze stawali się coraz bardziej ponurzy i nieswoi, w końcu Buchan dał więc za wygraną i zarządził powrót na kuter. Dotarwszy na brzeg, zastali Mary usadowioną pod płócienną płachtą, mającą osłonić ją przed ulewą. Nie wykazywała najmniejszego zainteresowania wynikiem pogoni.

Następnie popłynęli kutrem w górę rzeki Exploits. Wiosłując z dulkami wytłumionymi przy pomocy szmat, podczas nocnej wachty przebyli niemal dwadzieścia pięć mil pod prąd. Buchan i Peyton poszli w las z trzema żołnierzami i spędzili cały dzień w poszukiwaniu Indian. Jedyne namioty, na które się natknęli, stały niezamieszkałe od zeszłego lata. Mary została z innymi żołnierzami w obozowisku, wciąż nie przejawiając najmniejszej chęci uczestnictwa w poszukiwaniach. Wieczorem ruszyli w dół rzeki i podczas nocnej wachty znaleźli się z powrotem na wybrzeżu.

Rozbili obóz u ujścia Charles Brook. Po posiłku Buchan przysiadł się do Peytona. – Pozostaje nam zatem obszar wokół Boyd's Cove – zagał.

– Zgaduję, że wszyscy zdążyli już wyruszyć w głąb lądu, by przygotować się do polowania na karibu.

– Co oznacza dla nas kolejną zimową wyprawę w górę rzeki Exploits – stwierdził Buchan pogodnie, jakby już nie mógł się doczekać.

Peyton zerknął na Mary, siedzącą pod kocem po drugiej stronie ogniska. – Jeśli nasza dziewczyna dotrwa do zimy.

Przesiedzieli kilka chwil w milczeniu.

– To jedna z waszych rzek – odezwał się Buchan.

Peyton przytaknął.

– Kto na niej pracuje?

– Joseph Reilly.

– Mieszka w tej okolicy ktoś jeszcze?

Peyton splunął między buty i kopnął w ziemię. Noce zaczęły się już gwałtownie ochładzać, ręce trzymał wciśnięte głęboko w kieszenie kurtki. – Richmond pracuje na jazie na Little Rattle River, nieco dalej na zachód. Ma tam do pomocy młodzika, Michaela Sharpe'a. W promieniu dnia drogi nie ma nikogo więcej.

Buchan skinął głową. O ile się orientował, Cassie nie powiedziała Peytonowi o ich rozmowie z Mary, nie mógł mieć jednak całkowitej pewności. – Nie miałbym nic przeciwko małej wycieczce do pana Richmonda, skoro już jesteśmy w okolicy. Moglibyśmy skorzystać z gościnności pana Reilly'ego i jutro pozwolić żołnierzom odpocząć.

– Do Burnt Island mamy stąd najwyżej parę godzin na wiosłach. W domu możemy zaoferować pańskim żołnierzom nocleg z dachem nad głową.

– Ludziom dobrze zrobi zmiana otoczenia – zaprotestował Buchan.

Peyton zaśmiał się pod nosem. Już miał powiedzieć, że otoczenie nad Charles Brook nie różni się niczym od tego, po którym błakali się przez ostatnie dwa tygodnie, ostatecznie odparł jednak tylko: – Jak pan sobie życzy.

Richmond i młody Michael Sharpe przygotowywali akurat zestaw pułapek

na sezon nad brzegiem Little Rattle River, gdy na zakolu rzeki pokazał się kuter płynący w stronę jazu.

– Kogo my tu mamy? – rzucił Richmond.

Michael Sharpe zerknął na niego, powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem, utkwionym w nadpływającej łodzi, i zbladł jak płótno.

Richmond popatrzył na niego gniewnie. Pogroził mu palcem.

– Ani słowa, rozumiano? Idę do chaty. Jak tu przylezie, pošlesz go do mnie. Jeśli piśniesz choć słówko, własnoręcznie poderżnę ci gardło.

Sharpe pokiwał głową. Gdy Richmond przemykał chyłkiem do chaty, chłopak robił, co w jego mocy, by wyglądać na pochłoniętego pracą przy otaczającym go sprzęcie.

Kiedy kuter dopłynął do jazu, Buchan zszedł na brzeg i podszedł do młodzieńca. Na ziemi leżało kilka pułapek, nad ogniem wisiał duży kocioł z wodą. Od jakiegoś czasu trzymali samotrzaski na dworze, żeby pokryły się równą warstwą rdzy; Sharpe szorował je właśnie metalową szczotką, by odsłonić nagi metal. Kilka świeżo oskrobanych potrzasków obgotowywało się już w wodzie.

– Michael Sharpe? – zagadnął Buchan.

Chłopak podniósł wzrok na oficera. Skórę na policzkach miał czerwoną i podrażnioną, jakby dopiero co zaczął się golić. Siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, trzymając jedną z pułapek na udach. – Owszem, sir – odparł.

– Kapitan David Buchan z HMS Grasshopper.

– Wiem, sir.

Buchan kucnął przy nim. – A więc zapewne wiesz również, co mnie tu sprowadza.

Młodzik skinął głową.

– Jeśli można, chciałbym zadać ci kilka pytań...

– Sir, najlepiej niech pan pójdzie do chaty i porozmawia z panem Richmondem.

Buchan uśmiechnął się do niego. – Zdajesz sobie sprawę, że za udział w tej historii możesz zawisnąć.

Sharpe ponownie pokiwał głową i zaczął wściekle szorować potrzask. Dłonie miał zabarwione mieszanką potu i rdzy.

– Pan Richmond jest w chacie, sir.

Buchan odczekał jeszcze parę chwil, wpatrując się w chłopca, po czym podniósł się z kucek i poszedł ścieżką do chaty. Nie chcąc okazywać najmniejszej oznaki strachu czy niepewności, zostawił przed drzwiami czterech towarzyszących mu żołnierzy i w pojedynkę wszedł w niemal całkowitą ciemność. Na pierwszym planie dostrzegł kontury prostego stołu i krzesła, drewnianą skrzynię wypełnioną świerkowymi szczapami. Ogień w kominku mruczał coś do siebie. W przeciwległej ścianie znajdowało się pojedyncze okno, bijące poświatą w półmroku. Gdzieś spod

niego dobiegł głos: – Zamknie pan za sobą drzwi, jeśli łaska.

– Oczywiście – odrzekł Buchan. Głos go zaskoczył; cofnąwszy się szybko, dociągnął drzwi do framugi. Odwrócił się i utkwił wzrok w ciemności, mrużąc oczy. Dało się słyszeć szelest, przez kwadrat światła przemknęła sylwetka Richmonda. Mężczyzna podszedł bliżej, trąc oczy i gwałtownie przeczesując brodę palcami, jakby właśnie wybudził się z drzemki. Powitał gościa skinieniem głowy. Miał na sobie duży, sięgający mu do połowy uda rybacki sweter o ciasnym splocie. – Złapał mnie pan prawie w drzwiach – oznajmił Richmond. – Właśnie miałem iść nad rzekę. Spotkał pan tam młodego Michaela?

– Skierował mnie tutaj.

Richmond pokiwał głową i z brzękiem zawiesił ciężki czajnik na pręcie nad ogniem. – Herbaty?

– Mogę spocząć? – spytał Buchan, wskazując krzesło przy stole.

– Nie kazałbym panu pić herbaty w drzwiach. I cóż miał do powiedzenia Michael Sharpe?

Buchan się uśmiechnął. – Tylko tyle, żebym lepiej porozmawiał z panem.

– Skryty chłopak, ten nasz Michael.

Usiedli naprzeciw siebie; gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku, Buchan rozejrzał się po maleńkiej izbie. Klepisko pod przeciwległą ścianą zarzucone było indiańskimi raketami w różnych kształtach i rozmiarach, pułapkami, palikami, szpulami konopnej liny i szpagatu, surowymi deskami, narzędziami, sieciami, zwojami płótna, workiem gwoździ. Same ściany były wytapetowane arkuszami, które przy bliższych oględzinach okazały się kartkami z metodystycznego czasopiśma misyjnego. Nachyliwszy się, Buchan przeczytał akapit przy swojej głowie.

– Prenumerator? – spytał, wskazując ściany.

– Ja nie umiem czytać – odparł Richmond. – Za to w kościele na Twillingate Island mają tego od cholery. – Wyciągnął rękę i plasnął dłonią w ścianę. – Dzięki temu trochę mniej ciągnie szparami.

Buchan przyglądał się przez chwilę tej ukrytej niemalże za maską twarzy – broda zarastała Richmondowi policzki prawie po same oczy, wyzierające spod krzaczastych, połączonych brwi.

– Urodził się pan na Nowej Fundlandii, panie Richmond?

– Nie, sir. Ale przyplłynąłem tu dość młodo, by pożałować, że nie tutaj się urodziłem. Miałem wtedy może z osiem lat.

Wyjaśnił, że jego rodzina osiedliła się na zachodnim wybrzeżu Nowej Fundlandii, dzieląc z Taylorami niedużą, osłoniętą zatoczkę. Zbudowali sobie pomost, szopę do oprawiania ryb oraz kilka chat o szkielecach z młodych drzewek, których nad zatoką było pod dostatkiem. Trwał właśnie jeden z wybuchających regularnie konfliktów między Brytanią a Francją, a ta część wyspy, zwana Francuskim Wybrzeżem, została opuszczona przez francuskich rybaków. Dwaj chłopcy – Rich-

mond i Tom Taylor – pracowali na brzegu razem z dziadkiem i matką Richmonda, panią Taylor i paroma starszymi dziećmi. Na głębokich noszach taszczyli nad wodę góry zasolonych dorszy, aby opłukać je na płyciźnie, rozkładali czyste ryby na stojakach do suszenia i bezustannie je obracali, żeby słońce nie spaliło mięsa. Ojciec Richmonda i pan Taylor codziennie schodzili na wodę z dwoma najemnymi rybakami, żeby łowić dorsze na linkę. Wy płynali na wiosłach, jeszcze zanim zapłonął knotek pierwszego brzasku, i pracowali na ławicy, aż nie zapełnili łodzi lub dopóki zapadający zmrok nie przegnał ich na brzeg. Zarzucali sznurki długie na trzydzieści sążni, w pierwszych tygodniach maja zakładając na haczyki małże wygrzebane na piaszczystych plażach, potem śledzie złowione okrężnicą, a od połowy czerwca kapelany, które na tarło podpływały do brzegów w tak niewiarygodnych ilościach, że chłopiec mógł stanąć po kolana w wodzie i wyławiać je siatką lub koszem.

Richmond pokręcił głową, jakby wciąż czuł zdumienie na myśl o tamtych obfitych zbiorach, o srebrzystych ciałach kłębiących mu się szczerze wokół łydek, o setkach kapelanów rozrzucanych łopata po niedużym ogródku, by użyźniły grządki, o tysiącach ryb gnijących na plaży po tym, jak mewy już się nasyciły.

Czajnik, który był jeszcze ciepły, gdy Richmond wieszał go nad ogniem, zadudnił od wrzącej wody, gospodarz wstał więc, by zająć się herbatą. Garbił się ciagle, w sposób typowy dla dużych mężczyzn przyzwyczajonych do kulenia się pod framugami i niskimi sufitami. Buchan pomyślał, że wydaje się przez to przyczajony, nieprzewidywalny. Richmond wyjął z szafki dwa kubki i przez chwilę do nich zaglądał. Dmuchał do każdego z nich, obrócił je do góry dnem, potrząsnął i znowu popatrzył do środka. Nalał herbatę, nie odcedzając liści.

– A co sprowadziło pana w te strony? – spytał Buchan.

Richmond popatrzył na niego, szczerząc zęby w dziwnym uśmiechu, od którego ścisnęło Buchana w dołku. – Sprowadziło mnie to, że wojna się skończyła – powiedział wesoło. Podał oficerowi herbatę.

Cztery lata po ich przybyciu Francja na mocy pokoju paryskiego odzyskała całe wybrzeże, a jej terytorium poszerzyło się o tereny leżące na południe od Pointe Riche, sięgając aż do Cape Ray. W kolejnych miesiącach Francuzi wypędzili angielskich osadników z Sop's Arm, Holm Point, Noddy Bay, Hawkes Bay, River of Ponds i Port Saunders. Wiadomości o tych wysiedleniach wędrowały coraz dalej wzdłuż Francuskiego Wybrzeża, w miarę jak kolejni angielscy rybacy porzucali swoje domostwa.

Drugiej zimy, którą spędzili na zachodzie, dziadek Richmonda zmarł na zapalenie płuc. Zawinawszy zwłoki w płócienną płachtę, pochowali go na małej polance między drzewami rosnącymi nad zatoką. Czuli się tak, jakby zatknęli w tej ziemi flagę. Najemni rybacy odpłynęli, gdy tylko zdołali znaleźć miejsce na statku płynącym do St. John's, ale ojciec Richmonda poprzysiągł, że nikomu nie odda

swojego domu, a pan Taylor obiecał stanąć u jego boku.

Tamtej jesieni Richmond z ojcem zaprzęgli psa i przywlekli z lasu trzy sągi świerczyny. Zabrali się do rąbania drewna i układania szczap za chatą.

– Był ze mnie jeszcze mały chłystek – wspominał Richmond.

Postawiona na sztorc rączka siekiery sięgała mu pod brodę; zamachiwał się niezdarnie ciężkim narzędziem, przy każdym uderzeniu podskakując, by całą masą ciała nadać ostrzu impet.

Ojciec otarł pot z twarzy wyświechtaną chusteczką i zerknął na morze. Zamarł i zapatrzył się w dal, ocieniając oczy dłonią.

Statek zrzucił żagle, wpłynął rozpędem nieco dalej w zatokę i stanął na kottwicy nieopodal brzegu. Trzy szalupy podpłynęły do nabrzeża Richmondów, a wszyscy mieszkańcy osady zebrali się nad wodą, by przywitać angielskich żołnierzy. Stojąc na skraju pomostu, wołali coś do mężczyzn w szalupach i wznosili okrzyki na ich cześć. Oto Marynarka Wojenna Jego Królewskiej Mości przyплыnęła im na ratunek. Było to równie niespodziewane i cudowne, co wizyta aniołów.

Stanąwszy na końcu nabrzeża, młody oficer z białą upudrowaną peruką i twarzą spiczastą jak pysk kreta rozwinął arkusz pergaminu i odczytał z niego obwieszczenie Johna Campbella, gubernatora Nowej Fundlandii. Przytoczył złożoną przez króla Jerzego obietnicę powstrzymania poddanych przed stwarzaniem konkurencji dla rybołówstwa francuskiego. Na koniec wygłosił bezpośredni nakaz gubernatora, aby wszelkie angielskie osady na Francuskim Wybrzeżu zostały usunięte.

Matka Richmonda, spodziewająca się rychłych narodzin ósmego dziecka, zakryła usta rękami i zaczęła cicho szlochać. Oficer zabrał mężczyzn do domów, skąd pozwolił im wynieść wszelkie ławce do przewiezienia kosztowności, po czym odprowadził ich na nabrzeże. Skinął głową na żołnierzy, a ci pomaszerowali do gospodarstwa, wnieśli porąbane szczapy do największego domu i rozniecili ogień. Potem podpalili stojącą nieopodal chatę i kilka pobliskich szop. Wszystkie sprzęty i ubrania zostały w środku, a dwaj uzbrojeni żołdacy pilnowali, by rodziny nie podjęły próby ratowania dobytku. Odstawiwszy wszystkich osadników na statek czekający w zatoce, spalili również nabrzeże i magazyn nad wodą.

Richmond opisywał te wydarzenia beznamiętnie, jakby odczytywał historię z kartki, Buchan czuł jednak ciężar słów, kryjący się za nimi zamysł. Szmer ognia płonącego w kominku brzmiał jak echo tamtej pożogi, niosące się przez lata. Kapitan wpatrywał się w Richmonda, naśladując jego udawaną obojętność, nie chcąc dać mu satysfakcji jakkolwiek widoczną reakcją. Ułożył stopy płasko na klepisku.

– Gdzie obecnie znajdują się pańscy krewni, panie Richmond?

– Ojciec nie żyje już od dobrych kilku lat. Matka, o ile się nie mylę, mieszka w Londynie.

– To stamtąd pochodzi jej rodzina?

Richmond wziął łyk herbaty i skrzywił się, parząc usta. Odwrócił głowę, by

wypluć fusy. – Matka jest Walijką.

Buchan pokiwał głową i zajął do kubka. Naczynie pachniało peklowaną wieprzowiną.

– Podejrzewam, że chciałby pan porozmawiać o tym, co wydarzyło się na jeziorze – odezwał się nagle Richmond, dając mu do zrozumienia, że dosyć już ma tych gierk.

– Owszem, mam parę pytań. – Buchan wyjął notes i po chwili poszukiwań wyłowił z kieszeni ołówkę. – Panie Richmond, czy zalicza się pan do tych, którzy oddali strzał?

Richmond spojrzał na niego ponad krawędzią kubka.

– Jest pan jednym z tych, którzy zastrzelili tamtego Czerwonego Indianina.

– Trzymał pana Peytona za gardło.

– Johna Seniora.

Richmond przytaknął gniewnie. – Tak, Johna Seniora. Za gardło, mówię. Udusiłby go, gdyby się czegoś z tym nie zrobiło.

– Nieuzbrojony Indianin podchodzi do grupy ośmiu białych ze strzelbami i bez żadnej prowokacji z ich strony łapie jednego z nich za gardło. Zgadza się?

– Tak bym to przedstawił, o ile mnie pamięć nie myli. Zszedł z brzegu, niosąc gałąź białego świerku. Podszedł prosto do nas i od razu zaczął coś mówić. Gadał i gadał, wywijając przy tym rękami, a nie sposób było zrozumieć z tego słowa. Patrzyliśmy tylko po sobie, a on wciąż wskazywał na kobietę, bił się w pierś – Richmond sam zademonstrował gest pięścią – i wymachiwał rękami w stronę wigwamów. Potem nagle podszedł do nas i uściśnął dłoń Johnowi Peytonowi oraz kilku innym. Wtedy wyglądało jeszcze na to, że uda się uniknąć rozlewu krwi.

– Ale się nie udało.

– Widzi pan, po chwili złapał kobietę za ramię, jakby chciał z nią odejść, a John Senior dał mu jasno do zrozumienia, że na to nie pozwolimy.

– Chociaż tamten próbował zwyczajnie obronić swoją żonę.

Richmond zaśmiał się lekko. – Żonę czy nie żonę, mówiłem, że nie rozumieliśmy ni w ząb, co ten dzikus gadał. A my przecież próbowaliśmy sprowadzić Czerwoną Indiankę na wybrzeże z błogosławieństwem Jego Lordowskiej Mości, gubernatora. – Buchan zdołał stłumić pomruk niezadowolenia, a Richmond dodał: – Wtedy zaczęli się żreć, obaj darli się na siebie, John Senior wymyślał tamtemu od najgorszych. A Indianin chwycił go za gardło i zaczął dusić.

– I wtedy włączył się w to pan z Taylorem?

Richmond skinął głową.

– Czy nie mogliście zareagować inaczej? Było was ośmiu przeciw samotnemu Indianinowi.

– Sir, takie są fakty i żałuję, że się panu nie podobają. Pańskie upodobania nie zmieniają jednak tego, co się stało. Jegomość prawie dorównywał mi wzrostem,

potwornie wielkie bydlę z niego było. Złapał siedemdziesięciolatka i nie zamierzał go puścić. Razem z Taylorem zaczęliśmy go okładać po głowie kolbami, ale to nic nie dało. – Na chwilę zamilkł i zmierzył wzrokiem przyglądającego mu się oficera. – Sir, wydaje mi się to ciekawe, że bardziej przejawia się pan śmiercią tego Beothuka niż mordem, którego nad tym samym jeziorem Indianie dopuścili się na dwóch pańskich ludziach.

– Pańska ciekawość jest tu bez znaczenia.

– A ciekawość ludzi, których zostawił pan za drzwiami?

Buchan doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej mężczyzna wcale nie spał, kiedy przytłynęli.

– Będzie już z pięćdziesiąt lat, odkąd John Senior i jemu podobni walczą o to wybrzeże – uniósł się Richmond. – Wie pan dobrze, że ludzie ginęli po obu stronach. A pan liczył na to, że pańska wycieczka w górę rzeki i rozdanie paru koców zrobi z tych dzikusów cywilizowanych ludzi.

– Liczyłem na to, że możemy zmienić sposób, w jaki nas postrzegają.

– Liczyłeś pan na to, że gubernator cmoknie cię w tę bohaterską dupcię.

– Panie Richmond...

– Już ja wiem, coś ty za jeden.

– Panie Richmond...

– Rodzoną matkę byś wypierdolił, gdyby Jego Królewska Mość wydał taki rozkaz.

– Panie Richmond!

– Tak, sir!? – krzyknął i drwiąco wyprężył się na baczność.

Buchan złapał za poły bluzy od munduru i obciągnął materiał. Miał ochotę sięgnąć po pistolet wiszący u pasa i wypalić w tamtego z odległości kilku cali; zobaczyć, jak nos wylatuje mu tyłem głowy.

Kapral Rowsell uchylił drzwi i zajrzał do chaty. – Panie kapitanie?

Buchan uniósł rękę, nie odwracając głowy. Skinieniem dłoni nakazał kapralowi wrócić na zewnątrz.

– To pan zastrzelił Indianina, panie Richmond, zgadza się?

– John Peyton kazał nam bronić swojego ojca przed Indianinem, owszem. Dałem krok do tyłu i użyłem strzelby. Trafiłem go w plecy z niedużej odległości, ale i tak musieliśmy siłą odginać jego paluchy z szyi Johna Seniora.

– Co pan zrobił po oddaniu strzału do Indianina?

– Zebraliśmy świerkowe gałęzie i okryliśmy zwłoki na lodzie, sir.

– A drugi Indianin. Co się z nim stało?

– Z tego, co mi wiadomo, drugi uciekł.

– Nie padł już ani jeden strzał?

Richmond odwrócił głowę i popatrzył na oficera. – O ile mnie pamięć nie myli, to nie, sir.

– I co dalej?

– Przenocowaliśmy w jednym z ich wigwamów, sir. Odzyskaliśmy naszą własność, rzeczy, co to je Indiance pokradły z łodzi Johna Peytona. Zabraliśmy do domu Peytonów kobietę oraz pewną ilość futer, stanowiącą naszym zdaniem rekompensatę za straty.

– Czy idąc w dół rzeki, spotkaliście jakichkolwiek Indian?

– Czerwonego autoramentu nie, sir.

– To jakiego?

Richmond postukał zgiętymi palcami w blat. – Spotkaliśmy tylko trapera, jednego z Mikmaków.

– A ten traper ma jakoś na imię?

– Noel Young.

– Zналиście go wcześniej?

– Całe wybrzeże zna Noela Younga. Przekiwał się z nami jedną noc, a rano rozdzieliliśmy się.

Buchan skinął głową i sporządził sobie notkę w dzienniku.

– Czy kobieta poszła na wybrzeże z własnej woli?

– Nie przypominam sobie, żeby wypowiadała się na ten temat.

– W pańskim mniemaniu – dodał Buchan. – Na podstawie poczynionych przez pana obserwacji.

Richmond znowu się zgarbił, wracając do typowej dla siebie postawy. – Większego wyboru nie miała, co nie?

– Dwukrotnie podjęła próbę ucieczki, zgadza się?

– Dwa razy wybrała się na spacer o takiej porze, że ktoś mógłby powiedzieć, że uciekała. Możliwe, że chciała tylko załatwić jakąś delikatną sprawę i zgubiła się w lesie.

Buchan postukał ołówkiem w kartkę.

– Mieliśmy błogosławieństwo gubernatora, żeby sprowadzić na wybrzeże Czerwonego Indianina – przypomniał Richmond.

– Ale nie na to, by przy okazji zamordować dwóch mężczyzn.

Richmond odchylił się od stołu tak daleko, jak tylko pozwalało mu oparcie krzesła.

– Co do tego drugiego Indianina na jeziorze. Nie sądzę, aby to pan go zastrzelił, panie Richmond, nie miałby pan raczej czasu na przeładowanie broni.

– On uciekł – wyjaśnił Richmond.

– Może i zaczął uciekać, owszem. Został jednak zastrzelony. Bez cienia prowokacji. Z zimną krwią. Przysięgam panu, panie Richmond, że ktoś za to zapłaci.

Richmond podniósł się z krzesła.

– Daję panu teraz okazję, by uniknąć stryczka – dodał Buchan.

– Sporo muszę jeszcze zrobić przed zmierzchem. Mam nadzieję, że herbatka

panu smakowała.

Wziąwszy pełny do połowy kubek oficera, wylał jego zawartość na klepisko, po czym otworzył drzwi i wyszedł w oślepiający blask popołudnia.

Minął żołnierzy stojących przed chatą i zamaszystym krokiem pomaszerował na brzeg, gdzie Michael Sharpe za pomocą metalowego haka wylawiał pułapki z kotła. Był wściekły; skłął swojego młodego pomocnika i wyrwał mu hak z rąk.

– Wszystko tu spieprzysz – mruknął. – Teraz uważaj.

Przy garnku stało duże drewniane wiadro z warstwą pszczelego wosku unoszącą się na powierzchni wody. Richmond wrzucił gorącą pułapkę do wiadra i odczekał, aż się nieco ochłodzi. Następnie wyciągnął ją powoli, aby pokryła się równą warstwą wosku.

Buchan wrócił z żołnierzami do kutra. Odepchnęli się od brzegu i odpłynęli bez słowa. Sharpe spoglądał na Richmonda, wypatrując jakiegoś znaku mogącego zdradzić mu, co wydarzyło się za zamkniętymi drzwiami, starszy mężczyzna pracował jednak, unikając jego wzroku. Richmond zawiesił świeżo nawoskowaną pułapkę na stojaku na sieci i poszedł po następną.

Dotąd nie był skory do rozmów z nikim – nawet z Tomem Taylorem – o czasie spędzonym na Francuskim Wybrzeżu, o tym, jak marynarka spaliła ich dobytek. Opowiedział o tym Buchanowi, chcąc wytrącić go z równowagi, był jednak zdumiony tym, jak niemiłosiernie ta historia wciąż pali jego samego. Kiedy w St. John's wypuszczono ich z okrętu marynarki, obie rodziny wykupiły miejsca na statku płynącym do Londynu. Pani Taylor opiekowała się matką Richmonda, gdy ta rodziła martwe dziecko pośrodku Atlantyku. Richmond nie widział Anglii od lat; był przerażony brudem i zgiełkiem, na które niegdyś nie zwracał uwagi. Rodziny gnieździły się w dwóch małych izbach nieopodal Tamizy. Pod ich oknem całymi nocami huczały zmierzwione fale ruchu i krzyków. Przez ulice przelewała się swobodnie ciżba ludzi i zwierząt; na myśl o paskudnym błocie, w którym się nurzali, Richmondowi cierpła skóra. Nawet Tamiza była oślizgła, mętna i cuchnąca jak trzęsawisko.

Rano Richmond i Taylor szli z ojcami do portu, gdzie czasami udawało im się najać na dzień przy rozładunku statku z Afryki czy Karaibów. Kiedy roboty nie było, ojcowie albo brali ich do kręgielni, gdzie przegrywali ostatki pieniędzy, albo zasiadali w tawernach i na oczach synów je przepijali.

Pod koniec listopada matka Richmonda zatrudniła się jako mamka i gosposia u pewnej mającej rodziny. Przez następne kilka miesięcy nieczęsto ją widywał. Jej najmłodsze dziecko również potrzebowało jeszcze mleka; wykarmiła je pani Taylor. Jeśli zdarzyło się nawet, że Richmond jeszcze nie spał, gdy matka wróciła do domu, i tak nie zwracała większej uwagi na niego czy na męża. Po ciemku rozbie-

rała się do bielizny i z miejsca zasypiała. Gdy budził się rano, już jej nie było.

Kiedyś zwykła śpiewać dzieciom na dobranoc, lecz tamtej zimy kołysanki, z którymi dorastał – stare walijskie pieśni, tak przepiękne, że wprawiały go w zakłopotanie – zniknęły na dobre, a strata ta przeszła niemal niezauważona pośród fali zmian, która zalała ich w Anglii. Kiedy rodzice podjęli decyzję, że na wiosnę znów płyną na Nową Fundlandię, Richmond spodziewał się, że ich życie wróci do normy. W dużym stopniu tak właśnie się stało, wyglądało jednak na to, że walijskie pieśni, które matka nosiła w sobie od dzieciństwa, obumarły w niej tak samo jak córeczka urodzona na Atlantyku i spoczywająca już w jego wodach. Richmond nie nauczył się nigdy jej ojczystego języka, nie licząc kilku słów; potrafił przywołać wyłącznie najdrobniejsze strzępy melodii i tekstów, choć tego, co czuł, gdy je słyszał, nigdy nie zapomniał. Podobnie jak tamto martwe dziecko, pieśni stanowiły pustkę w życiu Richmonda – pozbawione twarzy, bezimienne, utracone.

DZIESIĘĆ

John Senior ocknął się w ciemności, wybudzony przez własny krzyk, przez stłumiony trzepot ramion. Wpatrywał się w czern, ciało miał zlane potem; oddech rwał się w gardle, szarpiąc je jak ciernista gałąź. Słyszał bicie własnego rozszalałego ze strachu serca – niczym obłąkańcze ujadanie psa uwięzionego za zamkniętymi drzwiami. Zza otwartego okna dobiegało szuranie fal. Zawsze zaskakiwało go to, jak suchy jest ten dźwięk – jakby jesienią ktoś szedł przez opadłe liście. Obrócił się do okna w nadziei, że dojrzy choć nikły ślad brzasku, mogący dać mu pretekst do podniesienia się z łóżka.

Usłyszał kroki pod swoją sypialnią, stłumioną krzątaninę w kuchni. Cassie już wstała i poszła rozpalić ogień. Ubrał się w ciemności i zszedł po omacku do kuchni, gdzie zastał ją klęczącą przy palenisku i dogładającą świeżego płomienia.

– Obudziłem cię.

Odwróciła się od słabowitej poświaty, by popatrzeć na mężczyznę stojącego w drzwiach. – I tak już byłam na nogach – odparła. To było ich stare kłamstwo; on nigdy go nie zakwestionował. Wypełniła czajnik wodą i zawiesiła go nad paleniskiem. – Herbata będzie za chwilę, *now the once*.

Skinąwszy głową, sięgnął po opróżnione przez nią wiadro oraz drugie, stojące nieopodal, i poszedł do potoku po wodę. Gwiazdy wciąż świeciły jasno. Na ziemi tajały właśnie srebrzyste krople zamarzającego deszczu, który musiał spaść w nocy. Wiszący w powietrzu ziąb sprawił, że skóra na ramionach wydała mu się za ciasna. Strumień ze słodką wodą przepływał o jakieś pięćdziesiąt jardów od domu i ze szmerem uchodził do oceanu w głębi zatoczki. Staruszek szedł ku jego jednostajnemu pomrukowi, stąpając po ścieżce tak ubitej, że była już twarda jak skała. Na brzegu rzeczki zanurzył wiadra i napełnił je ciemnością, balansując na

kamieniach. Zanim ruszył w drogę powrotną, odwrócił się w stronę morza i popatrzył na nierówny pas lądu osłaniający zatokę.

Po raz pierwszy stanął na północno-wschodnim wybrzeżu jako siedemnastoletni chłopiec. W kwietniu 1766 roku przyłynął z Harrym Millerem z Poole. Wyszli na Fogo i popłynęli słupem Millera do zatoki Exploits, której wybrzeże, przesłonięte przez bezładną flotę mniejszych wysepek, stanowiło wtedy dziką połąkę lądu, prawie niezamieszkałą przez Europejczyków. Przygarbione grzbiety granitu, ciemne plamy świerczyny rozciągnięte na ziemi niczym skóry zwierząt. Ledwie ukryte pod powierzchnią skaliste wysepki, tnące wodę w białe grzywy. Na ziemi wciąż leżała większość śniegu z zimy, można więc było odnieść wrażenie, że kraina ta jest zupełnie wyzuta z barw, nie licząc bieli, wilgotnej czerni lasu oraz różnych odcieni szarości przyjmowanych przez ocean, mgły i skały. Samo przemieszczanie się w głąb tej surowej ziemi sprawiło, że serce zakołatało mu mocniej w piersi. Poczul, że może wszystko.

Między wyspami było tak niewiele żeglownej przestrzeni, że nie sposób było płynąć w jednym konkretnym kierunku. Miller ciągle robił zwroty, kręcąc słupem po gmatwaninie poszarpanych skał i ukrytych pod powierzchnią głazów, tak jakby wymyślał kurs na bieżąco. Ostatecznie rzucili kotwicę właśnie w tej zatoczce, na którą ponad pięćdziesiąt lat później John Senior patrzył, nabierając wodę. Wtedy stała nad nią tylko parterowa buda ze świerkowych żerdzi o oknach pozabijanych deskami. Wysoko na plaży leżały do góry dnem dwie łodzie, wyciągnięte z wody i przykryte płócienną płachtą oraz warstwą świerczyny. Za chatą wznosił się nierówny pierścień wzgórz, otulony gęstniejącym szalem mgły.

Miller stanął przy relingu i rozpiął spodnie, by odlać się do zatoki. – I jak się ona panu widzi, panie Peyton? – zapytał.

John Senior nie miał pojęcia, czy mężczyzna ma na myśli zatokę, nędzną szopę czy też może całą tę krainę. – Zdaje się, że nawet może być... – odparł ostrożnie.

Miller burknął. Zapiąwszy spodnie, splunął do wody. – Dziwka z niej i tyle – oznajmił. A więc mówił o tej ziemi, o samej krainie. – Rozłoży przed tobą nogi, ale będziesz musiał za ten przywilej zapłacić, nie zapominaj o tym. – Uśmiechnął się do niego. Sam najwyraźniej nie miał nic przeciwko podobnym układom. Cieszył się, że tam wraca. Mgła odcięła zatoczkę, zasnuwając widoczne na dalszym planie wzgórza.

Było w tym wspomnieniu coś, co sprawiło, że zgroza koszmaru wróciła do niego jak fala przyływu. Zdawał sobie sprawę, że przywłókł ją ze sobą przez Atlantyk ze starego kraju. Przez wiele lat trwała w uśpieniu, a on sądził, że już z niej wyrósł lub wziął ją jakoś na przeczekanie, tak więc na jakiś czas nawet zupełnie o niej zapomniał. Wróciła jednak do niego, jeszcze zanim syn wyprowadził się z Poole, a potem z biegiem lat stawała się coraz bardziej natarczywa. Sam sen

zmieniał się tylko o tyle, że z czasem robił się coraz bardziej mętny i mniej konkretny. Stawał się coraz ciemniejszy, niczym tkanina farbowana kolorami minionych pięćdziesięciu lat, a plama ziała coraz głębszą i bardziej złowieszczą barwą. Za każdym razem wymachiwał ramionami, dłonie zaciskały się w pięści albo chwytaly jakiś zimny i twardy przedmiot, a on bił coś bezradnego, coś leżącego pod nim, coś absolutnie bezbronnego. Zawsze budził się z koszmaru z wrzaskiem, błagając sam siebie o litość.

Odwrócił się od potoku i pomaszerował pod górę tak szybko, jak tylko pozwalał mu niesiony ciężar, po drodze chlapiąc na boki wodą z obu wiader.

Cassie i John Senior zostali w domu sam na sam po raz pierwszy od kilku miesięcy. Jedli w ciszy przerywanej tylko postukiwaniem i skrobaniem sztućców oraz miarowym pstrykaniem szczęki Johna Seniora; odgłosy jego przeżuwania przywodziły na myśl tykanie zębátky odmierzającej czas. Dopóki Buchan był u nich, staruszek zdawał się nie przejmować jego wścibstwem. Nie wspominał również o oficerze od czasu, gdy tamten wypłynął z Johnem Peytonem i Mary, lecz jak Cassie sięgała pamięcią, jego gburowaty sposób bycia nie wydawał się jeszcze nigdy aż tak dojmujący. Nie chciał rozmawiać nawet o pogodzie czy o tym, jak danego dnia idzie praca. Nocami Stara Wiedźma zazwyczaj wywlekała go ze snu, tak że budził gospodynię swoimi wrzaskami.

Cassie zawsze cechował rygorystyczny brak dociekliwości co do myśli, życia osobistego czy przeszłości starca. Jej przywiązanie do Johna Seniora było czyste i nieskomplikowane – rzecz ograniczona, lecz autentyczna – i niezmiennione przetrwało wiele lat. Swego czasu podsłuchiwała wystarczająco dużo urywków rozmów, by zdawać sobie sprawę, że brał udział w ostrych porachunkach na wybrzeżu, bez dodatkowych szczegółów mogła się jednak obejść. A w zasadzie świadomie wybrała obchodzenie się bez nich. Poruszała się przy nim jak koń z klapkami na oczach, idący po wydeptanej ścieżce i niezerkający w lewo czy w prawo. Wystarczało jej to, że w stosunku do niej jest uczciwy i szczerzy, że jego upodobanie do trunków nigdy nie doprowadziło go do napadów płaczu czy nerwowego chodzenia po pokoju i dukania czegoś pod nosem. Że nigdy jej nie tknął.

Tym razem przyglądała mu się jednak, słysząc w głowie pytanie, którego żadnym sposobem nie potrafiła przegnać. Wiedziała, że nie może zadać go wprost, więc pewnego wieczora, przyniósłszy mu herbatę, zapytała: – Dlaczego Czerwoni zabili Harry'ego Millera?

John Senior zaczął wiercić się w fotelu. – Nie sposób stwierdzić, dlaczego ta banda postępuje tak, a nie inaczej.

Przyjrzał jej się uważnie, jakby coś w jej wyglądzie – włosy albo kolor oczu – uległo zmianie, a on za nic nie był w stanie tego określić.

- Joe Reilly powiedział, że z Millera był srogi, zawzięty człowiek.
- Sroższego w życiu nie widziałem. Historii, które mogłyby wyjaśnić niechęć Indian do niego, jest bez liku. A żadna z nich nie nadaje się dla kobiety, Casie.
- Wiem, że na tym wybrzeżu dochodziło do różnych okrucieństw.
- John Senior pokręcił głową. – To, co wiesz, niewarte jest funta zgniłej ryby.
- Powiem, jeśli będę miała dosyć.
- Chyba chciałbym dostać do tej herbaty kropelkę rumu.

Jesienią 1781 roku grupa Beothuków opóźniła podróż w górę rzeki do zimowego obozowiska i odczekała, aż Harry Miller opuści swój dom na Burnt Island. Wybrał się do St. John's z połowem z całego sezonu, a stamtąd miał popłynąć do Poole. Nieczęsto wracał już do Anglii, tym razem zrobił jednak wyjątek, by pojawić się na ślubie swojego współnika.

Pewnej widnej nocy pod koniec września – po tym, jak Miller z pracownikami przybili deski na oknach, postawili żagle i odpłynęli słupem wyładowanym beczkami suszonego łososia – Indianie rozniecili ognisko przed progiem, odpalili od niego długie pochodnie wykonane z kijów o końcach owiniętych suchymi trzcinami, a następnie otoczyli budynek i podłożyli ogień. Pokrzykiwali na płomień i śpiewali, podczas gdy drewno trzaskało, a szyby pękały i topiły się za prowizorycznymi okiennicami. Dym buchał z komina, a w końcu zaczął sączyć się i przez strzechę. Ogień wznosił się na strzelających w noc pnączach pieśni Beothuków, aż ponad budynkiem wyrosło piętro czerwonego blasku. Kiedy ściany runęły, Indianie przywlekli z plaży dwie odwrócone łodzie i wrzucili je w ogień.

Do następnego wieczora kwadrat węgla i popiołu ostygł na tyle, by dało się go przetrząsnąć, Beothukowie zaczęli więc obracać końcami pochodni spalone drewno, potrzaskane szyby, popękana porcelanę i strzępy skór. Długie bretnale o kwadratowych łebkach, na które polowali, były poczerniałe od sadzy i wciąż zbyt gorące, by można je było podnieść gołą ręką. Przerzucili je na sterty i pozostawili na kolejną noc, by ostygły. Inne metalowe drobiazgi – okopcone garnki i sztucce, mosiężne guziki i kilka sprzączek, żeliwny hak znad paleniska – również zebrali. Wszystkie te zdobycze zostały spakowane i zanesione do obozu zimowego, gdzie przekuto je na użyteczne dla Indian narzędzia, uwiązano do rzemieni w charakterze biżuterii lub po prostu wywieszono jako trofea.

Miller z Johnem Seniosem stali przy relingu swojego słupu, który przezimował w St. John's. Starszy ze współników nucił sprośną przyśpiewkę o nocy poślubnej – piosnkę, którą wykonywał regularnie podczas całej podróży z Anglii. W jego

interpretacji tej melodii nie kryła się złośliwość; wyglądało to na rzecz niemal nieświadomą. Od czasu do czasu przychodziła chwila opamiętania, a wyśpiewywany przez niego tekst oraz świeżo zmieniony stan cywilny towarzysza stykały się w jego umyśle. – Ojej – mówił, klepiąc Johna Seniora po plecach.

Śpiewał akurat: „zadek miała biały jak nocniczek”, gdy opłynęli przylądek, za którym niegdyś stał dom. Resztki śniegu leżały jeszcze na poczeriałych zgliszczach, można więc było odnieść wrażenie, że budynek po prostu zniknął. Przez chwilę Miller sądził, że pomylił swoją zatoczkę z Cox’s Cove, co oznaczałoby, że ma przed sobą jeszcze pół dnia drogi. – Ojej – wymusnęło mu się.

John Senior przygotował się na klepięcie po plecach. Zdziwiony, że dłoń współnika nie opadła na jego łopatki, podniósł wzrok i popatrzył w punkt, w który wpatrywał się Miller. – Co za skurwysyny – powiedział.

Przez całe lato Miller rozpamiętywał swoje straty w charakterystyczny dla siebie, myląco pogodny sposób. Podczas pracy gwizdał i nucił coś pod nosem, komponując w myślach nowe przyśpiewki do starych melodii i wykonując je z taką regularnością, że zaczęły wracać do niego nieproszone i niemal niezauważone. Raz w miesiącu John Senior na kilka dni płynął łodzią wiosłową na Burnt Island, by pomagać Millerowi przy budowie nowego domu. Większość każdej nocy spędzali, pijąc we dwóch. Pod koniec flaszki Miller serwował zwykle gościowi wszystkie nowe piosenki, które ułożył od ostatniego spotkania. – Słuchaj tego, słuchaj tego – zachęcał Johna Seniora, wznosząc palec wskazujący ku powale.

Posłuchajta, Indiany, co spaliły mi dom,

Wyzdychacie wnet marnie jak gnida z tą wszą.

Mam tu kule i proch, strzelbę nabiję w mig,

Jak was wreszcie dopadnę, nie ostanie się nikt. Hej!

Słyszając dziecinne rymowanki Millera, John Senior przyjrzał mu się z wypisanym na twarzy pijackim grymasem obrzydzenia, który autor błędnie zinterpretował.

– Nie udawaj, żeś ode mnie świętszy, panie Peyton. Gdyby chodziło o twój dom, nie zaczekałbyś nawet do jesieni, żeby porachować się z tymi suchymi synami.

Pod koniec września 1782 roku, między zakończeniem letnich połowów a początkiem sezonu łowieckiego, Miller z Johnem Seniorem i Williamem Cullem – który odwiedził ich w drodze do St. John’s – powiosłowali do Ship Cove i urządzili sobie wypad w górę rzeki Exploits. Było jeszcze przed pierwszymi znaczącymi opadami śniegu, a do szczytu wędrówek karibu zostało dobrych kilka tygodni,

spodziewali się więc spotkać Czerwonych Indian dość daleko od jeziora. Każdy niósł muszkiet, bagnet i siekiere, a do tego plecak obciążony ośmioma funtami cukru, kawałem peklowanej wieprzowiny, amunicją i kwartą rumu. Pogoda była marna, padało i wiało, robili więc skromne postępy, sunąc powoli przez gęstwinę porastającą brzegi rzeki. Po trzech dniach usłyszeli głosy Indian obozujących przy plaży nad niewielką zatoczką. Podkradli się dość blisko, by dojrzeć cztery *mamateeki* na polanie, kilku Beothuków kucających pośród kanu nad wodą oraz skóry kariibu rozciągnięte na brzegu. Każdy z białych zdjął plecak i nabił muszkiet. John Senior wsypał do lufy trzydzieści sześć kul. Miller posłał mu swój poprzecinany szpami uśmiech. Sam ubił w swojej broni dziesięć palców prochu. – Nie ma co szczędzić ognia – mruknął.

Gdy tylko biali pokazali się na polanie, Indianie rzucili się z krzykiem w stronę lasu. Miller z Cullem zaczęli strzelać do uciekających postaci, John Senior wypalił natomiast wprost w *mamateeki*, wachlarzem kul rozrywając pokrycia z kory. Podczas gdy przeładowywał broń, mężczyźni i kobiety zaczęły wysypywać się z namiotów, biegnąc lub kuśtykając ku drzewom. Niektórzy nieśli na rękach dzieci.

W ciągu paru chwil nagły wybuch zgiełku i zamętu przeistoczył się w ciszę przerywaną wyłącznie stłumionym płaczem i pojękiwaniami dobiegającymi z *mamateeków*. Trzej biali ostrożnie skontrolowali namioty – na zmianę wchodzili do środka po dwóch, podczas gdy trzeci zostawał na straży na zewnątrz. W jednym z wigwamów znaleźli staruszka, który dostał kulą w bebechy i nie był w stanie się podnieść. Siedział, trzymając na kolanach potrzask, który widocznie przekuwał akurat na kamieniu. Krew spływała mu między palcami przyciśniętymi do brzucha, plamiąc czerwienią samotrzask oraz poły skórzanego płaszcza. Indianin wpatrywał się w stojących przed nim nieznanym, z trudem wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Płakał, a pomiędzy wdechami wystękiwał w kółko pojedynczą sylabę.

– Jak ci się zdaje, Miller, co on takiego mówi?

– Zielonego pojęcia nie mam. Za to założę się o dwa porządne wiosła, że to jest jedna z naszych pułapek.

John Senior dał krok do przodu i nachylił się, by podnieść potrzask. W tym momencie Indianin wykonał krótki, wściekły ruch i trzasnął białego w twarz, rozcinając mu ucho. Zanim Miller zdążył się oddalić i unieść muszkiet, John Senior wyrwał pułapkę z rąk Indianina i zaczął okładać go nią po głowie. Staruszek skulił się na ziemi i wzniósł rękę, bezskutecznie próbując osłonić się przed ciosami, zaraz stracił jednak przytomność, a John Senior tłukł go ostrą metalową krawędzią, dopóki nie ogarnęło go takie wyczerpanie, że nie mógł już unieść pułapki. Stał nad trupem, próbując złapać oddech. Przez długie rozcięcia w skórze Indianina wyzierała potrzaskana czaszka; kilka żółtych odłamków kości wylądowało na butach Johna Seniora. Spodnie miał obryzgane krwią.

Miller przez jakiś czas przyglądał mu się w milczeniu, aż wreszcie odezwał się: – Ten stary skurwiel miał wszystkie zęby. – Przeciągnął językiem po szeregu szczelin w swoich ustach, przywodzącym na myśl dziury po brakujących sztachetach w płocie. – Widziałeś je, John? Mnie się zdaje, że to wielka niesprawiedliwość.

– Zamknij się, Miller – rzucił John Senior. Dotknął ręką ucha i obejrzał swoje palce, nie miał jednak pojęcia, czy krew, którą zobaczył, należy do niego, czy też do starego Indianina leżącego u jego stóp.

W stojących nieopodal namiotach znaleźli zapas mięsa, w ostatnim zaś dwie skulone kobiety. Starszą śrut okulał tak, że nie dała rady pokuśtykać do lasu; młodsza została przy niej. Mężczyźni rozniecili ogień i upiekli sporą porcję karibu, John Senior poczuł jednak, że nie jest w stanie zjeść posiłku. Usiadł nieco z boku, podczas gdy Miller z Cullem oblizywali i ssali świeże mięso, obcierając rękawami ciekące im po brodach soki. Nigdy nie przepadał szczególnie za swoim współnikiem, lecz siła obrzydzenia, które ogarnęło go, gdy patrzył, jak tamten je, wprawiła go w zdumienie i zmieszanie. Nagle poczuł mdłości i wyszedł na świeże powietrze.

Miller popatrzył za nim i wzruszył ramionami. – W takim razie jedzenia starczy dla wszystkich – oznajmił kobietom. Młodsza unikała ich wzroku, wpatrując się ciągle we własne kolana, starsza była jednak hałaśliwa i bojowa. Gdy Miller podsunął jej na kiju kęs mięsa, splunęła na nie i obrzuciła męczyznę strumieniem niezrozumiałych inwektyw. Twarz miała pociemniałą od czerwonej ochry oraz sady zebranej nad setkami ognisk.

– No, stary kocmołuchu – mruknął Miller – zepsułaś kawał dobrego mięsa.

Następnie podsunął go młodszej kobiecie, wciąż nieodrywającej wzroku od swoich nóg. Trącił ją mięsem w brodę, zostawiając na niej ciemną smugę.

– Masz ochotę na deserek? – spytał Culla.

John Senior zaczął zwijać skóry karibu w tłumoki i przywiązywać je do swojego plecaka. Ciała zabitych leżały wokół niego i zaraz poza obozem. Skupiał się wyłącznie na swoim zajęciu, nie chcąc nawet szacować, ilu Indian zabili; wołać nie odgadywać ich wieku. Przyciągnął znad wody kanu z brzozy kory i wepchnął je w wejścia opustoszałych *mamateeków*. Z zajętego jeszcze namiotu dobiegały dziwne szmery i stęknienia, a do tego szloch kobiety. Kiedy Miller pokazał się na zewnątrz, zapiał spodnie, podśpiewując ślubną piosenkę, którą zadreślał Johna Seniora w drodze przez Atlantyckie Przeszedł przez polanę i zbliżył się do współnika. – Pan Cull postanowił – oznajmił uroczyście z nutą szyderstwa w głosie – że zachowa wstrzeźliwość. – Skłonił się lekko i wskazał namiot, dwornie wywijając dłonią. – Masz ją pan całą dla siebie, sir Peyton.

John Senior czuł od niego ten zapach – soki z przypalonego mięsa, bagienne woń nasienia, do tego ostre, namacalne wręcz przerażenie Indianek. Posłał Millero- wi wymowne spojrzenie, po czym wrócił do pakowania plecaka.

– To tylko dowodzi – skwitował Miller gniewnie – że małżeństwo pozbawia mężczyznę wszelkich przyjemności w życiu. Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Zanim odeszli, podpalili namioty. Kobiety wyprowadzili na zewnątrz; przez chwilę roztrząsali możliwość zabrania ich na wybrzeże, John Senior nie chciał jednak o tym słyszeć. Skulone w swoich objęciach Indianki zostały na polanie, siedząc we wściekłym blasku plecami do posepnych mężczyzn, wycofujących się spacerkiem.

W trakcie opowieści Johna Seniora Cassie naląła szklanek także dla siebie. Przez wszystkie lata, które spędziła w jego domu, nie widział, aby tknęła choć kroplę alkoholu; wyglądało to na wyraźną zapowiedź, że wszystko, co dotąd znał, niebawem zmieni się diametralnie. Napelnił swoją szklanek i dolał również jej. Przez chwilę pili w milczeniu. Poczuli się płochy i lekkomyślni. Mówiąc, wciąż żywił nadzieję, że Cassie mu przerwie; czekał, kiedy powie, że usłyszała już dość. Ona jednak pozwoliła mu dokończyć. Dotąd nie opowiedział tej historii nikomu, choć inni nieraz snuli różne jej wersje w jego obecności. Był zaskoczony tym, jak wyczerpująca okazała się jego relacja – jak niewiele ocenzurował w obecności Cassie – jakby już przed laty ułożył te słowa w głowie i tylko czekał na okazję, by je wypowiedzieć.

Cassie obracała szklanek rumu w dłoni. Kilkukrotnie chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się z obawy, że głos zacznie jej się łamać. Pociągnawszy szybki haust trunku, odezwała się, jeszcze zanim grymas opuścił jej twarz: – Nie miałam pojęcia.

Zbył to lekceważącym gestem, a po chwili wyciągnął rękę, by dotknąć jej przedramienia. Cassie opadła na oparcie krzesła, odsuwając się od mężczyzny i kręcąc głową.

– Mary powiedziała mi o drugim Indianinie zabitym na jeziorze – powiedziała. – On wie.

– Kto?

– Kapitan Buchan.

– Ten człowieczek...

Cassie zacisnęła szczęki. – Czy to ty go zabiłeś? – syknęła przez zęby.

Staruszek zerknął na nią przelotnie i ukrył twarz w dłoniach.

Pokiwała głową. Wstała i zaczęła ustawiać talerze na stosie, by zabrać je ze stołu.

John Senior przycisnął dłońmi oczy tak mocno, że ujrzał pod powiekami biel gwiazd. Pomyślał, że w tym brzęku – w sposobie, w jaki kobieta obchodzi się z naczyniami i sztucami – kryje się zuchwała pretensja. Cassie wyciągnęła rękę ponad stołem i sięgnęła po talerz leżący między jego łokciami. Skrzyżował ramiona przed

sobą; przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem. Dostrzegł w jej twarzy cząstkę tego samego zniechęcenia i szyderstwa, które wykrzywiło oblicze matki tamtego dnia, gdy zastała go czyszczącego pieluchę w pokoju ojca. Jej szyję i twarz znaczyły wtedy głębokie odciski po śnie na szorstkiej słomianej poduszce. Chciał wyjaśnić Cassie, że to właśnie żywe w nim wciąż cierpienie matki sprawiło, że wystosował zaproszenie, w wyniku którego trafiła nad zatokę Exploits.

– Wiesz, dlaczego przyszedłem do ciebie w St. John’s?

Cassie gniewnie pokręciła głową. – Ty nie masz zielonego pojęcia, dlaczego wyjechałam. Dlaczego zostałam tutaj.

Wpatrywał się w nią. – A to co ma znaczyć? – spytał. Ujrzał Cassie jako młodą kobietę stojącą przed nim w domu przylegającym do tawerny, gdy proponował jej pracę na północno--wschodnim wybrzeżu. W powietrzu ponownie zawisło tamto stare pytanie, wciąż bez odpowiedzi. *Po żonę czy po córkę?*

Nie wiedział, co myśleć o fakcie, że Cassie i John Peyton ostatecznie nie połączyli się w parę – z czasem stało się jasne, że nigdy do tego nie dojdzie – ani kogo za to winić. A potem, gdy zobaczył ją pośrodku kuchni w domu letnim, stojącą nago w kąpielni słonecznego światła, w nim samym zapłonęło pożądanie. Wciąż pamiętał spojrzenie, które mu wtedy posłała, bezceremonialne i dwuznaczne, nie potrafił jednak stwierdzić, czy stanowiło ono zaproszenie, czy wyzwanie. Ta niepewność sprawiła, że odwrócił się wtedy od Cassie i nigdy potem nie pozwolił sobie na nic więcej niż bezsenne leżenie nocami i rozmyślanie o niej. Nawet to napełniało go niewspółmiernie wielkim wstydem; w swojej ciemnej sypialni wycierał uda i brzuch koszulą, a rano nie był w stanie spojrzeć Cassie prosto w oczy. *Żona czy córka? Żona. Córka.*

Powietrze uszło mu z płuc. Miał wrażenie, że spadł z wysokości na plecy i jest zbyt oszołomiony, aby się ruszyć.

– Słodki Jezu – szepnął. – Cassie, twój ojciec chyba nie...

– Oczywiście, że tak – odparła. – Ma się rozumieć.

To pogardę usłyszał w jej głosie. Jakby potraktowała jako zniewagę fakt, że musi wypowiedzieć głośno coś tak oczywistego. Dźwignęła stos talerzy ze stołu i pomaszzerowała do spiżarni. Zdawał sobie sprawę, że już podjęła decyzję o odejściu.

– Byłem dla ciebie dobry! – krzyknął za nią.

JEDENAŚCIE

Nad jazem Reilly’ego żołnierze marynarki wylegiwali się na piaszczystej plaży, wychwytyjącej i utrzymującej zaskakująco silne ciepło popołudniowego słońca. Większość pościagała buty oraz skarpety i okryła twarze chustkami. Żeliwny kociołek wisiał nad ogniem na zaimprovizowanym stojaku.

Buchan zastał Mary i Peytona przed chatą w towarzystwie Josepha Reilly'ego, Annie Boss i trojga ich najmłodszych dzieci. Mężczyźni siedzieli na pieńkach i rozmawiali o czymś, nachyleni do siebie, dopóki nie zobaczyli oficera. Gdy Buchan się do nich zbliżył, Reilly wstał. Indianki siedziały na ziemi z maluchami. Jeszcze nigdy dotąd nie widział Mary tak ożywionej. Troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopiec, wdrapywało jej się na kolana, a ona pieściła je, droczyła się z nimi, klaskała na nie językiem.

– I jak pańska wizyta u Richmonda? – spytał Peyton.

– Mniej więcej tak, jak się spodziewałem.

Peyton skinął głową, po czym mężczyźni oddali się pogawędce o powodzeniu Reilly'ego w połowie łososi oraz spekulacjom, czym też może ich zaskoczyć nadchodząca zima. Mary zniknęła gdzieś na chwilę i wróciła z długimi pasami suchej brzozonej kory, zerwanymi ze szczap ułożonych pod chatą. Podczas gdy biali rozmawiali, oddzieliła cienką wewnętrzną warstwę i złożyła ją na pół, na czworo, na ośmioro. Mówiła do dzieci w swoim ojczystym języku – dla nich niezrozumiałym – co jakiś czas wtrącając parę słów po angielsku.

– Czekać – nakazała, po czym wcisnęła skrawek kory między zęby, obróciła go i ugryzła, rozłożyła jedno zagięcie i ugryzła ponownie. Gdy skończyła, wyciągnęła go przed siebie i powoli rozprostowała wszystkie zagięcia na oczach dzieci, wpatrujących się w nią w absolutnym milczeniu i bezruchu. Mężczyźni również przerwali rozmowę i odwrócili się w jej stronę. Ich oczom ukazał się szczegółowo odwzorowany kontur kwiatka.

Dzieci zakryły twarze dłońmi, dorośli nagrodzili ją oklaskami. Mary złożyła kolejny fragment kory i w identyczny sposób wykonała sylwetkę namiotu. Potem pojawiło się kanu, później wiosło. Zdawało się, że na chwilę zapomniała o swoim położeniu, pogrążona w dziecięcej zabawie, którą w młodości ćwiczyła tysiące razy. Mężczyzna z indiańskimi raketami na nogach. Zagajnik.

– Poprosiliśmy Annie, żeby w miarę możliwości poradziła coś na to rżenie w brzuchu Mary – powiedział Peyton.

Indianka *Mi'kmaq* popatrzyła na oficera. Przeciągnęła dłońmi po całej długości ud. – Postawiłam coś na ogień, niech trzyma przy skórze, jak dziś pójdzie spać.

Wiedzieli, że jeśli to suchoty – co wszyscy podejrzewali – nic nie można już dla niej zrobić. Nikt jednak nie powiedział tego otwarcie.

– Żałuję, że nie wziąłem na ten wypad okrętowego lekarza, bo byłby zainteresowany tym, co tam się szykuje – oznajmił Buchan.

– Żadna tajemnica – roześmiała się Annie Boss. Dźwignęła się na nogi. – Niech spojrzy.

Weszli do środka z jednym z dzieci Annie. W chacie pachniało świerkową żywicą, solanką i potażem. Z głębi izby dobiegało kwilenie; pod drewnianą ławą leżała suka ze świeżym miotem szczeniąt. Buchan przykucnął, by im się przyjrzeć.

Młode miały wciąż zamknięte oczy, tuliły się do brzucha matki, walcząc o sutki. Suka warknęła na buty Buchana.

– Dziś nie w humorze – ostrzegła Annie. Stała przy palenisku, spoglądając na córkę uczeponą u spódnicy. – Czasem rozumiem, co czuje. – Roześmiała się, na chwilę zakrywając dłonią twarz dziewczynki. Gdy wypowiedziała kilka słów w języku *Mi'kmaq*, córka wybiegła w podskokach na zewnątrz.

Buchan podniósł się i przeszedł przez izbę. Kociołek wiszący na haku był wypełniony mieszanką liści i korzeni gotujących się w wodzie. Annie zamieszała wywar i wyjęła z niego nieco zieleniny.

– Zawinie w szmatkę – zaleciła. – Ułóży tutaj. – Dotknęła swojego mostka otwartą dłonią.

– Kataplazm – stwierdził Buchan, kiwając głową. – Na co jeszcze pomaga?

– Zła głowa, połamana kość. Sparzenie. – Annie się uśmiechnęła. – Jak położyła na rękę Joe Jepa, od razu się wyleczyło.

– Na rękę twojego męża? – spytał Buchan. Jego wyraz twarzy uległ zmianie, dociekliwość nagle wyostrzyła się i zogniskowała. – Jak dawno to było, Annie?

– Jakeśmy zapoznali, to już całe lata. John Senior przyprawia go do White Bay, a ręka cała czarna, zły, zły zapach, uch – opowiadała, machając wolną dłonią przed twarzą.

– A mówił, co mu się stało w rękę?

Uśmiech Annie zamigotał niczym płomień świecy wniesionej w przeciąg. Zajrzała znów do garnka pełnego gotujących się liści. – Liść wierzby i sylfia – oznajmiła, wskazując je warząchwią – kora z sękaty jodły.

– Annie.

Znów spojrzała na białego mężczyznę. Wciąż się uśmiechając, wycelowała w niego końcówką łyżki. – Joe Jep dobry człowiek – powiedziała.

Tamtego wieczora Joseph Reilly przygotował im na kolację smażonego łosia w skrawkach słoniny z gotowanymi ziemniakami. Dopiero co wykopane z ziemi bulwy zostały obficie podlane świńskim tłuszczem ze smażoną cebulą. Talerze wytarli do czysta kawałkami świeżego, ciemnego chleba. Na ogniu grzał się nieustannie spory garnek czarnej herbaty. Żołnierze obozujący na plaży musieli zadowolić się potrawką z ogonów łososi.

Mary nie miała apetytu i siedziała z najmłodszymi dziećmi na podłodze. Trzymały na kolanach ślepe szczenięta, a suka siedziała przy nich, wierząc się niespokojnie i pojękując. Kolejno wtulała długi pysk między nogi każdej z osób, by powąchać i polizać młode, po czym podnosiła nos, jakby węszyła coś w powietrzu. Mary przemówiła do psa tak samo jak do dzieci – śpiewną mieszanką angielszczyzny i języka Beothuków – a zwierzę przekrzywiło łeb, posłuchało jej przez chwilę,

a następnie wstało i zaczęło szczekać w odpowiedzi.

Ludzie siedzący przy stole obrócili się na moment w stronę hałasu, po czym wrócili do rozmowy.

Annie Boss opowiadała właśnie, że dorastała na terytorium Czerwonych Indian, ale tamci od Mikmaków trzymali się z dala, podobnie jak od białych. Nie zobaczyła żadnego z nich na oczy aż do dziesiątego roku życia, kiedy to z matką, ojcem i bratem płynęła jedną z rzek w okolicach Grand Lake. Ojciec był na polowaniu; ubili i poćwiartowali karibu, a rozebrane mięso leżało upakowane między nimi w kanu. O zmierzchu dostrzegli wśród drzew płomienie i dobili do brzegu nieopodal tego miejsca. Podkradłszy się do ogniska przez olchowe zarośla i świerczynę, ujrzeli namiot Czerwonych Indian. Ojciec podszedł do wejścia i odciągnął skórzaną płachtę. Siedziała tam para staruszków, chłopiec będący już niemal mężczyzną oraz dziewczynka mniej więcej w wieku Annie. Piekli na patykach trzy maleńkie sójki i wszyscy wyglądali na... – Annie urwała i powiedziała do Reilly’ego parę słów w języku *Mi’kmaq*.

– Zagłodzonych – powiedział. – Wygłodzonych.

Annie przytaknęła. Powiedziała, że wyglądali na wygłodzonych. Z początku nie dawali znaku życia; żadnego ruchu, żadnego dźwięku, jakby sądzili, że jeśli dostatecznie długo tak wytrwają, to może goście sami odejdą. Ojciec uśmiechnął się do nich i wykonał parę uspokajających gestów, a po kilku minutach porozumiewania się na migi młody mężczyzna poszedł z rodziną Annie do ich kanu. Wyjąwszy z łodzi kilka sztuk mięsa, zanieśli je do *mamateeku*. Upiekli udziec i zjedli go wspólnie, a w toku rozmowy ustalili, że mieszkańcy namiotu nie mieli szczęścia w polowaniu na karibu, a bali się zapuszczać zbyt daleko na otwartą przestrzeń.

Rano ojciec zostawił sporą część mięsa rodzinie Czerwonych Indian. Przyniósł do *mamateeku* również strzelbę, którą zamierzał im ofiarować. Próbował pokazać im, jak się nabija broń i strzela, nie chcieli jej jednak nawet dotknąć i zdawali się przerażeni samą jej bliskością. Ojciec był tym sfrustrowany; nie ustawał w prezentacjach i zachętach, dopóki matka Annie sama nie wyjęła mu strzelby z rąk i nie odniosła jej nad wodę. Późnym rankiem zostawili rodzinę w mniej więcej tym samym stanie, w jakim ją zastali.

Przy stole zapadło długie milczenie.

– Od czasu do czasu zdarzało im się tutaj podchodzić – powiedział Reilly, kiwając głową w stronę rzeki. – W poszukiwaniu paru łososi.

– Czerwonym Indianom? – zapytał Buchan.

Reilly przytaknął. – Nie szukali zwady.

– Czerwoni żyli z tym tutaj w dość przyjaznych stosunkach, kapitanie – wyjaśnił Peyton. – Podchodzili do jego jazu i wybierali sobie ryby. Zwracali się do niego po imieniu.

Buchan wyprostował się na krześle. – Dlaczego dotąd nie zostałem o tym po-

wiadomiony?

Reilly się roześmiał. – Powiedzmy, że nie wpłynęłoby to najlepiej na moją reputację na wybrzeżu, gdyby było powszechnie wiadome.

– Wciąż tutaj przychodzą?

– Sam pan wie, że nie ma ich już w tych okolicach tyłu, co niegdyś. A ci, co zostali, z nikim nie utrzymują kontaktów.

– No tak... – powiedział Buchan. Na jego twarzy pojawił się ledwie dostrzeżalny uśmiech. Zdawał się czymś zakłopotany. – Trudno dziś stwierdzić, komu można zaufać, nieprawdaż?

Wczesnym wieczorem Mary odeszła w róg izby i ułożyła się pod kocem ze skóry karibu. Annie Boss podeszła do niej i przycisnęła jej do klatki piersiowej przygotowany po południu okład, mocując go do jej tułowia za pomocą długiego pasa musłinu. Mężczyźni zeszli na plażę i dołączyli do żołnierzy siedzących przy ognisku.

– Kiedy rozmawiałem z panem Richmondem – zagał Buchan – wspomniał coś o traperze-Mikmaku, którego spotkaliście panowie w marcu w drodze powrotnej znad jeziora.

Peyton i Reilly zawahali się, tak jakby każdy czekał, aż odezwie się ten drugi. – Noel Young – powiedział w końcu Peyton, kiwając głową. – Napatoczył się nam nad rzeką i spędził noc w naszym obozie.

– Dawno pracuje na tych terenach?

– Co najmniej tak długo, jak mój ojciec. Zimą zastawia pułapki nieopodal New Bay Pond. Lato spędza nad Tommy's Arm River, za Sop's Arm – na chwilę zamilkł. – Twardy z niego człowiek, kapitanie, i niezbyt godny zaufania. Sam twierdzi, że swego czasu ukatrupił dziewięćdziesięciu dziewięciu Czerwonych Indian i nie przepuściłby okazji, żeby dobić do równej setki.

– Doprawdy?

– Mikmakowie i Czerwoni z zasady nie żywią do siebie zbyt ciepłych uczuć – wyjaśnił Peyton.

Buchan pomasaował dłonią nasadę nosa. – Najwyraźniej nie dotyczy to pańskiej żony, panie Reilly.

– To zupełnie jak z Irlandczykami i Anglikami, sir. Niektórzy okazują nam chrześcijańską miłość, ale większość najchętniej posłałaby nas do piachu za to, że mówimy innym językiem i nie chodzimy do tego samego kościoła.

– Niedorzeczne uproszczenie, panie Reilly.

Irlandczyk pokiwał głową. W blasku ognia jego twarz lśniła barwą jasnej miedzi. – Czasami najprostsze wyjaśnienie jest najbliższe prawdy.

Rano, podczas gdy żołnierze przygotowywali kuter i gig do wypłynięcia, Bu-

chan poprosił o możliwość przesłuchania Reilly'ego na osobności. – Dosłownie parę chwil – wyjaśnił – żeby potwierdzić zeznania przedstawione na wiosnę przed ławą przysięgłych.

– W porządku – zgodził się Reilly. Rozejrzał się po izbie. Dzieci zajmowały wszystkie kąty, niczym meble rozsunięte, aby zrobić miejsce do tańczenia. Annie Boss sprzątała po śniadaniu z pewną pomocą Mary. – Może nad rzeką znajdziemy nieco spokoju.

Po drodze na brzeg Buchan zagaił: – Faktycznie wydaje się, że jej oddech nie jest dziś rano aż tak ciężki. – Reilly szedł ścieżką przed nim, zdawał się go nie słyszeć. – Oddech Mary – powtórzył kapitan. – Zdaje się, że nieco jej się poprawiło.

– Możliwe – odparł Reilly, nie odwracając głowy. – Nie zwróciłem uwagi.

– Z tego, co mówi pańska żona, ten kataplazm to iście cudowny lek. – Przybyli na szeroką, piaszczystą plażę, szli już bok w bok. Żołnierze kręcili się przy dwóch łodziach wyciągniętych częściowo z wody. – Ponoć wspaniale zagoił ranę na pańskiej ręce.

Reilly odwrócił się i szybko zerknął na oficera. Dotarli do punktu, w którym jaz wcinał się łukiem w nurt. Reilly poszedł przodem i przycupnął na zaporze, patrząc w górę rzeki, tak że siedział plecami do żołnierzy. – Chciał pan mówić ze mną o tym, co wydarzyło się nad jeziorem – przypomniał.

– Najpierw chciałbym usłyszeć pańską historię w całości – oznajmił Buchan. – Rodzina kowali. Na starym kontynencie.

Reilly pokręcił głową. – Nie było żadnej rodziny kowali.

Z głębi gardła Buchana dobył się nieokreślony dźwięk. Kapitan wychylił się nad wodę na tyle daleko, by zobaczyć swoje odbicie na powierzchni rzeki. – Panie Reilly, zdaję sobie sprawę, że w marcu na jeziorze zginął drugi Indianin – powiedział.

– Tak panu powiedziała Mary?

– Źródło moich informacji jest nieistotne. Sedno sprawy jest takie, że w kwestii tego morderstwa kłamie pan, by chronić Johna Seniora.

– Kapitanie, rozmawialiśmy o mojej ręce.

Buchan rozpiął kieszeń bluzy od munduru, wyjął z niej notes i zaczął szperać w poszukiwaniu ołówka. – Jak pan sobie życzy.

Reilly przytrzymał prawą dłoń nad kartkami zeszytu, by oficer mógł się dobrze przyjrzeć. Z początku Buchan nie widział tam nic istotnego, wyłącznie gmatwaninę czarnych linii rozpoczynających się u nasady kciuka i pnących się po wierzchu dłoni niemal na drugą jej stronę.

– Można jeszcze dojrzeć prawdę, jeśli człowiek wie, czego szuka – stwierdził Reilly. Palcem drugiej ręki zakreślił koło nad trójkątnym obszarem skóry pomiędzy ścięgnami mocującymi kciuk i palec wskazujący do nadgarstka.

Chwilę to potrwało, zanim spod blizn wyłoniła się litera T; zanim Buchan pojął, co ona oznacza. Podniósł wzrok na Irlandczyka. – Mogło się to dla pana skończyć dużo gorzej.

– I o mało się nie skończyło. Zostałem skazany na napiętnowanie i deportację do kolonii ze względu na młody wiek oraz fakt, że było to moje pierwsze przestępstwo.

– Pierwsze przestępstwo, za które był pan sądzony – rzucił Buchan.

– Słuszne rozróżnienie, sir. Celna uwaga. Przynosi pan chlubę urzędowi sędziego. Miałem już wtedy za sobą całkiem przyzwoitą karierę.

– Ile miał pan lat?

– Czternaście, sir. Nie najlepszy wiek, żeby zadyndać na stryczku, słowo daję.

Buchan postukał ołówkiem w kartki notatnika. – Jak brzmiało oskarżenie?

– Kradzież zegarka należącego do jednego z dżentelmenów przyglądających się egzekucji w Tyburn. Raczej słaby był ze mnie kieszonkowiec. Zająłem się tym dość późno, po odbyciu długiego terminu w charakterze nadrzecznego złodzieja.

– Panie Reilly, mówi pan o tym tak, jakby to był szanowany zawód.

Reilly wzruszył ramionami. – Maczali w tym palce przedstawiciele wszystkich szanowanych zawodów nad Tamizą. Celnik mógł zarobić trzydzieści gwinei za przymknięcie oka na cały ruch na statkach. Były nad Tamizą szczurołapy, które nosiły te same dwa tuziny szczurów ze statku na statek, po dziesięć razy dostając płacę za oczyszczenie pokładu ze szkodników. W międzyczasie odnotowywały, co takiego znajduje się w ładowniach. To od nich wiedzieliśmy, z których statków warto kraść. – Reilly pokręcił głową. – Nigdy nie opróżnialiśmy ładowni do końca, podbieraliśmy tylko co nieco z beczek i na powrót zamykaliśmy wieka. Byli i tacy, co robili to bardziej bezczelnie. Nocą odcinali cumy i pozwalali barkom spłynąć w jakieś ustronne miejsce, gdzie opędzłowywali je do czysta jak wrony obżerające trupa.

– Wybaczy pan, jeśli nie sporządzę z tego notatek – rzucił Buchan.

– Nie chciałem zabrzmieć nostalgicznie, kapitanie.

– Może powie mi pan, jaki to wszystko ma związek z Johnem Seniozem?

Irlandczyk oparł ręce na kolanach i splunął do przejrzystej wody. – Nie ja sam wybrałem sobie życie złodzieja. Ja wolałbym sprzedawać mleko na ulicach St. Giles. To mój ojciec miał takie powołanie. Po wyroku pożegnał mnie w Londynie, spodziewając się, że wrócę na pierwszym statku płynącym z St. John's, bo tak zazwyczaj robili skazani na deportację do kolonii. Ja postanowiłem zostać, mając nadzieję na wyżebranie jakiegokolwiek roboty. Okazało się to dużo trudniejsze, niż się spodziewałem. – Wzniósł rękę. – Niewielu jest takich, co zatrudniliby skazanego złodzieja. I to jeszcze Irlandczyka.

– Ukrył pan więc piętno, okaleczając rękę.

– Prawda jest taka, że mi to nawet nie przeszło przez myśl. To był pomysł Johna Seniora.

Buchan skinął głową tak, jakby właśnie potwierdziło się coś, o co podejrzewał starszego Peytona od lat.

– Powiedział mi, że nie będę w stanie wieść uczciwego życia, dopóki pozory będą świadczyć przeciw mnie.

– Jak na mój gust, potraktował tę robotę nieco zbyt poważnie.

– Byłem wtedy jeszcze chłopcem. Zaprowadził mnie nad jezioro Quidi Vidi i upił, podczas gdy układaliśmy ognisko, żeby rozgrzać pogrzbacz. Dał mi zwiniętą chustkę, żebym ją przygryzł, po czym usiadł mi na plecach i docisnął mi rękę do ziemi. Kiedy doszedłem do siebie, dłoń miałem już owiniętą pasami materiału, które wyrwał z własnej koszuli. Nie zaglądałem pod spód, dopóki nie poczułem smrodu. Trzeba było zabrać mnie do White Bay, żeby matka Annie oczyściła ranę. John Senior stracił bity tydzień pracy, wlokąc mnie tam i z powrotem.

Buchan popatrzył w górę rzeki, na miejsce, w którym świerczyna schodziła ku samej wodzie. Znowu wychylił się nad rozmazanymi odbiciami w powolnym nurcie. Nagle opuściła go pewność siebie. Zwrócił się do Reilly'ego. – Czy to wszystko warte tego, by w zamian kłamać w sprawie zabójstwa?

Reilly odwrócił się i popatrzył na drugi brzeg. – Kapitanie, na potrzeby naszej dyskusji załóżmy, że ma pan słusność. Co w takim wypadku by mi pan radził?

– Aby złożył pan pod przysięgą pisemne zeznanie, opisując okoliczności zajścia. – Reilly odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, tak że Buchan musiał podnieść głos. – A kiedy przyjdzie na to czas, wystąpić jako świadek przed sądem w St. John's.

– Nie słuchał pan zbyt uważnie mojej historii, co? – Reilly podniósł się na nogi i spojrzał na oficera z góry. – Może pan własnoręcznie sporządzić to zeznanie i dać mi je do podpisania. Mogę powtórzyć je słowo w słowo przed sądem. I jak się panu zdaje, co pan będzie miał? Zeznania irlandzkiego złodzieja i Czerwonej Indianki, znającej niewiele więcej angielskich słów niż krowa. Równie dobrze może pan poprosić ławników, żeby przyjęli przysięgę od samego rogatego. – Wziął głęboki wdech i obejrzał się na łodzie stojące przy brzegu. – Wygląda na to, że są już gotowi do drogi, kapitanie.

Buchan w roztargnieniu pokiwał głową i wepchnął notes do kieszeni munduru. Reilly schylił się, wyciągnął do niego rękę i pomógł mu wstać.

Peyton i Mary czekali już na kutrze, Buchan wspinał się więc na burtę i dołączył do nich. Annie Boss wyszła na plażę z gromadką dzieci, by pomachać gościom na pożegnanie. Stali tak z mężem, dopóki łodzie nie zniknęły za pierwszym zakolem rzeki.

– Długo tam był – rzuciła Annie Boss, wciąż spoglądając na wodę. – Co po-

wiedział temu człowiekowi?

– Pomijając jeden drobny szczegół, powiedziałem mu samą prawdę.

Annie odwróciła się i popatrzyła na męża. Zza ukrytego pod koszulą paska spodni wyciągnął nieduży, oprawiony w cielęcą skórę dziennik. Zdawał się wyścieńczony i przybity.

– Powiedziałem, że słaby ze mnie kieszonkowiec – mruknął.

Notatnik był perfekcyjnie oprawiony, arkusze miał porządnie wszyte w grzbiet. Peyton zgadywał, że ma jakieś cztery na sześć cali, ze sto pięćdziesiąt stron. Błada okładka z cielęcej skóry była gładka i chłodna w dotyku.

Tamtego wieczora, gdy zawinęli do Boyd's Cove, Buchan wpadł w lekki szal, poszukując swojego dziennika. Oklepał kieszenie bluzy, przetrząsnął skórzaną torbę. Pomówił ostrym szeptem z kilkoma żołnierzami, nakazując im, by poszli przeszukać łodzie. Gdy wrócili z pustymi rękami, kazał im sprawdzić jeszcze raz. Stał przy ogniu z twarzą pozbawioną wyrazu, skupioną, biegnąc wstecz poprzez wydarzenia dnia, próbując zlokalizować zgubę w myślach. Ostatnio miał notes w rękach podczas porannego przesłuchania Reilly'ego na jazie. Później – nie był już w stanie go nigdzie umiejscowić.

– Czy mogę panu w jakikolwiek sposób pomóc, kapitanie? – spytał Peyton.

Buchan nagle się do niego odwrócił. Przypominał lunatyka, którego ktoś wybudził na ulicy przed domem. – Nie, nie – powiedział powoli, jakby dopiero zaczynał rozpoznawać otoczenie, odnajdywać się w świecie. – Nie wydaje mi się, żeby pan mógł – wypowiedział to niemal jak oskarżenie. A wtedy przerwał poszukiwania i zasiadł z Peytonem przy ognisku. Obaj ubili tytoń kciukami i powoli wypalili fajki.

– Podziwiam pańskiego ojca, panie Peyton – zagadnął Buchan. – Tę lojalność, którą budzi w ludziach.

– Jest tym, kim jest, sir. To, co John Senior myśli na ten czy inny temat, jest jasne dla wszystkich. Każdy mieszkaniec wybrzeża dobrze wie, co o nim sądzi mój ojciec.

– Byłby z niego świetny oficer.

– Nie najlepiej by sobie radził z przyjmowaniem rozkazów od zwierzchników.

Buchan mruknął, dając do zrozumienia, że rozumie, co Peyton ma na myśli.

– Pan też ma syna, kapitanie? Dobrze słyszałem?

– Owszem. Przyszedł na świat w St. John's, dwie zimy temu.

Grupa marynarzy skupiona po drugiej stronie ogniska wybuchnęła nagle śmiechem. Mary leżała pod kocami u boku Peytona; spojrział w dół, by sprawdzić, czy hałas jej nie obudził, spała jednak twardo.

– A pan, panie Peyton? Czy to już nie pora znaleźć sobie żonę i założyć rodzinę?

Peyton ponownie zapalił fajkę. – Kiedyś to rozważałem, później straciłem jednak zapal. Kiedy John Senior się żenił, był jeszcze starszy, niż ja teraz. Może ja również poczekam na właściwy moment.

– We wszystkim idzie pan w ślady ojca – zauważył Buchan. W jego głosie pobrzmiwał smutny, lekko karcący ton.

Peyton znowu spojrział na Indiankę. – Śpi jak zabita – stwierdził.

Trzy dni później wrócili do domu na Burnt Island. W okolicach Boyd's Cove nie udało im się znaleźć żadnych świeżych obozowisk, porzucili więc wszelką nadzieję na spotkanie z Beothukami na wybrzeżu. Ustalili, że odbędą zimową ekspedycję nad jezioro, gdy tylko pogoda na to pozwoli. Następnego ranka Buchan popłynął z żołnierzami do Ship Cove. Nie wspominał więcej o swoim zaginionym dzienniku; wyglądało na to, że pogodził się ze stratą.

Tamtego popołudnia, korzystając z nieobecności kobiet, John Senior przekazał Peytonowi notatnik przy oprawianiu ryb w składziku nad wodą. – Joseph Reilly przyniósł go w środę. Mówił, że o to prosiłeś.

Peyton przyjął niedużą książeczkę i obrócił ją w dłoniach.

– Buchan popłynął jeszcze dalej i pomówił z Richmondem i Michael'em Sharpe'em.

– Tyle dowiedziałem się od Reilly'ego. – Pokręcił głową. – Richmonda ten jegomość nie przestraszy. A młody Michael odczyta ci z zegara taką godzinę, jaką mu podasz. – Potem zamilkł na tak długo, że aż syn spytał, co takiego go trapi. – Buchan wie o tym drugim – powiedział John Senior. – Nasza koleżanka mu to zdradziła.

Peyton wydusił z siebie ciężkie westchnienie. – No cóż, nie widziała nic, co mogłoby komukolwiek bardziej zaszkodzić. O ile wszyscy będziemy trzymali język za zębami. – Popatrzył na dziennik i uniósł go tak, by starszek go zobaczył. – Ani słowa Cassie. Nie ma sensu wciągać w całą tę historię nikogo więcej.

John Senior odwrócił wzrok od syna. – Ona przy tym była.

– Przy czym?

– Przy tym, jak tamta opowiadała wszystko Buchanowi.

Peyton podniósł cienki nóż ze stołu do patroszenia ryb i zaczął ospale dźgać drewno. – No Chryste Panie – jęknął.

I oto siedział samotnie w kuchni, cały dom spał, a dziennik leżał przed nim na blacie. Położywszy książkę bokiem, powoli uniósł okładkę i znowu ją opuścił. Ten ruch skojarzył mu się z mówiącymi ustami, jakby szczęki w czasie otwierały się i zamykały. Na barkach ciążyło mu jakieś brzemie, pokrewne myślom samobójczym, życzenie uwolnienia się od wszystkiego, co go otacza – bez względu na koszt. Pragnienie to wydawało mu się niezwykle pociągające pomimo całej jego

oczywistej irracjonalności i złudności.

Tamtego popołudnia, gdy razem z Johnem Seniosem odkryli szkielet martwego Indianina na brzegach Swan Island, ojciec otworzył maleńki woreczek z amuletami, wyłożył jego zawartość na ziemię i dał szesnastoletniemu synowi do potrzymania jedną z ptasich czaszek. Kość była sucha i nieważka jak powietrze; Peyton miał wrażenie, że pochodzi ze świata wykraczającego poza ten, który znał. Gdy ojciec zebrał z powrotem zawartość mieszka i zawiązał rzemień, podsunął znalezisko synowi. Powiedział, że to *na pamiątkę*. Peyton popatrzył na farbowaną sakiewkę, potem na ojca. Odmówił jej przyjęcia.

John Senior położył mieszek na ziemi między swoimi stopami. Jego twarz przybrała wesoły wyraz zaskoczenia. Wyciągnął ogromną, sękatą rękę i zacisnął ją na czaszce Indianina. Oddzieliwszy czerep od szkieletu, podniósł również żuchwę i przytknął ją u dołu. W szczęce brakowało tylko jednego zęba. Kłapał nią, podkładając pod te nieme gesty niski głos.

– Martwy Indianin – powiedziała czaszka. – Nic się nie przejmuj.

Peyton wpatrywał się w niego. Czuł wpisana w tę czynność profanację; żeby tak beztrudno i bezdusznie wkładać słowa w usta zmarłych.

– Harry Miller zwykł tak się nimi zabawiać – wyjaśnił John Senior. Zdawał się zakłopotany, skruszony. Kłapał szczękami jeszcze parę razy i obrócił czaszkę, by zajrzeć w puste oczodoły, popatrzeć na zęby wyszczerzone w szerokim, złowrogim uśmiechu. – Biedny skurczybyk – dodał, a Peyton nie potrafił stwierdzić, czy ojciec ma na myśli Millera, czy też Indianina, którego szczątki trzymał właśnie w dłoni. John Senior odłożył czaszkę na miejsce i ponownie podsunął skórzany mieszek synowi.

Peyton obracał dziennik na stole. Powiedział Reilly'emu, że chciałby mieć pojęcie, jak dużo Buchan wie, móc przewidzieć jego ruchy, zaplanować linię obrony. Siedząc jednak przed notatnikiem, którego kradzież Irlandczyk mógł przypłacić życiem, bał się go otworzyć. Wiedział, że znajdzie tam siebie, ojca i Mary, a do tego wszystkich członków wyprawy nad jezioro, lecz z pewnością opisanych w zupełnie inny sposób, niż zakładali w swoich knowaniach. Taka mała książeczka: zapowiedź ich zguby, jeśli nie zaraz, to kiedyś w przyszłości. Swego czasu zobaczył i usłyszał rzeczy, które poprzysiągł zabrać ze sobą do grobu, jakby to miało być bezpieczne miejsce dla prawdy. Zdał sobie jednak sprawę, że za dwieście lat jakiś nieznajomy może wygrzebać jego kości z ziemi i włożyć mu w usta dowolne słowa. Na myśl o tym poczuł rozpacz i bezradność.

Był jeszcze dopisek, który Cassie naskrobała w pośpiechu gdzieś na tych stronach – prawdziwy powód, dla którego chciał dostać ten dziennik w swoje ręce. Zobaczywszy, że Buchan wypadł z domu jak burza i pomaszerował ku plaży, Peyton poszedł na górę, żeby sprawdzić, co się stało, a wtedy przez okno dostrzegł Cassie stojącą przy stole z piórem w dłoni. Wyraz jej twarzy, gdy podniosła wzrok

i go ujrzała, rozpalił w nim długi, tłący się powoli lont przerażenia, niechybnie prowadzący do ładunku. Przysunawszy świecę bliżej, otworzył karty na ostatnim wpisie i zaczął brnąć przez dziennik wstecz.

Upłynawszy milę od Burnt Island, Buchan wysłał gig do Ship Cove i zawrócił kuter. Kazał żołnierzom powiosłować na północ, minąć Fortune Harbour i zawiązać na noc do Seal Bay. Nazajutrz rano wyruszyli dalej, minęli Sop's Arm i dotarli do Tommy's Arm River, gdzie skręcili w głąb łądu. W miarę jak płynęli w górę rzeki, stawała się ona coraz węższa, a miejscami tak płytka, że kuter z trudem przepływał przez mielizny. Jeden z żołnierzy leżał na dziobie, wypatrując ławic, głazów i zatopionych bali. Buchan obserwował brzeg, szukając oznak ludzkiej obecności. Późnym popołudniem, gdy zaczynało się już zmierzchać, dostrzegł najpierw dym z ogniska, a po chwili chatę z brzoźowej kory ukrytą między drzewami i zarosłami. Na brzegu nie było w tym miejscu plaży, jedynie wąska, wyrębana w krzakach ścieżka zatarasowana przez kanu, kuter wciągnięto więc w gęstwinę olchowych gałęzi. Zanim Buchan ruszył ścieżką w stronę chaty, zawołał jej mieszkańca. Kiedy dotarł na polankę, Noel Young stał już w drzwiach.

Mikmak zmierzył wzrokiem oficera oraz niewielką świtę żołnierzy za jego plecami. – Mam w środku parę królików.

Woń duszonego mięsa doleciała do nozdrzy białych. Buchan powiedział: – *Nous avons de peu de pain et de rhum.*

Noel Young przez chwilę przyglądał się oficerowi.

– *Ma femme* – wyjaśnił Buchan. – *Elle est française.*

Young pokiwał głową. Był ubrany w długą koszulę z surowego niebieskiego materiału, przewiązaną w pasie jasnoczerwoną szarfą. Kołnierz miał zapięty srebrną broszką wielkości dużego zegarka. Jego włosy były zaplecione w długie, siwe warkocze. – *Le repas est prêt* – rzucił, po czym odwrócił się i wszedł do środka. Buchan posłał Rowsella do łodzi po chleb i rum, a resztę żołnierzy poprowadził do chaty.

Wewnątrz porozsiadali się na bierwionach lub po prostu bezpośrednio na klepisku. Duża, ciemna misa z wodą stojąca przy ogniu pośrodku chaty roztaczała woń jedzenia. Noel Young za pomocą obcęarów przekładał rozgrzane kamienie z paleniska do naczynia, żeby woda wciąż się gotowała.

Żołnierze spożywali posiłek w milczeniu, a Buchan rozmawiał z Youngiem po francusku, wypytując go o to, gdzie Mikmakowie łowią ryby na północnym wybrzeżu, gdzie zastawiają pułapki zimą, jak wielu zostało ich w sumie jeszcze na wyspie. Przy każdej okazji dolewał traperowi rumu. Oznajmił, że Anglicy z północno--wschodniego wybrzeża opowiadali mu o Noelu Youngu, wielkim łowcy Czerwonych.

Indianin zapił rumem kęs chleba. Powiedział Buchanowi, że nie warto do-
wierzać choćby połowie tego, co Anglik potrafi człowiekowi naopowiadać.
Uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że nie chce przez to urazić swoich gości.

Buchan zapytał go, czy zna język Czerwonych Indian. Tamten pokręcił gło-
wą i odrzekł: – Wszyscy gadają jak jacyś psi, bał-łał-łał. – Znowu wrócił do francu-
skiego. Oznajmił, że Czerwoni to zazdrosne plemię, choć nie zawsze tak było. Kie-
dyś Mikmakowie dzielili z nimi te ziemie i panował między nimi pokój. Przed wie-
lu laty Francuzi ogłosili jednak nagrodę za każdego zabitego Czerwonego Indiani-
na, chcąc zemścić się za kradzieże i inne rozboje, których tamci dopuszczali się na
zachodnim wybrzeżu. W tamtym roku nieduża grupa Mikmaków spotkała na rzece
dwóch Czerwonych Indian, zamordowała ich i ucięła im głowy, by móc udowod-
nić, że należy im się nagroda. Spływając na wybrzeże, natknęli się na wielki obóz
Czerwonych Indian, którzy – zgodnie z ówczesnym zwyczajem – zawołali Mikma-
ków i zaprosili ich na posiłek. Mikmakowie zgodzili się z obawy, że w przeciwnym
razie wzbudzą podejrzenia. Wielu Czerwonych zeszło nad wodę, by pomóc im wy-
ciągnąć kanu. Odkryli tam głowy swoich zabitych braci, ukryte na dziobie pod ka-
wałem skóry karibu.

Noel Young przerwał opowieść, by wytrzeć talerz kawałkiem chleba. Powie-
dział, że Czerwoni nie pisnęli ani słowa. Nie dali po sobie poznać, że zobaczyli
głowy. Powitali morderców jak przyjaciół, usadzili ich wokół ogniska i zaczęli
przygotowywać jedzenie. Na prawo od każdego z Mikmaków zasiadł jeden Czer-
wony Indianin. Przy ognisku snuto różne historie, rozlegały się salwy śmiechu; po-
dano i zjedzono potrawy. Gdy zapadła ciemność, na niewiadomy gościom sygnał
każdy z Czerwonych Indian odwrócił się do siedzącego przy nim Mikmaka i wbił
mu nóż w pierś.

Young włożył kęs chleba do ust i przeżuł go powoli, wpatrując się w powie-
trze nieobecny wzrokiem. Powiedział, że odtąd – a było to, zanim nastąpiły czasy
jego ojca czy nawet dziada – oba ludy są do siebie wrogo nastawione i nie potrafią
zamienić ze sobą choćby słowa. On sam również zabijał Czerwonych Indian, wie-
dząc, że oni bez wątpienia ukatrupiliby go, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Do-
dał, że trzeba czasem puścić nieco krwi, żeby nie dać duszy wylecieć z ciała.

Buchan przez jakiś czas tylko kiwał głową. Ze sposobu, w jaki traper opo-
wiedział tę historię, kapitan wnosił, że to Mikmakowie byli w największym stopniu
odpowiedzialni za wrogość i wynikające z niej krwawe porachunki między dwoma
plemionami. Podzielił się tą myślą z Youngiem, na tyle dyplomatycznie, na ile po-
zwalała mu jego łamana francuszczyzna.

Young wzruszył ramionami. Podciągnął sobie na kark pelerynę ze skóry ka-
ribu, którą miał zarzuconą na ramiona. Oznajmił, że po oficerze brytyjskiej mary-
narki spodziewałby się raczej obarczenia winą Francuzów, którzy to przecież ogło-
sili nagrodę za głowy Czerwonych. Chociaż biorąc pod uwagę pochodzenie jego

żony, wydawało się zrozumiałe, że Buchan może stanowić wyjątek.

Zdążył już zapaść zmrok, ogień stanowił jedyne źródło światła w chatce. Dźwignąwszy się na nogi, Noel Young oznajmił, że idzie nad rzekę łowić ryby i zaprasza oficera, by się do niego przyłączył.

Buchan mu się przyjrzał. – *Vous allez pêcher maintenant?* – spytał. – *Dans le noir?* – Dotąd nie dostrzegł co prawda żadnych niepokojących objawów, pomyślał jednak, że najwyraźniej traper musi być już zalany niemal w sztok.

– *Venez avec moi* – nakazał Young, po czym wyszedł z chaty i pomaszerował nad rzekę.

Buchan wstał i szepnął do kaprala: – Rowsell, za kilka minut weźmiesz paru ludzi i zejdziesz nad wodę. Sam nie wiem, co ten tutaj knuje. Mówi, że idziemy „na ryby”.

– Tak po ciemku, sir?

– Najwyraźniej tak.

Zastał Younga kucającego przy kanu. Na ziemi obok niego leżała długa pochodnia z końcem ciasno obwiązany suchymi trzcinami. Mikmak skrzesał iskry na okrągłą hubkę, podmuchał lekko na delikatną falę płomienia i przytrzymał nad nim trzciny, obracając je powoli, dopóki się porządnie nie zajęły. Wstał i skinieniem dłoni zaprosił Buchana do kanu, podając mu pochodnię. Następnie zepchnął łódź na płyciznę, wsiał do niej i powiosłował na środek koryta, gdzie pozwolił, by nurt poniósł ich powoli w dół rzeki.

– *Où allons-nous?* – spytał Buchan.

Gdy opłynęli cypel wcinający się w rzekę, Young obrócił kanu i wyprowadził je na szeroką topiel, na której woda była dwa razy głębsza niż wokół. – *Ici* – powiedział. Odłożywszy wiosło, wziął do ręki drewnianą dzidę, długą na jakieś pięć stóp. Najeżony haczykami grot wykonany był z żelaza. Do drugiego końca przymocowany był sznurek, który Young uwiązał sobie na nadgarstku. Przesunął się na środek kanu i dla równowagi rozstawił kolana najszerzej, jak pozwalały na to burty. Buchan odwrócił się twarzą do trapera, wciąż niepewny, co się dzieje lub jakie mogą być oczekiwania wobec niego. W świetle pochodni był w stanie dostrzec jedynie mężczyznę klęczącego naprzeciwko, burty kanu oraz szeroki na sześć stóp krąg wody. Poznikały gdzieś brzegi, las, nawet gwiazdy.

– Myśli, że Noel Young wariuje, co?

– Ależ skąd.

Mikmak uśmiechnął się do kapitana. – Myśli, że Noel Young pijany?

– Nie – skłamał Buchan.

Young kazał mu przytrzymać łuczywo nad wodą, jakieś dwie stopy od powierzchni. Sam uniósł dzidę ponad barkiem i utkwiał wzrok gdzieś za płomieniem, obserwując toń rzeki. Buchan przyglądał się jego twarzy, nagiej górnej wardze, ruchom mięśni szczęki zaciskającej się raz po raz. Uszy miał przekute, dyndały

u nich wykonane z kości i muszelek wisiorki przedstawiające ptaki i ryby.

– Był pan w marcu nad rzeką Exploits, kiedy Peytonowie prowadzili Czerwoną Indiankę znad jeziora.

Nie odrywając wzroku od wody, Young uniósł palec do ust, a następnie coś mu wskazał. Spojrzawszy w dół, Buchan zobaczył, że jeden z ostatnich łososi tego lata wypłynął do światła i zawrócił zaraz przy powierzchni. Dzida wbiła się w wodę chwilę po tym, jak ryba błysnęła bladym brzuchem w poświacie pochodni.

Noel Young wyciągnął drzewce z rzeki, wylawiając wraz z nim miotającą się zdobycz. Popatrzył na Buchana.

– Dick Richmond mówił, że przenocował pan z nimi.

– Po tym, jak pojмали kobietę. Szli na wybrzeże. – Young zdjął z nierównego grotu łososa, który zaczął bezradnie łomotać poszarpanym ciałem o wykonane z kory pokrycie kanu.

– Zabili dwóch Czerwonych Indian. Wspominali o tym?

Ruchem ręki nakazał Buchanowi, by ponownie wysunął pochodnię nad wodę, po czym znowu uniósł dzidę nad barkiem.

– Jednego z Czerwonych zastrzelił Richmond, tak?

Young pokiwał głową.

– A drugiego zabił starszek, John Senior. Zgadza się?

Mikmak odwrócił się i spojrzał na Buchana. – Richmond mówi, że Irlandczyk. – Znów utkwiał wzrok w topieli. – Jego żona z Mikmaków.

– Reilly?

– Reilly. Joe Jep. Przyłożył mu lufę za uchem. – Wolną ręką wskazał punkt nieco do tyłu i w górę od własnego ucha. – Bum.

Kolejny zapatrzony w światło łosoś podpłynął do powierzchni, a gdy wykonał zwrot, było już za późno. Kanu zakołysało się i po chwili stanęło prosto.

Buchan osłupiał. – *Richmond vous a dit ceci?*

Young skinął głową. Wyjaśnił, że tamtego wieczora, kiedy wszyscy ułożyli się już na posłaniach, on z Richmondem zostali przy ognisku, by doglądać ognia i trzymać wartę. Powiedział Buchanowi, że Richmond gadał, gadał i gadał; potężny był z niego jegomość, ale to jego usta czyniły go niebezpiecznym. Przy ognisku opowiedział Youngowi o wyprawie w górę rzeki oraz szarpaninie na jeziorze, w wyniku której zmuszony był poskromić Czerwonego Indianina wielkości niedźwiedzia, i to tak upojonego wściekłością, że nie było innego wyjścia niż go zastrzelić. Wtedy Reilly usiadł na posłaniu i poradził mu, żeby zachował takie opinie dla siebie, co widocznie ubodło Richmonda. „Na przykład taki pan Reilly – powiedział wtedy Richmond – sam nigdy by nie pomyślał, że jest do tego zdolny. Po prostu podszedł do tego drugiego biednego sukinsyna i ustrzelił go na miejscu”. Young ponownie wskazał wolną ręką położenie lufy. – Bum – powtórzył.

– Reilly – szepnął Buchan.

Young roześmiał się, pokręcił głową i powiedział, że potem zaczęli się zreć jak pies z kotem. Dwaj faceci turlali się po śniegu jak jakieś baby i obudzili swoimi złorzeczeniami cały obóz. Pozostali porządnie się namęczyli, żeby ich rozdzielić, a dopiero po dobrym kwadransie przepychanek i wrzasków zorientowali się, że kobieta zwała do lasu.

– Reilly – powtórzył Buchan.

Nieco wyżej nad rzeką zaczęła się jakaś krzątania, rozległ się plusk wiosel opuszczanych do wody. Rowsell zaczął nawoływać zza zakrętu: – Kapitanie Buchan! Wszystko w porządku? Kapitanie Buchan!

Gdy kuter opłynął cypel, Buchan powoli wstał, unosząc pochodnię nad głową. Zaklął pod nosem. – Wszystko w porządku! – odkrzyknął. – Jest dobrze. – Popatrzył na Mikmaka, który uśmiechał się i lekko kręcił głową, wciąż spoglądając na wodę. – Wszystko w porządku, kapralu. Łowimy ryby.

DWANAŚCIE

Najświeższymi wpisami w dzienniku były notki z przesłuchania Richmonda. Peyton zgadywał, że oficer sporządził je, wracając kutrem do chaty Reilly’ego lub siedząc samotnie przy ognisku na plaży, gdy wszyscy pozostali już się pokładli. Buchan napisał: *Traper Mikmak w drodze powrotnej*. Dwukrotnie podkreślił pierwsze dwa słowa. Richmond był bardziej podstępny i wyrafinowany, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

– Skurwiel – powiedział Peyton na głos.

Wcześniejsze strony wypełnione były relacjami z dni zmitręzonych na bezowocnym przeczesywaniu wybrzeża oraz spostrzeżeniami dotyczącymi pogody, delikatnego stanu zdrowia Mary czy troskliwości wykazywanej przez Johna Peytona, gdy chodziło o wygodę i zdrowie Indianki. Była też długa notka sporządzona zaraz po rozmowie z Mary i Cassie w salonie.

Dwóch Czerwonych Indian zamordowanych podczas wyprawy, nie jeden, jak zeznaje P. Jr. Drugie zabójstwo zatajone w przedstawionej przed sądem relacji z ekspedycji. Najwyraźniej brak uzasadnienia dla drugiego mordu. P. jedynym świadkiem zeznającym w St. John’s, nie spodziewałby się dalszego śledztwa. Bez wątpienia próba ochrony mordercy. Z pewnością J. Peytona Sr.

Ustęp ten poprzedzały rozproszone zapiski z samego przesłuchania, *Dwaj zabici* podkreślone i obrysowane ramką, słowo *Mąż* podkreślone i zamazane. Dwie strony notatnika zajmowały naiwne mapki przedstawiające rzekę Exploits, jezioro i linię brzegową okolic Burnt Island, naszkicowane i uzupełnione o szczegóły przez Buchana i Mary przy tym samym stole, przy którym Peyton właśnie czytał dziennik. Komentarz do pierwszej nieudanej próby bezpośredniego zweryfikowania ze-

znań Peytona: *Odmawia odpowiedzi na pytania, wykrętny i lekceważący. Ponad wszelką wątpliwość coś ukrywa. Pozostaje pod wpływem J. Peytona Sr., jak zawsze.*

Na wcześniejszych stronach opisy obowiązków na pokładzie Grasshoppera w drodze na wybrzeże; notatki ze spotkań w St. John's odbytych przed wyjściem w rejs; podsumowanie zeznań Peytona w St. John's; lista mężczyzn towarzyszących Peytonom podczas marcowej ekspedycji.

Przerwał i ukrył twarz w dłoniach. Wściekle potarł oczy i pokręcił głową.

– Johnie Peyton.

Podskoczył na krześle i szybko zamknął dziennik, przykrywając ramieniem możliwie największą jego część. – Cassie – sploszył się.

Weszła do kuchni za jego plecami, okrążyła stół i usiadła naprzeciw niego.

– Jak długo tak mi się stamtąd przyglądałaś? – spytał najswobodniejszym tonem, na jaki było go stać. Kobieta miała twarz równie wymizerowaną i posępną, co tamtej zimy, gdy przywłókł ją na wybrzeże z chaty Reilly'ego nad rzeką. – Wystraszyłaś mnie na śmierć – dodał. Wyciągnął rękę i odsunął świecę na środek stołu. Skrzyżował ramiona na dzienniku i utkwiał wzrok w płomieniu.

– Wiedziałaś o wyprawie w górę rzeki, na którą twój ojciec wybrał się kiedyś z Harrym Millerem i Williamem Cullem? Po tym, jak spłonął dom Millera? – Mówiąc, nie patrzyła na niego, wpatrywała się tylko w ogień, Peyton zdołał więc wsunąć notatnik pod poduszkę na krześle.

– A od kogo o tym usłyszałaś?

– John Senior sam mi to opowiedział, dosłownie parę dni temu. Zanim wróciliście z Mary do domu.

– Co nieco słyszałem od Culla. Richmond z Taylorem wspominali o tym od czasu do czasu. A sam John Senior nigdy nie powiedział ani słowa. – Cassie kręciła głową; odniósł wrażenie, że jest bliska łez. Powiedział: – Cassie, John Senior to srogi, zawzięty człowiek.

Popatrzyła na niego. – Chcę wiedzieć, co się stało na jeziorze.

Dwaj Beothukowie zeszli z brzegu i ruszyli po lodzie w stronę Peytonów i ich ludzi. Zatrzymali się o jakieś dziesięć jardów od białych, a większy z Indian – ten, który niósł świerkową gałąź – zaczął coś do nich mówić. Głos miał czysty i opanowany; przemawiał długo, podczas gdy słuchacze przyglądali się na przemian jemu i sobie nawzajem. Zaapelował do nich o coś, zaciskając w pięść wolną rękę i stukając się nią w pierś. Chłód bijący od lodu wniknął w stopy białych, zaczęli więc wiercić się i tupać, a Beothuk nieprzerwanie mówił. Przedstawiał swoją szczegółową argumentację z namaszczeniem, dawał najlepszy oratorski popis, na jaki było go stać, jakby wierzył, że samo okazanie rozsądku i uprzejmości może

wystarczyć do odmienienia rozwoju wydarzeń, który wedle jego dotychczasowych doświadczeń musiał okazać się nieunikniony. – Ktoś rozumie, co on, do cholery, gada? – zniecierpliwiał się jeden z Anglików. Nikt nie odpowiedział. Wygłosiwszy swój apel, Beothuk zmierzył ich wszystkich wzrokiem, jednego po drugim. Podszedł do nich, wyciągając prawą rękę – najpierw do Johna Peytona, który stał przy jego żonie. Gdy uścisnęli sobie dłonie, skierował się do mężczyzn stojących obok niego i z nimi również się przywitał.

Następnie Beothuk odwrócił się do kobiety, wypowiedział do niej kilka słów i delikatnie ujął ją za łokieć, by odprowadzić ją na brzeg.

John Senior rzucił do syna: – Nie pozwól dzikusowi jej tknąć.

Młodszy z Peytonów zaczął przemawiać do Beothuka, wciąż trzymając kobietę za drugie ramię. Wolną ręką wykonał gest mający oznaczać, że zapraszają Indianina, aby on również udał się z nimi na wybrzeże. Gdy stało się jasne, że nie pozwoli mu zabrać żony na brzeg jeziora, mężczyzna zaczął mówić głośniej i chwycił ją mocniej za łokieć. Kobieta miała ręce związane za plecami; pętla jej ramion, ciągnięta przez dwóch mężczyzn w przeciwne strony, przybrała kształt serca.

W tym momencie John Senior podszedł do nich i zaczął mocować się z chwytem Indianina, podnosząc głos na przekór jego pokrzykiwaniom, a ich bezsensowna kłótnia zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, niczym tuman luźnego śniegu porwany przez wichurę, tak że w końcu zaślepiła ich obu. Gdy jego dłoń została siłą zdarta z ramienia żony, Beothuk odwrócił się do staruszka, złapał go za gardło i obalił na ziemię, nieprzerwanie drąc się na niego i obryzgując mu twarz śliną.

Peyton, który wciąż trzymał kobietę, odsunął się od szamoczących się mężczyzn. – Zrzucić go! – krzyknął. – Jezu, zrzucić go!

Richmond z Taylorem przyskoczyli do Indianina i bez większego skutku wytargali go za włosy i gruby płaszcz ze skóry karibu. Po chwili Richmond sięgnął po strzelbę i zaczął łomotać ciężką drewnianą kolbą w tył głowy Beothuka, osiągając w ten sposób jedynie to, że mężczyzna zamilkł i zacisnął zęby, nadal jednak mocno trzymał starca za gardło. Dosłyszeli wtedy Johna Seniora – urywane, zbolale postękiwanie, przywodzące na myśl słabnące bicie serca – a do tego tępe gruchnięcia strzelby o kość.

Kobieta krzyczała i wrywała się do męża. Peyton szarpnął ją i przycisnął jej twarz do swojego ramienia. – Zastrzelcie go, jeśli trzeba! – zawołał.

Richmond odwrócił się i utkwiał w nim wzrok, trzymając strzelbę wzniesioną nad ramieniem jak dzidę.

– Johnie Peyton... – upomniał go Reilly.

– Zastrzelić skurwiela! – krzyknął ponownie.

Richmond obrócił broń w rękach i przystawił lufę do pleców Indianina. Grube skórzane ubrania stłumiły huk wystrzału. Kobieta wrzasnęła w kołnierz Peytona. Beothuk osunął się do przodu, krztusząc się krwią zalewającą mu gardło, wciąż

jednak ścisnął wściekle szyję Johna Seniora, podobny zwierzęciu z przetrąconym kręgosłupem, które wlecze za sobą bezużyteczne tylne łapy. Richmond z Taylorem nachylili się i ściągnęli go na lód. Leżał na plecach, wpatrując się w blade błękit nieba i układając wargi w kształt słowa, które już nigdy nie opuściło jego ust.

John Senior, z twarzą upstrzoną czerwonymi i purpurowymi plamami, obrócił się i dźwignął na ręce i kolana. Kapelusz spadł mu z głowy; zlepione przez pot kosmyki siwych włosów odstawały od bladej skóry, wilgotne i obojętne jak wodorosty. Wszyscy pozostali tkwili dokładnie w tych miejscach, w których stali, gdy Indianin zaczął mówić, znieruchomiali niczym drzewa rosnące na brzegu.

John Senior kaszłał i bił ręką w lód, gdy zimne powietrze wdierało mu się w gardło. Wciąż klęcząc, uniósł wzrok i popatrzył na drugiego Beothuka, również zmarłego w bezruchu, podobnie jak wszyscy otaczający go biali. Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem; nie podnosząc się na nogi, John Senior zaczął pełznąć w stronę swojej strzelby. Usiadł na łodzi, wycelował i pociągnął za spust w momencie, gdy Beothuk wreszcie rzucił się do ucieczki. Odciągnął kurek i ponownie szarpnął za spust, lecz znowu nie doczekał się wystrzału. Odrzuciwszy strzelbę, przyskoczył do Toma Taylora i wyrwał mu z rąk jego muszkiet. Indianin zdołał przebiec zaledwie dwadzieścia pięć jardów, nim dosięgnął go strzał w plecy. Runął do przodu na lód. Próbował stanąć na nogi, nie miał jednak siły dźwignąć się z lodu, zaczął więc niezdarnie i bezskutecznie czołgać się w stronę brzegu na rękach i kolanach.

John Senior wypalił w pośpiechu, zanim jeszcze na dobre zdążył wyrwać broń z rąk Taylora. Odrzut sprawił, że kolba trafiła go prosto w twarz, rozbijając mu nos i obalając go na tyłek, tak że usiadł na łodzi, oszołomiony. Peyton nadal przyciskał do piersi twarz łkającej, wyrrywającej się Indianki. Wszyscy trwali w bezruchu, nie licząc rannego mężczyzny, wciąż oddalającego się powoli od grupy stojącej na łodzi.

To Joseph Reilly wyszedł w końcu z gromady odzianych w ciemne płaszcze mężczyzn, minął ciało, którego zanikające ciepło ulatywało w nieruchome powietrze, i przebył połać czystego lodu. Z bliska zobaczył, że Beothuk, z trudem utrzymujący się na czworakach, ma nie więcej lat niż on sam w czasach, gdy jako złodziej sunął poprzez zbiorowisko w Tyburn. Przykucnął przy nim. Ciemne czopy czerwieni wykwitwały na tyle jego płaszcza, krew lała mu się z ust jak woda z kranu w beczce. Irlandczyk wstał i przytknął strzelbę do czaszki chłopca. Odwróciwszy twarz ku milczącej grupie przyglądającej mu się niczym widzowie w teatrze, pociągnął za spust.

Podczas gdy Peyton mówił, Cassie stała tyłem do paleniska. Trzymała dłoń na brzuchu, na przemian ścisnął i puszczając materiał bluzki, jakby próbowała

wydobyć nić bólu wplecioną w jej łono.

– Cały czas kłamałeś – stwierdziła.

Peyton zakrył oczy. – Opowieści nigdy nie snuje się dla samego opowiadania – powiedział. – Prawda czy fałsz?

– Ty sukinsynu.

– Winię siebie – dodał. – Nie przyszliby do nas z brzegu, gdybym nie zamachał tą chustką.

Cassie przyglądała mu się, kręcąc głową. – Nigdy bym nie pomyślała, że John Senior może być takim tchórzem, żeby nakłaniać cię do kłamstwa.

Skinał głową. – Masz rację, ojciec nigdy by czegoś takiego nie wymyślił.

Cassie energicznie przeszła przez izbę i położyła obie dłonie na oparciu krzesła. – A więc powiedz. Czego tu nie dostrzegam?

– Usiądź na chwilę.

Gdy sadowiła się przy stole, Peyton wyjął fajkę i rozpalił ją rozżarzonym węgielkiem. Pykał powoli, wciągając dym w płuca, starając się uspokoić oddech. W jej pytaniach dosłyszał ukrytą groźbę, gotowość do zmiany stron, której nigdy by się po niej nie spodziewał.

– Czekam – powiedziała.

– Schodząc w dół rzeki, nie rozmawialiśmy zbyt wiele o tym, co z tym wszystkim zrobić. Wiedzieliśmy, że trzeba będzie złożyć jakieś sprawozdanie, bo gubernator Hamilton będzie chciał poznać przebieg wydarzeń. Pomyślałem, że skończy się to w sądzie, i nie myliłem się. W przypadku Richmonda mogliśmy bez wątpienia powołać się na działanie w obronie własnej, a choć dla Johna Seniora sprawa wyglądała blado, to biorąc pod uwagę, jakie cięgi zebrał, istniała jeszcze szansa, że mógłby wytłumaczyć się swoim stanem. Poza tym tamten młody miał za pasem toporek. Ojciec miał szansę się wykpić i podjąłby ryzyko, gdyby tylko to było na rzeczy. Musieliśmy jednak pomyśleć o Reillym.

– Co z nim?

– Jako dzieciak był złodziejem w Londynie. Przyłapali go na doliniarstwie i skazali na szubienicę. Widziałaś te blizny na jego dłoni.

Cassie przytaknęła.

– Rozumiesz, napiętnowali go jako złodzieja i odesłali na Nową Fundlandię.

– Nie nadążam za tobą.

– To on zabił Indianina.

– Zrobił to w akcie litości.

– Subtelne rozróżnienie. Nasz kapitan Buchan i jemu podobni nie byliby skłonni do takich rozważań. Cassie, on już raz został skazany na śmierć. Zniekształcił piętno na swojej ręce. Sam Chrystus nie zdołałby uratować go od stryczka po raz drugi.

Cassie oparła się na stole. Jej opadająca powieka niemal się zamknęła, jakby

kobieta celowała ze strzelby. – Nie mogłeś zrelacjonować tego zgodnie z prawdą, pomijając tylko Josepha Reilly’ego?

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zwlekał jednak przez chwilę. – Cassie, to mój ojciec. A ty...

– Co? – spytała. – A ja co?

Przyznał się do bezsilności, unosząc rękę w lekceważącym geście.

Wstała z krzesła, uszła trzy kroki, po czym odwróciła się do niego, wściekle kręcąc głową, jakby nagle wszystko stało się dla niej jasne. – To *mnie* próbowałeś chronić – stwierdziła.

Obrócił się na krześle tak, że nie widziała jego twarzy. – Chciałem, o ile to tylko możliwe, oszczędzić ci tej wiedzy.

Zakryła usta ręką i podeszła do drzwi. A wtedy obróciła się i przyskoczyła do niego, przewracając go z krzesłem na podłogę. Próbował złapać ją za ręce, a ona okładała go po głowie i twarzy. Zdzieliła go otwartą dłonią w ucho tak, że zadzwoniło mu w głowie. – Cassie – wymamrotał. Grzmotnęła go w nasadę nosa; o mało nie oślepl od wstrząsu, oczy zaszyły mu łzami. Krew spłynęła mu na wargi, do ust.

Cassie płakała, wymachując ramionami, a gdy udało mu się je wreszcie objąć i przycisnąć do jej tułowia, przytrzymał ją tak i odczekał, dopóki napad urywanego szloch nie ustał. Zaskoczyła go jej siła. Nie miał okazji dostrzec jej przejawów od ich pierwszego roku na wybrzeżu, kiedy poszła z nimi na łód, by polować na foki. Pomyślał, że gdyby miała w ręce pogrzebacz lub bierwiono, ukatrupiłaby go pośrodku kuchni. Kiedy ją puścił, podniosła się i ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się na progu, wciąż stojąc plecami do izby.

– Zostanę tu, dopóki nie zabierzecie Mary nad jezioro – powiedziała.

Peyton klęczał na podłodze. Rękawem koszuli otarł górną wargę z krwi. – Wiesz, że ona może umrzeć, zanim rzeka zamarznie.

– To zostanę do jej śmierci.

Wciąż próbując złapać dech, Peyton podniósł obalone krzesło i ustawił je bokiem do stołu. Usiadłszy, nastawił dłonie do świecy, tak by ich cienie poruszały się na najbliższej ścianie. Złożył je w sylwetkę króliczej głowy, potem psa. Pysk cieniowego kundla zaczął otwierać się i zamykać, a Peyton zaszczekał nisko w rytm kłapania, po czym zawył cicho.

Kiedy miał jedenaście lat, ukradł dwa pensy z kieszeni ojcowskiego spencera leżącego na krześle w pokoju, który dzielili zimą. Po szkole pobiegł prosto na nabrzeże i ustawił się w kolejce. Ścisnął monety tak kurczowo, że ich kształt był odciśnięty we wnętrzu jego dłoni jeszcze długo po tym, jak zapłacił za wejście. Pomieszczenie mieściło niemal stu mężczyzn i chłopców, dziewczynkę ustawiono więc na stole pod jedną ze ścian. Ludzie wyciągali szyje, narzekali, że za słabo wi-

dzą i domagali się, by Indianka coś powiedziała lub zatańczyła. Przez matowe okna sączyło się mętne światło, w pomieszczeniu pachniało deszczem i tytoniem. Ktoś wplótł jej we włosy pióro i namalował na policzkach po trzy białe pasy. Jej sukienka była uszyta z surowej bawełny. W ręce trzymała drewnianą lalkę; tuliła ją do piersi, najwyraźniej nie mając bladego pojęcia, dlaczego się tam znajduje i cóż takiego może interesować tłoczących się przed nią białych mężczyzn. Po pięciu minutach wysłuchiwania niecierpliwych pokrzykiwań tłumu napierającego na stół, dziewczynka zadarła głowę do góry i zawyla z całą mocą bezradności, na jaką stać dziecko w jej wieku. Stanowiła najbardziej samotne stworzenie, jakie w życiu widział.

Schyliwszy się, Peyton podniósł dziennik z podłogi i położył go na stole. Powoli obracał go palcem na blacie, przekładał w dłoniach. Przekartkował go od tyłu, potem od przodu, aż wreszcie znalazł smugę liter na skraju jednej ze stron – jedyne miejsce w całym dzienniku, gdzie wpis wykraczał poza pieczołowicie wyznaczone marginesy. Słowa były zamazane, ponieważ zeszyt zamknięto, zanim atrament całkiem wysechł, Peyton rozpoznał jednak zamasyście skreślone litery, te skośne pętle jej pisma.

David, mieliśmy dziecko. Zanim to skończyłam. Byłam w ciąży.

Przytknął dłoń do czoła. Z początku pomyślał, że Cassie musiała zdradzić jego ojca. Zostawiwszy otwarty dziennik na stole, wymaszerował z kuchni, poszedł korytarzem i stanął pod jej drzwiami, już wznosząc pięść, by w nie załomotać. A wtedy zatrzymał rękę w powietrzu, nareszcie zaczął pojmować. Po ścianie gardła wciąż ściekała mu strużka krwi.

Położył dłoń płasko na drzwiach, przesunął ją po szorstkich słojach drewna. Trwał tak, dopóki nie ogarnęło go wrażenie, że dygot zaraz go powali, a wtedy wypadł z domu i pognął wydeptaną ścieżką na nabrzeże. Potykając się na kamienistej plaży, wbiegł w lodowate wody oceanu i brnął naprzód, dopóki chłód nie pozbawił go tchu w piersiach. Wpatrywał się ślepo w mrok, czując, jak zimno wrzyna mu się w skórę. Drzenie wstrząsało jego wnętrzościami. Nigdy nie była kochanką jego ojca, ale pozwalała, by Peyton żył w takim przeświadczeniu. Przez te wszystkie lata to ona go od siebie odsuwała. Cassandra.

TRZYNAŚCIE

– Muszę przyznać – powiedział Buchan – że rozpocząłem to dochodzenie z szeregiem fałszywych założeń.

Siedział w kuchni Peytonów więcej niż porządnie wstawiony. Gdy rano przyplłynął do nich kutrem, bezpośrednio po przesłuchaniu Noela Younga nad Tommy's Arm River, nikt nie wydawał się szczególnie zaskoczony jego widokiem. Dzień upłynął im na zdawkowych wymianach uprzejmości; Buchan wysłał żołnie-

rzy na nabrzeże, żeby pomogli przy demontażu warsztatu do oprawiania ryb oraz składziku na sól, które na wiosnę mogłyby zostać uszkodzone przez lód skrobiący o brzeg. Kolację spożyli w dostojnej atmosferze i niemal zupełnym milczeniu, kobiety przeprosiły więc mężczyzn i wyszły, gdy tylko skończyły jeść. Rowsell siedział z nimi, ale chwilę przed dziewiątą udał się na spoczynek z pozostałymi żołnierzami. Peyton z ojcem nadal dotrzymywali oficerowi towarzystwa przy stole, podczas gdy wokół zapadał zmrok, a ostry jesienny mróz sięgał po nich coraz śmielej. Peyton rzucił do ognia więcej opału, niż ktokolwiek mógłby zażyczyć sobie na trzeźwo, i przez cały wieczór podtrzymywał huczący płomień. Żaden z nich od dłuższego czasu nie oglądał dna swojej szklanki.

– Co za ślepotą – ciągnął Buchan – żeby człowiek nie dostrzegął tego, co ma pod nosem, ponieważ sam już zawyrokował, jaka jest prawda. Przez cały czas błąkałem się tu w półśnie.

Peyton wznosił szklankę. – Witamy z powrotem w krainie żywych, sir. – Był upojony rozpaczą.

Buchan plasnął otwartą dłonią w blat stołu. – Czuję się tak, jakby ktoś wyszarpnął mi dywan spod nóg.

– To tylko rum – rzucił John Senior.

– Sir, szczerze pana podziwiam – odezwał się Buchan do starszaka. – Podzieliłem się tym już wielokrotnie z różnymi osobami, nie wyłączając pańskiego syna.

John Senior wypił pół szklanki jednym haustem. – A ja podzielę się tym, że głównie mnie to obchodzi, co pan o mnie myślisz – wyznał. – Sir – dodał.

Wszyscy trzej zanieśli się śmiechem; rzeli dłużej, niż można by się spodziewać po tak marnym żarcie, aż w końcu wysiłek przyprawił ich o ból trzewi, po twarzach popłynęły im łzy.

Buchan odchrząknął, próbując stłumić ostatni chichot. – Kiedy Grasshopper wróci, zabiorę pana Reilly’ego do St. John’s, by postawić go przed sądem. – Wciąż ocierał wilgotne policzki.

John Senior popatrzył na syna, potem na oficera. – Wolnego! – zaprotestował.

Kapitan wznosił dłonie w geście bezsilności. – Obowiązuje nas prawo, panie Peyton. Nie mam wyboru.

– Obiecałeś pan dobre słowo, jeśli będzie potrzebne.

– Owszem, w sprawie przeszłych wykroczeń. Tutaj mamy do czynienia z zupełnie inną sprawą. Obawiam się, że pan Reilly zawiśnie.

John Senior powiedział: – To ja go zabiłem. To ja strzelałem.

– Zamknij się – nakazał mu Peyton.

Buchan popatrzył najpierw na starszaka, potem na jego syna. Po twarzy oficera przemknął pijacki grymas niepewności. – Szlachetny gest, sir. Nie spodziewałem

bym się po panu niczego innego.

Peyton podniósł rękę, nakazując ojcu, by nie wstawał z krzesła. – Pilnuj się – rzucił. Dopełnił wszystkie szklanki i pociągnął łyk rumu. – Zakończył pan już swoje śledztwo, kapitanie Buchan.

Wymijająco wzruszył ramionami. – Zdaje się, że zakończyłem – przyznał.

– Bardzo nas to cieszy i napawa ulgą – oznajmił Peyton. Zwrócił się do ojca: – Chciałbym pomówić z kapitanem w cztery oczy.

Staruszek szybko zerknął na syna, szykując się do dyskusji, ostatecznie jednak skapitulował. W ciągu kilku miesięcy, które upłynęły od ich powrotu znad jeziora, John Senior jakby zgubił swoje miejsce w świecie; wszystko wokół niego poprzesuwało się jak spękane płyty lodu topniejące w wiosennym cieple. Koszmary, przez lata dręczące go nieregularnie, stawały się coraz częstsze i bardziej gwałtowne. Niczego już nie był pewien. – Właśnie miałem iść do łóżka – odparł wściekle. Wstał od stołu i poniosł swoją pełną szklankę na piętro.

Peyton przyglądał się Buchanowi przez stół. Nagle wyobraził sobie, że coś wprawia w ruch całą otaczającą ich izbę, że siedzą we dwóch w otwartej łódce na wzburzonym morzu. Przyprawiający o nudności wylot na grzbiet kolejnej fali, potem niespodziewany upadek w przepaść ziejącą między bałwanami. Wstał z krzesła, chwiejnym krokiem podszedł do leżanki i schylił się, by sięgnąć w zalegający pod nią chłód. Wróciwszy do stołu, położył na blacie dziennik. – O ile się nie mylę, zgubił go pan przed kilkoma dniami.

Buchan sięgnął po notes. Przytrzymał go w dłoni tak, jakby próbował ocenić jego ciężar. – Mógłbym pana za to wychłostać – ostrzegł. Potrząsnął zeszytem przed nosem gospodarza. – Mógłbym pana *powiesić*. – Próbował wyglądać na bardziej pewnego siebie, niż był w rzeczywistości. Westchnął przeciągle. – Spodziewam się jednak, że nie znalazł pan w nim żadnych użytecznych informacji. Poza tym, o ile się nie mylę, prawdziwy złodziej i tak jest już w drodze na stryczek.

– Co do szeregu spraw ja również miałem fałszywe założenia, kiedy to wszystko się rozpoczęło.

Wciąż jeszcze nie usiadł na swoim krześle. Wyciągnął dłoń nad stołem i trzymał ją tak, dopóki Buchan pomimo wyraźnych oporów nie oddał mu dziennika. Peyton czuł, że w brzuch wwierca mu się ciasna spirala obrzydzenia, nie potrafił jednak dokładnie określić, kto za tym stoi, ojciec czy Buchan. Cassie. On sam. Poczul, że dziób ich maleńkiej łódki przecina grzbiet kolejnego grzywacza i spada ciężko, a siła uderzenia wstrząsa kadłubem niczym atak torsji.

Przerzucał kartki, aż natrafił na poszukiwaną stronę. Otwarty notatnik ułożył bokiem przed oficerem. Przysunął świecę bliżej.

– Nie wiedział pan o dziecku – zagał. – Prawda, kapitanie?

Buchan podniósł wzrok znad słów wpisanych przez Cassie do dziennika. Peyton rozpoznał po twarzy oficera tę chwilę, gdy spłynęła na niego przyprawiają-

ca o mdłości świadomość, bezdenne panika. Ciemne morze przelewało się przez burty. Woda ciekła wszystkimi szparami.

Część 3

Bootzhawet sleep (verb?) K; ... Isedoweet to sleep;

Bootzhawet sen, spać (?) K; [...] Isedoweet spać;

– ze słownika zestawionego w *The Beothuks or Red Indians* Jamesa P. Howleya

Utrata księżyca

1819–1820

losing vbl n *Phr losing of the moon: the period of waning.*

losing s fraz. *losing of the moon (dosł. utrata księżyca): okres ciemnienia księżyca.*

– *Dictionary of Newfoundland English*

JEDEN

Zanim Buchan wrócił z nad zatoki Exploits, St. John's zdążyło już okryć się bielą. Woda ze śniegu roztopionego przez rozgrzane kominy domu gubernatora wnikła w dach i spływała do środka; podczas całego ich posiłku kapłała do strategicznie rozmieszczonych garnków w pokojach na piętrze.

Marie Buchan przed wizytą skarżyła się na złe samopoczucie, a zanim skończyli jeść, była zmuszona udać się do bawialni, raz po raz wygłaszając przeprosiny w swojej oficjalnej angielszczyźnie. Żona gubernatora, lady Hamilton, również przeprosiła mężczyzn i oddaliła się, aby się o nią zatroszczyć. Dwaj mężczyźni dojedli posiłek i przeszli do pokoju dziennego, gdzie rozsiedli się z kieliszczkami brandy. Była połowa września. Buchan już wcześniej przedstawił swój raport gubernatorowi oraz Sądowi Najwyższemu. W roztargnieniu zamieszał alkohol. Bolała go głowa. Zapach wilgoci utrzymujący się nieprzerwanie w pokojach sprawiał, że budynek wydawał się starszy i zimniejszy niż w rzeczywistości.

– Przeczytałem pański raport... – zaczął Hamilton, zaraz jednak urwał. – Aleś zmarniał, staruszk. Czy to jakaś choroba?

– Sądzę, że to wyłącznie kwestia zmęczenia.

– To do ciebie zupełnie niepodobne – skwitował gubernator. Jego starannie przystrzyżona srebrzysta czupryna stanowiła obiekt zazdrości niejednego mężczyzny piastującego wysokie stanowisko. Wydawał się poważny i zatroskany zarazem; życzliwy, lecz surowy. – Być może – zasugerował – Marie zgotowała ci nazbyt gorące przyjęcie? – W cieniu tej olśniewającej koafiury nawet jego dziwnie infantylne

poczucie humoru nie pozbawiało go pozorów dostojności.

Buchan zdobył się na uśmiech, nie był jednak w stanie go podtrzymać. – Nie czuła się wystarczająco dobrze, by zaoferować... tego rodzaju powitanie.

– No tak – pomiarkował się Hamilton. – Rozumiem. Przeczytałem pański raport, kapitanie Buchan. – Odchrząknął. – Muszę przyznać, że poczułem pewną ulgę.

Po przesłuchaniu Peytona przed sądem Buchan sam całymi tygodniami zabiegał o to, by Hamilton pozwolił mu przeprowadzić dochodzenie zlecone przez ławę przysięgłych. Gubernator – jak zresztą sam zasugerował Peytonowi – gdyby to tylko od niego zależało, najchętniej pozostawiłby werdykt ławników w próżni i pozwolił, aby z roku na rok pytania związane z ekspedycją stopniowo marniały, by wreszcie na dobre wyparować. Wysłanie oficera marynarki w charakterze sędziego mającego przesłuchać pozostałych członków grupy Peytona musiałyby w pewnych kręgach zostać uznane za prowokację. A gdyby dochodzenie doprowadziło do wyroków skazujących... – Na myśl o tym Hamilton tylko kręcił głową. Wszystko to razem wzięte wpędziłoby go w polityczne tarapaty, których w pierwszym roku na urzędzie wolał uniknąć.

Buchan przekabacił go ostatecznie typowymi dla siebie tyradami o sprawiedliwości oraz słuszności działania – posunął się do tak wyrachowanego politycznego zabiegu, że przy każdej nadarzającej się okazji wygłaszał swoje płomienne oracje w obecności urodzonej reformatorki, lady Hamilton. Zawstydział gubernatora przy żonie, dopóki ten nie wziął jego strony.

– I to właśnie sprawia, że jesteś tak cholernie irytujący – rzucił w końcu Hamilton – a zarazem, muszę to przyznać, tak nieoceniony. Ruszaj, dociekaj prawdy. – Machnął ręką w kierunku drzwi. – Walcz o sprawiedliwość, czy to wobec Indian, czy wobec kogo ci się żywnie podoba. Jeśli musisz, obróć w perzynę całe przekłete Imperium.

– Z pewnością zostanie pan za to przychylnie wspomniany na kartach historii – powiedział wtedy Buchan.

Właśnie z tego rodzaju zapalem Hamilton go kojarzył: z wiarą, że nawet działając w tym przeciętnym i zwyczajowo pomijanym zakątku Imperium, funkcjonuje w sercu światowych wydarzeń. Mężczyzna, który zasiadł przed gubernatorem po zakończeniu dochodzenia, był już innym człowiekiem, choć zaszła w nim zmiana zbyt subtelna, by dało się ją nazwać. Woda kapała nieustannie do naczyń porzastawianych na piętze. Od lat podejmowano starania, by zlokalizować i załatać szpary w łupkowym dachu, nikomu nie udało się jednak doprowadzić do znaczącej poprawy. Buchan zdawał się zmagać z podobnie fundamentalnym, zdradliwym i niemożliwym do naprawienia uszkodzeniem.

– To żaden wstyd – przypomniał mu Hamilton łagodnie – że dowiódł pan niewinności swoich rodaków. Bez względu na to, jak mocno wierzył pan w od-

mienny wynik dochodzenia.

Buchan wstał i podszedł do kominka. Podniósłszy kieliszek do ust, opróżnił go jednym haustem.

– Proszę wybaczyć tak śmiałe pytanie – zastrzegł Hamilton – ale czy sprawy między panem a panią Buchan układają się należycie?

Kapitan wykonał nieokreślony gest ręką, w której ścisnął szkło.

– Wygląda na szczęśliwą, że zdążył pan do niej wrócić przed nastaniem zimy.

– Gubernatorze, ona nie jest w pełni dysponowana. Jak pan wie, trwa to już od lat. A ja najchętniej wypłynąłbym znowu w ciągu dwóch tygodni. – Zamilkł na chwilę. – Obiecałem jej kiedyś, jak czynią to bez wątpienia wszyscy mężowie, że nic nie stanie między nami. Nie zawsze pozostawałem tej przysiędze tak wierny, jak mógłbym sobie życzyć.

– Takie jest życie oficera marynarki, kapitanie Buchan. Pan, w przeciwieństwie do gubernatora, nie może wozić żony ze sobą do każdego portu, do którego przyjdzie panu zawinąć.

Buchan odwrócił się do niego. – Czy można jeszcze kieliszek brandy?

Hamilton skinął na karafkę. – Naturalnie. – Kiedy Buchan wrócił do niego z pełnym kieliszkiem, gubernator powiedział: – A co z naszą podopieczną? Tą Indianką?

– Mary.

– Tak, owszem, Mary. Obejmie pan dowództwo nad ekspedycją mającą odprowadzić ją w górę rzeki?

Buchan skinął głową. – Nie jestem wcale przekonany, czy tego właśnie chce, nie przychodzi mi natomiast do głowy żadne lepsze rozwiązanie. Będę musiał tam wrócić, zanim zamarzną zatoki i rzeki, a więc, w zależności od pogody, może i przed połową października. Peytonowie zaoferowali wszelką pomoc w zakresie organizacji wyprawy, prowadzenia jej przez dzicz i tym podobnych.

– To dość dobrze o nich świadczy, biorąc pod uwagę naturę pańskich ostatnich kontaktów z nimi.

Buchan ostrożnie pokiwał głową. Zapatrzył się w swoją brandy. – W rozmowach z Mary starałem się ustalić, w jakiej kondycji znajduje się jej plemię: poznać szacunkową liczebność, ogólny stan zdrowia, lokalizację obozów, wiadomości tego rodzaju. Odrobina informacji, którą się ze mną podzieliła, bynajmniej nie napawa otuchą. Tylko głupiec byłby skłonny postawić zakład, że została ich więcej niż setka.

– *Setka?* Łącznie?

– Powiedziałbym, że to niedorzecznie optymistyczny szacunek.

– Rety – szepnął Hamilton.

Dwaj mężczyźni przesiedzieli jakiś czas w milczeniu, wsłuchując się w mia-

rowe tykanie kropeł spadających do na wpół wypełnionych naczyń nad ich głowami.

– Zakładam – odgadł Hamilton – że mogę już bez obaw posłać za pana pośrednictwem list z mianowaniem młodego Peytona na sędziego pokoju.

Buchan wstał i podszedł do karafki z brandy.

– David, jakoś sobie nie przypominam, żebyś aż tak gustował w napitkach.

W głosie Hamiltona pobrzmiwała ledwie dosłyszalna nuta wyrzutu, którą Buchan z pewnością i tak puściłby mimo uszu, gdyby ją w ogóle zarejestrował. – Wygląda na to – powiedział – że zmieniło się to w czasie, który spędziłem na północno-wschodnim wybrzeżu.

HMS Grasshopper ponownie zawinął do Ship Cove 18 października. Buchan bezzwłocznie zaczął przygotowywać statek do zimowania w zatoce Exploits. Żagle zostały osuszone, zdjęte, złożone i ukryte pod pokładem. Za pomocą łańcuchów solidnie przycumowano statek do brzegu. Żołnierze zostali wysłani do lasu po drewno na budulec i opał.

Choć nie podjął żadnych starań, by odwiedzić kogokolwiek zamieszkałego poza Ship Cove, wiadomości o jego powrocie krążyły wśród mieszkańców wysp i zatoczek. Nieliczni osadnicy, którzy złożyli mu wizytę na statku, zauważyli, że jest mniej towarzyski i energiczny niż przed zaledwie kilkoma tygodniami, choć wciąż wykazywał dawną uprzejmość i profesjonalizm. Wypełniał swoje obowiązki i nadzorował pracę załogi ze skrupulatną i dziwnie chłodną dbałością o szczegóły. Wszystkie wieczory spędzał samotnie w swojej kajucie. W połowie listopada wyekspediował kaprała Rowsella do domu zimowego Peytonów z prośbą, by w ramach przygotowań do wędrówki w głąb lądu odesłali Mary na Grasshoppera.

Po wysiłkach związanych z przeprowadzonymi pod koniec sierpnia poszukiwaniami Indian na wybrzeżu, na Burnt Island Mary przez chwilę cieszyła się względnie dobrym zdrowiem. Przed przeprowadzką do domu zimowego jej kondycja pogorszyła się jednak tak bardzo, że większość dnia spędzała w łóżku, nie będąc w stanie pójść do wychodka czy nawet samodzielnie skorzystać z nocnika. Cassie poiła ją ciekim bulionem i herbatą, a gdy tylko pozwalały na to obowiązki, czuwała przy niej tak, jak niegdyś przez wiele miesięcy przy konającej matce – siedząc u jej boku z otwartą książką na kolanach.

Kiedy otrzymali rozkaz od Buchana, Cassie zaczęła spierać się z kapralem Rowsellem i Johnem Seniosem na temat dorzeczości czy potrzeby przenoszenia do Ship Cove chorej będącej w tak złym stanie. – W górę żadnej rzeki już się nie wybierze – powiedziała.

Rowsell pokiwał głową. – Ma panienska rację – przyznał. – Nie wybierze się. Na pokładzie Grasshoppera mamy jednak lekarza, który może zdoła jej nieco

ulżyć.

Cassie przyjrzała się żołnierzowi. Był obecny przy wydarzeniach ostatnich kilku miesięcy – bezpośrednio lub stojąc za ich kulisami – a ona dotąd nie zwróciła na niego uwagi. Ciemna, zmierzwiona czupryna; oczy osadzone głęboko pod wydatnym czołem ocieniającym ich czysty błękit. Stał przed nią, trzymając ręce za plecami – nigdy nie widziała, by przybrał jakąkolwiek inną postawę. Roztaczał aurę dostojnej rezygnacji, jakby ręce miał tak naprawdę spętane z tyłu, ale nieustannie starał się jak najlepiej wyzyskać okoliczności, na które sam nie miał wpływu.

– Niech mi pan obieca, że należycie się nią zajmiecie.

Ponownie skinął głową. – Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, by tak było.

John Senior odprowadził Rowsella i dwóch pozostałych żołnierzy do Ship Cove. Tam zamierzał skierować się w głąb lądu, by z myślą o ekspedycji nad jezioro sprowadzić syna z traperskiego szlaku. Mężczyźni wyłożyli futrami sanie, by w nich przewieźć Mary na okręt Buchana. Czekali przed domem, podczas gdy Cassie przygotowywała Indiankę do podróży.

Mary była tak wycieńczona chorobą, że nie mogła pojąć, dlaczego ma wstać i gdzie się właściwie wybiera. Cassie pomogła jej usiąść, unosząc jej nogi i opuszczając je za krawędź łóżka. Już ten drobny wysiłek wywołał atak mokrego kaszlu, który wdarł się w nią niczym naoliwione ostrze piły prujące bal drewna. Cassie przysiadła przy niej, objęła ją ramieniem i przytknęła jej do ust szmatkę zapaskudzoną suchą i wciąż schnącą krwią. Pod skórą czuła kości kobiety, dostrzegając, jak bardzo się wyteżają, by nie rozpaść się pod naporem spazmatycznego kaszlu. Cassie wspomniała uścisk ręki, która zamknęła się na jej nadgarstku tamtego pierwszego popołudnia w kuchni Peytonów – tę zaciekłość oraz dzikie spojrzenie Mary, które Cassie uznała wtedy za *indiańskość*, podczas gdy nie było to nic innego jak przerażenie, rozpaczliwy rdzeń pragnienia, by przetrwać, choć wszystko wskazuje na to, że nie przeżyje. Tamta siła już z niej uszła. Tamten lęk. Tamta determinacja.

W kuchni pomogła Mary założyć płaszcz i buty, po czym wręczyła jej tłumok ze skórzanymi ubraniami, które miała na sobie w marcu, gdy Peyton ze swoimi ludźmi dopadł ją na zamrzniętym jeziorze. Zanim zawiązała toból, dołożyła do niego szesnaście par niebieskich mokasynów. Gdy John Senior podszedł do drzwi, by pomóc jej zejść ścieżką, Indianka sięgnęła po jego ramię. Ujrzawszy białych czekających przy saniach, odwróciła się do Cassie.

– Mary wraca domu – powiedziała.

Cassie pokiwała głową. – Żegnaj, Mary.

Pomiędzy dniem, w którym John Senior zostawił Mary pod opieką Buchana na Grassopperze, a tym, gdy sprowadził syna do Ship Cove, upłynął tydzień.

Wróciwszy ze szlaku, zastali Mary ulokowaną w dużej kajucie ogrzewanej piecykiem Buzagla. Zdaniem Buchana była szczerze zachwycona, gdy do jej kwatery wprowadzono młodszego z Peytonów. Cicho rozmawiali o czymś we dwójkę. Jej angielszczyzna była rachityczna, lecz zaskakująco wydajna, zredukowana do najniezbędniejszych podstaw: podmiot-orzeczenie-dopełnienie, czas bezustannie terazniejszy. Buchan zabrał się za gotowanie wody na herbatę, sporadycznie zamieniając parę słów z Johnem Seniosem, którego angielszczyzna – pomyślał niezyczliwie – również była rachityczna, lecz w mniej oczywisty sposób. Podczas gdy rozdawał kubki mężczyznom, Mary zasnęła. Odnieśli swoje krzesła w najdalszy kąt kajuty, by nie zakłócać jej snu.

Pogoda, wcześniej wieszcząca srogą jesień, zrobiła się zaskakująco łagodna. Peyton powiedział Buchanowi, że rzeka Exploits jest niezamarznięta na prawie całym odcinku, wzdłuż którego szli nad zatokę, a na brzegach gromadzą się zaledwie cieniutkie płyty lodu, zbyt zdradliwe, by można było ciągnąć po nich sanie.

– Będziemy musieli zaczekać do mrozów – uznał Buchan.

John Senior pokręcił głową. – Z tej tutaj została tylko skóra i kości. – Skinął na łóżko, na którym spała Indianka. – Nie ma szans, żeby dotarła nad jezioro żywa.

– Powiedział to pan niemal tak, jakby przywiązywał pan do tego jakąkolwiek wagę.

John Senior zaśmiał się, wydając swoje dziwne, na wpół zdławione szczenięcie, po czym odstawił kubek na podłogę i pomaszerował ku drzwiom. Gdy je otworzył i wyszedł, jego wielką, zgarbioną sylwetkę pochłonął zalew światła.

Peyton odchrząknął, przechylił krzesło na tylne nogi i przez chwilę lekko się bujał. – Kapitanie, jakie są jej rokowania według lekarza okrętowego?

– Twierdzi, że takie suchoty niejednego już dawno przyprawiłyby o śmierć... – urwał i zapatrzył się w rozmówcę. Obaj przez chwilę wsłuchiwali się w kipiący wilgocią oddech Mary. Buchan pokręcił głową i podsunął sobie kubek pod brodę, by podmuchać na parujący napój. – Panie Peyton, weszliśmy z butami w tragedię całej rasy ludzi i zbanalizowaliśmy ją naszym małym, obrzydliwym melodramatem.

Peyton musiał uważać, by nie wyszczerzyć się ze zdumienia. Pomyślał, że w szczeroci oficera jest coś żalosego; dostrzegłszy to, poczuł się zaskoczony. Nieśpiesznie pokiwał głową. – Wydaje mi się, że to bardzo angielskie – powiedział.

– Ja nie jestem Anglikiem – szepnął Buchan. Pociągnął łyk herbaty i skrzywił się. Po chwili milczenia zapytał: – Pamięta pan tę dziewczynkę, małą Czerwoną Indiankę, którą widział pan w Poole?

Peyton przytaknął.

– Wie pan, w jaki sposób tam trafiła?

– O ile się nie mylę, to Richmond ją pojmał. Twierdzi, że znalazł ją błąkają-

ca się samotnie po jednej z ptasich wysp.

Buchan pokręcił głową. – Że ją znalazł. Dziecko. Na wyspie na Atlantyku, trzynaście mil od brzegu.

– Tak właśnie twierdzi.

– Sądzę, że musiał wymordować całą jej rodzinę.

Peyton wzruszył ramionami. Nikt tego nigdy nie powiedział głośno, ale wszyscy sądzili, że taka właśnie była prawda. – Chyba musiał.

Buchan powoli pokiwał głową i popatrzył na Peytona. – Zastanawiam się, co mogło się z nią potem stać?

Peyton znowu odchrząknął. – Zmarła, sir. Niecały rok później pojawiła się o niej notka w gazecie. Szkarlatyna, o ile mnie pamięć nie myli.

Cały następny tydzień był nadzwyczaj ciepły; mężczyźni zawyrokowali, że gdyby nawet warunki poprawiły się natychmiast, nie będą mogli wyruszyć w drogę przez co najmniej kolejne pół miesiąca. Peyton z ojcem rozpoczęli przygotowania do powrotu do domu zimowego, a Buchan obiecał, że pośle po nich, gdy tylko uzna, że ekspedycja może przejść po lodzie. Rankiem, zanim wyruszyli do domu, Peyton zaszedł do Mary. Indianka złapała go za rękę i wymusiła na nim obietnicę, że do niej wróci, choć wcześniej ani razu nie zasugerował, że mogłoby być inaczej.

– A teraz musisz wyzdrowieć – powiedział, na co ona stanowczo pokiwała głową. Zadowolili się tymi kłamstewkami, które podsuwali sobie nawzajem tak, jakby brali udział w jakiejś rytualnej wymianie podarków.

Dwaj mężczyźni ruszyli powoli w stronę domu zimowego, brnąc po zawietrznej stronie lasu. Szli przez szerokie plaże oraz ledwie widoczne ścieżki biegnące między drzewami na odcinkach brzegu, gdzie spadziste klify czy ostre, po-trzaskane bryły przybrzeżnego lodu uniemożliwiały wędrówkę nad wodą. Dwa razy tego dnia zrobili postój, by zagotować wodę na herbatę i wypalić fajkę przy wtórze przenikliwych wrzasków mew krążących nad ich głowami.

– Jak myślisz, kiedy tam wrócimy? – spytał John Senior.

– Powiedział to pan niemal tak – odparł Peyton, siląc się na szkocki akcent – jakby przywiązywał pan do tego jakąkolwiek wagę.

– Co za kutafon.

Peyton wzruszył ramionami. – Zostawił nas w spokoju.

– Owszem, zostawił – przyznał John Senior. Dotąd nie dociekał, na jaki układ syn poszedł z kapitanem, jaki środek perswazji zastosował, jakim strzępem informacji pomachał mu przed nosem w charakterze przynęty lub groźby, że Buchan wrócił do St. John's i ogłosił, iż postępowanie członków ekspedycji było w pełni uzasadnione, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. Że nie wysunięto dalszych oskarżeń czy nakazów. Najwyraźniej wołał nie wiedzieć.

Gdy rozpoczęli ostatni etap podróży, zaczął prószyć śnieg. – Proszę bardzo, stara już skubie swoją gęś – rzucił John Senior. Przy bezwietrznej pogodzie padające gęsto płaty śniegu tłumiły szmer oceanu z jednej strony i lasu z drugiej. Przypięli sobie do butów indiańskie rakiety i powlekli się dalej w prawie zupełnej ciszy. O zmierzchu mieli już dom w zasięgu wzroku. Gdy mijali zamkniętą oborę, zwierzęta zaczęły kwilić.

Przecisnęli się przez drzwi w przenikliwy ziąb panujący w domu, a Peyton zawołał Cassie, jakby najzwyczajniej w świecie drzemała w drugim pokoju. Podszedł do schodów i znowu krzyknął. Kufer stojący w salonie był starannie wypakowany książkami i ubraniami. Peyton zakładał, że zapewne ma tak czekać, aż Cassie po niego pośle. Zniknęła jedna strzelba i para indiańskich raket, do tego plecak i stary komplet zimowych ubrań Johna Seniora. Staruszek zabrał się za rozniecanie ognia, a Peyton usiadł na leżance w butach i płaszczu.

– Nie ma jej – powiedział.

– To widzę – odparł John Senior, klękając przy kominku. – Nie sposób stwierdzić, co jeszcze ze sobą zabrała i jak dawno odeszła. Powinieneś może zajrzeć do zwierząt.

Kolejne tygodnie spędzili, blakając się bezcelowo po domu jak góry lodowe dryfujące między wyspami. Podparli płot na tyłach gospodarstwa, wyczyścili prze-grody w oborze, wybrali się do lasu po drewno nadające się na klepki do beczek, ich dni pozbawione były jednak narracji. Dom zdawał się do nich nie pasować, jak znajome ubrania założone po długiej, wyniszczającej chorobie. John Senior codziennie zaczynał pić coraz wcześniej, aż doszło do tego, że rano wypijał kieliszek rumu zaraz po zejściu na parter. Każdej nocy budził się w objęciach koszmaru, krzycząc: „Przestań już, na rany boskie, skończcie to wreszcie!”.

Peyton połowę każdego popołudnia, a do tego i wieczory, spędzał, czytając przy blasku świec – nawyk, któremu nie oddawał się, odkąd był nastolatkiem. Prze-grzebał kufer Cassie w poszukiwaniu książek, które uważała za skarby, *Wierszy Graya*, *Żywotów poetów* Johnsona. Szybko zdał sobie sprawę, że nie znajdzie w lekturze ukojenia, kontynuował ją jednak z takim uporem, jakby odbywał jakąś pokutę.

Na dnie kufra natrafił na przepisane ręcznie kopie *Otella* i *Burzy*, które kiedyś mu podarowała. Podniósł plik kartek i ułożył je sobie na kolanach. Ostatnio widział je schowane w swoim pokoju. Cassie najwyraźniej zamierzała zabrać je ze sobą.

Zasiadł z dramatami przy stole i zaczął przerzucać arkusze, z większą uwagą studiując charakter pisma niż same słowa – wiersze opadające lekko na pozbawionym linii papierze. Na odwrocie strony tytułowej *Burzy* znalazł niedbały szkic zatonki Exploits z wrysowanymi domami Peytonów. Rysunek przywodził mu na myśl mapę, którą Mary narysowała dla Buchana. Tutaj również przy domu letnim na

Burnt Island stał schematyczny ludzik. Przy krawędzi strony widniał szereg dziwnych słów spisanych ręką Cassie. *Adenishit. Baroodisick. Gidyeathuk. Mamasheek. Messiliget--hook.* Gdy Peyton zapytał o to ojca, starszek pobieżnie zerknął na szkic i oznajmił, że nigdy go nie widział i nie ma pojęcia ani dlaczego został narysowany, ani co mogą oznaczać te słowa.

Peyton często do niego wracał, by dokładniej badać poszczególne elementy. Czy te linie nad Charles Brook to coś w rodzaju płotu? Czy Cassie kazała Mary to narysować? A może zrobiła to sama? Myślał o mapie i naniesionych na niej detalach jak o poszlakach, umykała mu jednak historia, która mogła się za nimi kryć.

Pewnego wieczora John Senior, siedząc na krześle przy kominku, przedarł się przez sążęń milczenia i oznajmił: – Może to już czas, żebyś poszukał sobie żony.

Peyton oderwał wzrok od kręgu światła rysującego się na stole wokół świecy, wciąż trzymając dłonie na brzegach mapy. – Chyba masz rację – przyznał.

Czternastego grudnia Joseph Reilly przyszedł znad Charles Brook nad Salmon Arm. – Pokój temu domowi! – zawołał, podchodząc od strony plaży.

Nie ubierając kurtek, Peyton z ojcem wyszli na zewnątrz, aby go przywitać. Kawalek materiału, który osłaniał jego twarz, przecięty był smugą lodu w miejscu, gdzie zamrzły kłęby pary z nosa i ust. Zdawał się zaskoczony ich widokiem. – Za Bożym przeproszeniem... – rzucił, ściskając im dłonie. Wprowadzili go do środka, przy kominku wydobyli z grubego płaszcza, napoili rumem i nakarmili talerzem solonej ryby z chlebową polewką podlaną świńskim tłuszczem.

– Co tam w domu? – spytał John Senior. – Jak się miewa Annie Boss?

– A miewa się tak, że znowu jest przy nadziei. Jakoś nie jesteśmy w stanie przerwać na dość długo, żeby chociaż złapać oddech.

Podsunęli mu kolejny pełny talerz. Kiedy już się nasycił, rozparł się na krześle i powiedział: – Doszły mnie słuchy, że wybraliście się z Mary w górę rzeki. Przyszedłem, żeby zajrzeć do Cassie, pomóc jej wyczyścić oborę.

– Exploits jest wciąż niezamarznięta na siedem mil w głąb łądu – odrzekł Peyton. – Dopóki nie przyjdą solidne mrozy, nikt w tym roku nie dotrze nad jezioro. Buchan ma nas wezwać, gdy pogoda się zmieni.

Wzmianka o oficerze sprawiła, że obaj pokiwali głowami, wpatrując się w swoje kolana.

– Ten twój jegomość... – zagadnął Reilly. – Dużo miał o tym wszystkim do powiedzenia?

– Ani słowa, Joseph.

– W takim razie jestem twoim dłużnikiem.

Peyton odwrócił się i zerknął na ojca przysypiającego na krześle ze szklanką

rumu chybczącą się na kolanach. – Ja bym powiedział, że w tym momencie jesteśmy mniej więcej kwita.

Położywszy Johna Seniora spać, Peyton dorzucił do ognia kilka szczap i dołał rumu najpierw Reilly’emu, a następnie sobie. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Bale w ścianach trzaskały i skrzypiały na wietrze.

– Nie zapytałeś mnie o nią – odezwał się w końcu Peyton.

Reilly podniósł wzrok zaskoczony. – O kogo?

Nikt poza Cassie nie mógł powiedzieć Reilly’emu o ekspedycji. – Joseph, to ona cię przysłała, żebyś zajął się zwierzętami.

Reilly spojrzał na swoje dłonie. Tę poznaczoną bliznami zakrył drugą ręką. – Nie – zaprzeczył. – Nie, tylko do nas zaszła. – Pokiwał głową. – Będą już prawie dwa tygodnie. Ja zastawiałem pułapki w lesie. Zatrzymała się u Annie na dwie noce. Odtąd nie doszły nas żadne słuchy na jej temat. Sądziłem, że wróciła tutaj.

– Zabrała ze sobą sanie, pełne wyposażenie.

– Nie wiem nic ponad to, co już ci powiedziałem. Zawsze chadzała swoimi ścieżkami. – Przyjrzał się Peytonowi. – Wiesz, jaka jest.

Powoli pokiwał głową. – Nie łągałbyś mi w żywe oczy, co, Joseph?

Reilly odwrócił się do ognia. – Daj jej odejść.

– Jest u ciebie?

Reilly zerknął na niego oczami rozszerzonymi ze zdziwienia i szybciotko odwrócił wzrok, kręcąc głową.

– Ty zawszony ajryszu – zachnął się Peyton.

Irlandczyk wstał z krzesła. Szybko dotknął bioder i brzucha, jakby spodziewał się znaleźć tam kieszenie, w które mógłby wcisnąć ręce. – Mój najstarszy syn tak już wyrósł, że mogę przekazać mu część obowiązków – oznajmił. – Tak sobie myślałem, że mógłbym w najbliższym sezonie połowić ryby na własny rachunek, a Annie z chłopakiem zajęliby się pracą na brzegu.

Peyton nie popatrzył mu w oczy.

– Johnie Peyton, próbuję ci powiedzieć, że będziesz musiał sobie poszukać nowego brygadzysty. – Trzykrotnie stuknął dłonią w udo. Bezcelowo rozglądał się po izbie, aż wreszcie zatrzymał spojrzenie na Peytonie, wciąż siedzącym na krześle. – Błędym świtem ruszam do domu. Przekaż Mary pozdrowienia ode mnie i Annie.

Dwie minuty przed północą w Wigilię Bożego Narodzenia Peyton wyszedł za próg z bronią. Podniósłszy muszkiet do ramienia, odliczył spokojnie od stu do zera, strzelił w nocne niebo tak, jakby mierzył do którejś z gwiazd, i stanął w bezruchu, czekając na odpowiedzi niosące się po wybrzeżu. Ostre trzaski wystrzałów, po nich stłumiony chór podźwięku. Przymknął oczy, jak gdyby próbował wyłowić

z niego jakiś konkretny głos.

W bożonarodzeniowy poranek temperatura spadła poniżej minus dwudziestu pięciu stopni. Gdy Peyton się obudził, na kocu w pobliżu jego ust widniała broda szronu. Na kamień zamarzła nie tylko woda w miednicy, ale nawet szczyny w nocniku pod łóżkiem. Wytrzepawszy sztywność ze spodni, wsunął wstrząsane dreszczem ciało w koszulę i gruby sweter. W kuchni zastał rozpalony kominek, nad płomieniami wisiał już kociołek wody. Peyton zawołał ojca i podszedł do okien, starając się go wypatrzeć.

John Senior szedł właśnie od strony obory, w jednej ręce niosąc siekiere, a w drugiej zwiotczałą gęś, którą trzymał za błoniaste nogi. Krew ciurkająca miarowo z szyi ptaka rozplatała się po ziemi jak nić mająca znaczyć drogę do domu. Pod drzwiami staruszek oparł siekiere o ścianę i przyklęknął, by oskubać jeszcze ciepłą tuskę. Nie zauważył syna przyglądającego mu się przez okno. Dłonie miał gołe i poczerwieniałe od mrozu.

Piętnaście minut później wszedł do domu z nagą gęsią. Wysmarkał się w dłoń i wytarł palce w nogawkę. – Tydzień czegoś takiego – oznajmił – i przyjdą po nas z Ship Cove.

Peyton poczuł bijący od ojca zapach rumu – ostry, kwaśny skręt w chłodnym powietrzu wypełniającym kuchnię.

– Będiesz musiał tu zostać, żeby doglądać zwierząt, kiedy mnie nie będzie – powiedział.

Martwa gęś zwisała bezwładnie z ręki Johna Seniora. Ostatnie krople krwi skapnęły z szyi na drewnianą podłogę. Powoli rozejrzał się po kuchni, jakby dotąd nie przyszło mu do głowy, że mógłby samotnie spędzić w tym miejscu dłuższy czas. – Chyba masz rację – przyznał.

Zimna, przejrzysta aura utrzymywała się także po Nowym Roku, więc ósmego stycznia przed zmierzchem kapral Rowsell z dwoma marynarzami przybyli do nich z wiadomością, że – o ile obejdzie się bez przeszkód – ekspedycja ma wyruszyć z Ship Cove dwunastego.

– Jak się miewa Mary? – spytał Peyton.

Rowsell wciąż stał przy drzwiach z dłońmi złożonymi na krzyżu. Wzruszył ramionami. – Bywają gorsze dni. Kiedy ostatnio rozmawiałem z kapitanem Buchanem, zdawało się, że Mary czuje się tak sobie.

– Wpuśćcie ich wreszcie do środka – zażądał John Senior.

– Oczywiście, oczywiście. – Zachęcił ich, by stanęli bliżej ognia, gdzie podejmowali rękawice i czapki oraz strzepnęli szron z rękawów płaszczy. John Senior zdążył już zniknąć w spiżarni w poszukiwaniu szklanek.

– O ile to panu odpowiada, warto byłoby wyruszyć jutro z samego rana. Na wypadek mniej dogodnej pogody.

– Oczywiście – powtórzył Peyton.

Kapral pokiwał głową i rozejrzał się po izbie. – O ile zastałem pannę Jure, chętnie jej również przekazać wieści o stanie zdrowia Mary.

– Nie mieszka już u nas – oznajmił Peyton, przekazując mu szklankę rumu.

Wyruszyli przed świtem. John Senior wyszedł przed dom, żeby ich pożegnać i pomóc im spakować jedyne sanie. Bez słowa krzątał się w ciasnym kręgu mężczyzn.

– No – mruknął Peyton, gdy byli już gotowi.

John Senior zbliżył się do syna. Ściągnawszy z trudem rękawicę, zaczął przetrząsać kieszeń płaszcza. – Przekaż jej to – nakazał, wręczając mu pustą koperkę po zegarku odzyskaną z indiańskiego obozu nad jeziorem.

Zaskoczony Peyton popatrzył na kawałek metalu srebrzący się w jego dłoni.

– Komu? – zapytał.

John Senior skrzywił się i odwrócił twarz. Wydawał się być w na wskroś paskudnym nastroju. – Mnie się już do niczego nie przyda – stwierdził.

DWA

Kiedy dotarli na miejsce, już się zmierzchało, a w pokoju Mary płonęły świece. Piecyk został zagaszony po południu, by ziąb spowolnił proces rozkładu. Trumnę z sosnowych desek okryto piękną czerwoną tkaniną i przyozdobiono miedzianymi blaszkami oraz tabliczką z imieniem.

– Wczoraj około drugiej po południu zaczęła się jakby dusić, wezwano mnie więc tutaj – wyjaśnił Buchan. – Byłem przy niej, gdy zajmował się nią lekarz okrętowy. Pół godziny później wszystko wskazywało na to, że doszła do siebie.

– Biedaczka – westchnął Rowsell.

– Gdy przyszedłem do niej po raz drugi, już nie żyła. Według żołnierza, który jej towarzyszył, przed śmiercią pytała o pana.

Peyton nie zdjął jeszcze płaszcza ani czapki. – Kapitanie, czy mogę na nią popatrzeć?

Oficer skinął ręką na żołnierza stojącego na baczność pod ścianą, a ten podszedł do trumny, zdjął z niej czerwony całun i otworzył wieko. Peyton dał krok do przodu, zdjął czapkę i złożył ją w dłoniach. Światło w pomieszczeniu ciemniało i falowało niczym sieć cieni pod gęstniejącymi chmurami. Mary miała ręce skrzyżowane na piersi, jej oczy przykryto dwoma lśniącymi miedziakami. Co do wyrazu jej twarzy, Peyton nie potrafił stwierdzić, czy odzwierciedla błogość, zatroskanie czy obojętność. Wyciągnął rękę i musnął jej policzek; skóra była już zimna jak woskowa świeca i miała tę samą dziwnie tłustawą fakturę. Aż poczuł chęć, by wytrzeć dłoń o rękaw.

– Kapitanie, jak to się przekłada na plany związane z ekspedycją? – spytał.

– Miałem przywrócić ją na łono jej plemienia. – Buchan lekko uniósł się na

palcach stóp. – Nie widzę powodu, by zmieniać ten zamiar.

– Nadal chciałbym panu towarzyszyć, jeśli można.

Buchan skinął głową. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy – dodał.

– Rozumiem – przytaknął Peyton. Głos mu się lekko załamał; odkaslnął w pięść. Czuł zażenowanie, że tak tam stoi, palony lekką gorączką zgryzoty. Po raz pierwszy poczuł, że to, co spotkało tę kobietę, naprawdę ociera się o rzeczywistość przekraczającą losy jego samego czy garstki osób, o które on się troszczy. Nie odwracając się do oficera, powiedział: – Kapitanie, sądzę, że jestem panu winien przeprosiny.

– W punkcie, do którego doszliśmy – odparł Buchan – przeprosiny wydają się bez znaczenia. – Ponownym skinieniem ręki nakazał żołnierzowi podejść do trumny. Wieko zostało zamknięte i okryte wspaniale udekorowaną czerwoną tkaniną.

Zwrot pogody ku ociepleniu opóźnił ich wymarsz o kolejnych dziesięć dni. Gdy wreszcie zapadła decyzja o rozpoczęciu wyprawy, warunki na rzece dalekie były od dogodnych. Dwudziestego pierwszego stycznia oddział pięćdziesięciu żołnierzy – ciągnących dwanaścioro sań z prowiantem na czterdzieści dni podróży, sowną trumną i przeróżnymi podarkami dla napotkanych Czerwonych Indian – stanął frontem do mroźnego, wschodniego wiatru i przekroczył zatokę, kierując się na Little Peter's Point. W charakterze wsparcia towarzyszyła im grupa dziesięciu marynarzy pod dowództwem jednego z oficerów, mająca przebyć z nimi dwadzieścia pięć mil dzielących ich od pierwszego wielkiego wodospadu, a następnie wrócić do Ship Cove.

Na długim odcinku rzeka była wciąż niezamarznięta, a lód przy brzegach zapadał się zdradliwie, tak że pierwszego dnia ekspedycja przebyła tylko cztery mile. Następnego dnia zdołali pokonać zaledwie trzy mile, lecz i tak okupili to uszkodzeniami sań, a kilku mężczyzn przemoczyło sobie buty na wylot. Wczesnym popołudniem stało się dla Buchana jasne, że niebawem trzeba będzie rozbić obóz.

– Jesteśmy niecałą godzinę drogi od starej chaty Reilly'ego – zauważył Peyton. – Już od lat stoi opustoszała, ale może posłużyć za schronienie tym, którzy przemokli.

Buchan pokiwał głową. – Niech pan pójdzie przodem z Rowsellem i zobaczy, czy da się z niej jeszcze skorzystać. Rozpalcie ognisko. Wkrótce was dogonimy.

Dwaj mężczyźni puścili się naprzód niemalże truchtem, tak że sunęli wzdłuż brzegu w dobrym tempie. Zanim zobaczyli chatę, obaj przyznali, że czują zapach dymu. Rowsell obawiał się spotkania z grupą Czerwonych Indian, Peyton zapewniał go jednak, że znajdują się jeszcze zbyt blisko wybrzeża. Twierdził, że najpew-

niej to jeden z zatrudnianych przez niego myśliwych postanowił przenocować w ruderze.

Podchodząc znad rzeki ku starej chacie, Peyton zawołał na powitanie. Śnieg przed budynkiem był mocno wydeptany, pod ścianą leżał spory stos porąbanego drewna na opał. Gdy krzyknął ponownie, ona podeszła do drzwi i zatrzymała się w progu, spoglądając na mężczyzn stojących na ścieżce.

– Dzień dobry, panno Jure – przywitał się Rowsell.

Po tym, jak w listopadzie Rowsell z żołnierzami zabrali Mary z domu Peytonów, Cassie ogarnęło nietypowe dla niej zimowe wyczerpanie, jakby dotykały ją pierwsze objawy ciężkiej choroby. Nic więcej jednak z tego nie wynikło. Zobojętniała przesiadywała w kuchennym oknie, to spoglądając na śnieżne zasy ciągnące się aż po przestwór skutego lodem morza, to obserwując ciemne strzępy chmur mknące po niebie i odsłaniające nieraz błękit tak jasny i czysty, że od wpatrywania się w niego bolały ją oczy. Była w stanie podtrzymać ogień, ignorowała jednak obowiązki, którymi zazwyczaj wypełnione były jej dni. Nie potrafiła nawet przymusić się do lektury. Spożywając posiłki, wodziła dłonią po blacie stołu, przy którym Mary narysowała kiedyś mapę w dzienniku Buchana, twierdząc, że nad jezioro chce wrócić wyłącznie po to, by odzyskać dziecko. Cassie wciąż była tym zakłopotana; zdarzało jej się rozmyślać nad tym godzinami.

Drugiego dnia spędzonego samotnie zaczęła pakować książki do kufra, nie uświadamiając sobie jasno, co tak właściwie zamierza zrobić. Nosila w głowie szczegółowy wykaz całego swojego księgozbioru; odkładając kolejne wolumeny do skrzyni, odhaczała je na liście. Uporawszy się ze wszystkimi książkami, postąpiła jakiś czas z rękami na biodrach, po czym poszła do sypialni Peytona i przetrząsnęła jego skromny dobytek w poszukiwaniu dwóch ręcznie przepisanych dramatów Szekspira. Zniosła je do kuchni i powoli przekartkowała. Popełniła błąd, dając je Johnowi Peytonowi, oczekując, że chłopak zakocha się w nich, a nie w niej.

Na odwrocie strony tytułowej *Burzy* zaczęła spisywać listę słów, których Mary ją nauczyła: gwiazdy, wiatr, piorun, wyspy. Resztę chyba zapomniała. Obok naszkicowała własną schematyczną mapkę zatoki Exploits: poszarpaną układankę wysp, grzbiety skał rozsypanych niczym przeszkody mające utrudnić dostęp światu zewnętrznemu. Koślawy paluch słonej wody wdzierający się w głąb lądu, w ujście rzeki Exploits. Nad Salmon Arm wrysowała maleńki prostokąt – dom zimowy wtulony w skraj lasu. Nad Charles Brook kilkoma pociągnięciami pióra zaznaczyła łąki ponad domem Reilly’ego, tę zieloną trawę, którą niegdyś kosiła i układała w stogi. Na Burnt Island większy prostokąt; obok niego falowaną linię dochodzącą do wybrzeża w miejscu, gdzie potok uchodził do zatoki.

Wpatrywała się w mapę. Jej azyl – tak zwykła myśleć o tym miejscu. Jej

schron. Zadekowała się na północno-wschodnim wybrzeżu, przez te wszystkie lata odwracając się od każdego, kto w jej mniemaniu mógł rościć sobie do niej prawa; robiła uniki, zwodziła, walczyła o wolność i dystans. Ostatecznie poniosła klęskę.

Przy domu letnim kilkoma kreskami naszkicowała kobietę, podobnie jak Mary na swoim rysunku. I dokładnie tak jak Indianka dorysowała małą postać na wysokości jej bioder.

– *Dziecko, Mary?*

– *Tak, tak. Dziecko.*

Messiliget-hook.

Niemowlę, które Cassie umieściła przy swoich biodrach, było mniejsze niż to u Mary: stanowiło zaledwie drobną smugę na papierze, którą ktoś inny wziąłby za przypadek, za nieumyślne pociągnięcie pióra. Wstyd tajny. Bez rany rana. Pochyliła głowę tak, że w końcu oparła twarz na blacie. Zawsze, gdy miała wrażenie, że straciła już wszystko, co w jej życiu ważne, okazywało się, że wciąż jest do stracenia nieco więcej.

Następnego ranka znowu założyła stare ubrania Johna Seniora i pomaszerowała w stronę Charles Brook, popychana wiatrem w plecy tak silnym, że przy niektórych podmuchach bała się runięcia twarzą na lód. Isaac, najstarszy z synów Reilly’ego, rąbał drewno przed chatą. Zobaczywszy nadchodzącą kobietę, wyprostował się, osłonił oczy ręką i pobiegł do domu po Annie Boss.

Cassie spędziła u nich dwie noce. Dom stanowił kocioł wypełniony ciepłem, bieganiną i wrzaskami czwórki dzieci. Reilly był na szlaku. Annie znowu spodziewała się dziecka, ale ciąża była jeszcze ledwie widoczna. Kobiety nie rozmawiały zbyt wiele; Cassie rzuciła się w wir karmienia, sprzątania i pocieszania, tak jakby została przyjęta na służbę. Wieczorami, gdy dzieci już posnęły, kobiety siadały przy filiżance ostrej świerkowej herbaty.

Cassie uśmiechnęła się do Annie. – *Dobrze mi tu – powiedziała.*

Annie odparła: – *Mile widziana, zostanie, ile zechce.*

Pokręciła głową. – *Zamierzam odprowadzić Mary nad jezioro.*

– *To się nagada. Mężczyźni nie zechcą kobiety nad rzeką.*

– *Pójdę przez las do waszej starej chaty. Tam na nich poczekam. Nie będą mieli wyboru.*

Annie posłała jej zatroskane spojrzenie i potarła dłońmi o uda. – *Ciężka mordęga nad rzekę.*

– *Znam drogę – wyjaśniła Cassie. – Ktoś będzie musiał zajrzeć do zwierząt nad Salmon Arm – dodała po chwili.*

– *Jak Joe Jep wróci, to pójdzie. Spokojnie. – Stanowczo pokiwała głową, kładąc obie dłonie na brzuchu. Powiedziała: – Będziemy tęsknić, panienska Jure.*

Cassie oderwała wzrok od dwóch mężczyzn i popatrzyła na rzekę za ich plecami. Twarz miała ponurą, ściągniętą wyczekiwaniem. – Już myślałam, że nie przyjdziecie.

– Cassie, ona nie żyje – oznajmił Peyton.

Skinęła głową.

– Kapitan Buchan zrobił dla niej wszystko, co było w jego mocy – dodał Rowsell.

Ponownie skinęła. – Dziękuję, panie Rowsell. – Odwróciła się i weszła do środka, zostawiając drzwi otwarte.

Cassie załatała dach na tyle, że śnieg nie padał do środka; zabiła deskami okno i osadziła drzwi na zawiasach. Prowizoryczny stojak pozwalał na gotowanie na kominku. Podłoga została sumiennie wymieciona, pościel – choć wystrzępiona i zbyt cienka jak na tę pogodę – była starannie zasłana. Kobieta własnoręcznie ścięła i porąbała drzewo leżące przed domem. Nie miała świec czy choćby odrobiny nafty pozwalającej na rozpalenie szmacianego knota; przy zamkniętych drzwiach jedynym źródłem światła był kominek. Cienie pogłębiały i zalewały czernią jej oczy oraz zapadnięte policzki.

– Co ty tu jesz? – spytał.

– Pardwy, bobry. Mąki na chleb wystarczyło mi do Nowego Roku.

– W ślad za nami idą przemoczeni, zziębnięci żołnierze – poinformował Rowsell.

– Będą tu mile widziani.

– Wróć z wiadomościami do kapitana – rzucił kapral.

Peyton i Cassie zakryli oczy przed odbitym od śniegu blaskiem słońca, który wlał się do izby, gdy żołnierz wychodził na zewnątrz. Dociągnął drzwi za sobą, znów zatrzaskując pomieszczenie w czerni.

– Ilu będzie musiało przemocować dzisiaj w środku?

– Jest trzech, którzy mają już stopy w fatalnym stanie.

Wstała i zaczęła po ciemku przesuwając swoje nowe meble. Peyton odchrząknął. Zdał sobie sprawę, że wcale nie zaskoczył go jej widok. Czuł przemożne pragnienie, by jej dotknąć, położyć rękę na jej ramieniu, przytrzymać rąbek jej rękawa między kciukiem a palcem wskazującym. Stroniła jednak od niego, jak zawsze zachowując stary, dobrze znany dystans. Nagle ogarnęła go wściekłość.

– To z Buchanem byłaś – wypalił. – To Buchan był ojcem.

Cassie roześmiała się smutno. – Ten człowieczek.

– A ja cały czas myślałam...

– Wiem, co myślałaś.

Znał prawdę już od dobrych kilku tygodni, lecz i tak poczuł ból, gdy ją usłyszał – gdy kobieta wypowiedziała to tak otwarcie. Siedział bez ruchu, żałując, że wywlócił ten fakt na światło dzienne, że nie może już pogrzebać go w ciemnościach

swojego umysłu. Sylwetka Cassie odcinała się powoli od cieni, w miarę jak przyzwyczajał się do niedostatku światła. Zwrócił uwagę na jej kuśtykanie, które przy braku innych szczegółów jeszcze bardziej rzucało się w oczy, sprawiało wrażenie nowości. Skinął na nią ręką i powiedział najłagodniej, jak potrafił: – Cassie, nigdy nie opowiedziałas mi o swojej nodze.

Przystanąła, wzięła się pod boki i przez jakiś czas wpatrywała się w niego z wściekle wykrzywionymi ustami. Peyton położył dłonie na kolanach i spuścił wzrok na klepisko. – Tak tylko spytałem – wyjaśnił.

Cassie pokiwała głową. – To ojciec... – zaczęła, ale się opamiętała. Z drugiego końca izby słyszał jej oddech: rytm oceanu, postrzępione brzegi, na których załamywał się i rwał. – Nikomu nigdy nie powiedziałam, jak było naprawdę.

– A zatem dobrze...

– Kiedy byłam małą, matka zrzuciła mnie ze schodów. Miałam dwanaście lat.

Peyton utkwiał w niej spojrzenie.

– Powiedziałam jej o ojcu. O tym, jak zabrał mnie na wyprawę do Portugal Cove. W drodze powrotnej do St. John's zatrzymaliśmy się nad jeziorem, a on wyjął swój kompas i mosiężny pojemniczek. Pokazał mi, czym rozkochał w sobie moją matkę. – Na jakiś czas zamilkła; oboje słyszeli skrobanie sztywnych świerkowych igieł o ściany chaty. – Myślałam, że ona mnie ochroni – dodała.

Peyton skinął głową w niemal zupełnych ciemnościach. Kiwał nią tak przez dłuższy czas.

– Sam chciałeś wiedzieć – skwitowała.

Zapadło milczenie, Cassie wciąż bez celu przesuwiała krzesła. Nagle wyprostowała się i odwróciła do niego.

– Przestałam krwawić – powiedziała. – Mówię o miesiączkach – wyjaśniła. – Nie krwawię już od lat.

Peyton, obaj oficerowie oraz żołnierze najbardziej zagrożeni odmrożeniami spędzili noc w chacie. Po raz pierwszy w życiu Peyton spał w tym samym pomieszczeniu co Cassie. Godzinami leżał bezsennie, próbując w ciemności wyplatać delikatne pasmo jej oddechu spośród cudzych odgłosów, siermiężnego chrapania, niezadowolonych westchnień towarzyszących zmianom pozycji. Rano Cassie włożyła zimowe ubrania, które zabrała z domu Peytonów, i zeszła nad rzekę z mężczyznanami.

Buchan próbował przemówić jej do rozsądku, ale nie zdobył się na to, by otwarcie zabronić jej udziału w ekspedycji. – Rozumie pani – powiedział – że nie dysponujemy środkami niezbędnymi, by asystować jej, gdyby okazało się to konieczne.

– Będę na nią uważał – zaoferował się Peyton.

– Dam sobie radę – oznajmiła.

Dojście do wodospadu, wniesienie sań indiańską ścieżką i przebycie mokradel dzielących ją od rzeki zabrało im cztery kolejne dni. Trumnę, na czas wyprawy starannie zabezpieczoną płótnem, niosło czterech mężczyzn. Każdy we własnym rytmie stąpał ostrożnie pod górę, szukając oparcia między luźnymi kamieniami i lodem niczym kot nieufnie wydeptujący ścieżkę w świeżym śniegu.

Następnego ranka oddział pomocniczy zawrócił na wybrzeże, zabierając z powrotem jednego żołnierza z odmrożonymi stopami. Pozostali członkowie ekspedycji przez dwa dni obozowali w tym samym miejscu, naprawiając sanie poważnie uszkodzone podczas dotychczasowej wędrówki. Niektóre musieli porzucić, a w zastępstwie zbudowali z młodych świerków i olch trzy proste platformy na drewnianych płozach. Nocami w górze rzeki rozlegały się trzaski lodu pękającego pod naporem wody, które wprawiały ziemię w drżenie i niosły się echem jak salwy artyleryjskie.

Trzydziestego pierwszego stycznia pięciu mężczyzn, w tym Buchan, wpadło pod lód i skąpało się po pas w zimnym nurcie. Podczas gdy inni urządzali obóz i rozbierali przemarzniętych pechowców przy ognisku, Peyton z Rowsellem poszli na zwiad, by sprawdzić, co czeka ich następnego dnia wędrówki. Przekroczyli rzekę milę ponad obozem. Peyton wdrapywał się akurat na drzewo, by stamtąd rozemnać się w warunkach panujących za zakolem rzeki, gdy lód zaczął poruszać się jak sierść zauszonego zwierzęcia. Skorupa podniosła się, opadła, a następnie rozsunęła w kilku różnych kierunkach jednocześnie.

– Panie Peyton – powiedział Rowsell.

Lód potrzaskał na duże kry o kształtach przywodzących na myśl plaster miodu. Musieli wrócić na drugi brzeg lub zaryzykować, że zostaną odcięci od towarzyszy i prowiantu. Kilka cali wody rwało już ponad lodem; biegnąc, przemoczyli sobie buty. Kry zbijały się i rozdzielały w nieprzewidywalnym pędzie, tak że dwóch mężczyzn, którzy wbiegli na lód jeden za drugim, po chwili dzieliło już kilkaset stóp. Pokrzykiwali do siebie, wciąż starając się obrać najlepszą drogę, a ich głosy rozpinały się między nimi jak lina, której mieliby się trzymać, dopóki nie wyjdą cało z opresji.

Wyczołgawszy się na ląd, Peyton stwierdził, że Rowsell zdążył już zniknąć za łagodnym zakolem rzeki. Pognał w tamtą stronę tak szybko, jak pozwalały mu na to przemoczone buty. Kapral siedział nad wodą i wpatrywał się w gęstwinę po drugiej stronie.

– Jest pan cały, Rowsell?

Żołnierz wlepił w niego oczy ocienione wysokim czołem. – Za pańskim pozwoleniem, ośmielę się wypowiedzieć szczerze.

Peyton przytaknął.

Rowsell pokręcił głową. – Mieszkasz pan w iście skurwiałym kraju, sir.

Podczas przeprawy łódź zniósł ich dobre pół mili w dół rzeki, tak że uszedłszy zaledwie kilkaset jardów, dotarli do obozu, gdzie zawinięci w koce zasiedli przy ognisku, by odczekać, aż płomienie osuszą ich buty i spodnie. Siła wyswobodzonego nurtu sprawiła, że woda wybijająca spod lodu wystąpiła z koryta i o mało nie porwała sań pozostawionych w olszynie nieopodal brzegu. Żołnierze w ostatniej chwili odciągnęli je głębiej w las, część chleba zdążyła im jednak rozmoknąć. Skonstruowane przez nich prowizoryczne platformy były tak pogruchotane, że nie nadawały się do dalszego użytku. Stało się jasne, że nie będą mogli wciągnąć nad jezioro dość prowiantu, by starczyło dla całego oddziału. Buchan zdecydował, że nazajutrz podchorąży z trzynastoma żołnierzami – w tym dwoma cierpiącymi z powodu dotkliwych odmrożeń – zawrócą na wybrzeże, niosąc w plecakach niezbędny prowiant.

Późnym wieczorem znalazł Cassie siedzącą na uboczu przy jednym z ognisk płonących w obozie. Na głowę i plecy zarzuciła koc, płaszcz zaś uchyliła, by pozwolić ciepłu płomieni dosięgnąć ciała. Stanął nad nią.

– Rano odsyłam nieduży oddział do Ship Cove. Sądzę, że byłoby najlepiej, gdyby przyłączyła się pani do niego.

Cassie skinęła ręką, dając mu do zrozumienia, że jeśli chce, może usiąść przy niej. – Wolę zostać z Mary.

– To nie są warunki dla kobiety...

– Kapitanie, czy spowolniłam wasz marsz?

– Czekają nas najpewniej jeszcze większe trudy.

Cassie nieśpiesznie przytaknęła, wpatrując się w ogień. – Znosiłam już gorsze rzeczy.

Buchan poczuł w sobie jakiś ciężki zwrot, jakby jego serce przesunęło się, przyjmując nieznaną dotąd pozycję. – Cassie, nie miałem pojęcia o dziecku – powiedział.

– Nie o dziecku mówiłam – wyjaśniła. – Zostanę z Mary – dodała.

Przez chwilę kiwał głową, potem zamarł w bezruchu. – Nie byłaś jedyna.

Popatrzyła na niego.

– Odkąd się ożeniłem. – Nie odrywał wzroku od ognia. – Były inne kobiety.

– Życie w marynarce, kapitanie. Z pewnością pańska żona się tego spodziewała.

– Być może – przyznał. W głosie Cassie wybrzmiała ostra, prześmiewcza nuta, puścił ją jednak mimo uszu. – Z początku może i tak. Najwyraźniej jestem jednak bardzo przekonujący. Z biegiem lat wyrobiła sobie o mnie lepsze mniemanie. – Zapatrzył się w ciemność ponad płomieniami. – Już dwa razy była bliska śmierci. Podczas porodów. Popadła w bardzo delikatny stan. Sam nie wiem, czy by to przeżyła, gdyby poznała prawdę o mnie.

– Ludzie być powinni tym, czym z pozoru są – skwitowała Cassie.

Buchan przytaknął i uśmiechnął się przelotnie. – Z pewnością wiesz, że straciłem dwóch żołnierzy na jeziorze Czerwonych Indian.

– Obiło mi się o uszy. – Wzruszyła ramionami. Zdawała się zbyt zmęczona, by dłużej okazywać mu niechęć.

– Niedawno zaczęli mi się śnić. Ich ciała na lodzie. – Pokręcił głową. – Swego czasu przyjaciel ostrzegł mnie, że poczucie winy i tak mnie dopadnie. Nie wierzyłem mu. – Utkwił w niej wzrok i czekał tak, dopóki nie spojrzała mu prosto w oczy. – Chciałem powiedzieć...

Cassie powstrzymała go, kładąc mu rękę na barku. – Nie mogę ci dać tego, czego szukasz.

Zaskoczony, lekko odchylił głowę do tyłu. – A czegoż to szukam?

Odwróciła się do ogniska. – Bo ja wiem. Rozgrzeszenia.

– Bardzo katolicka interpretacja, panno Jure – rzucił Buchan. Miał nadzieję, że kobieta się uśmiechnie, zachowała jednak powagę.

Jakiś czas przesiedzieli w milczeniu, a wreszcie odezwała się: – Kapitanie, chciałabym prosić o jedną przysługę. Kiedy będzie już po wszystkim.

– Oczywiście.

– Gdy na wiosnę będzie pan wracał, chciałabym popłynąć do St. John's.

– Jestem do dyspozycji.

– W domu zimowym Peytonów mam spakowany kufer.

– Poślę po niego szalupę.

Buchan powoli dźwignął się na nogi i znieruchomiał. Przez chwilę stał tyłem do niej, na coś czekając. Nawet dwa kroki poza kręgiem światła powietrze było przenikliwe, nieubłagane lodowate.

– Nie chciałem, by ktokolwiek dowiedział się o tym, co zaszło między nami – powiedziała Cassie.

W drzewach rozległo się krakanie wrony – ostry, mechaniczny dźwięk, jakby ciemność zacisnęła się wokół nich o jeden ząbek ciaśniej.

– Nie spodziewałbym się po tobie niczego innego – powiedział.

Rankiem część pozostałego jeszcze chleba, wieprzowiny i rumu została zakopana z myślą o drodze powrotnej, a ekspedycja wyruszyła w górę rzeki, ciągnąc zaledwie czworo z dwanaściorga sań. To, co nie zmieściło się na pojazdach, mężczyźni nieśli w plecakach.

W ciągu kolejnych czterech dni warunki lodowe poprawiały się stopniowo wraz ze spadkiem temperatury, posuwali się więc naprzód w dobrym tempie. Szóstego lutego, podczas popołudniowego rekonesansu, Buchan z Peytonem natknęli się na ślady indiańskich rakiet, szybko jednak zgubili je na twardym lodzie. Dwa

dni później ekspedycja dotarła do składu wzniesionego nieopodal trzech *mamateeków*. Wszystko wskazywało na to, że namioty, do niedawna zamieszkałe, zostały opuszczone w pośpiechu. Zgadywali, że jedno z palenisk było używane jeszcze przed dwoma, może trzema dniami. Ściany *mamateeków* i magazynu zostały ogołocone z prawie wszystkich przedmiotów przedstawiających jakąkolwiek wartość. Na ziemi widniały jeszcze wgłębienia po płozach sań, którymi wywieziono jedzenie i futra. W śniegu znaleźli kilka ukrytych żołądków, wątrób i skór karibu. Długa na trzydzieści i szeroka na niemal pięć stóp tratwa z osikowych żerdzi leżała porzucona nieopodal składu.

– Co pan o tym sądzi, panie Peyton?

– Na moje oko wiedzą, że się zbliżamy.

Buchan zaczął kopać w śniegu czubkiem buta. – Najwyraźniej nie spodziewają się po nas niczego dobrego.

Żołnierze krzatali się po obozie. Cassie siedziała na skraju tratwy z głową zwieszoną prawie między kolanami.

– Sądzi pan, że ona zdoła dojść do jeziora?

Peyton odwrócił się w kierunku wskazanym brodą przez Buchana. – Tak – odparł.

U podnóża drugiego wodospadu zakopali kolejną porcję zapasów, dwie mile przed Badger Bay River zostawili zaś wszystko poza prowiantem na dwa tygodnie, sosnową trumną oraz podarkami dla Beothuków. Dalej woda płynęła już swobodnie ponad warstwą lodu, tak że wszelkie ewentualne ślady odwrotu Beothuków nad jezioro zostały zatarte – po drodze nie znaleźli natomiast żadnych poszlak mogących świadczyć o tym, że Indianie odbili w las.

Jedenastego lutego stanęli na brzegu jeziora – dwadzieścia dwie mile ponad drugim wodospadem. Przystanęli, by posilić się i napić herbaty, po czym wymaszerowali na zamarznąta taflę. O trzeciej dotarli do obozu, który Peytonowie podeszli z zaskoczenia tamtego przejrzystego marcowego poranka zeszłej wiosny. Nie dostrzegli żadnych oznak czyjejkolwiek obecności nad jeziorem.

Nagie szkielety dwóch *mamateeków* stały jeszcze na polanie. Trzeci został rozebrany, a z odzyskanych materiałów wzniesiono w pobliżu mniejszy namiot. Buchan wszedł do środka pierwszy, zaraz za nim Peyton i Cassie. Był to swego rodzaju grobowiec, na podeście spoczywały zwłoki zawinięte w płócienny całun poфарbowany czerwoną ochrą. Wokół ułożono dzidy, łuk z kołczanem pełnym strzał, odłamki pirytu. Cassie podniosła i rozwinęła leżący tam również kawałek lnu. Przy krawędzi tkaniny wyszyte było nazwisko *Peyton*. Wszystko wskazywało na to, że stoją przy szczątkach wysokiego mężczyzny – zmarły miał dobre sześć stóp wzrostu.

– To wasz człowiek, panie Peyton – zauważył Buchan.

– Na to wygląda.

– Ciekawe, co zrobili z drugim ciałem.

Peyton wzruszył ramionami. Patrzył, jak Cassie starannie składa kawałek lnu i odkłada go dokładnie tak, jak go zastała. – Nie mam pojęcia, sir.

Na zewnątrz kapitan kazał dwóm żołnierzom wypakować i rozstawić płócienny namiot nieopodal miejsca pochówku Indianina. Z sań zdjęto również trumnę. Po odwinięciu płachty i czerwonej tkaniny Buchan dokonał dokładnych oględzin w poszukiwaniu uszkodzeń. Gdy podważono zabite gwoździami wieko, stanęli w milczeniu nad ciałem kobiety. Przed wyprawą zmarłą uwiązano sznurkiem, by nie obijała się w skrzyni; niskie temperatury sprawiły, że rysy jej twarzy pozostały nienaruszone. Leżały przy niej różne drobiazgi: dwie drewniane lalki, które lubiła; biżuteria i inne upominki od gości schodzących się z całego północno-wschodniego wybrzeża, żeby na nią popatrzeć.

Buchan skinął ręką, nakazując żołnierzom, by zamknęli wieko, ale Cassie dotknęła jego ramienia.

– Chciałabym zostawić przy niej coś jeszcze – poprosiła. Rozpięła grube futro, by sięgnąć do kieszeni lżejszego płaszcza, który miała pod spodem. Peyton patrzył, jak pochyła się nad ciałem. Kiedy się odsunęła, zobaczył, że włożyła do trumny sakiewkę z amuletami wykradzioną przez jego ojca z grobu Beothuka na Swan Island – podarek, który Peyton przyjął, protestując nieśmiało, a następnie przekazał Cassie. Wciąż potrafił wyliczyć zawartość mieszka: kilka wyrzeźbionych z rogu amuletów, kawałek pirytu oraz dwie delikatnie wyżłobione ptasie czaszki.

Gdyby przypomniał sobie wtedy o srebrnej kopercie po ojcowskim zegarku, ją również włożyłby do trumny, nie myślał jednak o niej, odkąd przybył do Ship Cove i zastał Mary martwą. Dwaj żołnierze wystąpili z szeregu, by przybić wieko. Koperta wróciła z nim na wybrzeże. Wiele miesięcy później znalazł ją w kieszeni płaszcza i przez chwilę obracał w dłoniach. Następnie przyłożył ją do ucha i wsłuchał się w jej bezbrzeżną nicość.

Trumnę okryto brunatnym całunem i oparto sześć stóp ponad ziemią na stojaku ze świerkowych gałęzi, aby zabezpieczyć ciało przed padlinożercami. Ubrania, które Mary miała na sobie w chwili pojmania, zostały ułożone pod spodem razem z przedmiotami przyniesionymi nad jezioro w charakterze prezentów dla Indian: kocami, nożami, zwojami lnu i kilkoma żelaznymi garnkami. Szesnaście par niebieskich mokasynów, które Mary uszyła w swoim pokoju z wykradzonego materiału, ustawiono w szeregu zaraz przy wejściu.

Gdy upominki zostały rozłożone, a poły namiotu zaciągnięte i zawiązane, cała ekspedycja stanęła na zewnątrz. Wszyscy trwali w milczeniu zrodzonym z zakłopotania – ze świadomości, że oto dzielą chwilę, której istoty nie potrafią wyrazić słowami; moment, którego doniosłość przekracza ich zdolność pojmania.

Ktoś zakaszłał. Wciąż zalegała wokół nich cisza, tylko śnieg uskarżał się pod butami mężczyzn przestępujących z nogi na nogę.

W końcu Buchan odszedł od namiotu i nakazał ludziom, by rozpalili ognisko i okryli czymś szkielety dwóch pozostałych *mamateeków*. Pośród głośniejszego krzątania Peyton stał u boku Cassie. Odwróciwszy się, utkwiał wzrok w tamtym punkcie na jeziorze, gdzie niecały rok wcześniej dogonił Mary i uścisnął jej dłoń. Słońce kryło się właśnie za drzewami na przeciwległym brzegu, blady księżyc pokazał się już nad horyzontem.

– Tak sobie myślałem – powiedział – że chyba czas się ożenić.

Nie odezwała się ani słowem. Po paru chwilach pokiwał głową. Już chciał zapytać, czy wyszłaby za niego, gdyby sprawy potoczyły się inaczej – gdyby przybyła na północno-wschodnie wybrzeże z innego życia – bał się jednak odpowiedzi. Wskazał ręką odległe wzgórza, drzewa tak zielone, że niemal czarne. Oslonił oczy przed światłem, przed bielą śniegu na jeziorze.

– Całe życie kochałem to, co nie należy do mnie – westchnął.

Staął twarzą do Cassie, ale ona już oddalała się od niego, idąc w stronę lasu.

Czerwona ochra, którą Beothukowie malowali swoje ciała, narzędzia, namioty oraz zmarłych, to odmiana mułowca o konsystencji gliny. Najczęściej występuje pośród osadów trzeciorzędowych, które niełatwo znaleźć na Nowej Fundlandii. Czerwoni Indianie wydobywali ją w Ochre Pit Cove nad zatoką Placentia oraz Ochre Pit Island u wybrzeży zatoki Exploits. Nieopodal Zatoki Św. Jerzego, między Flat Bay a Barasway River, również znajdują się złoża, z których być może korzystali. Ochre mieszano z olejem lub stopionym sadłem, aby uzyskać farbę, którą nakładano bezpośrednio na skórę i włosy, brzożową korę, zwierzęce skóry i drewno, kradzione płótno i żelazne przedmioty. Kiedy ochra nie była dostępną w wystarczających ilościach, Beothukowie w zastępstwie stosowali pastę z gleby o wysokiej zawartości żelaza lub czerwony wyciąg z olchowej kory.

Każdej wiosny, zanim rozproszyli się niedużymi grupkami po wybrzeżu, odprawiali nad Jeziorem Czerwonych Indian ceremonię, podczas której malowali się ochrą. Noworodki przyjmowano do plemienia, znacząc ich ciała barwą ognia, tym ciemnym blaskiem krwi. Koniec dnia przeznaczano na jedzenie i śpiewy.

Nic nie wskazuje na to, aby Beothukowie podczas swoich uroczystości używali bębnów. Kobiety i mężczyźni śpiewali swobodnie, prosto w ciemność, czerpiąc słowa z głębokiej studni pieśni, które każdy od dziecka znał na pamięć. Opiewali to, co w życiu najprostsze, zwyczajne rzeczy przekraczające ich pojęcie, słońce, księżyc i gwiazdy, koraliki, guziki, toporki, rzeki, morze. Śpiewem prowadzili przez knieję zwierzęta: karibu, niedźwiedzie, wrony, bobry czy srebrne mgnienia lisów.

Nie zachowały się ani słowa, ani melodie, na które je śpiewano. Pozostały tylko przynależne im strumienie, sadzawki i mokradła; karibu i lisy sunące przez tę krainę tak jak przed dwustu laty w pieśniach. Wszystkie jodły i świerki, pojedynczymi nutami wypełniające powietrze tam, gdzie nie ma już nikogo, kto mógłby je usłyszeć.

O Beothukach

Beothukowie – rdzenni mieszkańcy Nowej Fundlandii – przed przybyciem Europejczyków w XVI wieku zamieszkiwali lub wykorzystywali większość linii brzegowej wyspy. Choć nie sposób określić tego w sposób pewny, antropolodzy na podstawie różnych wskaźników szacują, że liczebność tego zbieracko--łowieckiego plemienia przed kontaktem z kolonizatorami wynosiła od 500 do 5000 osób.

Do połowy XVII wieku europejskie osadnictwo skupiało się na półwyspie Avalon. Kontakty między Europejczykami a Beothukami były w związku z tym ograniczone, choć z dostępnych zapisów wynika, że już wtedy napięte stosunki prowadziły się często do grabieży i ataków. W miarę jak Brytyjczycy i Francuzi rozprzestrzeniaли się po wyspie, Beothukowie tracili dostęp do swoich dawnych terytoriów. Indian zdziesiątkowały akty przemocy, choroby takie jak gruźlica oraz głód spowodowany utratą dostępu do wybrzeży, gdzie pozyskiwali środki niezbędne do przetrwania. W połowie XVIII wieku niedobitki Beothuków miały do dyspozycji już tylko Jezioro Czerwonych Indian, zlewisko rzeki Exploits oraz część zatoki Notre Dame na północno-wschodnim wybrzeżu Nowej Fundlandii.

Ostatnia znana Europejczykom Czerwona Indianka zmarła w St. John's w roku 1829. Jak pisze Ingeborg Marshall: „Możliwe, że nieliczni przedstawiciele plemienia żyli wtedy jeszcze w odosobnieniu, jako grupa kulturowa Beothukowie przestali jednak istnieć”.

Posłowie autora do wydania polskiego

Wiele spośród wydarzeń i postaci przedstawionych w *Rzece złodziei* wzorowanych jest na faktach i autentycznych osobach. Mężczyzna nazwiskiem John Peyton Senior na przełomie XVIII i XIX wieku naprawdę zajmował się rybołówstwem na północno--wschodnim wybrzeżu Nowej Fundlandii i zasłynął z bezwzględnych porachunków z „Czerwonymi Indianami”. Oficer brytyjskiej marynarki David Buchan podjął ekspedycję w górę rzeki Exploits, pragnąc nawiązać kontakty z Beothukami. Indianka z tego plemienia, znana jako Mary, została przygarnięta przez Peytonów i przysposobiona do roli gosposi.

Wydarzenia te miały doniosłe znaczenie w dziejach europejskiego osadnictwa na Nowej Fundlandii oraz związanej z nim zagłady rdzennych mieszkańców wyspy. W *Rzece złodziei* podjąłem próbę zbadania emocjonalnego krajobrazu tych historycznych wydarzeń; dotarcia do ukrytych za nimi prawd. Wiele spośród decyzji, które powziąłem w toku tych starań, podyktowanych było względami estetycznymi i wymagało odstępstwa od faktów. Na przykład prawdziwy John Peyton Junior przyplłynął na Nową Fundlandię dopiero jako dorosły mężczyzna, nie brał więc udziału w pierwszej ekspedycji Buchana. Fikcyjna Mary stanowi połączenie dwóch kobiet z plemienia Beothuków, które mieszkały w gospodarstwie Peytonów w różnych okresach i zakończyły życie w całkiem odmienny sposób. Książka zawiera dosłownie dziesiątki podobnych przeinaczeń. Pozwalałem sobie na zmyślenia w miejscach, które w moim odczuciu tego wymagały, aby fabuła mogła zafunkcjonować jako powieść. Dotyczy to zwłaszcza skrytych myśli, uczuć i motywacji postaci historycznych. Nie mamy praktycznie żadnego wglądu w intymne, osobiste przeżycia tych ludzi. Kim byli, w co wierzyli, dlaczego postępowali tak, a nie inaczej? Możemy zaledwie snuć domysły.

Spekulacje i zmyślenia stanowią serce każdej powieści historycznej – nie powinny być jednak mylone z faktami. Pragnąłem, by *Rzeka złodziei* wiernie odzwierciedlała moje pojmowanie tamtych wydarzeń historycznych – tego, w jaki sposób nadal kształtują nasz świat. Podejrzewam jednak, że tego rodzaju dociekania ostatecznie bardzo wiele mówią nie tylko o przeszłości, lecz również o nas samych.

